DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Nowa Serya.

TOM I.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Kazimierz Okaz.

WE LWOWIE.
Z DRUKARNI E. WINIARZA.
1870.

SPIS RZECZY

w tomie I. z roku 1870 zawartych

Na dobry początek.

I Żywoty świętych, legendy, podania o cudownych miejscach w Polsce i rozmaite historye święte.

Gwiazdka * na początku oznacza, że dodany jest tam obrazek.

II. Powiastki, gawędy i opowiadania z historyi polskiej i inne:

III. Wiersze:

IV. Piękne przykłady:

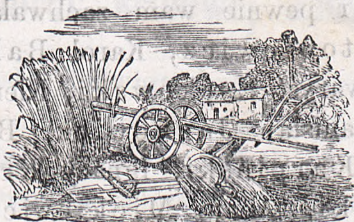
V. Rady, przestrogi gospodarskie i rozmaite nauki:

VI. Różności:

VII. Złote ziarna. Nr. I. str. 13

Tom I. 1. Stycznia 1870. Nr. 1.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Na dobry początek.

W imię Boże! „Dzwonek“ dzwoni znowu na chwałę Pańską i pożytek ludzki. Znowu zapraszamy się do was w gościnę mili czytelnicy — bądźcież nam radzi jak dotąd, bośmy ci sami, cośmy dotąd do serc waszych przemawiali. Są pomiędzy nami czcigodni kapłani, jako to, ksiądz Marcin Czerwiński karmelita, ksiądz Wojciech Michna pleban z Zaleszan, są i ludzie świeccy, wielce zasłużeni pisarze ludowi, jako to Jan Kanty Gregorowicz, Józef Grajnert, Dr. E. Janota, Bronisław Komorowski, Plato Kostecki, Teofil Lenartowicz, Ludwika Leśniowska, Łoziński Władysław znany wam pod imieniem Wojtka ze Smolnicy, Stanisław Nowiński, Jan Kanty Turski, Paulina z L. Wilkońska, Jan Zacharyasiewicz, Jakób Zakrzewski i inni. Jeżeliby zaś ten nowy poczet „Dzwonka“ przy łasce Bożej miał urość do tych rozmiarów co dawny, natenczas o ile nam będzie dozwolone, przeplatać będziemy pismo nasze pracami innych, najsławniejszych pisarzów polskich, tak żyjących jak i już nieżyjących, których nazwiska wprawdzie

są wam nieznane, ale znają je dobrze wasi szanowni plebanie, wasi nauczyciele i pewnie wam zachwalą; tu zaś należą: ksiądz Karol Antoniewicz, Karol Baliński, Kazimierz Brodziński, Ewaryst Estkowski, Klementyna z Tańskich Hofmanowa, Stanisław Jachowicz, Bronisława Kamińska, Franciszek Karpiński, Ignacy Krasicki, Józef Ignacy Kraszewski, Adam Mickiewicz, Julian Niemcewicz, ksiądz Grzegorz Piramowicz, Lucyan Siemieński, Kazimierz Władysław Wojcicki.

Dzwonek zamieszczać będzie: Obrazki historyczne, powiastki moralne, podania święte, opisy miejsc, zwyczajów, podróże, wizerunki obyczajowe czyli piękne przykłady cnót i poświęcenia dla bliźnich, pogadanki gospodarskie, wiadomości z nauki o zachowaniu zdrowia, z nauk przyrodniczych, z nauki o obowiązkach człowieka jako obywatela gminy i kraju itd.

Pragniemy nieść wam naukę i rozrywkę, i czynić to będziemy ile sił starczy. Przyjmcie życzliwem sercem to, co wam dajemy, a my coraz bardziej ulepszać będziemy dzieło nasze, aby wam zastąpiło z czasem bogaty księgozbiór. Podobał się wam dawny „Dzwonek“, ten może zdołamy uczynić jeszcze lepszym, bośmy w długoletniej pracy wzbogacili nasze doświadczenie: znajdziecie w nim wszystko, co was zająć i obchodzić może.

Przyrzekliśmy wam zamieszczać i ryciny, których dotąd w „Dzwonku“ nie było i jak widzicie dotrzymujemy słowa, a nie żądamy za to większej przedpłaty, bo nie chcemy zysku dla siebie, jeno was radzibyśmy zachęcić do czytania. Nie obiecujemy zaś żadnych dodatków, bo nie wiemy jeszcze czy byśmy mogli dotrzymać obietnicy, a nie chcemy zrobić wam zawodu.

Bądźcież nam radzi mili czytelnicy, jeszcze raz prosimy — i przyjmcie nas po starodawnej gościnności chlebem, solą i dobrą wolą. Bóg z wami.

Dobroć królowej Jadwigi.

Królowa polska Jadwiga była piękna jak anioł i dobra jak anioł. Młodziuchną dzieweczką przyjechała z Węgier na królową do Polski. Panowie żądali od niej ciężkiej ofiary, żądali aby się wyrzekła oblubieńca, z którym była zaręczoną, i aby poślubiła książęcia litewskicgo Jagiełłę, który za to przyrzekał przyłączyć na zawsze wielkie posiadłości swoje do Polski. Piętnastoletnia Jadwiga postąpiła sobie w tym razie tak, jak dobra matka zwykła czynić dla szczęścia dzieci swoich, bo nie wzdrygała się zadać gwałt swojemu sercu, widząc w zamęźciu z książęciem litewskim szczęście dla poddanych, chociaż nie dla siebie. Zostawszy żoną Jagiełły, łagodna, cicha, pobożna — była aniołem dla męża, matką dla poddanych, opiekunką biednych i cierpiących. — Jak była tkliwą, łaskawą, miłosierną, o tem wiele naczytać się można w starych księgach. Posiadała także od Boga dziwny dar udzielania drugim swojej dobroci. Słówkiem jednem, spojrzeniem nawet, rozrzewniała najzatwardzialszych, rozgrzewała najzimniejsze serca; — kto się do niej przybliżył, odchodził lepszym, czulszym, zwłaszcza na niedolę bliźniego.

Za jej królowania, w jednej wiosce niedaleko miasta Gniezna żyła biedna wdowa z kilkorgiem dziatek. Po śmierci męża krewni okropnie ją i sieroty skrzywdzili. Zabrali im większą część spuścizny, a zostawili tylko chatę i jedną krowę. Nieszczęśliwa kobieta nie znalazłszy sprawiedliwości u sędziów, postanowiła iść na skargę do królowej Jadwigi. Słyszała że niegdyś król Kazimierz, dziad królowej, chętnie przypuszczał chłopków przed swoje oblicze, słuchał ich skarg i wyrządzał im sprawiedliwość; spodziewała się więc, że i wnuczka jego, choć nie rodzona, będzie podobną do dziada, pozwoli jej stanąć przed swoim majestatem, wysłucha łaskawie i ujmie się za nią.

Jedno ją tylko trapiło, że do Krakowa droga daleka, a do tego lasami i puszczami, bo jak to puścić się samotnej kobiecie w taką drogę? jak sobie poradzić w Krakowie, aby

*

ją puszczono na zamek królewski i przed samę królową? — W tem powiadają jej wesołą nowinę, że już nie potrzebuje chodzić do Krakowa, bo królowa Jadwiga, wraz z mężem swoim królem Władysławem Jagiełłą, przyjechała właśnie do Gniezna i zabawi tutaj dni kilka.

Uradowana wielce, dziękowała Bogu za to nadspodziewane zdarzenie a przy modlitwie serce jej napełniło się nadzieją i otuchą.

Ale radość trwała nie długo i wkrótce zamieniła się w gorzki płacz. Oto służba królewska piesza i konna przybywa do wsi, zbrojni pachołcy wpadają do chat i spokojnym mieszkańcom wydzierają bydło.

— My nic nie winni! my nie zrobili nic złego! wołają włościanie.

Służba królewska usprawiedliwia się rozkazem, nie słucha prośb i płaczu biednych kmieci.

— Ja wiem, że wy niewinni, rzekł jeden z pachołków, ale wasi panowie nie chcą dać podwód dla dworu i dla tego król was grabić każe.

Biedna wdowa, ledwie dowiedziała się o co idzie, spostrzegła, że srodzy siepacze zbliżają się już i ku jej domostwu. Padła przed nimi na kolana, ale nie pomogły prośby, zaklęcia i łzy; wydarto jej krowę jedyną, całe bogactwo.

Nieszczęśliwa nie wydała jęku, ale osłupiała ze zgrozy i zdumienia. Zdawało się, że już tchu zabrakło jej w piersiach. Dzieci płacząc rzewnie, tuliły się do niej. Po chwilce biedna matka przyszła do siebie, załamała ręce i pomyślała:

— O... wnuki nie zawsze podobne do swoich przodków. Jadwiga królowa nie taka jak król Kazimierz. Ja prosić jej chciałam o sprawiedliwość, dziękowałam Bogu, że ją tu zesłał, a ona wydziera mi więcej jak ci wszyscy co mię skrzywdzili, bo ostatek....

Tak myślała biedna wdowa w rospaczy, ale grubo błądziła. Tymczasem we wsi gwar nie ustaje, cała gromada wybiera się w ślad za swojem bydłem do Gniezna, do króla na skargę. I wdowa poszła z drugimi, ale tylko po to, aby się upomnieć o swoją krowę, bo pożegnała się już z myślą da-

wniejszą. Mniemała, że królowa Jadwiga śmiałaby się z jej łez, a dla biednego śmiech bogacza to najjadowitsza trucizna.

Kmiecie przyszli do Gniezna, oblegli mieszkanie królewskie, łzami i jękiem wzywali sprawiedliwości. Król i królowa zeszli na dół z pokojów. Gdy biedni chłopkowie opowiedzieli swoję krzywdę, król chciał ich objaśnić dla czego grabież nakazał. Królowa jednak dokończyć mu nie dała, jeno na wpół z płaczem prosiła za niemi. Król nie mogąc oprzeć się jej prośbom, rozkazał zwrócić bydło, co gdy się stało, myślał, że już wszystko złe naprawił i że jego rozkaz powinien był rozradować królową. Ale jakże się zdziwił, gdy postrzegł, że Jadwiga ciągle jeszcze stała smutna, z załzawionem okiem. Zagadnął ją więc, czemu jej smutno, choć kmiotkom krzywda nagrodzona, choć im bydło wrócone?

— Któż im łzy powróci?.... rzekła czule królowa.

Słowa te poruszyły do głębi króla, ale jeszcze bardziej kmiotków. I o dziwo, ledwie te słowa dobrotliwej Pani doleciały ich uszu, już zapomnieli o doznanej krzywdzie, już gniew z ich serc uleciał i nastąpiło ciche rozrzewnienie.

Ten i ów westchnął;

— Wie co to łzy! wie, że można nagrodzić krzywdę, ale nie boleść.... Niech cię Bóg błogosławi miłościwa królowo!

— O! to anioł! rzekła wówczas wdowa; a ja myślałam.... Panie odpuść mi posądzenie.

Przeciska się przez tłum, pada na kolana i ze łzami opowiada królowej swoją krzywdę od krewnych. Królowa wysłuchała ją łaskawie i zapytała o sprawcę tych nieszczęść. Jest i on tutaj, hardy bogacz.... oto przeciska się także do stóp królowej, ale jakże zmieniony! czy i on się rozrzewnił? czy i on zrozumiał co to łzy?...

— Oddam jej wszystko, rzekł głosem drżącym od wzruszenia.... wszystko nagrodzę.... a ciszej dodał: oprócz łez, które z mojej przyczyny wylała.

Nastąpiło pojednanie. Król i królowa odeszli, a gromada wróciła z bydłem do domu.

Za chwilę cisza była w wiosce jakby nic nigdy nie zaszło. Tylko na jeziorze pluskała łódź rybacka, w dali na bagnie

migotały błędne ogniki a z puszczy zalatywał ryk dzikiego zwierza. Zły krewny nagrodziwszy biednej wdowie wyrządzoną krzywdę, czuł w sercu jakąś dziwną błogość i zasypiał spokojnie jak nigdy, ona zaś klęczała jeszcze i modliła się, dziękując Bogu że zesłał jej anioła pocieszyciela w osobie dobrej królowej.

Stanisław Krakowczyk.

Święci robotnicy.

Do pracy wezwał Pan ludzi i twory,
Życie wlewając w swoje robotniki:
Połyskujące srebrnemi kolory
Jedwab snujące one jedwabniki;
Pszczoły noszące słodki miód z daleka,
I mrówki, które zawstydzają człeka.
I ten przedwieczny, co niebo budował,
A pod niem pułap gwiazd rozciągnął złoty,
O przyjaciele, on rąk nie żałował
Do swojej wiecznej roboty.
On pracującym jasną wieczność dawa,
Swojego miasta otwiera im bramy,
Wielki robotnik, który przed wiekami
Ustawił pracy nieśmiertelne prawa.

Niechże kowal kuje młotem,
Cieśla drzewo trze swą piłą,
Lirnik wiejski niech pod płotem
Swą pokręca lutnią miłą.
Jezus mały w starca chacie
Posługiwał przy warsztacie,
Marya przędła u przęślicy,
Józef heblem strugał deski;
Otóż bracia rzemieślnicy
Macie z nieba wzór niebieski.
Genowefa pasła trzodę,
Piotr zapuszczał sieci w wodę,
A Izydor orał rolę
Za wołami chodząc w pole.

Sługą była święta Cyta
Jakób służył za paroba;
W pracy dla nas wieczność świta
W pracy sobie Bóg podoba.

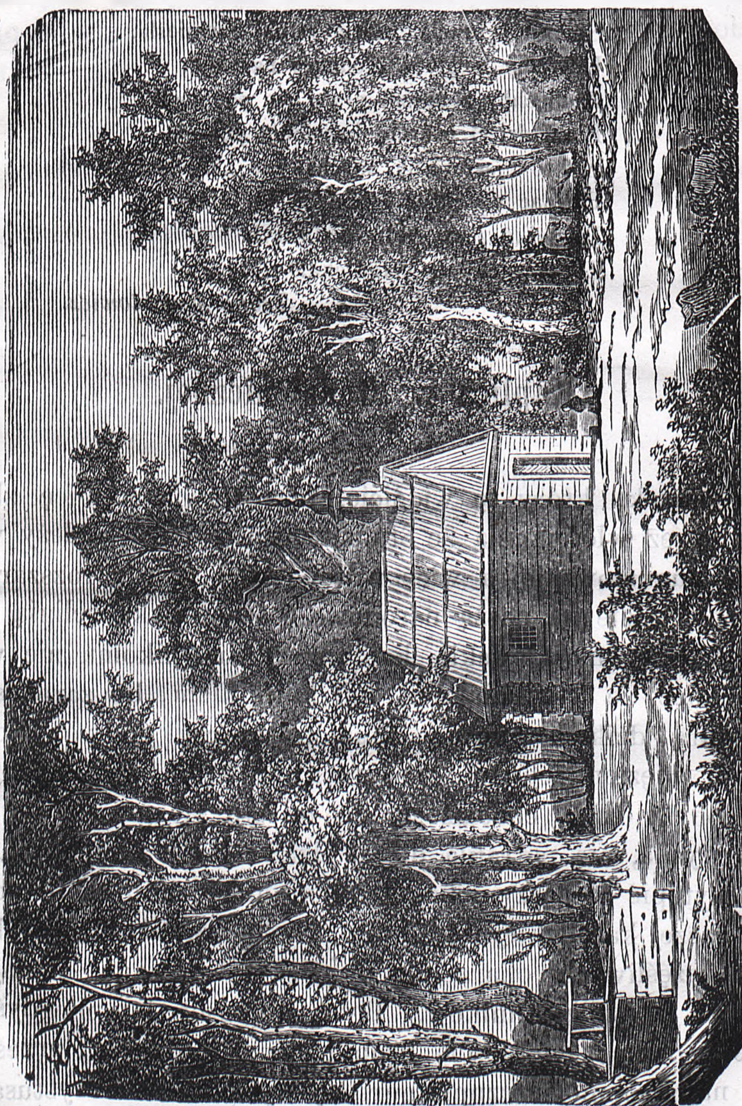
Spiewacy bracia, ludzie sztuk, rzemiosła,
Uderzmy w głosy zgodnego nastroju,
A niechby z naszej pracy się podniosła
Pieśń dzieci bożych, harmonia pokoju.
A kto nieszczęsny, niechaj nie narzeka,
Patrząc na obraz Syna świętej Maryi,
Bo tylko z szczytów Kalwaryi
Zobaczy chwałę człowieka.

Teofil Lenartowicz.

Kaplica w Studzienicznej.

Obrazek, który tu widzicie, przedstawia kaplicę zbudowaną przez włościanina ze Studzienicznej. Wieś ta leży w gubernii augustowskiej a więc w tej części naszej rozszarpanej ojczyzny, gdzie na naszą narodowość i katolicką religią nałożono ciężkie, moskiewskie kajdany, gdzie nikomu nie wolno powiedzieć, że jest Polakiem lub katolikiem, bo zaraz stanie się ofiarą dzikich zbirów carskich, którzy go powloką do lochów więziennych lub do mroźnych krain sybirskich. Ale przemoc ta dzika chociaż się już od stu lat prawie najokropniej wysila, nie potrafiła dotąd dzięki Bogu i nigdy nie potrafi wytępić w naszym bogobojnym ludzie miłości dla ojczyzny i naszej katolickiej religii. Bo prześladowanie takie wzbudza w nieszczęśliwych ofiarach tem większą odwagę, dodaje im zapału i siły męczenników. Przez kilkaset lat niegdyś poganie z dziką zaciekłością bronili swych bożyszcz, prześladowali najokropniej szczupłą garstkę wyznawców Chrystusa, by wytępić do szczętu jego boską naukę. A przecież w końcu uledz musieli przed wszechwładną i tajemniczą wolą Bożą i na szczytach ich wspaniałych bałwochwalskich świątyń stanął w końcu zwycięzki krzyż Chrystusów! Wierzmy tedy, że Bóg pokruszy kiedyś i broń naszych dzikich ciemięzców, Moskali,

i że Ojczyzna nasza i wiara odniesie tryumf wielki. Przykład piękny, który wam tu opowiemy, niech nam wszystkim doda w tem otuchy.



Kaplica w Studzienicznej.

Do wsi Studzienicznej wrócił przed kilkudziesięciu laty z długiej wojaczki stary wiarus, Wincenty Morawski. Sterane wiekiem i życiem obozowem siły starego wiarusa nie pozwoliły mu już myśleć o cięższej pracy lub o powrocie do walki

z wrogiem. Wincenty postanowił tedy modłami i czynami wstawiać się do Boga za swą utrapioną ojczyzną i uciemiężonymi rodakami. Udał się do ludzi poczciwych i bogobojnych, zebrał nieco grosza i tak przy ludzkiej i boskiej pomocy wystawił wśród dzikich borów mały lecz schludny kościółek. Długo stał ten drewniany przybytek Pański wśród gęstych borów, Bogu na chwałę a ludziom pobożnym na pożytek.

Lecz po latach deszcze i wichry nadpsuły jego drewniane ściany i kościółek miał już nawet upaść zupełnie. Znalazł się jednak człowiek, który nie dał zniszczeć pięknemu dziełu poczciwego Wincentego. W wsi tej żył Szymon Andruszkiewicz, kmieć zamożny, bo miał spory kawał naszej żyznej polskiej ziemi a do tego pracą i zapobiegliwością zwiększał ciągle swój dobytek, chudobę i majątek. Otóż temu Szymonowi markotno się zrobiło, gdy widział, że kościółek który Wincenty zbudował i takiemi pięknemi obrazami z Rzymu przyozdobił, chyli się tak mocno ku upadkowi. Postanowił tedy wszystek swój grosz zapracowany poświęcić na odnowienie kościółka. Otrzymawszy od księdza biskupa pozwolenie, zrobił zaraz plan i jął się do pracy z taką chęcią, że nawet wśród zimy budowa ciągle naprzód postępowała. Podczas budowy kościółka sam ksiądz biskup zjechał do Studzienicznej, bo ciekawy był bardzo zobaczyć tego pobożnego człowieka i jego dzieło. Byłaż to dopiero radość dla Szymona o jakiej nawet nigdy nie marzył.

— Tać to ja nie zasłużył na taką łaskę za tak drobną sprawę! — rzekł i rzucił się do nóg biskupowi.

Biskup odjechał pobłogosławiwszy Szymonowi i jego pracy uczciwej. Wkrótce dowiedział się o Szymonie, o którym już teraz nawet po gazetach pisać zaczęto, i car moskiewski. Napisał tedy zaraz do swych urzędników, by mu donieśli na jaką nagrodę taki kmieć bogobojny zasłużył. Ale Szymon niczego przyjąć niechciał. Bo jakżeż stawiąc Panu Bogu kościółek można było brać pieniądze z ręki cara, na której przyschła krew tylu naszych braci okropnie mordowanych, z ręki, która podpisała tyle wyroków śmierci i dzikich ukazów!

Daj nam Boże jak najwięcej takich Szymonów a wtedy możemy być pewni, że Pan Bóg odeprze zamachy bezbożnych moskali na naszą katolicką wiarę i naszą ojczyznę Polskę.

B. ze Smolnicy.

Maciej Szarek.

Już dzisiaj wszyscy zgadzają się na to że oświatę trzeba koniecznie podnosić i wspierać, i wszyscy wiedzą, że do podniesienia oświaty szczególnie przyczyniają się czytelnie przy szkółkach, z których młodzi nie uczęszczający już do szkoły, a nawet starsi gospodarze i gospodynie mogą wypożyczać książki do domu dla czytania w wolniejszych chwilach. Czytelnie takie założono już przy wielu szkółkach, ale więcej jest gmin, które nie mogą się zdobyć na czytelnię a chociaż chciałaby założyć ją u siebie, nie wiedzą jak się zabrać do dzieła. Owoż dla tych gmin wielce może być pożyteczną wiadomość jakim sposobem włościanin Maciej Szarek założył czytelnię w swojej wsi rodzinnej Brzegach pod Wieliczką.

Maciej Szarek jest niezamożnym gospodarzem, bo żyje z pracy rąk na czterech morgach. Jest to człowiek prosty, który nigdy do żadnych szkół nie uczęszczał, umie tylko czytać a pisać ledwo tyle, że to, czego chce lub co myśli, jako tako wyrazić potrafi. Od dziesięciu lat pracuje on bardzo gorliwie dla oświaty pomiędzy swymi sąsiadami. Najprzód namawiał ich do założenia szkółki w Brzegach, ale długo mu się to nie udawało, bo wieś mała, liczy zaledwie 58 numerów z wyrobnikami, a do tego nie wszyscy jej mieszkańcy uczuwali tak jak on potrzebę założenia szkółki i odpowiadali zawsze na jego przedstawienia, że skoro się dotąd bez szkoły obeszło, to się i nadal obejdzie. Szarek jednak nie upadał na duchu, jeno ciągle przy każdej sposobności powtarzał swoje namowy. Nareszcie został wójtem Franciszek Habina, równie jak on dbały o dobro swojej gminy i ten wymógł przecież na gminie że się szkołę utrzymywać zobowiązała. Gdy szkołę otwarto, a stało się to dnia 2 grudnia 1867 roku, co tu na

wieczną pamiątkę zapisujemy, Maciej Szarek, w niedziele i święta po nieszporach zgromadzał sąsiadów i młodzież do szkoły i wraz z nauczycielem czytywał im książki jakie się nawinęły. Wkrótce cała wieś bardzo w tem czytaniu zasmakowała i nawet ci, którym dawniej szkoła zdawała się co najmniej niepotrzebną, teraz z utęsknieniem wyglądali każdej niedzieli, aby się w szkole czego nowego dowiedzieć.

Taki był początek czytelni w Brzegach. Ale wkrótce okazały się różne niedogodności. Ten i ów nie mógł przyjść po nieszporach do szkoły, inny chciał czytać i w dnie powszednie, a co najważniejsza wkrótce zabrakło książek do czytania. Maciej Szarek nie zraził się tem wcale, lecz przemyśliwał nad udoskonaleniem swojego dzieła. Dowiedziawszy się że w Krakowie jest Towarzystwo pod nazwą Mrówka, które ubogim gminom dopomaga do zakładania czytelni, udał się do Krakowa, zapisał się do tego Towarzystwa i został zaraz upoważniony do zbierania w swojej wsi członków, do odbierania od nich wkładek. Chociaż władka nie była wielka, bo tylko po 10 cent. na miesiąc, przecież Szarek ledwie dziewięciu członków zebrał, a i to tylko przy gorliwej pomocy wójta. Po dwóch miesiącach odniósł pieniądze zebrane do Krakowa i dostał za to od Towarzystwa dziewietnaście książek dla nowej czytelni. Łatwo pojąć z jaką uciechą niósł on te książki do wsi, ale cóż to była za radość dla niego, gdy obaczył, że nie na darmo je przyniósł, że nie leżą bezpożytecznie. Ale im większa była radość z początku, tem większy powstał smutek, gdy po wyczytaniu wszystkich książek młodzież wioskowa domagała się o inne, a innych nie było! Poczciwy Szarek aby zaradzić potrzebie, ofiarował do czytelni własnych swoich dziesięć książek a chociaż żal mu było rozstawać się z niemi, pocieszał się że czyni ofiarę dla pospolitego dobra. Wkrótce jednak i te książki przeczytali pilni czytelnicy i znowu dopraszali się o inne. Niewyczerpany w swoich pomysłach a niezachwiany w gorliwości swojej Szarek, widząc że ani rozbudzonej do czytania ochoty powstrzymać, ani o zakupnie większej ilości książek dla braku funduszów myśleć niepodobna, rozpisał listy

do rozmaitych osób w kraju i zagranicą prosząc o radę i pomoc. Wkrótce posypały się od jednych rady bardzo zbawienne, a od drugich książki i tym sposobem czytelnia na dłuższy czas zasiloną została.

Owóż widać z tego że założenie czytelni przy szkółce nie jest zbyt trudną ani kosztowną rzeczą, zwłasza że i Towarzystwa i rozmaite osoby chętnie wspierają wszelkie w tym względzie usiłowania. Potrzeba tylko aby się znalazł ktoś podobny do Macieja Szarka. Potrzeba dobrych chęci, wytrwałości i nieco rozgarnienia.

Maciej Szarek za swoją gorliwość w dobrej sprawie doznaje powszechnego szacunku. Jeden z najuczeńszych i najzasłużeńszych mężów, którego imię każdy Polak z największem wymawia uszanowaniem, dowiedziawszy się o jego chwalebnych usiłowaniach, przysłał mu w darze książkę do nabożeństwa z podpisem swego nazwiska, którą Szarek przechowuje z najgłębszą czcią i przekaże potomkom swoim jako klejnot najdroższy. —

Kret.

Pewnie każdy wie, że kret jest maleńkiem zwierzątkiem, że jest pokryty czarnem axamitnem futerkiem i ma ogon krótki, okryty łuską i włosem, ale może nie każdemu wiadomo, że są także krety płowe, białe, a nawet i żółte. Oczy ma drobne, ukryte w sierści i wzrok słaby, za to słuch wyborny, chociaż uszy jego są prawie całkiem bez płatków. Przedniemi łapkami zaopatrzonemi w mocne pazury wykopuje sobie na łąkach i w ogrodach ganki podziemne, które przecinając się w rozmaitych kierunkach prowadzą do okrągłej komory, kilka cali średnicy mającej, która mu służy za legowisko. Ściany komory i ganków kret bardzo troskliwie ubija i wygładza a legowisko wyściela sobie bardzo sztucznie liśćmi, mchem, suchą trawą i delikatnemi korzonkami. Światła dziennego nie lubi, więc też rzadko, i to tylko w nocy wychodzi na powierzchnią ziemi. Kret żywi się wszelkiem robactwem znajdującem się w ziemi, a ponieważ jest bardzo żarłoczny, zjada

go wielką ilość i jest dla tego bardzo pożyteczny. Oprócz owadów zjada także żaby, jaszczurki, padalce, myszy i inne małe zwierzątka, roślin zaś ani ich korzonków nawet nie dotyka i prędzej zdechnie z głodu nim skosztuje jakiegokolwiek roślinnego pożywienia. Nie należy więc kreta wytępiać, a ci którzy to czynią, sami sobie szkodzą, bo gdy kreta nie stanie, owady i wszelkie robaki w ziemi mnożą się bardzo szybko i pożerają korzenie roślin, czemu kret byłby zapobiegł. Kret okazuje się także dość przemyślnym. Tak np. gdy schwyta gąsienicę, nie zjada jej od razu, lecz trzymając w zębach przeciąga między przedniemi łapkami póki z niej ziemi nie wyciśnie. Młode krecięta są z początku całkiem nagie, ślepe, bardzo maleńkie. Oboje rodzice pielęgnują je bardzo troskliwie i w chwili niebezpieczeństwa, np. gdy woda norę zaleje, bronią ich z prawdziwem poświęceniem. Samczyk do samiczki bywa tak przywiązany że gdy jedno wpadnie do zastawionej na nie łapki, drugie nie odstępuje towarzysza i zdecha z żalu i tęsknoty.

Aby łąkę lub ogród ochronić od pagórków przez kreta usypanych, należy je rozgrabić dopóki są świeże a wówczas ziemia miałka, przez kreta wyryta, użyźni miejsce po którem ją rozgrabiono. Nory zaś krecie nie są w cale szkodliwe, lecz owszem pożyteczne, bo niemi woda, ciepło i powietrze dostają się pod powierzchnią ziemi i sprawiają bujniejszą roślinność.

Złote ziarna.

Kogo wstyd matki, ojców i braci,
Niech się z swojego kraju natrząsa;
Ja zaś z ojczystej chlubny postaci,
Żem jeszcze Polak, pokręcę wąsa.

Próżne Pawle ofiary, gdzie skażone serce,
Krzyw się, mrugaj, bij czołem, klęcz, szeptaj i dmuchaj,
Zmów rożańców bez liku, bez liku mszy słuchaj,
Jeźliś zdrajca, obłudnik, darmo kunsztu szukasz;
Możesz ludzi omamić, Boga nie oszukasz.

Burza spokój poprzedza.

Kiedy nawała trosk lub nieszczęść zbiera się nad twoją głową, czemu się tak trwożysz i narzekasz człowieku słabej duszy i wątłego serca? czyliż nie czujesz nad sobą ręki bożej, co rozkazuje wichrom i piorunom?

Och! gdybyś wiedział jak to straszno, gdy na morzu burza powstanie! Zaciemnia się niebo, fala burzy się i szumi, biją gromy ogniste, wicher ryczący piętrzy góry z fal rozhukanych, ciska je pod obłoki i znowu z obłoków strąca z hukiem w bezdenną otchłań. Cóż to za chaos straszny! Zda się że niebo i morze walczą z sobą aby się pożreć nawzajem. I na czemże kończy się ta walka? Oto ucisza się wicher, chmury rozchodzą się i na lazurowem sklepieniu niebios wspaniałe słońce ukazuje uspokojonemu morzu twarz swoją pogodną.

Takie burze bywają i na lądzie. Przerażający poświst wichru rozlega się w powietrzu, czarne, obwisłe chmury przeciągają po niebie, szykując się do boju. Hasło dane, przy odgłosie bijących gromów i huku wichrów zaczyna się walka rozhukanych żywiołów, walka piorunów i fali chmur z ziemią. Ale po długiej walce wicher uspokaja się, chmury porykując uciekają ze wstydem, na niebie ukazuje się łuk zawartego przymierza, tęcza płomienna a na ziemi cisza nastaje.

Tak samo i w życiu ludzkiem. Troski i nieszczęścia zbierające się nad twoją głową, są jakoby chmury i gromy. Ty stajesz z niemi do walki, a bywa to walka często równie straszna jak ta, którą ze sobą staczają żywioły, jak ta, którą morza i lądy staczają z wichrem i piorunami. Ale jak na morzu i na lądzie po szalonej burzy nastaje pogoda i spokój, tak i twoja walka z nieszczęściem skończy się pogodą i ciszą.

Nie troszcz się więc ani narzekaj kiedy stajesz do walki z losem, kiedy ci się szamotać przychodzi z przeciwnościami, lub kiedy w serce twoje grom po gromie uderza; ale bądź jako woda morska, w której wicher tylko na chwilę przerywa

równowagę, a zniszczyć jej nie zdoła, i jako skała której piorun nie spali. Spokój wieczny, jest tylko na tamtym świecie. Tutaj burze są nieuchronne, ale burza wszelka spokój poprzedza.

Rady i przestrogi gospodarskie.

— Sposób, aby cała sosna urosła równie smolną jak w odziomku. Wiadomo że drzewo sosnowe najsmolniejsze jest na dziesięć do dwunastu łokci od odziemku, w średnim klocu już daleko mniej smolne, a kloc z wierzchołka jest bilowaty zupełnie.

Tym sposobem kloc na belkę dwadzieścia lub więcej łokci długą, albo na inny materyał tej długości, zawsze wypada nierówno żywiczny czyli smolny, co ważną jest niedogodnością. Cóż bowiem z tego że kilka łokci jest dobrze żywicznych, gdy w dalszym ciągu belka nie posiada żywicy w tym samym stopniu.

Aby to otrzymać, postępuje się w ten sposób:

Wyznaczywszy w lesie sosny do ścięcia, potrzeba na wiosnę odmierzyć każdą łokieć od ziemi, naznaczyć i powyżej znaku obedrzeć korę na trzy łokcie wysoko. Tak obdarte sosny zostawia się przez całe lato na pniu, a wtedy zbytnia żywica od odziomka pójdzie w górę i cała sosna, gdy w następną zimę będzie ściętą, okaże się jednakowo żywiczną czyli smolną.

Korę trzeba obdzierać zwyczajnym ośnikiem bednarskim, a nie siekierą, aby samej sosny nie zacinać, bo zbytnie zacinanie drzewa dozwala sączyć się żywicy na zewnątrz.

— Szkodliwość nosacizny. Chociaż nie tylko ludzkość, lecz nawet i prawo nakazuje niezwłocznie usuwać konie u których okazała się nosacizna, jednakowoż dość często prawo to bywa omijanem, a konie nosate używane są do roboty, przez co życie ludzkie zostaje narażonem na wielkie niebezpieczeństwo. W Prusach wydarzyło się co następuje: nosatym koniem w odkrytym powozie jechała pewna pani. Wiatr był przeciwny i uniesiona nim kropla nosatej materyi

dostała się do oka pani; zaraza się udzieliła i nieszczęśliwa pani po strasznych cierpieniach w kilka dni zakończyła życie.

Rozmaitości.

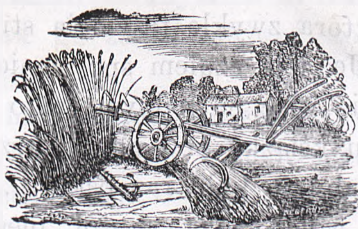
— Krajowe Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie od d. 1 czerwca 1869 r. do d. 10 grudnia t. r. wynagrodziło szkody przez pożar zrządzone siedmdziesięciu siedmiu włościanom, oprócz właścicieli większych posiadłości, księży i mieszczan, których liczba jeszcze jest większą. Tym siedmdziesięciu siedmiu włościanom wypłaciło Towarzystwo ogółem 29.581 Złr. Największe szkody ponieśli i dla tego największe wynagrodzenie otrzymali: Fedko Zub z Łanów w powiecie lwowskim 876 Złr. za budynki i 956 Złr. za zboże, Hryńko Zawidowski z Humieńca w pow. lwowskim 1.248 Złr. Mikołaj Hill z Bołszowiec w pow. rohatyńskim 876 Złr. za budynki i 344 Złr za zboże Fedory Lisiecki z Witkowa w pow. sokalskim 832 Złr. Wojciech Panek ze Zwierzyńca pod Krakowem 768 Złr. Szczepan Przeszlakiewicz z Bohorodczan 700. Złr. Mikołaj Kuźma z Bednarki w pow. gorlickim 675 Złr. inni w miarę poniesionej szkody otrzymali po 600, 500, 400, 300 i 100 Złr. Żałujemy że dla braku miejsca nie możemy ogłosić wszystkich tych, dbałych o swoje mienie, a więc rozumnych gospodarzy; wymienimy jeszcze tylko tych, którzy dostali wynagrodzenie w ubiegłych kilku tygodniach, i tak: Grzegorz Wejler z Kalinowa, w pow. samborskim, który pogorzał d. 15. października, otrzymał za budynki d. 25. listopada 443 Złr. Hryń Szynkar i Piotr Bresławski z Kropiwnika w pow. kałuskim, którzy pogorzeli d. 13. października, otrzymali także za budynki d. 29. listopada, pierwszy 480, drugi 681 Złr.; dalej d. 10. grudnia z. r. wypłacono czterem włościanom z Brzegów w pow. samborskim, którzy pogorzeli d. 12. października z. r. a to: Seńkowi Czyżowi za budynki i zboże 743. Złr. Piotrowi Czyżowi za budynki 250 Złr. Antoniemu Makarowi za budynki 597 Złr. Iwanowi Choszczewskiemu z Ścianki w pow. stanisławowskim, który pogorzał d. 29. października, wypłacono za dom i piekarnię 166 Złr. a Marcinowi Stasiukowi z Bołszowiec w powiecie stanisławowskim za budynki i zboże, które zgorzały d. 18. listopada, dano wynagrodzenia 671 Złr.

— Chodkiewiczowa z domu księżna Ostrogska, gdy na fundamenta kościoła w Ostrogu kładziono pieniądze, westchnęła i rzucając garść złota, rzekła: Obym mogła wystawić Bogu ze złota kościół tak wielki, by cały świat zajmował! Obecny ksiądz rzekł jej na to: Serce maluchne człowieka, jest najmilszym Bogu kościołem.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Stanisław Nowiński. — Z drukarni E. Winiarza.

Tom I. 11. Stycznia 1870. Nr. 2.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Pan majster Podkowa i jego uczeń.

W kuźni pana Wojciecha Podkowy, sławnego majstra kowalskiego w miasteczku Zarzeczu, czternastoletni, jasnowłosy chłopczyna stał przy piecu i dął w miech co sił starczyło. Opodal sam majster dzielnie kuł na kowadle, a huk młota rozlegał się daleko. Chociaż mocno zajęty swoją pracą, bo jakąś trudną a pilną wykonywał robotę, przecież od czasu do czasu spoglądał nieznacznie na ucznia i śledził co robi; chłopiec zaś, zapewne się tego nie domyślając, wydobył cichaczem z za cholewy książkę, rozłożył ją na boku i dalejże czytać ukradkiem. Snać bardzo rozmiłowany w czytaniu skoro książkę nieustannie nosi przy sobie i tak umie z każdej chwilki korzystać . . . o! gdyby to więcej było równie chętnych do książki robotników. Tym razem nie wiele biedak przeczytał, bo majster zoczywszy książkę, skoczył jak oparzony, wydarł mu ją i chciał w piec wrzucić. Chłopiec padł przed nim na kolana i złożył ręce jak do pacierza:

— Na miłość Boską, panie majstrze to książka. .

— Ja ci tu dam książkę! krzyknął groźnie pan majster i zamierzył się na ucznia.

— W tej chwili, szczęśliwym trafem weszła do kuźni pani majstrowa, która zwykle trzymała stronę chłopca w podobnych razach. Jednem czułem spojrzeniem rozbroiła gniew męża, skończyło się więc na jednym tylko kułaku. Pan majster rzucił chłopcu książkę pod nogi i krzyknął:

— Pamiętaj aby to było raz ostatni... To skaranie boże z tym chłopcem, wołał bijąc w stół pięścią; poszlij go do miasta, on przez drogę zerka do książki, poszlij go do piwnicy, on książkę wyciąga z za cholewy i czyta; każ mu dzieci niańczyć, on jedną ręką dziecko, a drugą książkę trzyma. Jakto? i przy robocie tak samo?

Chwilę jeszcze swarzył w podobny sposób pan majster, póki sobie nie przypomniał, że ma dokończyć pilną robotę. Chłopiec szczęśliwy że książkę uratował, schował ją co żywo i zabrał się do miecha.

Wkrótce po wieczerzy majster i majstrowa układli się na spoczynek. W pierwszej izbie chłopiec zmówiwszy pacierz położył się także, ale nie spi, lecz od czasu do czasu podnosi głowę i słucha co się dzieje w drugiej izbie. Po chwili dało się słyszeć ztamtąd donośne chrapanie. Wówczas chłopiec zerwał się żwawo, potarł zapałkę, zapalił świeczkę, obstawił ją w koło aby światła nie było widać, i wyciągnąwszy książkę z pod siennika, zabrał się do czytania. O! snać wielką rozkosz sprawia mu to zajęcie; bo twarz dziwnie mu się rozjaśniła i czoło niezwykłą świeciło się pogodą; zdawał się zapominać o wszystkiej swojej biedzie, o świecie całym, zdawał się nic nie widzieć i nie słyszeć w około siebie.

Ale ta rozkosz jego znowu nie długo trwała. Majster zbudził się nad wszelkie spodziewanie, postrzegł światło i przyszedł cichaczem do pierwszej izby aby popatrzeć co chłopiec robi. Jaś tak był zatopiony w czytaniu, że dopiero wtedy postrzegł jego obecność, gdy uczuł potężny raz na plecach. Zerwał się prędko, chciał się uniewinnić, chciał prosić o przebaczenie, ale go nie słuchano. Majster srodze rozgniewany, nie szczędził pięści, przekleństw i złorzeczeń.

— Ależ to noc przecie, rzekła pani majstrowa; cóż ci to szkodzi że w nocy czyta, we dnie to nie mówię, bo powinien

pracować, ale zabraniać mu czytania w nocy, kiedy ci na nic nie potrzebny, i tak go za to katować, to niegodziwość, to tyraństwo.

— Ha, ha, ha! zaśmiał się szyderczo pan majster; to doskonale, to mi się podoba... w nocy niech czyta, aby we dnie spał, gdy trzeba robić. On ma czytać? patrzcie się jaki mi panicz! Cóż to? czytanie da mu chleb? Ha! czytać mu się zachciewa, żeby mógł kiedyś mędrca udawać i nad drugiemi przewodzić.., ale nic z tego; sprawię ja mu łaźnię gorącą że mu się odechce na zawsze czytania. I bił chłopca aż krew trysnęła.

Na widok krwi pani majstrowa skoczyła, wyrwała Jasia z rąk męża i zasłoniła go sobą. Ale i pan Podkowa widząc że się za nadto uniósł, opuścił ręce i odszedł. Litościwa kobieta umaczawszy ręcznik w zimnej wodzie obwiązała chłopcu zbite do krwi ramię i poleciła biedaka opiece Boskiej.

Jaś do rana jęczał z bolu. Nazajutrz nie mógł ruszyć ani ręką ani nogą. Za poradą więc pani majstrowej poszedł do szpitalu. Lekarz, człek znany z dobroci i miłosierdzia dla biednych, obejrzawszy go, wypytywał o przyczynę tak okropnego pobicia, ale Jaś poczciwy nic takiego nie powiedział co by jego majstra jako złego człowieka przedstawić mogło.

— A czy mogę czytać? zapytał chłopiec nieśmiało.

— Czytać? powie lekarz; ty chcesz czytać? To dziwne; już dziesięć lat jestem przy tym szpitalu, a jeszcze żaden chory nie spytał mi się czy może czytać. A masz książkę?

Jaś pokazał jakieś szpargały. Lekarz obejrzał i rzekł:

— Są to szczątki bardzo dobrej książki: czytaj moje dziecko, tylko nie natężaj się zbytecznie, a jutro przyniosę ci inną książkę.

Chłopiec pocałował go w rękę i zamyślił się: kto wie czy nie nad tem, że wyzdrowiawszy, wartoby się dać drugi raz wybić, aby się znowu dostać do szpitalu, gdzie nietylko nie bronią czytać, ale nawet książek dostarczają.

Tegoż dnia u pana majstra Podkowy była suta wieczerza choć to nie był ani dzień świąteczny ani niczyje imieniny. Szło

tu widać głównie o ugoszczenie starszyzny cechowej w jakimś celu, bo ją tylko na ucztę sproszono.

— I jakże to było z tym Jaśkiem niecnotą? cóż to on przeskrobał? zapytał przy wieczerzy Wojciecha Podkowy pan cechmistrz.

— O ten próżniak, ten ladaco... nie wspominajcie mi o nim, rzecze majster. Tylko czytanie mu w głowie, a do roboty ani daj Boże napędzić. Natarłem mu trochę uszu, i zaraz poszedł do szpitalu, szczęśliwy że się może wyleżeć nic nie robiąc. Ale cóżto? wy nie pijecie panie cechmistrzu?

— Dobrzeście zrobili, powie cechmistrz zalawszy gardło wybornym lipcem, bo to czytanie do niczego dobrego nie doprowadzi.

— Tyle tych książek teraz, nie wiedzieć na co i poco, wtrąci podcechmistrz wzruszając ramionami.

— Ot zabawka dla próżniaków; kiepskie czasy kumie, kiepskie czasy, powie pan Wojciech. My tak ciężko pracujemy, a ledwie wyżyć możemy — młodzież małorobi a dużo czyta; co to z tego będzie?

— Bieda będzie, potakiwał cechmistrz; pomarnują ojcowizny i zejdą na dziadów.

Tak mówili majstrowie i w prostocie ducha myśleli że mają słuszność. Nie wiedzieli oni że za polskich czasów w Zarzeczu były dwie drukarnie, że o dwie mile ztąd we wsi była drukarnia, nie wiedzieli ile to ksiąg z drukarni po miastach i wsiach utrzymywanych rozchodziło się niegdyś po całej Polsce a jednak, rzemieślnicy byli tak zamożni że jak mieszczan krakowskich, stać ich było na przyjmowanie i ugoszczenie królów w swoich domach.

Od tego wieczora nie było mowy o uczniu pana Podkowy tak zamiłowanym w czytaniu, nie wiedziano nawet gdzie się obraca, bo wyzdrowiawszy, opuścił miasteczko nie mówiąc nikomu dokąd się udaje.

Na kogo Pan Bóg, na tego i ludzie, mówi przysłowie, ale przeciw komu ludzie, tego Bóg bierze w opiekę. Sprawdza się to na miasteczkach naszych, które pomimo wszelkich trudności i uciążliwości, jakby cudem podnoszą się ciągle i wzbo-

gacają. Długie lata minęły od owych wypadków któreśmy wyżej opowiedzieli. W Zarzeczu jakiś przedsiębiorca założył fabrykę narzędzi rolniczych, w której prawie cała ludność męzka znalazła stałe zatrudnienie, co, równie jak liczne zjazdy i jarmarki, przyczyniło się wielce do podniesienia zamożności mieszkańców. Miasteczko zabudowało się na nowo i zmieniło nie do poznania. Dawni kowale, rówiennicy pana Podkowy wymarli, on zaś owdowiawszy i zestarzawszy się, zeszedł na biedę. W jego warsztacie huk młota coraz rzadszy i słabszy; biedny, znękany starzec ledwie nogami suwa. Widząc że sobie rady nie da, że chyba rękę wyciągać by trzeba, zajrzał do fabryki i miał ochotę prosić, aby go tam przyjęto, ale jakże się zdziwił, zobaczywszy że jego umiejętność na nic by się nie przydała, bo tam lada chłopiec tyle umie co i on, a pożyteczniejszy jest bo silniejszy od niego.

Przypatrując się z boku co się tam dzieje w fabryce, postrzegł że właściciel rozdaje robotnikom książki i gazety do czytania.

— Możeby warto z jednę taką książkę przeczytać, pomyślał sobie, możebym się jeszcze czego nauczył?

Pożyczył książkę i zaczął czytać, ale zaraz przy pierwszym wierszu przyszło mu na myśl: ciężko to na starość wielkiem orać, czego się Jaś nie nauczył, tego się Jan nie nauczy.

— Ej, może choć nieco wyrozumiem, rzekł znowu sam do siebie.

Sili się koniecznie, ale wzrok osłabiony czytać nie pozwala, i myśli się plączą, bo rozum do myślenia nie nawykły, nic objąć nie może. Przecież natęża się biedak; już krew mu uderza do głowy, zaczerwienił się, zmęczył, a jeszcze czyta.

Nie, niepodobna. Zakrył twarz rękoma i zapłakał. O Boże! gdyby mi się wróciły młode lata...

Odłożył książkę i nie zajrzał już do niej, bo niedługo rozchorował się z niedostatku i trosków i w ostatniej nędzy zakończył życie.

Wkrótce potem przełożonym fabryki w Zarzeczu został jakiś obcy mężczyzna w średnim wieku, który, chociaż wprost z Warszawy przybywał, zdawał się znać Zarzecze tak dobrze

akby się tu urodził. Czy tak było w istocie, nie mówił nikomu, ale gdy się zaczął wypytywać o rozmaite już nieżyjące osoby, zwłaszcza o ś. p. pana Wojciecha Podkowę, jego żonę i lekarza szpitalnego, świadomi dawnych dziejów miasteczka domyślili się, że był to dawny Jaś, terminator zmarlego pana Podkowy.

Stanisław Krakowczyk.

Moja piosnka.

Lepiéj mało, ale swoje;
Mam też chatkę przecie moję,
Dwa koniki i dwa pługi
I ogrodu kawał długi.

Za ogrodem pole znowu,
Kilka krówek swego chowu,
Mam piéniądze uskładane
Na potrzeby dziś nie znane.

Mam szacunek, mir w gromadzie,
To też członkiem jestem w Radzie,
A to pracą i zacnością,
A co mam, to oszczędnością.

Bo mój ojciec, świeć mu Panie.
Zanim przyszło nań skonanie,
Wyrzekł do mnie: Miły synu!
Hej do pracy i do czynu.

Pracuj tylko! świętą wiarę,
Obyczaje nasze stare
Ceń i szanuj jak potrzeba —
Nie braknie ci cnoty, chleba.

Ja też rady téj się trzymam,
Niedostatku, biedy nie mam,
Tom też w chacie jest kochany
A i w gminie szanowany.

Nie wiem także co to długi;
Żem człek dobry — mówią sługi,
Bom też dla nich sprawiedliwy —
A nie pijak, jak Bóg żywy.

Mądrej rady slucham chętnie,
Trzymam w myśli ją pamiętnie;
Cenię ojców moich ziemię,
Kocham szczerze nasze plemię.

Nie zmieniłbym stron mych za nic,
Miłość dla nich mam bez granic —
Niech kto inny cudze chwali,
Dla mnie nie ma szczęścia w dali.

Milsze swoje, bo to drogie,
Choćby szczupłe i ubogie;
Milszy dom swój, choćby ciasny,
Milszy zagon, ale własny.

Tylko pracy, tylko zgody,
Z przekonania a nie z mody;
Wszystko pójdzie jakby z płatka —
Ale zgoda dzisiaj rzadka!

Hej pracujże miły ludu!
A oszczędzaj owoc trudu
I miéj zawsze w sercu Boga
A będzie twa dola błoga!

Józef z Bochni.

Zamek królewski na Wawelu.

Kto nie był w Krakowie, a poznać go nie pragnie, komu serce nie drga na wspomnienie Krakowa, ten nie jest Polakiem. O miasto drogie, stolico królów, kolebko świętych! niechaj twój obraz wiecznie się przed oczyma naszemi przesuwa, niechaj poważny głos twoich dzwonów wiecznie nam brzmi w uszach, niechaj pamięć o tobie i cześć dla ciebie nigdy nie gaśnie w sercach naszych.

Oto Wawel przed nami...

Na Wawel, na Wawel Krakowiaku żwawy
Podumaj potęsknij nad pomnikiem sławy..

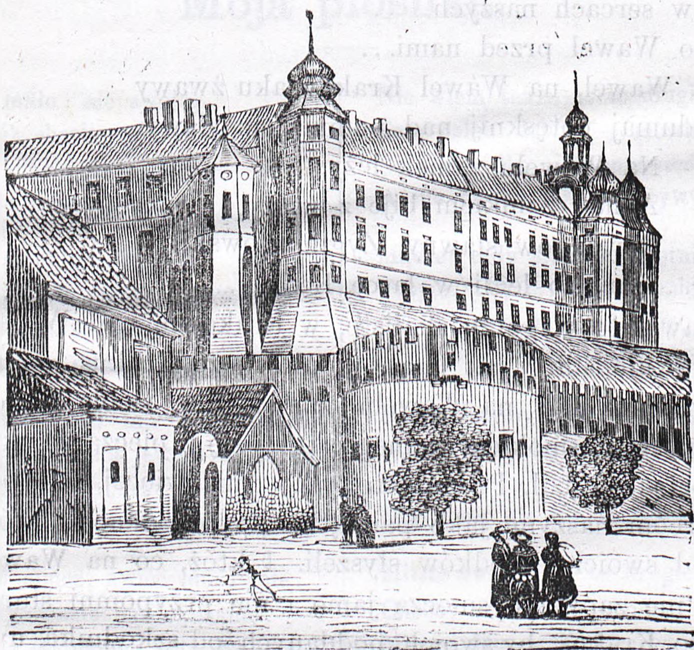
Na Wawelu zamek leży,
A nad zamkiem bije z wieży,
Dzwon ów sławny, Zygmuntowski,
Tym, co legli w łasce Boskiej....

Wawel to wzgórze skaliste, w Krakowie nad Wisłą. Podanie równie stare jak Kraków, mówi, że Krakus, co miasto Kraków założył, i na Wawelu zamek dla siebie zbudował, potem, potwora smokiem zwanego, który się w pieczarze ukrywał, podstępem zgładził. Podanie to tylko i nic więcej, ale podanie miłe sercom naszym, jako pamiątka po przodkach, którzy je także od swoich przodków słyszeli. I któż, co na Wawel popatrzy, nie zapyta o smoczą jamę i nie przypomni starej baśni, jakto Krakus, by swoich poddanych od szkodnika uwolnić, podrzucił mu barana wypchanego siarką i smołą które smokowi spaliły wnętrzności? Komuż oko łzą nie zajdzie na widok tych obszarpanych murów, co niegdyś królewskiem były mieszkaniem?

Jak długo stał zamek krakusowy, któż to wie. Drewniany był i pewnie spłonął nie długo. Ale późniejsi królowie polscy wznieśli tu pałac przepyszny, którego szczątki nie jednokrotnie przebudowane, po dziś dzień widzimy. Obok królewskiego pałacu stanął kościół najwspanialszy w całej Polsce, kędy w sklepach królowie nasi spoczywają snem wiecznym. A oprócz królewskiego pałacu i głównego kościoła były na Wawelu

i inne kościoły i domów co niemiara, że mieszkanie królewskie nie jak zamek, ale jak miasto wyglądało, a w około tego wszystkiego wił się mur potężny z wieżami, basztami i siedzibą królewską, skarby królewskie zasłaniał od nieprzyjaciół.

Odarte dzisiaj z wszelkiego przepychu mieszkanie królewskie, jaśniało za lepszych czasów wytwornością i bogactwy.



Komnat bez liku a w nich podłogi marmurowe, staroświeckie piece takoż z marmuru rzezanego w przecudne wzory i oddrzwia podobne. Na ścianach rozwieszone malowidła najcudniejsze a wszędzie sprzęty bogate ślicznie wyrzeźbione i kobierce złociste. Dziedziniec graniasty pięknie wybrukowany a w około po pod wszystkie piętra ganki kamienne wiszące na słupach. Z okien pałacu widok, jakiego szukać w świecie, bo całe miasto jak na dłoni; Wisła spodem szumi, bijąc o skały wawelskie a dalej uśmiechają się wioski wesołe a jeszcze dalej nikną w niebiosach sine szczyty gór karpackich. Najcudniejszy widok był z komnaty zwanej Kurzą nogą,

której okna ku wschodowi zwrócone, tam też królowie najczęściej przesiadywali, i tam jak mówią urosło przysłowie: „przybyło dnia na kurzą nogę.“

O święty przybytku, gdzie dni twojej wielkości i dostojności? Gdzie owe czasy, kiedy w tych komnatach przebywali wielcy oni Kazimierze i Zygmunci, otoczeni całym blaskiem majestatu, przedniejszymi pany i dworzany, kiedy tu w chwilach wytchnienia, w samotnem pogrążeni dumaniu, rozmyślali nad losami ojczyzny, albo wesołe wyprawiali uczty, goszcząc u siebie obcych monarchów? O... wiele wieków przetrwały mury królewskiego zamku na Wawelu i wiele pamiętają. Gdyby kamienie mówić mogły, usłyszelibyśmy od nich całe dzieje naszej ojczyzny, boć tutaj to stanowiono prawa, tu się królewskie odbywały sądy, tutaj stanowiono o wojnie i pokoju, tu zeszły dni naszych radości. Ach, ale też i goryczy i smutku nie mało spłynęło ztąd na Polskę całą, gdy nieprzyjaciel raz i drugi dotarł aż tutaj, rozwalił mury, w perzynę obrócił kosztowności i pamiątki a resztę zrabował i wywiózł.

Zamek królewski na Wawelu kilkakrotnie pogorzał, ale królowie polscy przyprowadzili go zawsze do dawnego stanu a nawet jeszcze wspanialszym i ozdobniejszym czynili po każdym pożarze. Dopiero gdy król Zygmunt III przeniósł stolicę z Krakowa do Warszawy, osierocony zamek wawelski przestał doznawać takiej jak dawniej opieki. Wprawdzie królowie łożyli zawsze na utrzymanie go w dobrym stanie, ale dni jego świetności już przeminęły. Spalony przez Szwedów, zrabowany przez Prusaków i przez Moskali po upadku Polski stał długo ruderą. Gdy wojny ucichły, rząd miasta Krakowa chciał uratować tę drogą pamiątkę od ostatecznej zagłady, ale nie było na to pieniędzy. Rozebrano więc dwa pomniejsze kościoły, domy i mury zwaleniem grożące, a tylko właściwe mieszkanie królewskie jako tako naprawiono i obrócono je na cel miły Bogu, bo na mieszkanie dla ubogich starców i kalek. Tak było aż do roku 1846 w którym Kraków przeszedł pod panowanie austryackie i został przyłączony do Galicyi. Zamek królewski zabrano na koszary dla wojska, wystawiono kilka nowych gmachów, wzmocniono dawne baszty, i cały

Wawel zamieniono na fortecę. Nie wolno tam wejść, nie wolno podumać i potęsknić, chyba za pozwoleniem. Podczas tych przemian zbudowano także schody do smoczej jamy, która dotąd istnieje i piękną swoją foremnością jako rzadka osobliwość wzbudza podziwienie.

Kościół katedralny na Wawelu pozostał nietknięty, ale o tej świątyni, o grobowcach królów i wszystkich innych pamiątkach w niej się znajdujących, tudzież o dzwonie Zygmuncie, innym razem mówić będziemy.

....

Dziękuję ci aksamicie, kłaniają się Wadowicie.

Marcin Wadowitą zwany, ponieważ z Wadowic pochodził, syn chłopski, uciekł z zagrody ojcowskiej do Krakowa, aby się uczyć w tamtejszych szkołach Kraków był podówczas jedynem miastem w Polsce, a może i w świecie całym, które setkami młodzież ubogą, co się do nauk garnęła, żywiło i okrywało. Biedni ci chłopcy, z których wielu wyszło potem na wysokich dostojników, żyli w Krakowie z Opatrzności Boskiej i szczodrobliwości poczciwych mieszkańców. Zwano ich żakami, albo pauprami. Każdy nosił garnuszek u pasa i łyżkę w zanadrzu, a ile razy który z tym garnuszkiem przyszedł czy to do pańskiego pałacu, czy do domu mieszczanina, czy przed furtę klasztorną, mógł być pewnym, że nie odejdzie głodnym.

Po wielu latach pilnej nauki choć o żebranym chlebie, Marcin Wadowita został księdzem i proboszczem przy kościele św. Floryana w Krakowie na Kleparzu, a potem profesorem akademii i jej rektorem czyli przełożonym Inni profesorowie zapomnieć mu nie mogli, że się chłopem urodził i pogardliwem okiem poglądali na niego. Wiedział o tem dobrze Wadowita, gdy więc przywdział szatę rektora a profesorowie oddawali mu pokłony jako swemu przełożonemu, podniósł ręką koniec swojej aksamitnej szaty i rzekł:

— Dziękuję ci aksamicie, kłaniają się Wadowicie.

Słowa te jego weszły w przyszłowie, którego się używa ile razy widzimy ludzi nikczemnych, płaszczących się i nadskakujących drugim dla tego, ponieważ widzą na nich szaty bogate.

Marcin Wadowita szeroko zasłynął nauką, tak nawet, że Ojciec św. wzywał go do Rzymu i poruczał mu ważne sprawy. Śmiano się tam z jego wrzaskliwego głosu, śmiano się że gdy mówił, to rękami wywijał jakby chciał bić słuchacza, ale szanowano go wielce. Był też mężem bardzo cnotliwym i dobroczynnym. W swojem mieście rodzinnem uposażył szpital i szkołę, a umierając, zostawił na wsparcie dla biednych, jak sam był niegdyś, studentów, znaczne sumy. Ciało jego spoczywa w Krakowie w kościele św. Floriana przy którym był proboszczem, w magistracie zaś wadowickim można widzieć portret jego przechowywany tam z czcią należną. Zasłużył sobie na tę cześć i pamięć Marcin Wadowita, nietylko nauką wielką, nietylko cnotami w całem życiu wykonywanemi, ale oraz i tą chwalebną wytrwałością i gorliwością w naukach, jaką już w dzieciństwie okazywał. Za jego czasów było wielu podobnych do niego, ale dziś jakże mało młodzieńców, co by jak on o swoich siłach wysoko wyszli w świecie na pociechę rodziców swoich, na pożytek ojczyzny. Ale prawda i to, że teraz ludzie nie są już tak dobroczynni jak niegdyś, że nie wielu takich, coby pospieszyli z pomocą widząc biednego studenta garnącego się do świata i nauki. Inne czasy, inne obyczaje — dziś już żaden student nie chodziłby z garnuszkiem u pasa, ani by mu to przystało. Tak to wszystko zmienia się na świecie . . . tylko próżność ludzka, zawsze jednaka, bo i dziś jak za czasów Marcina Wadowity kłaniają się ludzie aksamitom i jedwabiom bardziej niż cnocie, nauce i zasłudze prawdziwej, a za nic mają tego, co w lichej szacie.

Dowcip popłaca.

Zadaniem jest człowieka, stać się pożytecznym dla drugich. Samotnik sam sobie nigdy nie wystarczy, zawsze potrze-

bować będzie obcej pomocy. To też wzajemnie powinniśmy się wspomagać. Lecz nietylko pracą rąk naszych, ale też i rozumem mamy służyć współbliźnim naszym. Dobra bowiem rada prostuje ścieżki nasze; jedno słowo w porę wyrzeczone częstokroć wielce uprzyjemnia życie nasze. Kto umie trafnie bez ubliżenia komukolwiek na pytanie odpowiedzieć, ten wielki skarb ukrywa w umyśle swoim, gdyż mnóstwo żyjących dowcipem utorowało sobie drogę do szczęścia i wziętości u ludzi.

Powiadają, że pewnemu panu snuły się po głowie różne zagadki, których sam sobie rozwiązać nie był w stanie. Zwołał wreszcie gromadę i powiada: Kto mi zgadnie, jak niebo wysoko, jak ziemia głęboko, gdzie jest środek ziemi, i co pan Bóg robi w niebie? temu dam parę wołów z mojej obory. W milczeniu rozeszła się gromada. Jaki taki myśli sobie: para wołów, nie zła to rzecz, ale jak tu odgadnąć tyle zadań? to sęk! Cicho tedy jak mak posiał zrobiło się po wszystkich zagrodach, — sielanie myśleć poczęli.

Niedaleko od dworu, była sadyba porządnego gospodarza, który do pomocy parobka zwinnego utrzymywał. Przyzwyczajony najmyt razem z gospodarzem pracować, postrzegł od razu wielką zmianę na nim i że domowej pracy jąć się nie chce. Śmiało tedy przystąpił do niego i zawołał: Gospodarzu! co się wam też stało, żeście tak posmutnieli, jak gdyby wam kto matkę zabił, a tak sumujecie jak gdybyście słońce w biegu powstrzymać chcieli? Na takie zagadnienie nie chciał gospodarz zrazu odpowiadać. Ale gdy Grzegorz nie ustępywał, jeno ciągle nań nalegał, tak rozwiązał się język gospodarzowi i powiada: Pan nasz obiecał dać parę wołów temu, kto odgadnie, jak niebo wysoko, jak ziemia głęboko, gdzie jest środek ziemi i co pan Bóg robi w niebie? Na całe gardło rozśmiał się Grzegorz. Ta że to furda! przebierzcie mię tylko za dziada i zaprowadźcie do pana, to ja wszystko zgadnę.

Uradowany gospodarz jak gdyby go kto na sto koni posadził, przebiera parobka za dziada i prowadzi do dworu. Zniecierpliwiony pan kazał wnet przypuścić do siebie tych dwóch ludzi, i zapytał gospodarza: czy ty odgadłeś moje zadania?

— Nie panie! powiada gospodarz, oto mam zastępcę, wskazując na dziadka, który odpowiadać będzie na pańskie zapytania.

— Co robi Pan Bóg w niebie? pyta pan dziadka.

— Niech no pan weźmie moje suknie na siebie i stanie przy drzwiach; a ja przybiorę pańskie i siądę na krześle, to ja panu powiem, co Pan Bóg robi w niebie.

Zrobił pan tak, jak dziadek kazał, a gdy stanął przy drzwiach, a dziadek siadł na krześle, znowu zapytał co pan Bóg robi w niebie?

— Czy pan niewidzisz, co pan Bóg zrobił? Z pana zrobił dziada, a z dziada zrobił pana.

Zastanowił się pan chwilkę i przyznał prawdę dziadkowi. Potem zapytał jak niebo wysoko?

— Nie bardzo wysoko, bo gdy tam strzelają, to u nas słychać.

Oddał słuszność pan dziadkowi i znowu zapytał: jak ziemia głęboko?

— O panie! ziemia bardzo głęboko, gdyż siedm lat minęło jak mój ojciec poszedł ziemię mierzyć, a jeszcze nie wrócił.

I na to przystawszy pan zapytał nareszcie gdzie jest środek ziemi?

Dziadek przeszedł się kilka razy po pokoju, a stanąwszy pośrodku, tupnął nogą: oto tu środek ziemi, a jeżeli pan nie wierzy, to niech pan zmierzy.

— Bratku! zawołał pan uszczęśliwiony, ty masz wielki rozum, ty zostaniesz przy mnie, nie puszczę się ciebie. Gospodarzowi dał parę wołów, a parobka ożenił z dworską panną i we wszystkiem słuchał jego rady.

O bractwach wstrzemięźliwości, tudzież o środkach przeciw pijaństwu w Szwecyi.

Wszyscy lekarze zgadzają się w tem że wódka, arak, inne podobne napoje nie są wcale potrzebne do utrzymania

zdrowia i życia ludzkiego, lecz owszem podkopują je i niszczą, a któż lepiej niż lekarze może o tem sądzić, co nam jest do zdrowia potrzebne? Ale i bez lekarzy wiedzą o tem nawet najwięksi przyjaciele wódki, że to wzmocnienie, które ona sprawia, jest tylko pozornem, bo wytrzeźwiwszy się, pijak uczuwa jeszcze większe osłabienie jak pierwej. Jakoż wódka nie zawiera w sobie nic takiego, coby mogło przydać sił pijącemu. Wódka, choćby z umiarkowaniem używana, zamienia powoli ludzi najporządniejszych w pijaków, prowadzi do rozlicznych chorób, trudnych do wyleczenia, lub nawet niedających się wyleczyć, prowadzi do ubóstwa i nędzy, przyspiesza śmierć, bywa powodem skażenia obyczajów, niezgody w rodzinie, rozlicznych grzechów i zbrodni. Przeciwnie, wstrzymanie się zupełne od wódki i innych podobnych napojów, przyczynia się do utrzymania zdrowia i przedłuża życie, chroni od grzechów, prowadzi do zamożności. Dla tego ludzie troskliwi o dobro swoich współbraci oddawna już wszelkiemi siłami pracują nad wykorzenieniem u nas pijaństwa. W tym celu wydano kilka książek pouczających, jak szkodliwem jest pijaństwo; ale ponieważ u nas bardzo wielu jeszcze ludzi nie umie czytać, inni zaś choć umieją, niebardzo lubią czytać, zwłaszcza jeżeli karczma im dużo czasu zabiera, dla tego książki te dotąd nie wydały zbawiennego owocu. O wiele pożyteczniejszemi okazały się bractwa wstrzemięźliwości, które czcigodni nasi kapłanie prawie przy wszystkich pozawiązywali kościołach. Śmiało rzec można, że ze wszystkich stowarzyszeń, jakich obecnie tyle zawiązuje się w kraju naszym, najważniejszemi i najpotrzebniejszemi są bractwa wstrzemięźliwości. Zrozumieli to ojcowie ludu swojej pieczy powierzonego i zawiązywali te bractwa już wtenczas, kiedy w kraju naszym jeszcze się nikomu nie śniło o stowarzyszeniach. Z bolem serca wyznać potrzeba że szlachetne, prawdziwie ojcowskie starania naszych pasterzów nie wszędzie pożądany odniosły skutek. Ale da im Bóg doczekać jeszcze tej pociechy, że ujrzą wykorzenione do szczętu pijaństwo, a ta pociecha starczy im pewnie za największą nagrodę, jaka by się im za trudy całego życia należała.

Bractwa wstrzemięźliwości w Niemczech są w gruncie rzeczy podobne do naszych, bo podobnie jak nasze dążą do zmniejszenia pijaństwa ale są inaczej urządzone. Oto wszyscy członkowie zobowiązują się i ślubują nietylko nie pić nigdy wódki, ponczu, rumu i araku nawet w herbacie, likierów, rosolisów i t. d. ale nawet takowych nie sprzedawać i sprzedaży ich nie ułatwiać. Ślubują że nietylko sami tych napojów nigdy pić nie będą ale i członkom swojej rodziny pić nie pozwolą, ani swoich gości, przyjaciół, sług i robotników nie będą nigdy częstować. Prócz tego ślubują, że każdy wedle sił swoich pracować będzie wszędzie i zawsze nad wykorzenieniem pijaństwa, w tym celu wszystkich znajomych od pijaństwa odwodzić; ślubują że i sami w używaniu wszelkich innych napojów, jakoto piwa, wina i t. p. będą umiarkowani i nigdy się nie upiją. Kto chce zostać członkiem bractwa, oznajmia to starszyznie, która orzeka czy go można przyjąć; a gdy ślub złoży, zapisują w księdze jego imię i nazwisko. Każdy członek płaci do wspólnej kasy mały datek, za co starszyzna zakupuje pożyteczne i budujące książki. Starszyzna składa się z czterech członków: przełożonego, jego zastępcy, pisarza i skarbnika. Skarbnik odbiera składki, oblicza dochody i wydatki bractwa, i corocznie składa rachunki. Starszyzna ma głównie obowiązek czuwania, aby każdy członek bractwa dopełniał wiernie swego ślubu; przestępnych napomina a jeźli to nie pomaga, wyklucza z bractwa i nazwiska ich ogłasza. Zresztą wszyscy członkowie obowiązani są czuwać jeden nad drugim, jeden drugiego napominać i zachęcać do wytrwałości, każdemu jednak wolno kiedy chce wystąpić. Wszyscy członkowie bractwa zgromadzają się co miesiąc na wspólną naradę. Nim się zacznie narada, spiewają pieśń pobożną i odmawiają wspólnie modlitwę. Na te zebrania wolno przyjść każdemu kto chce, choć jeszcze nie należy do bractwa; owszem tacy są chętnie widziani, bo często nie jeden się zbuduje i zapragnie aby go do tak zacnego grona przyjęto.

Nigdy może pijaństwo nie doszło do tak wysokiego stopnia jak w Szwecyi. Był tam pijakiem nie tylko chłop, ale i mieszczanin i szlachcic, nawet na dworze królewskim sta-

wiano na stole wódkę, arak, likiery. Ubóstwo, nędza, niemoralność, zbrodnie szerzyły się coraz bardziej. Po drogach spotykałeś wszędzie żebraków i pijaków. Zboże uprawiane w kraju nie wystarczało na wyżywienie mieszkańców, i musiano sprowadzać je z zagranicy. Wówczas ludzie ożywieni prawdziwą miłością ojczyzny a na ich czele królewicz, późniejszy król Oskar, zaczęli przemyśliwać nad wykorzenieniem pijaństwa. Długie lata mijały a usiłowania ich prawie żadnego nie wydawały owocu.

Cały kraj tak był nawykł do pijaństwa, że zawięzywanie bractw, rozszerzanie pożytecznych książek, na nic się nie przydało. Aż wreszcie król Oskar, postanowił nałożyć na wódkę niezmiernie wysoki podatek i wydał w tym celu ustawę. Oj! byłożto swarów i kłótni na sejmie gdy ta ustawa przyszła na obrady! Ale w końcu przecież król przemógł. Nałożono na gorzelnie taki podatek, że cena kwarty wódki wyszła na talara to jest blisko 2 Złr. Środek ten najlepszym się okazał.

Nie wiele lat minęło a Szwecya zmieniła się nie do poznania. Wszystkie małe gorzelnie upadły, a wielkie bardzo mało wódki wyrabiają. Zboża jest podostatkiem, bo go w gorzelniach nie niszczą na spirytus, żebraków i pijaków nie ma, a za to przybyło rąk do pracy; moralność zakwitła i zbrodnie stały się rzadsze. W miejsce gorzelni powstały browary które wyrabiają smaczne i tanie piwo. —

— *Od Redakcyi.* Wszystkich czytelników naszych którzy numer pierwszy „Dzwonka“ po dwakroć otrzymali, prosimy uprzejmie aby jeden z tych numerów jako niepotrzebny doręczyli najbliższemu sąsiadowi.

— Czytelnikowi naszemu Józefowi L. zapytującemu dla czego *Grześ z Mogiły* nie pisuje teraz do „Dzwonka“, odpowiadamy; że Grześ z Mogiły zajmuje teraz wysokie stanowisko i oddaje się ważnym pracom, nie ma więc natyle czasu aby mógł nam pomagać, ale znając jego troskliwość o oświatę spodziewamy się, że jeżeli znajdzie kiedy wolną chwilę, zechce ją poświęcić stęsknionym za nim czytelnikom.

— Otrzymany od początkującego kapłana 1 złr. jako dar dla Ojca św. wręczyliśmy redakcyi Unii.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Stanisław Nowiński. — Z drukarni E. Winiarza.

Tom I. 21. Stycznia 1870. Nr. 3.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Wilia Bożego Narodzenia.

Opowiedział Stach z Mogiły.

— Idźno Franuś powiedz mamuni, że zeszły już gwiazdy i czas by już pono wieczerzać — rzekł Wojciech Skiba do chłopca, spoglądając przez okno na wyiskrzone niebo. Usłużny Franuś pobiegł czemprędzej do piekarni, kędy się raźno krzątała gospodyni koło komina, przygotowując smaczną wieczerzę; Wojciech zaś tymczasem zaścieliwszy starym zwyczajem snop słomy na stole, nakrył go bielutkim obrusem i jął gadać ze staruszkiem ojcem, który siedział na ławie w kącie izby.

— Siądźcie no sobie tatuniu bliżej komina, boście to wy nie młodzi a setny mróz na dworze, zagadnie Wojciech.

— Oj, prawda, prawda, żem nie młody, odrzeknie staruszek. Tać-to już więcej niż ośmdziesiąt lat człowiek żyje na tym świecie z łaski pana Jezusa, ale ponoś to już nie długo tak się pociągnie.

— Co - też wy gadacie tatuniu! Dziękować panu Bogu zdrowie wam jeszcze statkuje, to zkądże wam znowu takie myśli do głowy?

— Niech się dzieje Jego wola święta — rzeknie na to staruszek — Zdrowie jeszcze jakoś statkuje i to prawda, ale bo też kiedy byłem młody, to mawiali ludziska że nie było we wsi tęższego parobka nademnie, nieprzymierzając jak nasz Jontek.

Tu zwrócił się stary do krzepkiego parobczaka, który, że niedawno wrócił od wojska ustroił się do wilii w ułański kubrak i właśnie wszedł do izby nie pochwaliwszy nawet Pana Boga.

— A gdzieżeś to ty Jontku tak zmądrzał na świecie, żeś zapomniał nawet chwalić Pana Boga? obruszy się na to dziaduś. Ho ho! — tać to i ja sługiwał przy wojsku i to przy polskich ułanach, natłukłem się dużo po świecie, ale co chwalić Pana Boga tom nigdy nie zapomniał; to też nam się szczęściło, a łaska Jego Przenajświętsza nie dała nam nigdzie marnie zaginąć.

Zasumował się Jontek na takie powiedzenie dziadusia i nie rad żeby drudzy jeszcze o tem gadali, odezwie się prędko:

— Owa, tacyście tam pyszni z tego, żeście sługiwali przy ułanach, a dyć to mnie nie dziwne, bo i ja dopiero łońskiego lata wrócił od wojska

— A juźciś żem pyszny! — wtrąci żywo dziadek, — bo to ja sługiwałem pod panem naczelnikiem księciem Józefem Poniatowskim, co to był sławny wojak na świat cały. A wojowałem ja ci z nim nie dwa, nie trzy razy — a ty co nawet nikaj nie byłeś na wojaczce, jeno cię nauczyli: halb rechts! chciałbyś już tu nam starym przewodzić! Patrzcie go jaki mi zuch!

Powiedziawszy to sparł się na ręce i zadumał się głęboko, gdy tymczasem Jontek, okrutnie zewstydzony, schował się za piec, bo i Jagusia młodsza córka Wojciecha, do której chodził w zaloty, jęła się śmiać z jego gadania.

Lecz skoro tylko Franuś zasłyszał, że dziaduś coś wspomnieli o panu naczelniku i o polskich ułanach — poskoczy czemprędzej do niego i nuż prosić go, żeby mu co o tej wojaczce opowiedział, bo strasznie lubił gadki o polskich wojakach.

— Dyć ja już stary Franusiu, — rzeknie na to dziadek — pamięć mi nie statkuje, to i opowiadać już zabaczyłem.

Ale jak Franuś wyskoczy dziadkowi na kolana i pocznie mu się przymilać, jak zaczną go wszyscy prosić, tak zmiękczył się wreszcie stary i rzecze:

— Ha, no, niechże i tak będzie.

Wszyscy posiadali na te słowa koło dziadusia, cicho zrobiło się w izbie jakby mak siał, dziadek więc zacznie w ten sens:

— Musieliście już pewnie słyszeć, że gdy Polskę, naszą Ojczyznę, co to dawniej sięgała od morza do morza, źli sąsiedzi pomiędzy siebie podzielili, znalazł się przecie wielki wojownik, który się ulitował naszej nędzy i odebrawszy Prusakowi kawał zabranego kraju wraz z miastem Warszawą, gdzie dawniej nasi królowie mieszkali, oddał to Polakom, i nazwał Księstwem Warszawskiem. Maleńkie to było, to prawda, ani porównać do naszej dawnej potężnej Polski, ale cieszyliśmy się, że choć tyle nam z naszej Ojczyzny zostawili. I wszystko już dobrze się składało, nie przymierzając, jak w zagrodzie uczciwego gospodarza, aliści wnet i tego pozazdrościli nam owi niedobrzy sąsiedzi Wnet wpadł Austryak z ogromnem wojskiem do kraju, i dalej zabierać jedno miasto po drugiem. Biedził się nasz pan naczelnik książe Józef Poniatowski, jak tu poradzić z garstką naszych tej szarańczy, co na biedny kraj spadła Aż na ostatek myśli: ha! kiedy już tak pan Bóg dopuścił to niechże sobie tu nieprzyjaciel gospodaruje, a my tymczasem wpadniemy do tej części Polski, którą Austryak już dawniej zagarnął, a która się zwie Galicyą, to go może tem zmusimy że powróci bronić swego kraju, a tak przestanie nas tu uciskać i trapić. Nie było innej rady, zebrał więc swoje wojsko i ruszył do Galicyi. Zanim się Niemcy zmiarkowali gdzie się podział nasz pan naczelnik z całem wojskiem, aż tu dowiadują się że on już w Galicyi, i że pozabierał im już co największe miasta jak Lwów, Kraków i inne. Na życie się tego nigdy nie spodziewali, przestraszyli się więc tak okrutnie, że jęli uciekać jak błędne owce, kędy się tylko nasze wojsko pojawiło. Ludziska radowali się z tego wszędy i wykpiwali przestraszonych Niemców; ale co już najwięcej termedii to nasze polskie ułany z niemi dokazywali. Bo też to były

między nami tęgie chłopy, a osobliwie jeden, co miał takie ogromne wąsy, panie odpuść, jakgdyby dwa wiechcie! Nazywał on się Jaszczułt i był wachmistrzem przy naszych ułanach.

Oj, dużo jabym wam mógł przeróżnych ciekawych historyi o nim opowiedzieć, aliście już pono Skibina daje wieczerzę, to chyba jutro dokończę.

— Ej, dziadusiu, zaczną wszyscy prosić, dyć matusia jeszcze wieczerzy nie przyładzili, to powiedzcież nam jeszcze co o tym panu Jaszczułcie.

Drożył się stary, ale wreszcie nałożywszy fajeczkę i łyknąwszy kilka razy, tak jął dalej prawić:

— Będzie temu już akurat lat 60, kiedyśmy sobie stali pod Tarnopolem, hen jeszcze tam za Lwowem i każdy dzień spodziewaliśmy się bitki z Austryakami, co także niedaleko nas stali na kwaterach ze swoim jenerałem Bikingem. Było to jakoś z początkiem lipca, kiedy raz w nocy, czyto dla wielkiego gorąca, czy może, że zamyśliłem się o mojej chacie i rodzicach, których doma samych zostawiłem, żadną miarą usnąć nie mogłem. Sparłem tedy głowę na kulbace i gdy sobie tak dumam i dumam, raptem trącił mnie ktoś w bok i zawołał: wstawaj bracie! Okrutnie się zrazu przeląkłem, myśląc, że nas już Austryacy napadli; patrzę więc, aliści to pan Jaszczułt, którego wnet po wąsach poznałem.

Dziwno mi było czego on chce odemnie, ale zanim gębę otworzyłem, on mię wziął za ramię i zaprowadził w krzaki, kędy już stał wóz zaprzężony, a włożywszy mi lice do ręki, siadł za mną jeszcze z drugim ułanem.

— A kajże-to pojedziemy? pytam ja wreszcie pana wachmistrza, bo nic jeszcze nie miarkowałem, co z tego będzie.

— Do Załoszczyk.

— A na rany pana Jezusa! Dyć tam siła Niemców — jak nabił. Jak nas zobaczą, to pochwytają i powieszą wszystkich na jednej gałęzi.

— Jedź! powtórzył ostro pan wachmistrz, — a ostrożnie! Skoro zaś podjedziesz do wsi, weź się k'sobie i skręć w brzezinkę.

Aż mnie ciarki porwały na takie powiedzenie. Przeżegnałem się trzy razy i zacząłem w cichości: „Kto się w Opiekę“, lecz nie było rady. Zaciąłem konięta i ruszyliśmy z kopyta choć ręce mi dygotały jak w chorobie. Jechałem jak przykazał pan wachmistrz i nie długo skręciliśmy brzezinkę, ale dla ciemnej nocy, że oko wykól, nie można było ani rusz dalej puszczać się w gęstminę. Kazał więc pan wachmistrz przywiązać konie do drzewa, a nam iść za sobą.

Przedzieraliśmy się cichaczem przez gęstwinę i dopiero teraz zmiarkowałem, że chyłkiem podchodzimy pod obóz Austryaków. Wnet też myślę ja sobie: oho! pan Jaszczułt pewnikiem już wyprawi znowu coś Niemcom na despet. Zaledwie to pomyślałem już i wleźliśmy przez płot do jakiegoś sadu. Pan wachmistrz kazał mi zatem stanąć tu przy wrotach, a z drugim ułanem poszedł prosto do chałupy, kędy spał sam jenerał austryjacki Biking. Cichuteńko było dokoła, wszyscy spali w najlepsze a nawet warta zdrzemnęła, ale mnie przecie zebrał lęk okrutny, zacznę więc szeptać sobie pacierze. Tymczasem pan Jaszczułt wpadł do izby i pochwycił jenerała. Biedne Niemczysko oniemiało ze strachu na widok naszych ułanów; ci jednak nie robiąc mu żadnej przykrości, zawinęli go w kołdrę, tak że jeno pięty wystawały i dalejże z nim uciekać.

Porwaliśmy go tedy na plecy i przez ogrody i płoty wnet dostaliśmy się do gęstwiny, kędyśmy nasze konie zostawili. Na ostatek przypadliśmy także szczęśliwie do naszej fury, położyliśmy jenerała zawiniętego w kołdrę pod słomę, i już myślimy z nim do swoich powracać, gdy wtem pan Jaszczułt rzecze 5

— A niechże cię! Ta-żc widziałem w izbie u jenerała prześliczny zegarek na ścianie i zabaczyłem go w pospiechu z kretesem. Zaczekajcie no chwilę, a ja w mig tu powrócę.

— Na miłość Boską! panie wachmistrzu — zacznę ja na to prosić, — uciekajmy do swoich, bo dalibóg jeszcze zbudzą się Niemczyska i narobią nam jakiej psoty.

Ale gdzie tam. Jeszcze tych słów nie domówiłem a już nie było pana Jaszczułta, który w skok pobieżał do chałupy

za owym zegarkiem i jeno gdzieś wrona brzydko zawrzeszczała w tej chwili zbudzona szelestem jego kroków. Okrutny mnie zebrał lęk na to, bo też rychtyk zaledwie przemówiłem jedno „Zdrowaś Marya“ słyszymy jeden strzał i drugi, a potem ogromny krzyk i uganianie po całym obozie. Widocznie pobudzili się Austryacy i dopiero teraz zmiarkowali jakiśmy im despet wyrządzili. Wnet też zaczną gonić na koniach na wszystkie strony. W tej chwili przypadł i pan Jaszczułt do fury nic nie wskurawszy, ja więc zatnę koniki i pędzimy tak co ino. Ale nie było rady —; już nas Niemcy obskoczyli prawie ze wszystkich stron a tak musieliśmy puścić z panem Bogiem porwanego jenerała, który teraz dopiero jął się z nami okrutniej targać i zatrzymywał nas tylko w drodze. Niemcy odzyskawszy swojego jenerała nie ścigali nas już tak natarczywie, a żeśmy właśnie wyjechali na dobrą drogę, pognaliśmy co tchu do swoich, wyszedłszy prawie cudem Boskim bez szwanku z tej przygody.

Tak to — tak — kończył dziaduś — łakomstwo nigdy do dobrego nie doprowadzi. Westchnął głęboko na wspomnienie tych dobrych czasów i umilkł. Jontek nie mógł się wydziwować i jeno głową pokręcał, Franuś zaś i Jagusia siła mieli uciechy z tej gadki i radziby jeszcze od dziadunia co ciekawego usłyszeć, ale w tejże chwili weszła do izby Skibina z misą gorącego barszczu, a wziąwszy opłatek poświęcany w rękę, ażeby się nim przy tej swiętej uroczystości ze wszystkiemi podzielić i przystąpiła najpierw z uszanowaniem do dziadusia, poczem podzieliwszy tym chlebem świętym i z innymi, zasiedli wszyscy do wieczerzy.

Spokojna śmierć dwojga sprawiedliwych.

Zdarzenie prawdziwe.

Przy samej granicy Wołynia, leży Podkamień, starożytna osada z klasztorem wspaniałym OO. Dominikanów na skale zbudowanym, w którym mieści się wizerunek Bogarodzicy cudami wsławiony, a tysiące pielgrzymów pobożnych corocznie

składa tu hołd czci i wdzięczności Panu i Stwórcy swojemu. Zdawałoby się, że w miejscu cudownem, sami święci ludzie założyli mieszkania swoje. Stało się atoli przeciwnie. Nigdzie bowiem mniej nie przestrzegają siódmego i dziesiątego przykazania bożego, jak tutaj. Dla tego też niniejsze opowiadanie stanowi szczególny wyjątek, mogący zbudować tak tutejszych jako też i postronnych mieszkańców.

W sześć lat po pierwszym rozbiorze Polski, urodził się tu Mateusz Miklasiewicz z rodziców ubogich, którzy tę jedną a zbawienną naukę udzielić mu mogli, że człowiek przy zdrowiu i bojaźni bożej, z pracy rąk własnych życie swoje utrzymać może. To też za młodu wyuczywszy się bednarstwa, pilnie unikał rozpusty młodzieży bezbożnej. Nie zaprawiał się do trunków, lubo miał do tego sposobność; jeno uczęszczał do kościoła, gdzie wzniósłszy oczy i serce do wizerunku Maryi, przejmował się pokorą i uległością woli Tego, który włada całym światem. Szedł tedy drogą prawą, — nie budował zamków na lodzie, — nie pragnął rzeczy niepodobnych, w pracy tylko, całe swe szczęście pokładał. Ztąd też poszło, że długo wahał się założyć ognisko rodzinne, gdyż pojął Maryannę Iłowską o piętnaście lat młodszą od siebie za żonę. Była to osoba nadzwyczaj ruchliwa, dokuczała mu często; a przecież nikt nie słyszał swarów w jego chacie; słowa marnego nigdy jej nie powiedział, — łagodnością swoją poskramiał niewczesne zapędy swej towarzyszki.

Żona jego nie miała złego serca, ale ciągła praca i liczne potomstwo, które na świat wydała, czyniły ją drażliwą. To też uwzględniając jej słabość, gdy mu czasem dokuczyła, nawet się nie skrzywił, aby jej większego nie dodawać ciężaru. A z jaką on troskliwością te dzieci chował, jak one zawczasu naginał ku bojaźni bożej i miłości bliźniego, — jak starannie każdy poczciwy zarobek niósł do chaty, aby ta dziatwa głodno i boso nie chodziła, dotąd jeszcze wspominają. — Kilkoro tych dziatek, które on wychuchał, wykarmił i wypielęgnował, gdy Bóg do siebie wcześniej powołał, nie sarkał na niezłomną wolę jego, — cierpliwością wzorową uzbrojony towarzyszył tej dziatwie aż do grobu, powtarzając ciągle słowa staroza-

konnego utrapieńca: Bóg dał, Bóg wziął, niech będzie imię jego błogosławione.

Cnoty te domowe zwróciły uwagę całej gminy do tego stopnia, iż gdy razu pewnego obierano wójta, wszyscy swoją życzliwość ku niemu skłonili, prosząc go, żeby się nie uchylał od kierownictwa sprawami całej gromady, kiedy tak przykładnie umiał zarządzić domem swoim. Był tedy wójtem i cechmistrzem razem i do wzbogacenia się miał pole otwarte. Lecz on wzgardził krętarstwem, — nie wiązał się ze złodziejami, — sprawiedliwej trzymał się drogi. W kościele spiewał rożaniec, w domu nabijał obręcze na beczki i konewki, a w zawodzie publicznym stawał w obronie praw uciśnionej podówczas gromady. Zawsze jednakowy, ani większy, ani mniejszy, zdzierstwa jako krzywdy ludzkiej, która nikomu jeszcze na dobre nie wyszła, wszelkiemi siłami unikał. Dla tego też gdy złożył swe urzędowanie, każdy widział, że jak był, tak został ubogim; skromna chata z ogrodem niewielkim całe jego bogactwo stanowiła. A jednak w tej mizernej chacie, był on bardzo szczęśliwy, gdyż od dzieciństwa przyzwyczaił się na małem przestawać, — zbytku nie znał, a potrzeby swe umiał ograniczać, co też właśnie jedyną jest podstawą mądrości życia ludzkiego.

A jako sprawiedliwi śmiało patrzą w ten punkt ostatniej mety pielgrzymowania doczesnego; tak i on przeczuwając koniec swego życia, kazał sobie zrobić trumnę i cichaczem ukrył na strychu. Razu pewnego wylazła żona jego na strych i spostrzegła niezwykłą skrzynię, która ją wielce zadziwiła. A jako prędka przez całe życie, zlazłszy ze strychu zawołała: Mateuszu! chcesz się mię pozbyć, kiedyś trumnę dla mnie sprawił. Nie! moje serce, twojej śmierci nie pragnę; ale ja muszę się wybierać po zapłatę do tego Pana, któremu całe życie wiernie służyłem. Otóż jak widzisz, chciałem ci tylko ułatwić sprawienie mi pogrzebu. Wzięła ona sobie te słowa do serca i podobnież cichaczem kazała dla siebie przysposobić trumnę i na strychu ukryła, aby również mężowi ułatwić koszta pogrzebu swego. Stały tedy trumny na strychu przez lat kilka, dnia zaś 16 maja 1863 roku starowina Mateusz

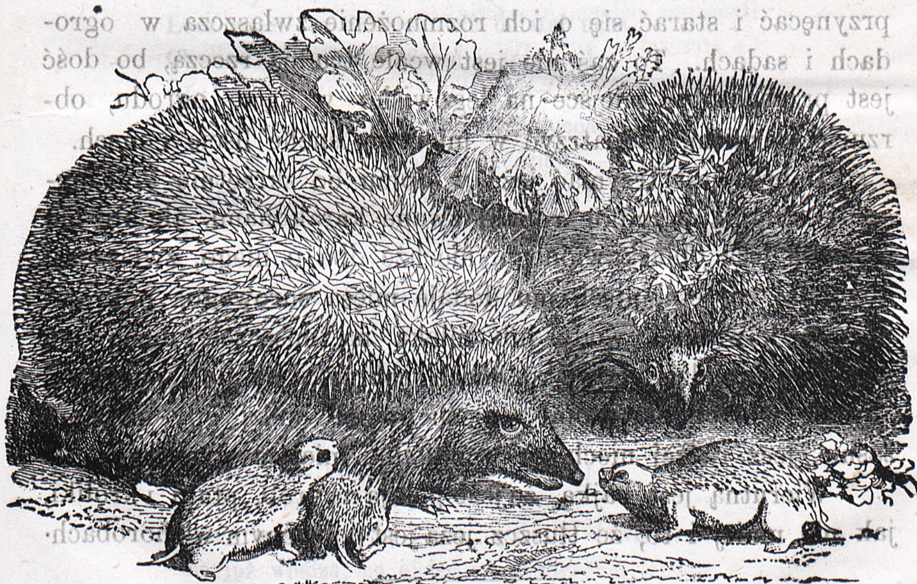
wcale nie chorując, wieczorem siadłszy przy okienku, mówi do żony: moja Marysienko coś mi się drzymie. I zdrzymał się do snu wieczności. Zwołała ludzi Marysienka, a gdy Mateusza na katafalku złożono, ona powiada do ludzi: coś mi się na sen zbiera. Układła się do łóżka i więcej nie wstała. Nazajutrz oboje leżeli na katafalku; dwie trumny wniesiono do kościoła, a po nabożeństwie żałobnem, pochowano ich razem w jednym grobie.

Tak żyją i umierają sprawiedliwi, a pamięć ich przechowuje się w późnej potomności.

Wincenty z Pokucia.

Słówko o zwierzęciu wielce pożytecznem.

Wielce pożytecznem zwierzęciem jest przedstawiony na rycinie jeż.



Z pomiędzy wszystkich zwierząt ssących w naszym kraju on jeden tylko ma ciało okryte kolcami. Kolce te mają półtora cala długości i są czarno obrączkowane. Tylko brzuch, nogi i pysk jeża nie są okryte kolcami lecz włosami. We dnie jeże przesiadują pod chrustem, pod płotami i w zbożu, a dopiero w nocy, zwłaszcza przy świetle księżyca, wychodzą na

łowy. Jedzą wszelkie owady i chrząszcze, poczwarki, ślimaki bez skorup, glisty, myszy, węże, żaby, ropuchy, żmije. Jad żmii przyprawiający człowieka często o śmierci, jeżowi wcale nie szkodzi.

Utrzymują niektórzy, że jeże wyłażą na drzewa, strącają jabłka, potem taczają się po nich i zabite na kolce zanoszą do swego gniazda; lecz czy to prawda, niewiadomo. bo nikt tego jeszcze na własne oczy nie widział a to pewna, że jeż nie umie łazić po drzewach. W chwili niebezpieczeństwa jeż zwija się w kłębek i mocno kolce najeża; tak zaś zwiniętego pies, ani żadne inne zwierzę nie odważy się poruszyć. Całą zimę jeż przesypia w swojem legowisku nie ruszając się ani jedząc i budzi się dopiero z wiosną

Wytępiając niezliczone mnóstwo szkodliwych owadów i innych zwierząt, jeże są niezmiernie pożyteczne. Dlatego nie godzi się wytępiać je lub płoszyć, owszem powinniśmy je przynęcać i starać się o ich rozmnożenie zwłaszcza w ogrodach i sadach. To zaś nie jest wcale trudną rzeczą, bo dość jest przysposobić miejsce na legowisko w kącie ogrodu, obrzucić cierniem, zaopatrzyć w mierzwę, suche liście i mech.

Dobrze jest trzymać jeża w domu bo skrzętnie łowi myszy i wyłapia brzydkie robaki zwane karakonami, ale kto ma u siebie jeża obłaskawionego, niechże dba o niego, zwłaszcza, aby miał co jeść, niech mu dodaje mięsa surowego, pokrajanego w kawałki i wody lub mleka na miseczce, niech mu wygodne urządzi legowisko, niech cebrzyki na noc nakrywa, aby się w nich nie utopił i niech go nie budzi gdy na zimę zaśnie, lecz raczej niech go w chłodne miejsce wyniesie.

Wierutną jest bajką, że jeże polują na drób, ptaki i króliki, jak nie mniej i to, że tłuszcz jeża jest pomocnym w chorobach·

Złote ziarna.

Ach, próżnemi i prace i troski i rady,
Nie zakwitną te pola, nie wzrosną posady,
Jeśli kiedy ziomkowie w jakiejkolwiek chwili,
Zapomną czem być winni, zapomną czem byli.

Żebrak

przez Franka z nad Lipy.

W maleńkiej chatce o bielonych ścianach
Siadł wieśniak. Przy nim na dębowej ławie
Siedziała żona, a na jej kolanach
Mrużąc oczęta — zasypiając prawie,
O pierś matczyną dziecię główkę tuli;
A nieco dalej u nóg ojca kołem
Jak wianek siadło troje dzieci społem:
Z nich jedno trzyma się sukni matuli,
Drugie w pośrodku, a chłopczyna mały
Przy ławie — wszystkie w twarz ojca patrzały.

Wieczór był ciemny, tylko na kominie
Kilka się małych trzasek dopalało,
A tam na dworze w tej późnej godzinie
Coś niby wicher zdaleka szumiało.
Lecz szum ten dzieciom nie dolatał ucha,
Chociaż potrząsał i oknem i drzwiami,
One gdzie indziej goniły myślami —
Z nich każde pilnie mowy ojca słucha,
I jako wszystkie w półkolu siedziały —
W twarz ojca niby w łuk tęczy patrzały.

A ojciec prawił o zaklętym dworze,
O pięknej jakiejś wśród zamku królewnej,
Albo o złotym mówiącym jaworze,
Lub o płaczącej wierzbie, lipie śpiewnej,
O zamku z soli — i cudach na ziemi,
Które się niegdyś dość często zdarzały.
A dzieci wszystkie tak pilnie słuchały,
Iżbyś powiedział, że myślami swemi
Patrzą w myśl ojca, i nim ją da w słowie,
One już wiedzą, co ojciec im powie.

Było tam szczęście.... Szczęście? ach! cóż z tego
Szczęście to tkanka, którą pająk snuje:
Niech tylko wionie prąd wiatru silnego,
Wnet całą tkankę pajęczą rozpruje,
A biedny pająk spędzony z swej siatki
Z strachem ucieka ku ramom swej tkanki,

Siada na ścianie wieśniaczej lepianki
I z żalem patrzy na nitek ostatki:
Tak człowiek często dziś wesoły, hoży,
Jutro po przeszłem szczęściu płakać może.

W majowym ranku zanim słońce wstało,
Zanim się jeszcze ptaszki pobudziły,
We wrotach chatki nagle zaskrzypiało
I psy w podwórzu zbudzone zawyły.
Wyszedł gospodarz, chociaż w wieku sile,
Lecz z głową smutnie ku ziemi schyloną.
Czemuż sam idzie? nie z dziećmi? nie z żoną?
Zkąd tyle smutku — zkąd mu bolu tyle?
Powolnym krokiem w wązką ścieżkę goni,
Co krętym biegiem wije się po bloni.

Przeszedł już łąkę, wstąpił na pagórek,
Gdzie kilka topol i lipy w rząd stały
Rzucając cieniem na szczerbaty murek,
Co sterczał w koło wiekiem poczerniały.
Wieśniak wyłomem przeskoczył ogrodę
I stanął — przed nim tysiączne mogiły
Z łona zieleni skroń swą podnosiły,
A na nich rosły wiosny kwiatki młode.
Ale on kwiatków nie szuka w ustroni,
Lecz wprost przez groby ku dwom brzozom goni

Tam na mogile stoi krzyż drewniany,
Szeroko niosąc swe szare ramiona,
Przy nim trzy małe krzyżyki, zatkane
Do usypanych trzech mogiłek łona.
Tu ukląkł wieśniak, o ziemię sparł czoło
I długo milcząc tak leżał na ziemi.
Czy ssał woń z fiołków, co oczki sinemi,
Z tła się zieleni patrzały w około?
Czy słuchał może, jak wiosną darń rośnie? —
Nie wiem, lecz nagle zaszlochał żałośnie.

O bo jak nie ma zawodzić ni szlochać,
Gdy pod tą ziemią skarb życia położył?
On ich nie przestał i za grobem kochać,
Lecz owszem grób mu miłości przysporzył.
Pochował żonę, za nią dzieci czworo —
Wszystkie, co niegdyś słów jego słuchały.

Jemu dziś tylko łzy żalu zostały.
To też codziennie zawsze ranną porą
Chodzi na groby, tu o szczęściu marzy
Jakby u bóstwa złoconych ołtarzy.

Daleko za wsią w karczmisku za stołem
Trzech ludzi siedzi: Z nich jeden o ścianę
Oparty głową; a puhar wciąż kołem
Z ręki do ręki obiega nalany.
Dwaj co po rogach siedzieli przy stole,
Snać nic nie myśląc gwarzyli wesoło
I puhar pełny podawali w koło.
Trzeciemu myśli snuły się po czole,
Bo je gwałtownie rękami pocierał
To je podnosił, to na dłoni wspierał.
Wszak to nasz ojciec — sierota z cmentarza
W gronie wspólników przy pełnym puharze,
Jeden za drugim kielichy powtarza,
A twarz mu płonie niby w ognia żarze.
— Hej. żydzie, wódki! — zakrzyknął zbudzony.
— „Nu hersty za co? — wszak nic już nie macie?“
— Weźmiesz koszulę! — Na zdrowie ci, bracie!
— Za wasze zdrowie!... kufel wypróżniony.
— Żydzie, daj świeżej! — „Już niema!“ — Co!.., niema?..
Wstał — i padł pod stół — błysnąwszy oczyma.

Tak stracił najprzód chudobę i zbiory,
Które od kilku lat chował w stodole,
Później, co było w domu — lub z komory,
Wreszcie dom sprzedał, ogród, łąkę, pole,
I odtąd mieszkał wciąż w karczmie u żyda.
Zrazu weselej mijały dnie jego,
Aż w końcu, gdy już nie było żyć z czego,
Ku ziemi troską przygniotła go bieda.
I tak rozpacz go zawiódła w bezdroża,
Ale dla grzesznych wielka łaska boża.

U drzwi cerkiewki, co trzema wieżami
Wcisła się między smutnych brzóz konary,
Na kupie cegieł odziany szmatami
Z lirą u boku siedzi żebrak stary.
Biały włos z długich złożony kędziorów
Z pod kapelusza pada strzępionego,

A zamiast sukni od ramion się jego
Ku ziemi ściela płaszcz zeszyty z worów,
Na cegłach kostur, towarzysz tułacza,
Garść zmiętej słomy i torba żebracza.

W cerkiewce cichły korne ludu spiewy
W dzień odpustowy do Boga wznoszone,
Msza się skończyła: matki, chłopcy, dziewy —
Wszystko z bram cerkwi wychodzi skruszone.
Lecz nikt wyszedłszy do domu nie wraca,
Tylko tłumami stają koło dziada,
Przy kupie cegieł; on lirę układa
Pod ramię, puszcza w ruch palce, obraca
Korbę, z dna liry smętną dumkę budzi,
A z własnej piersi pieśń czerpie dla ludzi,

Pieśń taka rzewna, taka smutna była,
Że tłumy ludu stojące do koła
Gdy je do głębi smętkiem rozrzewniła,
Płacząc ku ziemi pochylały czoła,
Lecz co dziwniejsza, skończywszy pieśń całą
Żebrak łachmanem otarł łzy w źrenicy:
Snać pieśń trysnęła z serca tajemnicy,
Ukołysanej pod pieśnią zgrzybiałą.
O biedny lirnik! on się w pieśni skarżył,
A lud go za nią jałmużną obdarzył.

Tak w każde święto, tak każdą niedzielą
Tłumy go ludu otoczą dokoła,
Zawsze łzy z oczu po licach się ścielą,
Bo żadna z jego pieśni nie wesoła.
Zawsze tęskniący, zawsze rozrzewniony
Z dna liry takich dźwięków wydobywa,
Że dźwięk ten serce i duszę porywa,
Jakby był w piersi lirnika zrodzony.
Tak rok po roku nad wioską upływał,
A lirnik zawsze u drzwi cerkwi spiewał.

Dzień był świąteczny — drugi Wielkiej nocy,
Tłumy się ludu przed cerkwią zbierały:
A w rękach mnóstwo żółtych świec migoce,
Już się i krzyże z cerkwi ukazały;
By ruszyć w pochód gotowi są wszyscy,
Chcąc według dawnych zwyczajów w tej dobie

Ruszyć na smętarz; tam na każdym grobie
Zmarłych z rodziny krewni albo bliscy
Kilka pacierzy odmówią do Boga,
By ich dopuścił do niebiosów proga.

Pochód gotowy — czekają plebana,
Lecz gdzież się lirnik z pod cerkwi obraca?
Wszakżeż codziennie z modlitwami zrana
Na kupę cegieł pod cerkiew powraca,
Dziś już południe a lirnika niema!
Każdy zdziwiony żebraka wspomina.
Wtem u drzwi cerkwi nowy ruch się wszczyna:
Wyszedł ksiądz pleban z spiewakami trzema
I pochód ruszył ku stronie cmentarza —
A każdy z cicha modlitwy powtarza.

Przyszli na smętarz. U wejścia samego
Pleban odmówił za zmarłych pacierze,
Potem przez środek cmentarza całego,
Przeszedłszy, modły odmówiwszy szczerze,
Skręcają na bok chcąc obejść w około.
Lecz cóż to nagle tłumy ludu miesza?
Każdy z nich w jednę gdzieś stronę pospiesza
Tam gdzie dwie brzozy smutne chylą czoło;
Jakiś gwar powstał — wszyscy posmutnieli
Jakby przy trupiej stanęli pościeli!

To żebrak — stary lirnik z pod cerkiewki,
Tam gdzie przy brzozach cztery krzyże stały;
On dokończywszy żałośnej swej śpiewki,
Ledwie ostatnie jej jęki przebrzmiały,
Położył głowę obok swojej liry,
Ręce załamał — z pod skrzepłej powieki
Dwie łzy opuścił i zasnął — na wieki.
Świadkami śmierci było krzyżów cztery,
Dwie brzózki smutne, z grobów fiołki sine
I Bóg co w niebie przebaczył mu winę.

Rozmaitości.

Niedobra zachęta. W pewnej parafii na Mazurach był kościół bardzo opuszczony. Ani ławek, ani drzwi, ani okien nie było całych. Wszystko poniszczone i wytłuczone, okropny widok przedstawiało. Otóż tedy wójt zwoławszy gromadę, począł namawiać do składki na kościoł, odwołując się ciągle, że swojej fatygi i kieszeni żałować nie będzie, że sam sprawi co do kościoła. Gromada rozciekawiona niezwykłą obietnicą, przyrzekła z wójtem trzymać. Przychodzi niedziela. Wójt niesie kawał patyka białego z uszkiem blaszanem i oddaje w obecności całej gromady księdzu tę laskę, na której kazał wyryć następujące słowa: Ja Matijos, za własny gros, sprawiłem do kościoła gasinos. Roku Pańskiego 1826.

O! iluż to Matijaszow znajdzie się też między nami!

Wincenty z Pokucia.

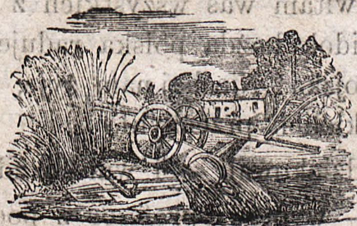
Zły język. Chwalebna to rzecz bardzo jeżeli nasze gosposie zajmują się w zimowej porze roku przędzeniem, boć też to przecie jedyna rzecz przy gospodarstwie mieć kawał własnego płótna, czy to na przyodziew dla siebie, czy dla dzieci, czy też i dla sług, w zapłacie, nie spuszczając się na kupne kartony, co ani są trwałe, ani ich czysto wyprać można, bo zawsze żółte; a nadewszystko, że za te perkale, kartony i t. p. idą pieniążki zagranicę, do Niemców; oni się bogacą, a my ubożejemy. Ale niektóre kobiety, odwiedzając się z kądzielą, zamiast przyzwoitej rozmowy, albo też spiewu nabożnego, często bardzo tylko plotkami się zajmują. To obmawiają inne we wsi gosposie, niezważając, że i dzieci małe przysłuchują się ich brzydkiej rozmowie, pełnej gorszących słów, to znowu skarzą się na mężów, z czego rodzi się potem nienawiść, powstają kłótnie i bójki. Najgorszy to to na świecie kawałek mięsa zły język; jest to jak igła która ludzi kole, a gdzie kolnie, zapuści truciznę. Zły język, to są ostre nożyce, które ludzką sławę krają. Zły język nie stanie nigdy, ale jak zegar, dzień i noc chodzi. Zły język kąsa bardziej, niż kły wilcze. Mówi jeden z ojców kościoła że przyszedł do niego taki, co odebrał sławę bliźniemu i pytał się jak to naprawić. — Weź pierzynę, odpowiedział mu mąż święty, idź z nią na szczyt wieży, i wypuść pierze, a potem pozbieraj i przyjdź do mnie. Jak to jest niepodobieństwem, tak też niepodobna naprawić tego, co zły język popsuje. Ach! bogdaj to gosposie nasze miały zawsze w pamięci tę naukę, gdy się odwiedzają z kądzielą!

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Stanisław Nowiński. — Z drukarni E. Winiarza.

Tom I. 1. Stycznia 1870. Nr. 4.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Wspomnienie z lat przeszłych.

przez Paulinę z L. Wilkońską.

Za księcia Konstantego słynął pewien kapitan od ułanów z żartów dowcipnych i figielków psotnych, które swoim płatał znajomym. Pułk przechodził w czasie lata przez pewną okolicę gdzie przez dni parę dla wypoczynku miał się zatrzymać. Wysłużony profesor p. Ćwiartka, człek bezżenny, który kupiwszy sobie piękny domek we wsi Czernidłowie, przepędzał w zaciszy resztę życia, także powiadomionym został, że załogę wojskową otrzyma a będąc wesołego usposobienia i zamożnym, poprosił, ażeby mu dano tego kapitana i oficerów kilku.

— Nacieszę się z nimi, pośmieję, bo kapitam musi mi płatać figielki, oj musi! — powtarzał wesoło zacierając dłonie.

Kazał wszystko przysposobić na wygodne przyjęcie pożądanych gości, zaopatrzył piwnicę, spiżarnią, i sam krzątał się ochoczo po domu, by wszędzie przestrzegać ładu i porządku.

Wreszcie upragniona nadeszła chwila. Zawiały chorągiewki biało-czerwone — pobłysnęły lance — i poczciwy profesor radośnie na dziedziniec pospieszył, gości swoich powitał — ucałował — wprowadził do pokoju — i zaraz na wstępie starym węgrzynem i sutą poczęstował zakąską.

— Szanowni rycerze, panowie łaskawi! — podniósł gospodarz kielich — witam was wszystkich z serca całego waleczni! Na wasz widok każda polska raduje się dusza. Zatem ku czci naszego wojska! Niechaj nam żyje, a wrogów bije! — Zawołał wesoło i kielich przechylił.

Oficerowie podziękowali — i wnieśli zdrowie gospodarza.

— A teraz — wymówił profesor z podnieconym na twarzy rumieńcem — w szczególności zdrowie komendanta, zacnego kapitana. Niechaj nam żyje i wesołe płata figielki! — zaśmiał się, że aż mu połysnęła źrenica, i kielich raźno po raz drugi spełnił.

Kapitan oczywiście podziękował tak samo.

— A szanowny, kochany, jedyny łaskawco! — zawołał znowu gospodarz — pragnąłem oddawna znajomości twojej rycerzu waleczny! Wyprosiłem sobie, ażebym ciebie pod moim dachem mógł powitać, uściskać, ucałować. Przyjmij więc co chata ma moja, bo czem bogata tem rada.

— Przyjmujesz nas sercem, najszanowniejszy dobrodzieju, sercem i duszą polską — odrzekł kapitan — to i prawdziwie szczęśliwi jesteśmy z gościny takiej.

Uścisnęli się nawzajem.

— Ah, łaskowco — zaczął znowu profesor — mam prośbeńkę jedną do ciebie! — uśmiechnął się znacząco.

— To i jakaż to może być prośba? Naprzód przyrzekam wszystko.

— Ot . . . ażebyś mi jakiego wesołego figla wypłatał.

Rozśmiali się wszyscy.

— Dowcip twój słynie i słyną figielki twoje. A ja namiętnie lubię takie wszystkie żarciki. Mój łaskawco jedyny!

— Dobrze to, profesorze kochany — odrzekł kapitan — uczynię co potrafię. Ale nie zawsze to usposobienie po temu. Są kłopoty . . .

— Kłopoty? Jakież kochany kapitan może mieć kłopoty?

— Każda Teresa ma swoje interesa, dobrodzieju łaskawy, To koń zakuleje, to kochanka zdradzi, przyjaciel zawiedzie, w karty się przegra, wierzyciel licytuje . . .

— Ej łaskawco jedyny, to chyba wszystko jeno frachy dla ciebie! Koń wyzdrowieje, a jeżeli nie, to pal go w łeb. Kochanka? Ej, gdzie strona tam żona, dla takiego urodziwego oficera. Przyjaciel! . . . Ot, my ciebie całą duszą kochamy. ! . . W karty! toć mówią, jakby w karty grał: raz na wozie, raz pod wozem. A co tam do tego ostatniego, no . . . kapitanie to . . . tamtego . . . gdybyś kiedyś . . . tego tam, at . . . jak to czasem . . . — odchrząknął i poczerwieniał — tamtego potrzebował, to i sięgnij do sakiewki mojej — wykrztusił wreszcie poczciwiec i odetchnął wolniej.

Uściskali się znowu — i kapitan przyrzekł, że jeżeli tylko podoła, to jakiego spłata figielka, z którego gościnny gospodarz pośmieje się trochę.

Wieczorem długo wszyscy posiedzieli z sobą — przy herbacie — przy wybornym ponczyku — po wieczerzy wyśmienitej. Prawili, baraszkowali. Kapitan dowcipkował. Koledzy jego różne opowiadali figle — a profesor zanosił się od śmiechu, że aż się popłakał.

Wreszcie powiedzieli sobie dobra noc. Gospodarz odprowadził gości do ich pokoi. A potem w swojej komnatce do gazety zasiadł, ażeby się dowiedzieć co też monarchowie porabiają. Zaledwie wszelako pół godziny upłynęło, gdy wbiegł Tomek woźnica, blady, przerażony, i załamując ręce ze łzami wybełkotał:

— Proszę pana! O Jezu! Jezusieńku! Toż nam konie ukradziono.

— Co ty gadasz? Śnisz, czy co? porwał się profesor.

— A dałżeby Niebieski, ażebym śnił! — Tomek znowu ręce załamał — ale dyć je ukradli psiewiary jakieś. O Jezu! Jezu! O Przenajświętsza!

— Do stu piorunów, a gdzieżeś ty był? grzmotnął profesor.

— Oj, proszę pana.... — Tomek ze skruchą złożył dłonie — ułani wyprawiali różne tam harce za bramą, i pogapiłem się także... O Jezu! Mój Jezu!

Profesor głowę zwiesił — i już nie łajał. Bo i jakżeż miał łajać? Bawił się z oficerami, słuchał o figielkach kapitana, to więc i Tomek popatrzył się na ułanów.

*

— Potrzeba szukać! Gonić! — zawołał nagle. Jutro jest jarmark w miasteczku.

— Jużci, jużci, proszę pana! Pewniusieńko tam z niemi popędzili.

— Chodź!.... Poczekaj w sieni!

Profesor wszedł do pokoju kapitana, który właśnie zabierał się do spoczynku.

— Kapitanie! Łaskawco jedyny! Ratuj! zawołał.

— Toż co, profesorze? Cóż się stało? — pytał kapitan skwapliwie. Jesteś przelękniony, dobrodzieju. Cóż się stało?

— Konie wyprowadzili mi ze stajni! ukradli!

— Kiedy?

— Ot, tej nocy, wieczorem.... albo ja wiem.

— A to historya nielada! rzucił się kapitan. — Przecież tam byli ułani moi?

— Twoje konie umieszczone w stodole po drugiej stronie podwórza za ogrodem. Parobczak przypatrywał się z drugimi ułanom bawiącym się za bramą.

— Fatalnie się stało! I serdecznie jestem zmartwiony kochany profesorze.

— Przyszedłem z prośbą kochany kapitanie, ażebyś mi dał parę koni i ze dwóch ułanów, byśmy złodziei tropić mogli. Jutro w miasteczku jest jarmark.

— Usłużę ci z całej duszy, profesorze. Dam ci własne moje konie, ale, wybacz, ułanów dać nie mogę, bo to sprzeciwia się przepisom...

— No, no! To mniejsza. Daj mi tylko łaskawco dwa konie. Wsiądę na jednego, na drugiego mój Tomek....

— Jakto, profesorze! sam chcesz gonić?

— A nie inaczej. Najlepiej to każdy własnego dopilnuje interesu.

— Toć jest prawda. Ale zmęczysz się... w twoim wieku.

— To i co? Pójdzie na zdrowie, byle tylko znalazły się szkapiny.

— A gdybym ja sam ....

— Gdzie tam! Zacny, kochany, poczciwy! A przecież koni moich nie znasz, ani drogi, ani co!

— Prawda!... Fatalnie!... Baraszkujemy, a tu pospiech potrzebny — porwał się kapitan. Antoni! Hej! — zawołał na służącego. Niechże tam Puzderko okulbaczy zaraz moje dwa wierzchowce i przyprowadzi.

— Dziękuję ci z duszy całej, kapitanie! — ucałował go profesor. Zabiorę się w tej chwili — i drzwi otworzył do sieni.

— A ciemnoż tam? zapytał.

— Kiej księżyc zaszedł, to i zrobiło się ciemniuszko — odrzekł Tomek.

Puzderko konie przyprowadził.

— Profesorze, tylko mi ich bardzo nie zmachaj! wołał jeszcze kapitan przez okno.

— Daję na to słowo!

Dosiadł z Tomkiem koni i — pogonili ku miasteczku.

Do miasteczka były dwie dobre mile. Pędzili co tchu starczyło — i profesor zapomniał, że przyrzekł koni nie zmęczyć. Aleć tu był pospiech potrzebny, konieczny. Należało się powiadomić burmistrza, by wszelką policyjną zarządził baczność. I też chcieli jeszcze po stajniach i zajazdach przepatrzeć.

Tymczasem — noce letnie są krótkie — zanim do miasteczka przybyli, dnieć już poczęło. Pędzili ciągle — gdy w tem odezwał się Tomek:

— Proszę pana...

— A co tam?

— Pan istnie, jakby na naszej jechał kobyle.

— Co ty pleciesz? obejrzał się profesor. — A do stu piorunów! — zawołał nagle i zatrzymał konia — Toćże ty niby na białej nóżce siedzisz...

— Panie, nasza, nasza, kobyła Bóg widzi!

Profesor zesiadł — i Tomek zeskoczył.

Konie były spienione i mocno piersiami robiły.

— Chryste Jezu! Proszę pana! zawołał znowu Tomek, składając dłonie — toćże to obadwa nasze właściwe, ukradzione konie!

Profesor aż niby oniemiał — chwilę postał zadumany — pokręcił głową — przyjrzał się koniom — poklepał je —

znowu głową pokręcił — pokiwał — a potem głośnym parsknął śmiechem — i tabaki zażył.

— O kapitanie! — zawołał. — Figlarzu kochany! Czego chciałem to i mam. Bodaj ciebie Bóg miał w opiece swojej!... Dalej-że Tomku, na powrót!... Ale niech pierwej konie wysapią się trochę.

Pogłaskał je — i poklepał znowu.

— Co też to... — podrapał się Tomek w głowę. — O Jezusieńku, żeśmy to na swoich koniach, niby nasze właściwe, skradzione gonili. Co też to za cudeńki!

— No, dalejże teraz! profesor dosiadł kobyły.

Tomek wskoczył na biało-nóżkę — i dalej drała napowrót.

— A wolniej, wolniej! — powtarzał profesor — niechaj ochłodną.

Dzień był jasny, gdy przed domostwem stanęli. Wybiegł na ich spotkanie kapitan — za nim oficerowie — za oficerami ułani.

— Profesorze! wołał pierwszy, składając dłonie.

— Oj, oj, figlarzu! — pogroził mu profesor zsiadając i dobrodusznie się rozśmiał.

— Profesorze, a konie zziajane!

— Ale nie twoje!... Bodajże cię Bóg kochał! uścisnął go oburącz — Żeby mnie też w noc ciemną na rozstajne wysłać drogi, na własnej kobyle, by niby-to ukradzionych szukać koni. Aj! Aj!... otarł pot z czoła i z zarumienionych szybką jazdą policzków.

— Profesorze kochany! Dobrodzieju jedyny! — objął go w pół kapitan — toćże chciałeś, zaklinałeś o figel, a mnie inny nie nawinął się koncept.

— Więc Bóg zapłać i za taki! Profesor w obadwa pocałował go policzki, że aż klasnęło — bo i unieśmiertelnisz mnie chyba tym swoim konceptem!... I jutro też sproszę sąsiadów i stypką kochanemu kapitanowi odwdzięczę. Tylko mnie już na drugi raz nie wywiedź w pole!

— Na raz tylko sztuka. A wybacz, wybacz, najzacniejszy profesorze!

— No, no, dobrze mi tak!... I ułanów uraczę, boć i oni chyba byli w zmowie.. I aby się ze mnie nie śmiali... Chłopcy uczęstuję was!

— Niech żyje pan profesor dobrodziej! — zawołali jednogłośnie ułani — Wiwat! Niech żyje!

Trzykłosie.

(Podanie.)

Na pagórku klasztor stoi,
Z niego idzie człowiek blady;
Chce uciekać, krok swój dwoi,
Lecz uciekać nie ma rady.

Włos na głowie z trwogi staje,
Serce groźnie zapukało:
Lęk pokoju mu nie daje —
Bo najświętsze ukradł Ciało.

Stanął w miejscu, struchlał cały,
Dalej kroku iść nie może,
Wtem hostyją odrętwiały,
By się pozbyć — rzucił w zboże.

Lecz o cudzie! — Boskie Ciało
Na trzech zdźbłach się zatrzymało;
Wnet pszczółeczki przyleciały
I radośnie zabrzęczały.

I poczciwe te owady
Woskiem kłoski te osnuły,
By strzedz Ciało od zagłady —
Bo niebiańską moc uczuły.

Ptaszki odtąd wciąż nuciły,
Wiatr rozgłaszał wdzięczne pienie,
Woń kwiateczki roznosiły
Na niezwykłe to zjawienie.

Kto szedł tylko w tamtę stronę,
W dziwnym uczuł się zachwycie,
Serce szczęściem upojone —
I o wiele słodsze życie.

Wkrótce kapłan z rzeszą całą
W święte miejsce tą przybywa;
Na trzech kłosach Boskie Ciało
Daszkiem wdzięczny lud pokrywa.

Wnet doznają ludzie cudu,
Rozgłos wszędzie się rozchodzi,
Toż tu zawsze mnóstwo ludu,
Co i zdała tu przychodzi.

Stanął kościół a w dom Boży
Dziś Trzykłosiem nazywany,
Wciąż lud chodzi, tu się korzy
Czy wesoły lub stroskany.

Józef z Bochni.

Kościół Panny Maryi w Krakowie.

Był niegdyś biskupem krakowskim Iwo Odrowąż, kapłan wielce świątobliwy i tak hojny dla ubogich, że gdy raz po wielkich powodziach głód nastał, przez trzy lata chleba zgłodniałym dostarczał. Wylany dla chwały boskiej, wiele koś-

ciołów i klasztorów fundował i uposażył. — On też najwspanialszy w całej Polsce kościół Najświętszej Maryi Panny w Krakowie na rynku z fundamentów dźwignął. Jest już temu 644 lat jak ten kościół stawiany. Od tego czasu wiele się w Krakowie i w świecie zmieniło. Polska, wówczas jeszcze mała i słaba, urosła w potęgę, a potem, w zmiennej losów kolei, zachwiała się i upadła; miasto samo tysiącznym uległo klęskom i przeobrażeniom; potężny zamek królewski na Wawelu prawie się w gruzy rozsypał; biskupstwa nawet krakowskiego i biskupa nie ma, bo część tej dyecezyi zostaje pod panowaniem moskiewskiem, w szponach nieprzyjaciela wiary świętej, co gorszy od Turka; a wspaniały kościół maryacki stoi ciągle niespożyty. Podziwiając jego okazałość, jego ogrom, wysokość jego wież, pomyślmy czem byli przodkowie nasi przed sześciu wiekami i bądźmy dumni, żeśmy ich potomki. — Nie odrazu Kraków zbudowany, nie od razu i kościół maryacki stanął. Prawie dwieście lat trwała budowa, postępowała jednak bez przerwy, bo papież Bonifacy nadał odpusta tym, którzy pracą rąk swoich do budowy tego kościoła przyczyniać się będą, i znalazło się wielu takich, co nieszczędzili grosza na dokończenie dzieła, które na wiek wieków świadczyć miało o dawnej pobożności Polaków i o dawnej ich biegłości w sztukach i rzemiosłach. Jak ogromna, tak też wspaniała i bogata jest ta świątynia, wielu też ma kapłanów do służby bożej. Było ich niegdyś sześćdziesięciu a dziś jest czternastu. Ma bogate sprzęty kościelne a dach miedzią pokryty. — Kościół maryacki wznosi się po nad wszystkie kościoły krakowskie a wieża główna tej świątyni, po nad wszystkie wieże tego miasta, a nawet jest najwyższą w Polsce całej. Same mury mają ośm piąter wysokości, a nad niemi, w pośrodku kształtnych wieżyczek, wznosi się szczyt wyniosły, uwieńczony złotą koroną, i zakończony w niezmiernej wysoczyźnie gałką taką, w której tkwi chorągiewka. Na wieży mieszka stróż, który we dnie i w nocy czuwa nad bezpieczeństwem miasta, wybija i wytrębuje godziny, a oraz, przez cały miesiąc Maj, jako poświęcony czci Najświętszej Panny, wygrywa na trąbie starożytne pieśni nabożne. Widok z tej wieży

na całe miasto i okolicę, zachwycający. Obok wznosi się druga, znacznie niższa wieża, na której jest pięć wielkich dzwonów. — Wnętrze kościoła Panny Maryi najgłębszą czcią przejmuje każdego, kto jego próg przestąpi. Ogrom świątyni zdumiewa, wysoczyzna jej sklepień lękiem przejmuje. Nadto nie jest tu nigdy zupełnie widno, lecz owszem szarawo, jakby o zmierzchu, co tem bardziej skłania umysł do poważnych rozmyślań. Jest tu trzydzieści dwa ołtarzów z marmuru i hebanu, bogato ozdobionych. Najpiękniejszym ze wszystkich jest



wielki ołtarz, zamykający się nakształt szafy, który wznieca podziw całego świata. W pośrodku znajduje się rzeźba, przedstawiająca zaśnięcie Najświętszej Panny w gronie Apostołów. Wszystkie osoby są naturalnej wielkości, dziwnie prawdziwe i święte. Po bokach zaś znajdują się mniejsze, ale równie

cudne rzeźby, przedstawiające ustępy z żywotu Zbawiciela. Obraz ten jako cały z drzewa wyrobiony, zniszczał mocno z biegiem wieków, przeto go, dopiero w roku zeszłym, z wielką sztuką odnowiono, na co płynęły składki zewsząd, gdzie tylko mieszkają Polacy, szanujący puściznę po przodkach i ich nieodrodne potomki. Tutaj należałoby wspomnieć o twórcy tego ołtarza, o Wicie Stwoszu, ale ponieważ życie jego, dziwnych przygód pełne, było opisane obszernie w przeszłym tomie Dzwonka z roku zeszłego, przeto tam odsyłamy ciekawych

Prócz wielkiego ołtarza wiele jest jeszcze rzeczy godnych widzenia w kościele maryackim. Wszystko tu, oprócz uczucia najczystszej pobożności, wznieca oraz podziw. I zaprawdę nie wiedzieć co tu bardziej podziwiać, czy cudne z marmuru i bronzu nagrobki fundatorów kościoła, których ciała tu spoczywają, czy piękne obrazy świętych w ołtarzach, czy okna z szyb kolorowych na których z wielką sztuką malowane są obrazki z pisma św. czy ławki z niezrównaną wyrzeźbione zręcznością, czy wreszcie lud pobożny co tu oblęga ołtarze od świtu do nocy i błaga Najświętszej Panny, królowej polskiej, o litość nad nieszczęśliwem miastem i nad całą nieszczęśliwą naszą ojczyzną.

St. Krakowczyk.

Barry, pies z góry Św. Bernarda.

Góra św. Bernarda, składa się z licznych, wysokich i wiecznym śniegiem pokrytych skał, i leży daleko od nas, na granicy pomiędzy Szwajcaryą a Włochami. Tutaj, Bernard z Mentonu, świątobliwy kapłan wybudował niegdyś szpital dla pielgrzymów idących do Rzymu i osadził przy nim księży Augustynów, którzy odtąd, przy pomocy psów, z bezprzykładnem poświęceniem niosą biednym podróżnym ratunek.

Chcąc zwiedzić tę piękną górę, idzie się od południa doliną rzeki wijącej się w posępnym parowie. Przebywszy siedm godzin drogi to prawym to lewym brzegiem tej dzikiej górskiej rzeki i zostawiwszy za sobą kilka małych wiosek, przychodzimy wreszcie do ostatniej, zwanej wioską Św. Piotra.

Odtąd okolica staje się coraz dzikszą i posępniejszą a za kościółkiem, w miarę coraz większego zimna, przyroda zdaje się obumierać; nie daleko ztąd nie widać już drzew cienistych, a zielona murawa, ubarwiona wątłemi kwiaty, którąśmy niedawno widzieli, gubi się zwolna wśród nieprzejrzanych lodowców.

Długo jeszcze słychać miły spiew skowronka, a od czasu do czasu głos dzikiej kozy. Nareszcie umilkło wszystko i nim się dojdzie do klasztoru, nic już nie słychać w samotnej pustyni, prócz szmeru strumyka, lub dalekiego, przerażającego grzmotu ławin, to jest staczających się z góry zasp śnieżnych. Otóż tutaj nieszczęśliwi podróżni giną często w zawiejach lub pod zaspami śniegów.

Nawet i wśród lata z trudnością przychodzi kopać się po tych śniegiem zasutych wąwozach, a co gorsza, w podróży takiej ani myśleć o wypoczynku, bo wtedy wycieńczonego z sił wędrowca ogarnia nadzwyczajna senność; kto zaś zaśnie, już się nigdy nie obudzi, jeżeli zakonnicy lub przynajmniej ich psy nie zjawią się dość wcześnie z pomocą. Senność ta bywa czasem tak gwałtowna, że zmoże wędrownika nawet gdy stanie na chwilkę, nawet gdy idzie. Tak w r. 1829 zakonnicy znaleźli na drodze człowieka stojącego, z laską w ręku, zupełnie zmarzłego, a nieco dalej spał również twardo jego towarzysz.

Samotność, zimno, jednostajność okolicy, mgła, wszystko to niewypowiedzianym smętkiem ogarnia umysł ludzki; jakże więc miło być musi gdy się usłyszy zdala dźwięczny głos klasztornego dzwonka, rozchodzący się zwolna w powietrzu, lub szczekanie psów, zwiastujące bliskość pomieszkania ludzkiego, gdy wreszcie wycieńczonemu z sił wędrowcowi ukaże się krzyż biały na ciemnym szyfrowym dachu klasztoru.

Widok tego gościnnego schronienia, tutaj, gdzie wieczna panuje zima, prawdziwą jest niespodzianką a uprzedzająca uprzejmość zakonników, zdumiewająca czujność i gorliwość ich psów, wszystko to wzrusza i rozrzewnia.

Słońce świeci tu bardzo słabo nawet wśród lata, tak, że leżące niedaleko klasztoru małe jezioro nigdy całkiem nie jest

wolne od lodów; zielona trzcina lub sitowie nigdy nie zdobi wiecznie smutnych jego wybrzeży, w klasztorze zaś woda zamarza nawet w sierpniu.

Bezpłatnie, bez względu na stan lub religię pobożni zakonnicy przyjmują w gościnę każdego wędrownika. Jeżeli biedny, zaopatrzą go w cieplejsze ubranie, jeźli chory, pielęgnują z największą troskliwością aż do zupełnego wyzdrowienia.

Codziennie, w najostrzejszej porze roku, ile razy śnieg pada, zakonnicy uzbrojeni w długie laski, wychodzą po kilku na okoliczne ścieszki, w towarzystwie psów, które wśród najgęstszej mgły i podczas najstraszniejszych zamieci nigdy nie zawodzą.

Gdy zaspa śnieżna pogrzebie jakiego podróżnego, lub gdy go skośniałego zasypią płatki śniegu, roztropne psy zwietrzą to miejsce nawet w znacznej głębokości i nietracąc chwili, wygrzebują natychmiast nieszczęśliwych a szczekaniem dają o nich znać swoim panom. Wówczas ci wydobywają omdlałego wędrowca, przenoszą go do klasztoru i używają wszelkich środków, aby go do życia przywołać.

Psy z góry św. Bernarda są rasą pośrednią pomiędzy brytanem a wyżłem.

Są powiększej części dość wielkie, okryte długim włosem, brunatne z białemi płatami, mają kości grube, ale głowę nie wielką, kształtną.

Pomiędzy niemi najbardziej wsławił się Barry, który czterdziestu ludziom uratował życie. Ile razy zaniosło się na zamieć śnieżną, gdy mgła powstała, lub gdy posłyszał tak straszny dla ucha ludzkiego grzmot staczających się z góry śniegów, nie dał się zatrzymać w klasztorze. Bez wytchnienia biegł w około wietrząc, nasłuchując, szczekając, i rzadko powracał nie znalazłszy nikogo.

Najbardziej rozrzewniającym i najpiękniejszym jego czynem był następujący, dokonany przed pięćdziesięciu laty.

Wśród gór wiecznym śniegiem okrytych zajaśniał poranek majowy Ale zaledwie słońce wzniosło się cokolwiek w górę, zaciemniło się nagle i nastąpiła zamieć z gwałtowną

burzą, której towarzyszyły grzmoty tak często na wiosnę zsuwających się śniegów. Barry pospieszył szukać nieszczęśliwych. O godzinę drogi poniżej klasztoru znalazł na ścieżce czteroletnie dziecko, chłopczyka, którego matka, jak się później dowiedziano, uboga wdowa, puściła się z nim w podróż przez góry do krewnych. Złudzona pięknym poranki em, sądziła biedaczka, że na południe zdąży do gościnnego klasztoru, ale na godzinę drogi przed tymże, zaskoczyła ich zamieć śnieżna. Nagle z góry stoczył się niezmierny bałwan śniegu i zagrzebał nieszczęśliwą matkę. Chłopiec wycieńczony zimnem, głodem, przestrachem i trudami leżał jeszcze na ścieżce i płakał. W takim jak się zdaje stanie znalazł go Barry. Roztropne zwierzę zbliża się do niego i podnosi głowę aby płaczący malec mógł postrzedz orzeźwiający napój i chleb w koszyczku do jego szyi przywiązanym, jakie noszą wszystkie psy w służbie będące. Dziecię, które nie pojmowało widoku wielkiego brytana, przelękło się pewnie jeszcze bardziej i myślało może o ucieczce. Ale pies jakby wyższym obdarzony rozumem usiłuje ośmielić je i wzbudzić w niem ufność ku sobie. Kładzie ostrożnie niezgrabne łapy swoje na małych nóżkach chłopca i liże mu wpół skostniałe już rączęta. Te dowody uprzejmości uspokajają malca i spoufalają go coraz bardziej z czworonożnym dobroczyńcą. Usiłował podnieść się, ale nogi, ręce, całe ciało jego było już skostniałe, tak że iść nie mógł. Wszystko to wzbudziło widać szczególniejszą litość w psie, bo zaczął dawać małemu znaki zachęcające aby wsiadł na niego. Dziecię uczyniło to jak mogło, objęło go rączkami za szyję, i tak przyniósł je Barry do bramy klasztornej, gdzie pociągnąwszy zębami za dzwonek, gdy mu otwarto, pozwolił zdjąć z siebie drogi ciężar.

Czcigodni zakonnicy równie zdziwieni, jak uradowani tym nadzwyczajnym, prawie cudownym wypadkiem, czynili wszystko, aby ocalić biedne to dziecię. Ale trzeba było widzieć jaką radość okazywał Barry, gdy chłopczyk przyszedłszy zupełnie do siebie, pogłaskał go po głowie małemi rączkami. Jego matki pomimo najusilniejszych starań nie zdołano odratować.

Rozrzewniający ten wypadek sprawił nadzwyczajne wrażenie w całej okolicy, a wnet bogaty kupiec przybrał osierociałe dziecię za swoje i wychowywał je troskliwie.

Barry przez lat 12 pełnił w klasztorze znamienite usługi, poczém zaczął się starzeć, był coraz słabszy i często zapadał na zdrowiu. Ostatnią przysługę wyświadczył ludzkości wyratowaniem pewnego pielgrzyma. Bez sił prawie przywlókł się z tym nieszczęśliwym do klasztoru i położył się u nóg ojca Euzebiusza, którego najbardziej łubił ze wszystkich zakonników. — Wkrótce potem przybył do klasztoru kupiec z owym chłopczykiem, którego Barry przed siedmiu laty uratował. Pies zdawał się poznawać dawnego znajomego, podniósł się z posłania i okazywał niezwykłą radość, jakby chciał powiedzieć iż go to cieszy że tak wyrósł. Kupiec wyprosił go sobie z łatwością ponieważ był już za stary aby mógł jeszcze służyć ludzkości i zapewnił mu chleb łaskawy, na który Barry niewątpliwie zasłużył.

Przywieziony do miasta posmutniał do reszty z tęsknoty za towarzyszami młodości, za śniegami i lodami i nareszcie pewnego wieczoru znaleziono go bez życia pod łóżkiem nowego pana.

Widzieć go można w mieście Bernie wypchanego, z koszyczkiem na szyi. Kto go tam ujrzy, z uszanowaniem zdejmuje przed nim kapelusz, kupuje obrazek przedstawiający go z dziecięciem na grzbiecie, stojącego przed furtą klasztorną i pokazuje dzieciom swoim, mówiąc: Idź, i czyń podobnie jak ten miłosierny Samarytanin.

Złote ziarna.

Lepiej być i żebrakiem, ale żebrać z cnotą,
Niż siebie i kraj wieczną okrywać sromotą.

Lepszy szeląg z intraty, chociaż jest miedziany,
Niż pieniądz z złotym stęplem ale pożyczany.

Rady i przestrogi gospodarskie.

Korzystne ustawienie ulów na zimę. Pszczolarze francuscy zwracają teraz przedewszystkiem uwagę na ustawienie ulów z pszczołami na zimę. Przekonano się, że wystawianie ulów na wschód słońca albo na południe, sprawia różne niedogodności. Tak promienie słońca padające wprost na ule, rozgrzewają je, co pszczoły przebudza z ich odrętwienia. Wtedy niektóre z nich wybiegają na wierzch ula; a są i takie, co uwiedzione tem ciepłem przedwczesnem, próbują podlecieć. Zimno jednak wkrótce je ogarnia i jeżeli nie powrócą spiesznie do ula, to łatwo przepłacają życiem swoją śmiałość. Zwykle pszczoły po takim spacerze powracają do ula, z zaostrzonym apetytem i nie mając co innego, spożywają zapas miodu. Gdy takie postępowanie powtarzać się będzie często a roje nie posiadają obfitego zapasu miodu, to go wkrótce spożyją zupełnie, a wtedy zginą do szczętu, jeżeli im właściciel z pomocą nie nadejdzie. Mylnie utrzymują niektórzy gospodarze, że przez zimno zwykle ginie wiele pszczół. Nie jest to jednak zimno, które je zabija, gdyż pszczoły żyją w daleko zimniejszych krajach; zimno je odrętwia tylko, tak jak węże, bobaki i inne zwierzęta. W tym zaś stanie życie tak jest zawieszone, jak podczas snu, a to zdrętwienie przedłużone nie szkodzi im w niczem zupełnie. Najkorzystniejszem przeto jest ustawianie ulów na zimę w położeniu na północ a to pod względem oszczędzenia miodu, jak i dobrego przezimowania rojów słabych.

— *Sposób przeciw zatrzymywaniu mleka u krów.* Krowę zatrzymującą mleko można wyleczyć od tego zwyczaju, dając jej pić kwaśne mleko. Jak tylko krowa wypije mleko i zacznie wylizywać wiadro, najlepiej wtedy ją zacząć doić.

— *Młode drzewka owocowe.* Zdarza się że drzewko świeżo szczepione zakwitnie zaraz w pierwszym roku: jest to pospolicie znak, że uschnie. W drugim roku nie można mu także zostawiać kwiatu, w trzecim ledwie kilka, we czwartym i piątym więcej. Lecz nie trzeba dopuszczać żeby młode drzewko wysilało się na owoc, gdyż potem nie będzie urodzajne i prędko zmarnieje.

Rozmaitości.

Gimnastyka. Uczą teraz w niektórych szkołach miejskich a nawet i wiejskich nowej nauki, która się nazywa gimnastyką. Dla młodych chłopców, lubiących zazwyczaj biegać, skakać, wspinać się na drzewa itp. gimnastyka jest wielce ponętną rozrywką, bo nie natęża wcale umysłu zmordowanego pracą przy książce, owszem odświeża go ucząc właśnie takich rozrywek, które młodzież najbardziej lubi, jako to: maszerować po wojskowemu, rękami, nogami i głową wywijać na komendę jak żołnierze, biegać, skakać, wspinać się do góry to przodem, to tyłem itd. Nauka ta jest też dla młodzieży wielce pożyteczną, bo chłopiec, który te wszystkie ćwiczenia powtarza często pod okiem nauczyciela, rozwija się i rozrasta pięknie, nabiera sił, wytrwałości, zręczności, odwagi, wzmacnia i hartuje zdrowie swoje, a wiadomo że tylko w zdrowem ciele zdrowa mieszka dusza. Nadto ćwiczenia gimnastyczne przydadzą się wielce każdemu co ma kiedyś w wojsku służyć, bo tam znowu tych samych ćwiczeń uczyć go będą. Z tych to powodów Rada szkolna krajowa, jako najwyższa władza nad szkołami najmocniej zaleca wszystkim nauczycielom, aby naukę gimnastyki u siebie zaprowadzili, a tym, którzy ją zaprowadzą, udziela szczególne pochwały. Nauczyciele też ile możności starają się zasłużyć na tę pochwałę ale dobrzeby było, aby gminy wspierały ich w tym względzie, i aby nie stawiały trudności jeżeli zaprowadzenie gimnastyki w szkole pociągnie za sobą jaki wydatek. Nie będzie to wydatek bardzo wielki, bo kilka żerdzi wystarczy na początek; rodzice więc pragnący szczęścia swoich dziatek, pewnie worka nie poskąpią na to, co dla nich tak jest pożytecznem i zbawiennem. — W niektórych szkołach dla tego gimnastyki nie zaprowadzono jeszcze, ponieważ nauczyciele sami tej nauki nie umieją i nauczyć się nie mają sposobności. Przyszedł im w pomoc księgarz lwowski, Karol Wild, wydając książeczkę pod tytułem Gimnastyka dla szkół ludowych, z której każdy nawet wyobrażenia o gimnastyce nie mający, może dokładnie wyrozumieć jak ma ćwiczyć swoich uczniów; nietylko bowiem wszystko jest tu bardzo dokładnie opisane, ale nadto przydano 29 rycin, przedstawiających jak chłopcy wykonywać mają rozmaite ćwiczenia gimnastyczne. W każdej szkole książeczka ta, zalecona wielce przez Radę szkolną krajową znajdować się powinna, i my też najmocniej polecamy ją nauczycielom i zwierzchnościom gminnym, do których dochodzi głos Dzwonka naszego.

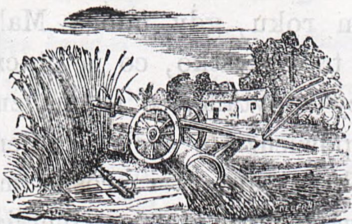
— Kto zaprenumerował „Dzwonek“ w administracyi „Unii,“ jeżeli go nie odbiera, niech się wprost do nas zgłosi. Pieniądze nam wręczono, ale dwa nazwiska były napisane mylnie i teraz trudno dojść, od kogo pochodzą.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Stanisław Nowiński. — Z drukarni E. Winiarza.

Tom I. 11. Lutego 1870. Nr. 5.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Św. Małgorzata, królewna węgierska

(1242 — 1270).

Rok 1242 w historyi wschodniej Europy krwawemi zapisany słowami. W tym bowiem roku, a raczej już pod koniec roku 1241 czerwone łuny rumieniły niebo, a krew ludzka strumieniami spływała po ziemi. Był to czas najgroźniejszego napadu Tatarów. Niezliczone hordy tatarskiej dziczy zalały całą Ruś czerwoną, a niszcząc ogniem wsie i miasta, pociągnęły aż na Kraków, który jak inne miasta zrabowano i zniszczono. Potem podzieliły się na dwa oddziały: jeden poszedł ku północy — drugi na południe ku ziemiom węgierskim.

Król węgierski Bela zatrwożony tem groźnem nieszczęściem, nie ufając już własnym siłom, uciekł się po pomoc do Boga! Gdy bowiem właśnie wtedy żona jego Marya, córka cesarza carogrodzkiego, córkę mu powiła, ślubował, iż nowo narodzone dziecię ofiaruje Bogu, jeżeli mu się tylko uda poskromić Tatarów. Bóg sprzyjał jego zamiarom; to też wkrótce Tatarzy poskromieni opuścili ziemię węgierską, a król Bela pamiętając na swoje śluby, czekał tylko chwili, kiedyby ich mógł dopełnić. Zaledwie dziecię półczwarta roku liczyło, już je oddano do klasztoru, gdzie wychowane w cnotach chrze-

ściańskich wzrastało — jak mówią — w łasce u Boga i u ludzi. Już w piątym roku, gdy młoda Małgorzata poznawać i rozumieć zaczęła to wszystko, co ją otaczało — zobaczywszy krzyż w kaplicy zapytała, co to ma znaczyć? A gdy jej jedna z zakonnic opowiedziała życie i śmierć Chrystusa, Małgorzata ucałowała krzyż święty i prosiła matkę, aby jej zrobiono maleńki krzyżyk, któryby na piersiach nosić mogła. Jakaż była radość dziecka, gdy jej przyniesiono krzyżyk zrobiony z drzewa, na którem przybito Chrystusa! W każdej modlitwie, rano i wieczór, całowała święte drzewo myśląc o Bogu. Jeszcze dzieckiem będąc prosiła, aby jej nigdy nie nazywano królewną, a gdy jej lepsze podawano pokarmy nie przyjmowała chcąc być zupełnie równą innym.

Gdy już urosła i zajaśniała wykształceniem, cnotami i urodą ciała, król polski prosił o jej rękę — ale ona odmówiła niechcąc opuszczać klasztoru. Podobnie uczyniła z królem czeskim i sycylijskim mimo namowy rodziców i samego papieża.

Złożywszy przeto przysięgę, została w klasztorze.

Siostry w zakonie, ubodzy i chorzy w całej okolicy zwali ją swym aniołem, wszystkie bowiem kosztowności i podarunki jakie otrzymywała od rodziców, rozdawała między ubogich, chorych doglądała i w potrzebne lekarstwa zaopatrywała.

Razu pewnego zdarzyło się, iż zimową porą idąc z przełożoną klasztoru przez ulicę, ujrzała żebraka, w podartym ubiorze trzęsącego się od zimna. Zdjęta litością i współczuciem — za pozwoleniem przełożonej zdjęła z siebie cieplejsze odzienie i dała je żebrakowi, a sama wróciła do klasztoru.

Siostry w zakonie doznawały od niej prawdziwie anielskiej opieki. Ona je w smutku pocieszała, w słabości doglądała — a w cnotach wzmacniała. To też słusznie nazywano ją aniołem.

Smutek powszechny zapanował w sercach biednych ludzi i towarzyszek zakonu gdy r. 1270 w 28 roku życia po krótkiej słabości zasnęła w Bogu w dniu, który kilka dni przedtem sama przepowiedziała.

Kościół obchodzi jej święto dnia 19go Lutego.

Trzy brzozy.

Przez księdza Wojciecha z Zaleszan.

Wieś Tatarynka ma na sobie to pamiętne, że ją założył król polski z jeńców tatarskich, których wojsko polskie zabrało na wojnie do niewoli, a król dobry nie kazał ich ani wygubić ani zmarnować, ale podarował dla nich dużo pola z lasami i dopomógł im wystawić wieś ładną, dał im księdza aby ich nauczał pacierza św. i przykazań boskich, aby ich dobrowolnie ochrzcił. Tak też stanęła za kilka lat wieś ładna i wielka, a na wieczną pamiątkę, że ją Tatarzy założyli, została nazwaną Tatarynka. Ale ma ta wieś drugą dobrą pamiątkę, że zaraz od samego początku fundowała przy kościele szkołę dla siebie i dla pobliskich wsi, aby tam dzieci pobierały potrzebną naukę. —

Otoż dwa roki temu zaszedłem ja w góry, które zowią Tatrami, a gdzie jest wiele gadek różnych o Tatarach między góralami. Tam w tych górach kryli się królowie, panowie, księża i lud polski i z Węgier przed napaścią Tatarów, tam zostawiła pamiątki po sobie św. polska patronka Kunegunda, Salomea, Helena, a kto wie, może i te wielkie góry zostały nazwane Tatrami także od Tatarów dawnych. Nająłem sobie furmana Szymka Gardziela i z nim przejeżdżałem przez wieś Tatarynkę. Patrzę, a w tej wsi kościół i cmentarz w wielkim porządku, szkolny dom paradny, jak jaki dworek, chałupy porządne, koło nich sady, pasieki, drogi równe, a po chałupach trzask i wrzask wielki, bo tam różni rzemieślnicy wyrabiali to wozy, to beczki, to łyżki i przeróżne stoły, wrzeciona itd., które wożą na targi do Nowego Targu albo Sącza, a nieraz i do Tarnowa, Krakowa albo i dalej. — Lud jak dęby i czysty jak świece, a zamożny jak mało gdzie natrafić na coś podobnego koło nas i w naszych stronach. Widząc to uradowałem się bardzo i rzeknę do Szymona:

— Patrzajcieno Szymonie! widać w tej wsi dużo dobrego, kiedy jest dużo błogosławieństwa bożego. —

A Szymon powiada:

— Ale gdzie u ludzi grzechy i dużo złego, tam nie ma z Nieba pociechy, tam brak wszystkiego. —

— To święta prawda Szymonie! mówiłem ja; gdyby to wszyscy ludzie uważali na te słowa i słuchali, co te słowa nauczają, toby byli tak szczęśliwi, jak i ci w Tatarynce — siedzą na górach, bliżej Nieba, daleko od zepsutego świata, znają, naprzód Boga, a Bóg sypie z obłoków rosę, na roli śliczne zboże a nie stokłosa, w stajni chowa się ładne bydełko jak gdyby z pudełka a cała wieś bogata i zdrowa, ha! bo ją Bóg strzeże i chowa!

A Szymon zdjął czapkę na moje ostatnie słowa i powiada:

— Niedziwota temu, że ci ludzie tacy i zawsze jednacy, bo to oni mieli prawa takie jak panowie, zawsze tu wielka pobożność z dawien dawna, ochota jeszcze większa na wszystko dobre, a ile to ich wyginęło za polski kraj na wojnach ze Szwedami, Moskalami, toby stanęła druga wieś taka a kto wie, może i dwie wsie takie.

— No! rzekłem ja, teraz jestem w domu i wiem, dlaczegoto ci gazdowie tacy ubłogosławieni zawsze od Boga!

A Szymon dodał jeszcze:

— Tu w tej wsi nie ma żaden ojciec kłopotu z synami, bo jak którego oddadzą do wojska, to zostaje starszym i albo nigdy nie wraca do dom albo wraca z takim chlebem łaskawym od Cesarza, że jemu wystarcza i rodzina ma pomoc od niego, a on jest mądrym radnym, albo pisarzem gromadzkim, albo idzie do szkoły i tam pomaga dzieci uczyć. Tak samo bardzo wiele dzieci rozchodzi się ztąd po całym świecie i każdy ma kawałek chleba między ludźmi. Ztąd więcej ludzi żyje w świecie, niż w tej wsi, tu zostaje tylko najpotrzebniejszy aby nie puścił z rąk ojcowizny, aby ród jego nie zaginął.

— To wszystko robi, mój Szymonie, rzekłem ja, wiecie co? Bojaźń Boga i nauka dobra. Kto umie wiele rzeczy rękami, ten się pomieści między krajanami, a komu dostała się jaka taka oświata, ten może iść i na koniec świata, a nic mu bieda nie zrobi. I tak jadąc rozmawialiśmy o różnych rzeczach gromadzkich, aż na końcu wsi ujrzałem w kupie trzy brzozy, wszystkie jednakowo grube i wysokie, jak trzy rodne siostry,

bieluśkie jak trzy dusze czyste i niewinne, a z konarami swemi były podobne do wielkiego brogu. Myślę sobie, to dobry zwyczaj dawny sadzić tak trzy po trzy dęby, lipy, brzozy, wiązy koło domu i mówię do Szymona:

Widzicie Szymonie te trzy brzozy, jak trzy panny niewinne z włosami rozplecionemi aż do ziemi świętej.

— Ha! widzę, powiada Szymon, to dobre dla cienia w lecie, dobre na opał, na wozy, a gałęzie dobre na miotły.

Ja zaś dodałem;

— A młode gałązki z pączkami zrywać i wygotować dobrze w wodzie pod pokrywką i w takiej letniej wodzie moczyć zbolałe rany, wrzody na nogach i rękach, to dobre lekarstwo, jeno trzeba codzień 3 razy wymoczyć po godzinie w jednej takiej wodzie — a na inne dni trzeba znowu odmieniać tę wodę. Ja Szymonie! zgoiłem tysiące takich ran ludziom biedakom tym sposobem. Dobre lekarstwo także i serwatka na takie wrzody. A znowu sokiem brzozowym smarować plamy na ciele, także pomaga. Na puchlinę zaś bardzo dobre są świeże liście brzozowe, okładać chorego opuchłego temi liściami, a puchlina pojdzie z Bogiem. —

Ale coraz bliżej zobaczyłem na środkowej brzozie jakieś czarne znaki. Zwyczajnie na białej łupinie było widać dobrze. Patrzę a to była wyrznięta liczba i na górze krzyżyk.

Wołam zaraz na Szymona:

— Stańcieno Szymonie! ja zobaczę i odczytam ten napis na brzozie środkowej. Idę i czytam rok pański 1820 i więcej nic. Co to ma znaczyć? A Szymon powiada:

— Tu w tej wsi miało się coś stać, tak rozgadują górale, ale ja już nie pamiętam tego.

Ja poszedłem do bliskiej chałupy; zapukałem do sieni, otworzył mi drzwi starowina siwiutki, który miał połowę twarzy ze znakiem, jakby mu kto skórę odarł z niej i na oko nie widział, ale chłop jak naszych dwu razem. Pochwaliłem Boga, on mię przywitał, usiadłem na progu i mówię:

— Mój panie Ojcze i szanowny staruszku! bądźcie też tak dobrzy i powiedźcie mi, na co to stoi ta liczba z krzyżykiem na brzozie tu za waszą chałupą?

A starowina rzecze:

— Niechno Jegomość pofatyguje się tam na ten plac, to ja pokażę i opowiem wszystko.

I poszliśmy. Było nas tam trzech z początku, ale wnet przyszli i ludzie ze wsi do nas. Starowina jął tak opowiadać:

— Pamiętam jak dziś, bo byłem sporym chłopakiem, jak tu na tym placu była ostatnia chałupa, gdzie gospodarował Walek Kuterba. Na to rozśmiał się mój Szymon, a starowina mu wypalił tak:

— Nazwisko, przezwisko nie błoci, jak są zasługi, tak też nikogo nie ozłoci, gdy są grzechy i długi. Kuterby pochodzą z pradziadów, byli tu gazdami, trochę to patrzy z tatarska, a nie z polska, ale to wszystko nic nie znaczy — mieli oni zasługi, ale i przewinili nie mało. Gdy konik ma obroku dużo, to bryka i fika, jak głupie zwierze, tak też i ludzie; jak jest chléb i grosz, to mu groź i groź, a on zapomina na Boga i na ludzi i na swoję duszę. A to i praca przeminie, jak się człek z Bogiem rozminie, a znowu przybywa praca, jak się głupi człek do Boga nawraca. I ojcowie tego Walka trzymali się dobrze, ale Walek poszedł za światem, pogardził bratem, nie dbał co Boża wola, aż go spotkała ciężka niedola. Było ich dwóch braci na gruncie ojcowskim — ale nie było tu ani we dnie ani w nocy zgody, jeno kłótnia ciągła i obraza Boga, aż się całej wsi uprzykrzyło. Na procesa poszło pół pracy ojcowskiej, na pijatykę poszła jedna część, a resztę przejedli, bo przez 3 roki ani siali, ani zbierali, jeden drugiemu zabraniał orać, i tak została tylko chałupa goła, a za chałupą grunt zarosły trawą gdzie się ludzkie bydło pasało. Tak było aż do tego roku jak stoi napisane na jednej brzozie.

— A gdzie się podziała i ta chałupa? pytałem rozciekawiony. —

— Z tą chałupą tak się stało, rzecze starowina: Gdy już wytracili do ostatniej koszuli ci bracia, młodszy z nich Józek Kuterba zaniemógł i tak się rozchorował, że nie było ratunku dla biedaka. Gdyby brat Walek był lepszym bratem i dał choremu ratunek jaki na początku zaraz, toby go był jeszcze uratował, ale Walek zacięty chodził koło pościeli chorego

jak mruk i czasem tylko popatrzył na brata czy jeszcze żyje, a potem zgrzytnął zębami i poszedł z chałupy. Ludzie tylko zaglądali do chorego i przynosili mu posiłek, przedstawiali Walkowi, aby był lepszym bratem i gadali mu:

— Ej Walku nieboże! i na ciebie to samo spaść może pamiętaj że i ty zginiesz jak sierota, a może gdzie na drodze koło płota. Pojednajcie się choć w ostatniej chwili, bo może Bóg wam dłużej tak robić nie pozwoli — pamiętaj Walku, brat ginie, ale ty może jutro pójdziesz za nim przed Boga! Ale Walek stał jak kamień na brata stękanie i na ludzi gadanie. Zawołali ludzie księdza z Panem Bogiem do chorego. Cała wieś stanęła koło chałupy Walka.

— No! przerwałem ja zdziwiony, toż teraz pewnie twardy Walek zmiękł i dał się pogodzić z konającym bratem?

— Ale gdzie tam! rzecze starowina ze łzami; kiedy ksiądz szedł do chorego brata, to Walek łap czapkę z kołka na głowę i zmykł w pole a wtedy aż jękli ludzie od żalu i strachu a ja wtedy żwawy chłopak pognałem za Walkiem i wołałem, że go ksiądz woła, aby się choć pożegnał z konającym, a ten niecnota zakamieniały i zły katolik palnął mię tak pięścią w głowę, że mi potem aż skóra zlazła z połowy twarzy i pono przez to zostałem ślepy na oko. Niech mu tam Bóg podaruje tę winę, on i tak został nieszczęśliwy, i już nie chodzi po świecie, a ja żyję z łaski Boga przecie.

— A cóż ksiądz na towszystko? zapytał zdziwiony Szymon, mój furman.

— Ksiądz, powiada starowina, przygotował na śmierć Józka, kazał darować Walkowi, ludzi napomniał, by tak nie robili, a Walka w modlitwie oddał na rękę Boga i przykazał aby mu nikt nic złego nie robił.

— No! zapytałem ja, a coż Walek zrobił?

— Walek, jak zły Walek, rzecze starowina, wrocił do chałupy, gdy się ludzie rozeszli, nawymyślał się na Józka, potem porwał go w ręce, wyniósł na dwór pod ścianę, ale biedny Józek skonał wnet. I rozpłakał się starowina, mnie także zakręciło się w ocazch a Szymon odszedł ku brzozom zapłakany.

— No! mówię ja, to teraz Walek dopiął swego niedobrego i został sam jeden na gruncie, ale mu pewnie niewyszło na dobre.

— Tak się stało może w godzinie, rzecze starowina. Byłoto pono tydzień po Bożem Ciele; ja byłem także w kościele i wróciłem do tej samej chałupy, gdzie teraz siedzę. Matka wzięła mię na pole do roboty koło ziemiaków. Wnet słonko miało zachodzić i my wróciliśmy do dom, mówiąc po dro

dze Anioł pański, bo było słychać dzwonienie na pacierze. Na zachodzie słonka były chmurki, ale jedna najczarniejsza i wiatr pociągał zachodowy, a chmurka czarna leciała sama jedna ku nam i łyskało się w niej i trochę raz zagrzmiało. Ja się przeżegnał na to i zacząłem lecieć ku chałupie wołając na matkę, aby się spieszyła. Wziąłem matce motykę z ręki i płachtę z chwastem, aby jej było lżej iść i byłem kilka kroków od chałupy, patrzę! a chmura coraz większa i już jednym rogiem przytyka do końca wsi naprost chałupy Walkowej. Ha! myślę sobie, chmura ta chmura, będzie lato, aż tu słyszę, że coś strasznie trzasło, aż ziemia zadudniała. Patrzę z pod mojej ściany, a dach z Walka chałupy lata w górze jak pazdzierze, a drzewo wszystko zwinięte i zwalone na jednę kupę tak, że ani poznać, gdzie była chałupa. Krzyknąłem aby ratować chorego Józka i Walka, bo nic nie wiedziałem, co się stało, aż ludzie nadbiegli i powiedzieli mi, że Józek skonał przed godziną i leży pod ścianą, a Walek w domu. Deszcz nie lał jak pięć pacierzy, chmura poleciała jak przyszła; ludzie rozebrali zwalone drzewo i znaleźli Walka ciało na miazgę zgniecione tak, że aż oczy z głowy na wierzch wylazły a ręce i nogi na drobne kawałeczki połamane a z Walka chłopa dużego i mocnego zostały kosteczki, które wyglądały w skórze jak woreczek sieczki.

Zdumiałem się na to opowiadanie starowiny i powiadam:

— To były naraz dwa pogrzeby tych braci, którzy się całe życie kłócili, bili, pili i procesowali! Ha! tak im dał Bóg śmierć, jak sobie zasłużyli. Ale powiadam dalej, to pewnie ksiądz wasz kazał tu posadzić te płaczące trzy brzozy i napisać to na wieczną pamiątkę, aby ludzie wiedzieli, jaki to Bóg cierpliwy ale i sprawiedliwy. —

Starowina mówił:

— Ksiądz kazał posadzić, a jak urosły, zgrubiały, to nasz jeden wyrznął nożykiem na nich te liczby i tak to stoi.

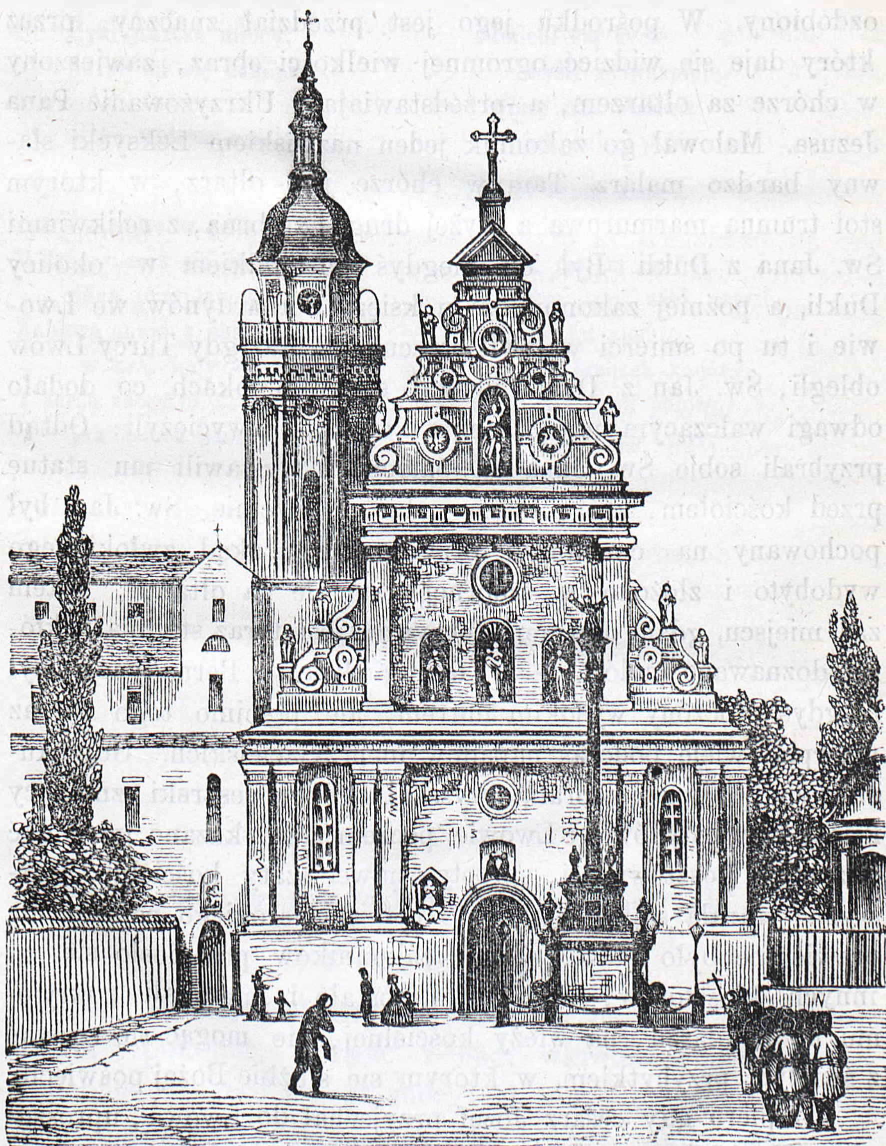
Ja odezwałem się do ludzi:

— Macie dobrą naukę w waszej wsi od ludzi ale i od samego Boga. Pamiętajcie na to, że między dobremi znajdzie się i zły — ale złych nie trza gnębić, prześladować, tylko przykładem, nauką i radą ich dusze ratować, trza mieć politowanie nad grzesznemi, a Bóg sam niech robi sądy z niemi. Wam staruszku dobry Bóg zapłać za opowiadanie, a ja to kiedyś opiszę w Dzwonku, drugim do czytania.

I odjechałem dalej. A wy co to czytacie, bierzcie sobie dobrze na uwagę, abyście byli takiemi, jak w Tatarynce są ludzie. a nie robili tak, jak ci dwai bracia.

Na placu tym nikt nie chce stawiać chałupy, a grunt po Koterbach rozkupili i za to szpital postawili. I wy tak róbcie!

Opiszemy wam jeszcze inne historyjki tak z gór, któreśmy słyszeli, jak i od Sandomierza, gdzie teraz nauczamy braci waszych. Żyjcie z Bogiem!



Kościół księży Bernardynów we Lwowie.

Nie tak pięknym ani bogatym jak krakowskie, ale także dość ozdobnym jest kościół księży Bernardynów we Lwowie pod

wezwaniem Św. Jędrzeja. Zbudowany jest z ciosowego kamienia i ozdobiony figurami świętych, także z kamienia wyciosanemi. Wnętrze jego niezwykłą uderza okazałością. Ołtarze są pięknie wyrzeźbione, suto złocone i obrazy w nich piękne.

Wielki ołtarz jest najpiękniejszy, postaciami świętych ozdobiony. W pośrodku jego jest przedział znaczny, przez który daje się widzieć ogromnej wielkości obraz, zawieszony w chórze za ołtarzem, a przedstawiający Ukrzyżowanie Pana Jezusa. Malował go zakonnik jeden nazwiskiem Leksycki sławny bardzo malarz. Tam w chórze jest ołtarz, w którym stoi trumna marmurowa a wyżej druga, srebrna, z relikwiami Św. Jana z Dukli. Był on niegdyś pustelnikiem w okolicy Dukli, a później zakonnikiem u księży Bernardynów we Lwowie i tu po śmierci wsławił się cudami. Raz gdy Turcy Lwów oblegli, Św. Jan z Dukli ukazał się w obłokach, co dodało odwagi walczącym mieszczanom, tak, że zwyciężyli. Odtąd przybrali sobie Św. Jana za patrona i wystawili mu statuę przed kościołem, którą także widać na rycinie. Św. Jan był pochowany na cmentarzu przy kościele, zkąd zwłoki jego wydobyto i złożono w srebrnej trumnie na ołtarzu, w tem zaś miejscu, gdzie dawniej spoczywał, jest teraz studnia u której doznawano cudów. — Klasztor księży Bernadynów był niegdyś otoczony wysokim murem, ale pomimo tego nieraz ucierpiał wiele podczas napadów nieprzyjacielskich. Gdy Austryjacy Galicyę zabrali, wyszedł dekret cesarski znoszący księży Bernardynów we Lwowie, poczem zaraz kazano im oddać wszystkie kosztowności, sprzęty, nawet szaty kościelne Starszyzna starała się w Wiedniu o cofnięcie srogiego nakazu, ale prawie nie było nadziei. Wielu zakonników przeniosło się do innych klasztorów, kilku tylko zostało i mieszkali pokryjomu na poddaszu, na wieży kościelnej, nie mogąc się rozstać z świętym przybytkiem, w którym się służbie Bożej poświęcili.

Dopiero gdy cesarz Józef przyjechał do Lwowa, uproszono go że klastor z kościołem na powrót oddał księżom Bernardynom.

Krakowiak.

Szumi wietrzyk szumi
marszcząc Wisły wody
A ja sobie śpiewam
Kiedym jeszcze młody,
Bo gdym jeszcze młody,
świat mi się uśmiecha,
I wesołej piosnce,
ciche wtórzą echa.

Wisły fale płyną
Wygięte w półkola —
Wkrótce czas się zmieni
inna przyjdzie dola:
Zabiorą mnie z chaty
w kraj inny — daleki,
I serce zatęskni,
jak szmer naszej rzeki.

Pada listek pada
od wiatru jesieni,
Tak się z czasu biegiem
i życie odmieni.
Odmieni się życie,
myśli spoważnieją,
I włosy nad skronią
jak śnieg pobieleją.

Szumi lasek szumi,
mieszając powietrze,
A nad mojem czołem
siwy włos wiek zetrze.
I zgięty ku ziemi
jak brzozek konary . . .
W zimny grób położę,
moje kości stare.

Wieje wietrzyk wieje
pędząc Wisły wody,
Więc ja sobie śpiewam,
pókim jeszcze młody.
I młody i hoży
gonię piosnek echa,
Dokąd jeszcze w koło,
świat mi się uśmiecha.

F. z n. L.

Waszemu zdrowiu na pożytek.

Krótka nauka o śnie.

Gdy się człowiek zmęczy pracą ręczną, albo chodzeniem, usiada spokojnie, a ręce i nogi wkrótce sobie wypoczną. Podobnie jak ręce i nogi, mózg człowieka także pracuje ciągle, a nawet więcej jak one: bo i wtedy, gdy ręce i nogi odpoczywają, człowiek myśli ciągle o czemś, ciągle coś rozważa, układa, oblicza, ciągle mózg swój do ustawicznej pracy przymusza. Mózg więc także potrzebuje spoczynku; jedynym

zaś, ale też wybornym dla niego spoczynkiem, jest sen. Wszystkie istoty posiadające mózg, potrzebują snu.

Mózg wzmacnia się we śnie do dalszej pracy, tak jak się ręce i nogi wzmacniają wypoczynkiem. Ale bardzo często i to z rozmaitych przyczyn, mózg, mimo woli i chęci naszej, pracuje i wtedy, gdy spimy. Gdy się nam we śnie nasuwają jakieś obrazy i widziadła, gdy się snują przed nami różne zdarzenia, to wesołe i przyjemne to znowu okropne i przerażające, gdy się nam zwidują jakieś osoby udzielające jakoby przepowiedni i przestróg, jest to wszystko pracą i zupełnie bezpożytecznem natężeniem naszego mózgu. Są to senne marzenia, senne złudzenia, do których żadnej wiary przywiązywać się nie godzi i które, jeżeli się czasem sprawdzą to tylko przypadkiem. — Bóg wiara, sen mara, mówi przysłowie. Wiara w sny, wyprowadzanie z nich wróżb, układanie numerów na loteryę itp. jest nietylko bezpożyteczną, ale i grzeszną zabawką. — Bądź co bądź, ponieważ sen ma być dla mózgu wypoczynkiem, a marzenia senne są dla niego nową i męczącą pracą, przeto sen połączony z marzeniami, nie jest tak orzeźwiającym jak spokojne, twarde spanie bez marzeń.

Przychodzi czasem na ludzi dziwna choroba tego rodzaju, że ci, którzy w nią popadną, wykonują we śnie z zamrużonemi oczami rozmaite czynności, a nawet oknami wychodzą i wspinają się wysoko. Ludzie tej chorobie podlegający nazywają się lunatykami.

O tej chorobie jakoteż o śnie czasem kilka dni bez przerwy trwającym, który zowie się letargiem, innym razem mówić będziemy; teraz zaś jeszcze tylko kilka przestróg, jakim sen być powinien, aby nas jak należy pokrzepił.

Aby sen mógł nas prawdziwie pokrzepić, winien być dość długi, spokojny, twardy, nieprzerywany. W pierwszych chwilach po ułożeniu się na spoczynek bywa najtwardszy i najspokojniejszy, dla tego najbardziej potrzeba się wystrzegać aby go wówczas nic nie przerywało. Izba w której sypiać mamy, powinna być dość obszerna, dość ciepła i cicha, z powietrzem czystem, suchem powinna mieć okna zwrócone ku zachodowi lub południowi, lecz nie w tę stronę z której wydo-

bywa się wilgoć lub smrodliwe powietrze. Wielce to zdrowiu szkodzi gdy powietrze w izbie do spania przeznaczonej jest zanieczyszczone smrodliwemi wyziewami, a jest takiem wtedy, gdy w tej samej izbie oprócz ludzi, sypia bydło i drób, gdy zbyt wiele ludzi spi w jednej izbie, gdy pościel na której sypiają jest nieczysta i rzadko lub nigdy nieprzewietrzana, gdy dym z pieca wychodzi na izbę, gdy się wreszcie suszą w izbie chusty świeżo wyprane. Podobnież zanieczyszczają powietrze w izbie zbytnie zapachy z kwiatów. Aby więc tego uniknąć i zdrowia nie narażać, potrzeba częstem otwieraniem okien odświeżać powietrze w izbie do spania przeznaczone. Najbardziej szkodliwem jest zaczadzenie przez zawczesne zatkanie pieca, ale spanie przy otwartem oknie, pod zimną ścianą, naprzeciwko okien i drzwi, z powodu przeciągów również łatwo może zaszkodzić. Łóżko powinno być dość długie i szerokie, na niem pościel ani za twarda, ani za miękka, ani za zimna, ani za ciepła, a przedewszystkiem czysta. Ponieważ głowa powinna leżeć nieco wyżej niż całe ciało, przeto poduszka nie ma być zbyt mała. Małe dzieci, osoby stare i słabe potrzebują cieplejszej pościeli. Spanie jednak kilku osób w jednem łóżku aby im cieplej było, zwłaszcza słabych z zdrowemi, dzieci z staremi, wcale się ani jednym ani drugim nie przyczynia do zdrowia. Czy się spi na prawym, czy na lewym boku jest to zupełnie wszystko jedno, niech więc każdy tak spi jak mu lepiej.

Kto jest zdrów i dnia nie zmarnował na próżnowaniu ten pewnie dobrze spać będzie w nocy, byle tylko przestrogi powyższe zachowywał. Bezsenność jest chorobą bardzo męczącą, dlatego kto jej podlega, winien zawczasu udać się do lekarza. Aby tej choroby uniknąć, potrzeba idąc spać nie objadać się zbytecznie, unikać rozdrażnienia, gwałtownych uniesień i trosków. Często i wtedy zasnąć nie można, gdy się idzie spać zupełnie głodnym, ale wówczas łatwo sobie poradzić bo lekki posiłek niebawem sen przywróci. Niektórzy rodzice gdy ich dzieci popadną w bezsenność, używają różnych środków szkodliwych, aby je do spania pobudzić. Jedni radzą na to kąpać dzieci w odwarze główek makowych, drudzy twier-

dzą że trzeba wówczas kołysać mocniej niż zwykle, inni wreszcie zalecają dawać dzieciom wódkę. Wszystkie te środki na bezsenność dzieciom zalecane są bardzo szkodliwe i bywają powodem że dzieci dostają zapalenia mózgu, konwulsyi, lub zapadają na wodę w głowie. Dlatego żadna dobra matka, pragnąca dziecię swoje wychować i doczekać się z niego pociechy, takich środków nigdy nie używa, lecz ujrzawszy że dziecię jej sypiać nie może, dochodzi przyczyny tego, a wreszcie udaje się do lekarza. Niebezpiecznie jest także kłaść niemowlę obok siebie w łóżku, bo zasnąwszy twardo, można je zadusić.

O bezsenności osób dorosłych tyle jeszcze powiem że pewien król, wezwał raz siedmdziesięciu uczonych i radził się co ma czynić, aby w nocy mógł spać dobrze; a uczeni odpowiedzieli mu, że najlepszym na to środkiem jest pełnienie dobrych uczynków we dnie a rozmyślanie o rzeczach boskich i niebieskich wieczór. Ale bo też sen tak jest podobnym do śmierci że niepodobna udać się na spoczynek bez pomyślenia o Bogu, bez modlitwy. Idąc więc spać prośmy Boga aby odwrócił od nas nocne przygody, aby czuwał nad nami i spijmy tak, aby i sen nasz chwalił Boga, a te kilka godzin nocy przeminą nam spokojnie i przyjemnie.

St. Krakowczyk.

Złote ziarna.

Padnie taka budowla, gdzie grunt nie jest stały.
Chcemy nasz stan, stan kraju ustanowić trwały,
Odmieńmy obyczaje, a jąwszy się pracy,
Niech będą dobrzy, będą szczęśliwi Polacy

Tyś czuła boleść o Matko jedyna,
I siedm mieczów było w Twojem łonie
Kiedyś na krzyżu zobaczyła syna —
Chciej dziś cierpiącym stanąć ku obronie.

Rady i przestrogi gospodarskie.

— Liszaje u bydła dorosłego i cieląt. Bydło mające liszaj wylizuje go bezustannie ostrym językiem aż do krwi, co mu tem łatwiej, że liszaj u bydła dorosłego zjawia się najczęściej na krzyżu przy ogonie i zajmuje ogon. Cielęta dostają go nietylko na krzyżu, ale i na szyi.

Cobądź używa się na zgubienie liszaja', to potrzeba bydło krótko wiązać, aby użytej na liszaj maści nie zlizywało, a cielęta odłączać, aby jedne drugim miejsc smarowanych nie zlizywały, a zatem kuracya taka połączona jest z wielkiemi trudnościami, trwa długo, a nie zawsze skuteczna; bydło mizernieje coraz więcej, bo krótko uwiązane, nie mogąc językiem świerzbiącego miejsca dosięgnąć, niepokoi się, szarpie na uwięzi, i jeżeli w oborze jest takich sztuk kilkanaście, potrzeba pilnego dozoru, aby nie było jakiego wypadku.

Liszaj w oborze należy do bardzo często trafiających się wypadków, powstaje ze zbyt zimnej lub zbyt ciepłej obory, a często z nieporządnego utrzymywania.

Najprostszym, najzupełniej skutecznym, prędko działającym a żadnego zachodu niewymagającym, jest środek następujący:

Najprzód miejsce dotknięte liszajem wymywa się dobrze mydłem, obciera się do sucha czystą szmatą, a tymczasem przyrządzone być powinno takie smarowidło:

Bierze się krążek *paku* czyli tak zwanej *szewskiej smoły*. Na żarzących wolno węglach rozpuszcza się smoła w ryneczce glinianej, a gdy dostatecznie roztopioną została. wlewa się do niej mały kieliszek kwasu siarczanego (*witriolu*), to się dobrze wymięsza, i gdy ochłodnie trochę, aby jednak dobrze ciepłe było, niesie się do obory, a tam zamięszawszy, macza się pędzel i tym nietylko sam liszaj, ale jeszcze dalej poza nim naokoło na parę cali i okolicę liszaja zamazać trzeba.

Co dopełniwszy, smoła bardzo prędko w twardy plaster zasycha. Bydlę nie jest w stanie jej zlizać i po kilku daremnych usiłowaniach pozostaje spokojne. Kwas siarczany natychmiast niszczy zgniliznę liszaja, a smoła dobrze do ciała przy-

stając ochrania miejsce, obrażone od działania powietrza i od dalszego ranienia ostrym bydlęcia językiem.

Gdy pod taką skorupą liszaj się wygoi, skorupa wtedy sama odpada, i wtedy miejsce przedtem krwawym liszajem zajęte i zeszpecone okaże się najzupełniej czyste, z nowym zdrowym nadskórkiem, który szybko szerścią pokrywać się zacznie.

Jeden krążek smoły i mały kieliszek kwasu wystarcza mniej więcej na jeden duży liszaj.

Nic nie zaszkodzi użycie smoły w większej ilości, ale w użyciu kwasu trzeba być umiarkowanym, gdyż nadmiar jego byłby szkodliwym, na co szczególnie przy użyciu go dla cieląt, mających cieńszą skórę, uważać potrzeba.

Rozmaitości.

Tania wieczerza. Pewien biedak, mający kilkoro dzieci, wynalazł ciekawy sposób oszczędnego ich wyżywienia. Oto gdy wieczór nadchodzi i dzieci radeby się czem posilić nim pójdą na spoczynek, tak się z niemi układa:

— Moje dzieci! które z was pójdzie spać bez wieczerzy, dostanie dwa grosze.

— Ja wolę dwa grosze jak wieczerzę, ja wolę dwa grosze jak wieczerzę, wołają dzieci.

Każde więc dostaje dwa groszy i idą spać głodne. Nazajutrz gdy dzieci powstawają i zaczynają upominać się o śniadanie, ojciec tak im powie:

— Moje dzieci! kto chce jeść śniadanie, musi dać dwa grosze.

Dzieje narodu polskiego. Wyszła pod tym tytułem bardzo piękna i pożyteczna książka, ułożona przez Józefa Chociszewskiego. Napisana jest jasno, przystępnie i ozdobiona sześćdziesięcioma obrazkami. Oprócz wielu innych zalet ma i tę, że jest bardzo tania, to też ani wątpić że wszystkie czytelnie i biblioteczki nie omieszkają zaopatrzyć się w to piękne dziełko.

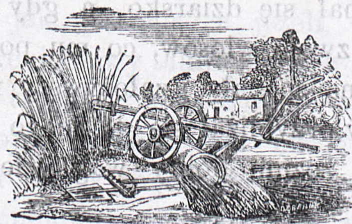
Na początku jest wstęp objaśniający dlaczego znajomość Dziejów narodowych jest potrzebną każdemu człowiekowi, choćby on był tylko prostaczkiem lub dzieckiem nawet; wstęp zaś ten rozpoczynają następujące piękne wiersze księdza biskupa Krasickiego.

Święta miłości kochanej ojczyzny,
Czują cię tylko umysły poczciwe.
Dla ciebie zjadłe smakują trucizny,
Dla ciebie więzy, pęta niezelżywe!
Kształcisz kalectwo przez chwalebne blizny.
Gnieździsz w umyśle rozkosze prawdziwe.
Byle cię tylko można wspomódz, wspierać,
Nie żal żyć w nędzy, nie żal i umierać.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Stanisław Nowiński. — Z drukarni E. Winiarza.

Tom I. 21. Lutego 1870. Nr. 6.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Serdeczne słowo.

przez Jana Kantego Gregorowicza.

W dzień Św Piotra i Pawła uroczyście święcony przez cały świat chrześciański, we wsi Dembicach położonej w ziemi Sandomierskiej, cisza prawdziwie świąteczna zaległa całą wioskę. Nigdzie nie było słychać najmniejszego gwaru, zaniemiały głosy skrzętnej pracy, nawet dobytek wiejski leżał spokojnie zamknięty w chlewach i oborach. — Tylko ptaszyny swoim zwyczajem świegoliły rezolutnie, brzęczały pszczoły, dzwoniły w górze skowronki i klekotał bocian stojąc na gniaździe na wysokiej osicy umieszczonem. —

Przed jednym z domów wiejskich, za którym znajdowały się przynależne budynki gospodarskie, na ławeczce siedział włościanin osłonięty cieniem domu. — Czytając z kiążki nabożnej litanię do Najświętszej Panny, czasami rzucał spojrzenie na drogę i niedalekie wzgórza, jakby z tej strony wyczekiwał czyjegoś przybycia. —

Był to Mateusz Bogucz, gospodarz rolny w Dembicach, człowiek zamożny, uczciwy i pracowity, który zabiegłością i oszczędnością, mienie zostawione mu przez ojców prawie podwoił i uważany był przez wszystkich za najbogatszego. —

Piękna to była postać: wyniosły jak topola, pomimo lat pięćdziesięciu, trzymał się dziarsko, a gdy się wyprostował, gdy ugładził gęste zwoje włosów, co mu po obu bokach łysej głowy aż na ramiona spadały i założywszy rękę za pas, spojrzał w górę, to każdy przybliżał się do niego z poszanowaniem, bo czuł, że tam i rozum dobry w głowie i serce poczciwe bije w piersi. —

Powiadają jednak że Mateusz był dumny, że nie lubił się bratać z byle kim i że często ostrem słowem karcił zuchwałość i nieoględność ludzką nie obwijając słów swoich w bawełnę.

Taka prawdomowność gniewała ludzi, szczególnie też nicponiów, gdy nadskoki o wyłudzenie pożyczki nie zdołały go poruszyć. — Ale Mateusz na to nie zważał a odganiając od siebie jak natrętne muchy podobnych uprzykrzeńców, prawdziwej niedoli nigdy nie pominął, i nie tylko wsparł bez prowizyi ale i przytulił, gdy tego zaszła potrzeba. — Bano się go więc, ale i szacowano, a niejedni ojcowie starali się o bliższą przyjaźń, pragnąc w jedynej jego córce Wiktosi zyskać synowę, która jeżeli nie przewyższała urodą inne dziewczęta wiejskie, za to posiadała wiano jakiem się żadna pochlubić nie mogła. —

A śliczna to była dzieweczka, młodziutka bo w szesnastej dopiero wiośnie, smagła jak łania, rumiana jak różyczka, figlarna niby ptaszek świeżo z gniazda wyfrunięty, a mimo tego skromna i niewinna, podobna do kwiatka, co rozwinięty z pączka, krasą listków swoich chwali Pana wszechrzeczy i obudza ludzkie uwielbienie. — Nic też dziwnego, że dzieweczce tak urodnej, posażnej i powabnej oddawano pierwszeństwo przed drugiemi, a choć rodzice strojów nie żałowali, choć ją strzegli jak oka w głowie, z pracy jednak nie zwalniali, bo wiedzieli to dobrze, że ona tylko jedna, co zdobi prawdziwie człowieka. Komu jednak miała się dostać Wiktosia, nikt nie wiedział, ani odgadnąć nie potrafił. — Wprawdzie młodzieży dosyć się koło niej kręciło, ale choć oczy miała bardzo figlarne, choć się uśmiechała, niemi to do tego, to do owego, żaden nie mógł się pochwalić jakąś większą przychylnością. —

Był jednak jeden, Janek Wawroń, przy którym Wiktosia zawsze kraśniała jak piwonia, a jeżeli ukradkiem spojrzała na niego, to modre jej oczy takim zawsze zajaśniały blaskiem, że zdawało się iż tryśnie z nich ogień i spali na węgiel młodego chłopaka. Spojrzeń jednak tych nikt nigdy nie pochwycił, znał je tylko sam Janek i pielęgnował w wielkiej przed całym światem tajemnicy. — Sierota bez ojca i matki, utrzymujący się ze służby u jednego z gospodarzy, czyż mógł się spodziewać, że mu Mateusz odda skarb największy jaki posiada? Ale tajemnice takie wprędce się wydają, szczególniej jeżeli ludzie w ukryciu ich mają interes. — Wieści więc o przychylności Wiktosi dla Janka, wprędce doszły do uszów Mateusza. — Zmarszczył brwi niechętnie, ale nic nie odrzekł donosicielom, tylko pomyślał sam w sobie:

— Wolałbym aby się Wiktosia postarzała na panieństwie, jak miała wyjść za takiego nicponia i obieżyświata. —

W niechęci tej poczęści była słuszność. — Janek dobry był chłopak, ale za nadto garnął się do świata i jego uciech. — Zagrać na skrzypcach, pośpiewać, wyskoczyć w taneczku, do tego był jedyny i za zabawą przepadał, ale do pracy brał się tylko z musu i choć w robocie nie lenił się, choć każdą wykonywał dobrze, jednak znać było, że przekłada wesołą śpiewkę nad ciężką w roli pracę. — Ludzież jednak we wsi lubili bardzo Janka i powiadali:

- Młody, więc ochotny do zabawy, ale z latami ustatkuje się, bo chłopak poczciwy i wie, że bez pracy nie będzie kołaczy. — I myśmy nie lepsi byli za naszej młodzieńczości, a jednak ustatkowaliśmy się i z łaski Boga chleba nam nie brakuje.

Mateusz jednak innem okiem na Janka patrzył, być może że jako ubogiego, nie uznał godnym pokrewnienia się z tak zamożnym jak on gospodarzem i do tego od dziada i pradziada osiadłym w jednej wsi i na jednej zagrodzie: ale z tem się nigdy nie wyjawiał i nieprzychylność swoją dla Janka zganiał jedynie na jego płochość i niestatek. —

*

Mateusz siedząc przed domem, często niespokojne rzucał spojrzenie na drogę, bo jako człek pobożny, powróciwszy z rannego nabożeństwa, Wiktosię z żoną i czeladką wyprawił na Summę do kościoła a sam pozostał w domu. — Co chwila więc spodziewał się ich powrotu, i co chwila bardziej się niecierpliwił, bo mu mimo woli stawał w myśli Janek, że zapewne nie zaniedba korzystać ze sposobności zalecenia się Wiktosi. — W tem nagle ozwały się śmiechy i gwar ludzkiej rozmowy. — Mateusz spojrzał, wpatrzył się pilnie i sposępniał. Drogą postępowało grono wiejskiej młodzieży, a pomiędzy niemi szła Wiktosia i tuż przy niej Janek. — Matka cokolwiek w tyle pozostała, zajęta rozmową z sąsiadami. — Kiedy doszli do wsi, młodzież rozbiegła się w różne strony, a Wiktosia cała zarumieniona ucałowawszy ojcu rękę, wbiegła do izby i zaczęła zdejmować świąteczne ubranie. — Mateusz w milczeniu wszedł do izby i popatrzywszy na ukochane dziecko, rzekł:

— Wiktosiu, źle robisz, że Janka ośmielasz. Nie idzie mi o jego ubóstwo, ale o statek i pracowitość. — Nie na tom cię moje dziecko wychował, abyś się miała dostać takiemu przybłędzie z końca świata i nie na to zabiegał w ciężkim znoju przez całe swe życie, aby to czegom się dorobił, roztrwoniły ręce zięcia próżniaka i nicponia. — Tyś córka gospodarska, przywykła do statku i pracy, upodobaj sobie takiego, co także z rękami nie ucieka od roboty. Janek nie dla ciebie, niech sobie szuka podobnej sobie, co gdy głód im dokuczy, to się nie poswarzą, a tobie Bogu dzięki niedola nieznana. —

Wiktosia całej tej mowy wysłuchała w wielkiem zawstydzeniu, a choć serce młotkiem jej uderzało, choć z żalu łzy się jej do oczu cisnęły, nie odrzekła ani słowa, tylko patrząc w ziemię, zwijała na palcu tasiemkę od fartuszka. — Matce jednak żal się zrobiło biednego dziewczęcia, a przeczuwając boleść serca swej jedynaczki, rzekła do męża: —

— Ej! dałbyś pokój takiej niepotrzebnej mowie. Wiktosia nasza jeszcze za młoda, żeby o kochaniu miała myśleć, a Janek nie jest znów tak ostatni, żeby nim tak poniewierać —

— Jakim jest niech sobie będzie — odezwał się Mateusz — ale od dziecka mego niech będzie zdala, bo choć stare mam ręce i spracowane, ale krzepkie i nie dam kalać progów mego domu takiemu nicponiowi.

Wiktosia rozmowy rodziców wysłuchała w sieni, a gdy spojrzała na ojca, wychodzącego z izby, ledwo nie krzyknęła z przerażenia, zobaczywszy jak z gniewu cały poczerwieniał i na wysokie czoło jego wyskoczyły żyły jak postronki. — Wbiegła więc do izby i rzucając się w objęcia matki, załkała głośnym płaczem. —

— I czego płaczesz moje dziecko? — zapytała Mateuszowa.

— Nie wiem najdroższa mateczko, ale tak mnie serce boli, taki mnie żal przejmuje, że tylkobym płakała i płakała.

— Przycisz się moje dziecko — mówiła matka tuląc głowę dzieweczki do piersi — zmartwienie ofiaruj Bogu, a jeżeli Janek ci przeznaczony, to cię nie minie.......

— To wy byście nic przeciw niemu nie mieli? — zapytała Wiktosia i spojrzała z taką miłością w oczy matce, jakby pragnęła wymodlić przychylną odpowiedź. —

— Jeszczem o tem nie pomyślała — odrzekła matka — ale o mnie fraszka, gorzej, że ojciec zaciął się i o Janku nie da sobie nawet wspomnieć.

Wiktosia z boleścią załamała ręce, matka mówiła dalej:

— Przy Boskiej pomocy może się to jako odwróci, ale miej baczenie na siebie moje dziecko, bo ludzkie oczy podejrzliwe a języki ostre jak noże, pocóż się mają znęcać na tobie? Od Janka bądź zdala, a jak go ujrzysz, zamykaj oczy i zatykaj uszy, bo tak kazał ojciec a woli jego należy być posłuszną.

Poczciwa matka nie sprzeciwiając się wyraźnie pragnieniu dziewczęcia, sądziła że tym sposobem Wiktosia o Janku zapomni, że nie patrząc na niego i nie słuchając jego zalotnych słówek, pomału odwyknie i serce swe zmieni. — Korciło ją to bowiem, że Janek i sierota i ubogi, a ośmielił się podnieść oczy na córkę takich familiantów i bogaczów.

— Ho! ho! — myślała sobie nieraz — za wysokie nasze progi na ubogie twoje nogi. Dziecko nasze jedyne warte przecie lepszego losu.

Tymczasem mijały dnie i tygodnie a w domostwie u Mateusza nic się nie zmieniało — O Janku nie mówiono, ale tak rodzice jak córka zawsze go mieli na myśli, bo ile razy kto o nim napomknął przypadkiem, to Wiktosia rumieniła się, matka westchnęła a ojciec ściskając pięście szeptał z niechęcią:

— Próżniak i przybłęda.

Mimo tego młodzi kochali się, bo kochanie jak z namowy nie powstaje, tak go i przykazem z serca nie wypłoszy. Wprawdzie Wiktosia jako dobra córka i skromna dzieweczka unikała Janka o ile mogła, ale w lecie tyle sposobności jest do spotkania się, to w polu przy sprzęcie zboża, to przy studni gdy szła po wodę, to w drodze do kościoła, że ustrzedz się zejścia było niepodobieństwem. — Janek zaś nie pomijał nigdy do tego sposobności i jak tylko ją ujrzał, z wesołym uśmiechem witał ukochaną, szepcząc z uczuciem:

— Wiktósiu ty moja jedyna, — żeby między nami góry postawiono, to je przekopię; żeby całym lasem nas przedzielono, to wyrąbię, a moją być musisz.—Ubogi jestem, ale mam ręce zdrowe, ojcom twoim u nóg się uwieszę a wyproszę cię dla siebie, boś ty moje szczęście i uweselenie. Przy tobie wszędzie mi jasno gdzie spojrzę, jakby dwa słonka nad nami świeciły; bez ciebie nawet w południe ciemnica mnie otacza. I cóż ja winien takiemu kochaniu?

Wiktosia słuchając słów tych, stała jak przykuta. Chciałaby uciec, pragnęła nie patrzeć na Janka i nie słuchać tego co mówi, ale jakaś dziwna siła przytrzymała ją w miejscu.

I tak zeszło lato, nadeszła jesień, a z nią i swaty małżeńskie, jako w porze do tego najprzyjemniejszej. Mateusz jednego dnia wrócił z targu z Sandomierza i jak tylko wyprzągł konie, oświadczył z widocznem zadowoleniem żonie, że spotkał się ze swoim kumem Smardzem z Bidzin, który go prosił o Wiktosię dla swego syna Walka.

— Chłopak młody, przystojny i stateczny — dodał Mateusz — ojciec zamożny, ma dwa gospodarstwa i jedno

oddaje dla Walka. — Przyrzekłem mu więc i w przyszłym tygodniu ma z synem do nas przyjechać.

— Dobrze to wszystko — odrzekła matka — tylko czy upodobają się sobie nawzajem?

— A dla czegoż nie?

— Bo to widzisz...... i nagle Mateuszowa ucięła mając Janka na myśli.

— Jeżeli myślisz o tym przybłędzie — odezwał się Mateusz brwi marszcząc — to fraszka. — I tyś zrazu ze mną bałamuciła, a jednak w przyjaźni i w zgodzie przeżyliśmy tyle lat z sobą. — Z Wiktosią to samo się stanie! bądź spokojna, ja dziewczynie wszystko z rozumem przełożę, tylko niech się wprzód z sobą poznają.

— W nadchodzącą niedzielę Mateusza od rana nie było w domu. Tymczasem w miejscowej karczmie pierwszy raz po długiej przerwie, ozwały się skrzypki i basy. — Po ciężkiej pracy zabawa bardzo ponętna, zwłaszcza gdy grajek rześko wygrywa, że same nogi prawie wydzierają się do tańca. Ludzi więc zbiegła się spora gromadka, między niemi był Janek, a Wiktosię przyprowadziła ciotka, bo miała ochotę wyswatać ją za krewniaka swojego męża. — Kiedy Mateusz powrócił do domu, udał się również do karczmy. — Izba tylko się wiła głowami ludzkiemi, grajek wycinał od ucha a z dziesięć par kręciło się po środku, przytupując i pokrzykując ochoczo. — W pierwszej był Janek ze swoją ukochaną i zatrzymawszy się przed skrzypkiem zaśpiewał:

Oj dudni woda dudni,
Da w cembrowanej studni,
Oj zakochać się łatwo,
Oj ale przestać trudniej.

Mateuszowi z gniewu zaiskrzyły się oczy, ale powstrzymując uniesienie, przecisnął się przez tłum i biorąc córkę za rękę rzekł:

— Choć do domu, dosyć tej uciechy.

Wiktosia zadrżała i schyliła się kornie do nóg rodzica. Mateusz w milczeniu wyprowadził ją na dwór a ujrzawszy Janka za sobą, rzekł z gniewem:

— I czegóż nas szpiegujesz? Odczep się, bo jak stracę cierpliwość, na nic zważać nie będę.

— Nie zważajcie na nic — zawołał Janek, obejmując nogi Mateusza z wielkiem poszanowaniem — bijcie mnie co się wam podoba, szkalujcie przed całym światem, tylko przebaczcie Wiktosi.

Mateuszowi opadły ręce, nie spodziewał się takiej w chłopcu potulności. Stał w miejscu, Janek wisiał mu u nóg, a dzieweczka płakała zasłaniając oczy fartuszkiem. — Po chwili Mateusz uprzytomniał.

— Możeś nie taki zły jak się wydajesz — rzekł już łagodniej —ale wybij sobie niepotrzebne myśli z głowy Nasza chudoba ci na oku, ona nie dla ciebie.....

— Nie mówcie tak — przerwał Janek — nic od was nie chcę, tylko choćby odrobinę życzliwości. Zostanę u was czem chcecie, parobkiem, wyrobnikiem, zaprzęgnę się do wozu z koniem, do pługa z wołu, ale nie odpychajcie mnie od siebie. Mateusz odsunął łagodnie Janka od swych nóg i w milczeniu odszedł z Wiktosią do domu. Kiedy ujrzał się sam na sam z żoną, rzekł:

— Oj! narobiliście mi z tą karczmą biedy. Janek takie mi słowo serdeczne powiedział, że już nie mogę się na niego gniewać. O mało się nie rozpłakałem, a to bieda dopiero.

— Niech tam Bóg wszystkiem rozporządza — odrzekła Mateuszowa.

We trzy dni potem przybył Smardz z Walkiem na poznajominy. Przyjęto ich bardzo życzliwie, ugoszczono, uczęstowano, ale Wiktosia nawet spojrzec nie chciała na chłopca Poważna matka bała się z tego burzy, nad spodziewanie jednak Mateusz po odjeździe gości nie zrobił najmniejszej wymówki, tylko wzdychał i czasem mruknął do siebie:

— Słowo to nie wiatr, co leci i ginie; byle z serca wychodziło, to ma taką moc, że jej nic się nie oprze

Za swatami Smardza inne się posypały jak zboże z dziurawego worka. — Wiktosia wszystkim odmawiała bez

wyjątku, wreszcie matka pierwsza ośmieliła się przemówić za Jankiem:

— Ojcze — rzekła — nie odpychajmy sieroty od siebie. Biedny ale poczciwy, a to więcej znaczy jak największe bogactwo.

— Ha! to niech się dzieje wola Boża — odrzekł Mateusz — kto odgadnie co dziecku naszemu szczęście przyniesie.

Janek wprędce się o tem dowiedział i jeszcze wieczorem zjawił się w izbie Mateuszów. — W pierwszej chwili nie wiedział co ma z sobą zrobić i przy progu stał jak trusia, obracając czapkę w ręku.

— Cóż nam powiesz moje dziecko? — zapytał dobrotliwie Mateusz.

— Co powiem? powtórzył rozrzewniony Janek —

— O! mam wiele do powiedzenia, a i jednego słowa wyrzec nie umiem. Ale pozwólcie mi siebie nazywać rodzicami, przytulcie mnie jak syna do piersi.... a może język mi się rozwiąże... bo ja sierota, jeszcze słów takich nie słyszałem....

Mateusz przełknął łzy i wyciągając rękę zawołał:

— Synu! mój synu ukochany! chodź niech cię uściskam.

— Ojcze! matko! — zawołał Janek padając do nóg Mateuszom i rzewnemi łzami oblał ich stopy.

Co się z Wiktosią działo, łatwo się domyślicie, że znalazła się także u nóg rodziców, którzy z oczami wzniesionemi w górę, błogosławili młodej parze.

Wesele miało się odbyć w zapusty, ale Janek choć od nowego roku zamieszkał u Mateuszów, prosił aby przeciągnięto je do jesieni mówiąc:

— Poznacie mnie lepiej moi ojcowie i zobaczycie, że mi nie idzie o wasze bogactwo, ale o waszą życzliwość.

Stało się jak żądał; dziś już rok szósty jak Janek jest zięciem Mateuszów, miłość i wzajemne poszanowanie łączy wszystkich, a Mateusz bawiąc się z wnukiem, powtarza często:

— Janek za serdeczne słowo zdobył sobie żonę, a ja za poszanowanie poczciwej mowy, dostałem syna. — Oj! prawda, że różnie Bóg radzi o swojej czeladzi.

Pieśń Janka Cmentarnika.

Wł. Syrokomli.



W naszej wiosce za mych latek
Inny bywał ruch:
I wesele i dostatek,
Każde dziewczę gdyby kwiatek,
Każdy chłopiec zuch!

Dziś na rozum ludzie biorą,
Ale idzie coś niesporo
Inne czasy masz;
Szarem kwieciem łąka kwitnie,
Pokarlały kłosy żytnie,
Zbladła ludziom twarz.

Czy w jesieni czy to w wiośnie
Były piękne dni,
Czy pracujem — serce rośnie,
Czy się bawim — to rozgłośnie
Aż gospoda drzy!

Dzisiaj ludzie już nie tacy
I do czarki i do pracy —
Wiem ich siłę — wiem:
A ojcowie dzielni, starzy
Spoczywają u cmentarzy
Wiekuistym snem.

Więc tam pójdę na mogiłe
Będę płakał rad;
Do nich miodu dzban wychylę
I pogwarzę słodko — mile,
Z ludźmi dawnych lat.

Ksiądz Adam Prosper Burzyński, reformat, biskup sandomierski.

Prześliczny, chociaż smutny widok przedstawia miasto Kazimierz dolny w Królestwie polskiem nad Wisłą leżące. Z jednej strony góry zielone, z drugiej ukochana nasza Wisła, dalej odwieczny zamek w gruzach, obok zaś okrągła samotna na skale strażnica, wysokie dachy kościołów, stare, ale dziś

jeszcze przypominające dawną okazałość kamienice w pośrodku drzew rozłożystych, wszystko to z daleka nęci wędrowca. lubiącego ojczyste pamiątki. Jakoż smutny, obdarty, coraz bardziej walący się w gruzy Kazimierz jest dla serc polskich drogą i świętą pamiątką, po ukochanym królu chłopków, Kazimierzu wielkim, który je założył i od swego nazwał imienia. Jego dziełem jest także zamek i owa strażnica przeznaczona niegdyś do śledzenia obrotów nieprzyjacielskich a która służyła także za latarnię galarom, płynącym Wisłą ze zbożem.

W jej lochach były też więzienia dla zbrodniarzy, na całe życie skazanych, a w jednym z nich umarł pan możny Maciej Borbowicz, wojewoda, którego król Kazimierz Wielki za rozboje i nadużycia skazał na śmierć głodową. Spuszczony do lochu tylko z wiązką siana i nie dostawszy ani kawałka chleba, umarł po dziesięciu dniach. Sroga kara, ale też i zbrodnie były wielkie.

Bogatem i handlowem miastem był niegdyś, Kazimierz, tak że go małym Gdańskiem nazywano ale złupiony dwukrotnie przez Szwedów, już się nie podźwignął i jest dzisiaj jedną wielką ruiną, przez żydostwo tylko zamieszkałą, a z licznych szpichlerzów nad brzegami Wisły w których kupcy zboże składali, tylko gruzy zostały.

Są tutaj trzy kościoły: farny, zbudowany za dawnych, lepszych czasów przez Mikołaja Przybyłę, mieszczanina kazimierskiego, Św. Anny, niewiadomo przez kogo fundowany i trzeci na pochyłości wzgórza, księży Reformatów, z klasztorem ubogim jak wszystkie reformackie, także fundacyi owego Mikołaja Przybyły. Przed kilkudziesięciu laty, właśnie w tych czasach gdy źli sąsiedzi zaczęli szarpać w kawały naszą matkę ojczyznę, a najgorszy z królów Stanisław Poniatowski w tem im dopomagał, żył w tym ostatnim klasztorze zacny bardzo kapłan, ksiądz Adam Burzyński, mąż uczony i przejęty świętym zapałem dla spraw kościoła Bożego. Rozmyślał on często, jak wielkie mają zasługi kapłani, którzy udają się dla krzewienia nauki Zbawiciela do krajów pogańskich i odezwało się w nim gorące pragnienie wstąpienia w ich ślady. Pobożną tą myślą tak się przejął, że już żadną miarą pozbyć się jej nie mógł, choć nawet rozważył potem, z jakiemi tru-

dnościami walczyćby mu przyszło. Trzeba to bowiem przebyć nie jedne sto mil drogi lądem i wodą, a przybywszy na miejsce, trzeba przemawiać do ludzi całkiem lub w pół dzikich. A jakżeż do nich przemawiać, jeźli się nie umie ich języka? Nie koniec na tem. Misyonarz chcący nawracać niewiernych do czci prawdziwego Boga naraża się na tysiące niebezpieczeństw: co krok zagraża mu śmierć męczeńska, a chociaż słodko umierać za wiarę, to boleśnie jest ponosić śmierć nieosiągnąwszy celu swego poświęcenia. — Nic to wszystko nie odstraszało księdza Burzyńskiego. Gdy swoją myśl powierzył starszym braciom zakonnym, przedstawiali mu na jakie się naraża niebezpieczeństwa, ale przekonawszy się, że go w postanowieniu zachwiać nie zdołają, przestali odwodzić. Uradzono, aby ksiądz Burzyński pojechał do Rzymu dla bliższego wywiedzenia się o wszystkiem i pozyskania błogosławieństwa od Ojca św. Wkrótce potem pewnego poranku zajechała bryczka klasztorna. Ksiądz Burzyński pożegnał zaciszną celę w której wymarzył sobie przyszłość tak pełną walk i niebezpieczeństw, pożegnał braci zakonnych i odjechał.

Podobno żadne miasto w świecie, z wyjątkiem chyba jednej Jerozolimy, gdzie Zbawiciel poniósł śmierć męczeńską, nie sprawia tak głębokiego wrażenia, jak Rzym. Bo też to miasto jedno z najdawniejszych najsławniejszych i najokazalszych. Dla nas katolików ma ono szczególniejsze znaczenie dla tego, ponieważ jest stolicą Namiestnika Chrystusowego, który tu mieszka, jest stolicą całego katolickiego świata. Tu niezliczona liczba pierwszych chrześcian męczeńską śmierć poniosła, tutaj najokropniej byli prześladowani, tu każdy kamień świętą jest po nich pamiątką. Jest też w tem mieście 328 kościołów, między innemi kościół Św. Piotra największy i najwspanialszy w całym świecie, jest mnóstwo prześlicznych pałaców a między niemi najpiękniejsze te w których papież mieszka, jest i wiele innych godnych widzenia osobliwości, co wszystko i rozrzewnia i zdumiewa przechodnia. Doznał tych uczuć i ks. Burzyński za przybyciem do Rzymu, a cóż dopiero gdy był przedstawiony Ojcu św., łaskawie przyjęty i do ucałowania nóg przypuszczony. Nie puszczono jednak księdza Burzyńskiego od

razu w drogę, lecz umieszczono go w szkole, w której księży wybierających się w podróż dla nawracania niewiernych nauczają wprzód rozmaitych języków, aby mogli rozmówić się z tymi, których będą nawracali. Jest to bardzo dobra szkoła. Uczniem jej był niegdyś ksiądz kardynał Mezzofanti, sławny z tego, że umiał czterdzieści ośm mów ludzkich. Toż i ksiądz Burzyński przy szczerej chęci wkrótce nauczył się po arabsku, po turecku, po persku, poczem, otrzymawszy błogosławieństwo Ojca św. wsiadł na okręt i popłynął morzem w podróż do Egiptu.

Egipt to owa kraina, gdzie Przenajświętsza rodzina znalazła przytułek przed okrucieństwem Heroda, owa kraina, gdzie przedtem potomkowie Izraela byli tak bardzo uciskani przez królów Faraonów, nim ich Mojżesz z rozkazu Bożego wywiódł ztamtąd przez morze Czerwone na puszczę. Budowle te które Izraelici stawiali w Egipcie stoją dotąd, choć to już temu cztery tysiące lat, i nazywają się Piramidy. Są to gmachy zdumiewające ogromem, na szerokiej podstawie, coraz zwężające się ku górze i zakończone płaskim wierzchołkiem. Zbudowane są z niezmiernych brył kamienia wapiennego, kładzionych jedna na drugiej, niespajanych niczem, i są z wierzchu powleczone wapnem lub marmurem. Najwyższa ma trzysta łokci wysokości. Na co właściwie przeznaczone były piramidy niewiadomo z pewnością, ale zdaje się że służyły za grobowce dla królów i innych osób. Jakoż znajdują się w nich po dziś dzień ciała ludzkie napuszczone żywicą i uwinięte w płótno, zwane mumiami, które w ciągu tysięcy lat stwardniały w kamień. Po wielu zmiennych kolejach Egipt przeszedł nakoniec pod panowanie tureckie, rządzili zaś nim tak zwani Mamelucy, co znaczy na polskie niewolnicy, ponieważ rzeczywiście byli potomkami niewolników.

Otóż tutaj przybył ks. Burzyński, aby Egipcyan, Turków i Mameluków, zaciętych nieprzyjaciół religii chrześciańskiej nawracać do świętej wiary. Aby przed krajowcami utaić przynajmniej z początku swoje zamiary, których zdradzenie mogłoby go przedwcześnie przyprawić o śmierć męczeńską, nie przyznawał się jawnie, czem jest w istocie. Dla

tego też musiał ubierać się jak Turek, nosił długą kapotę i zawój na głowie i brodę po pas zapuścił, ponieważ Turcy bardzo szanują starców. Był on biegłym w sztuce lekarskiej i do każdego chorego, jakiejkolwiek był wiary, spieszył chętnie z pomocą. Zato polubili go wkrótce mieszkańcy i największy mieli dla niego szacunek. Umiał z tego korzystać zacny kapłan i gdy się tylko nadarzyła sposobność przygotowywał zwolna wyznawców religii tureckiej do przyjęcia prawd wiary prawdziwej.

Dalsze przygody tego zacnego kapłana opowiemy w następującym numerze.

O zamieszkiwaniu nowo wybudowanych domów.

Zdarza się teraz częściej, że tu i owdzie stawiają na wsi murowane domy. Ale przesądów jest jeszcze wiele między ludźmi. Zaledwie dom stanie już się doń sprowadzają nie bacząc na szkodliwe skutki, jakie z tego wynikają. A przecież to stara i powszechnie uznana prawda, że dłuższy pobyt w wilgotnej, wapiennemi wyziewami przesiąkłej izbie nadzwyczajnie dla zdrowia jest szkodliwy i dla tego do nowo wybudowanych domów sprowadzać się nie należy, dopóki zupełnie nie wyschną. Małym dzieciom szczególnie szkodzi wilgoć.

W Austryi istnieje rozporządzenie, że każdy nowo wystawiony dom dopiero wtenczas zamieszkanym być może, aż komisja złożona z technika (biegłego w sztuce), lekarza i urzędnika orzeknie, że w domu bezpiecznie mieszkać można. Gdy komisja przy bardzo suchem powietrzu, otwartych oknach i drzwiach w ogrzanych i przewietrzonych poprzednio pokojach nie spostrzeże wilgotnych miejsc na ścianach i nie poczuje wyziewu wapiennego, orzeka swoje zdanie bez względu na to, jak długo wysychały, podług przepisu dwie lub trzy stopy grubości mające mury, lub jakby one wyglądały, gdyby drzwi i okna kilka godzin lub noc całą były zamknięte.

W niektórych krajach nowo wymurowane domy muszą stać przez lat kika, zanim służyć mogą do powszechnego użytku; w innych krajach zamieszkują ludzie świeże domy zaraz po kilku miesięcach, ba nawet po kilku tygodniach — z wielką

szkodą dla mieszkańców. Jednakże wymierzony przeciąg nie wystarcza jeszcze, aby usunąć wszelkie szkodliwe wpływy, jak się o tem z łatwością przekonać można. Zanim się użyje wapno do budowy, wiadomą jest rzeczą, że się je poprzednio gasi; wtedy połącza się ono ściśle z wodą i nie uwolni się od niej pierwej, dopóki się nie połączy z potrzebną ilością kwasu węglowego. Owoż czas, ciepło, przewietrzanie itd. nie wystarczają jeszcze same, ażeby mieszkanie uczynić suchem i nieszkodliwem; potrzeba do tego koniecznie pewnej ilości kwasu węglowego. Ludzkie narzędzia do oddychania, które bez ustanku wytwarzają kwas węglowy, nie zdołają również zaradzić potrzebie. Z kądże tedy nabrać tyle kwasu węglowego? Oto pewien niemiecki profesor radzi, ażeby się trzymać tańszego, spiesznego i nieszkodliwego ludzkiemu zdrowiu sposobu: Każe w tym celu używać koksu, który nie tylko że mocno grzeje, ale nadto wiele wydaje kwasu węglowego. Lecz wiele jest ludzi nieznających koksu. Koks jest to węgiel kamienny, spalony przy utrudnionym przystępie powietrza, przez co staje się ciałem lekkiem, szarem, uwolnionem od gazu wodorodowego i siarki. Jest tem dla węgla kamiennego czém węgiel drzewny dla drzewa. Otrzymuje się go z pieców umyślnie na to zrobionych, tak zwanych koksowych, albo z gazowni, gdzie gaz wodorodowy, którym oświecają wielkie miasta; pozostała zaś reszta jest koksem. Pali się nie wielkim płomieniem, ale mocniej grzeje od węgla kamiennego i mało bardzo zostawia popiołu. Używają go teraz kowale i ślusarze. Powiada tedy ów profesor, że paląc koksem, można w przeciągu ośmiu dni pokój uczynić mieszkalnym, albowiem koks nie tylko wydzielanem gorącem dobrze suszy, ale nadto 6 funtów wydziela 22 funtów kwasu węglowego, a 22 funtów kwasu węglowego są w stanie rozłączyć prawie 37 funtów wapna połączonego z wodą i tym sposobem obsuszyć wapno. To wystarcza do osuszenia pokoju miernej wielkości. Gdy się więc obsuszanie w ten sposób dwa lub trzy razy powtórzy a potem przez kilka dni dobrze pokój przewietrzy, można w nim mieszkać bezpiecznie.

Jednakże chcąc się trzymać tego sposobu, należy sobie tak postąpić, ażeby ogień wzniecać na środku izby; drzwi i okna pozamykać a po wypaleniu pootwierać — w izbie zaś nie siedzieć podczas palenia. Najlepiej udałoby się to wtenczas, gdy mury są obielone, okna powprawiane a podłogi jeszcze nie ma. W innym razie wypadałoby urządzić jaką nalepkę, którąby nie uszkodziła podłogi. Suche pomieszkanie, niezawodnie do zdrowia wielce się przyczynia, dla tego pamiętajmy:

Izba sucha, jadło świeże,
Myśl spokojna, zdrowia strzeże.

Józef z Bochni.

Rozmaitości.

Dowcip chłopski. Do gazety „Tydzień" piszą o chłopach polskich pod Moskalem, że coraz jaśniej rozpoznawać zaczynają całe położenie nieszczęśliwej sprawy. Boć też chłop polski ma swój rozum, tak zwany chłopski rozum. Ma on nadto i swój właściwy dowcip, więc też nieraz przytnie Moskalom co się zowie. Szlachcica za coś podobnego wysłaliby przynajmniej do kryminału a z przymówki chłopskiej nibyto pośmieją się jak z konceptu.

Wiadomo że czterystu rublami dozwalają popisowego wykupić od wojska. Na jednej z komisyi konskrypcyjnych puścili wykupionego tęgiego parobka — gdy w tem przystąpiła matka — chłopka także — z synem nikłym i szczupłym, by go wykupić. Pokłoniła się zasiadającym i zapytała:

— Prześwietna komisyo, a ileż to tu trza płacić za funt ludzkiego mięsa?

— Jakto? zaśmiali się panowie komisarze.

— No jużciż, boć tutaj kupuje się ludzkie mięso. A ten parobczak co właśnie wyszedł, przecie daleko więcej waży od mojego cherlaka — i wskazała syna.

Komisarze pośmiali się i wyłożyli jej oczywiście, że tyle co tamten zapłacić musi.

Drugi raz znowu wykupywał chłop syna, i czterysta rubli czystem srebrem przed komisyą na stole wyliczył.

— Uzbieraliście gospodarzu sporo pieniążków — zagadał obecny pan ze wsi.

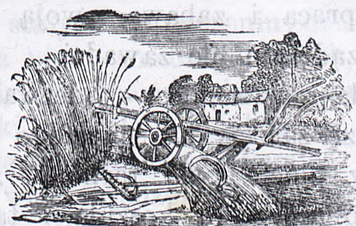
— A toć wielmożny panie, odrzekł wieśniak — uściułało się kiedy była niewola (to jest pańszczyzna) a teraz kiej jest wolność to je wyszupłać potrzeba.

Panowie komisarze pośmiali się i z tego dowcipu chłopskiego.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Stanisław Nowiński. — Z drukarni E. Winiarza.

Tom I. 1. Marca 1870. Nr. 7.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Czy nauka potrzebna?

Obrazek wiejski

przez Jana Kantego Gregorowicza.

Była to niedziela. Na ławeczce przed domem otoczonym sadem, siedziało dwóch poważnych gospodarzy, Wojciech i Jakób. Wojciech z pobliskiej wioski przyjechał w odwiedziny do swego sąsiada Jakóba i kuma zarazem.

Ten wasz Janek — odezwał się Wojciech — to łebski chłopak i tak gładko czyta z książki że już lepiej nie trzeba.

— Marysia moja choć o dwa lata młodsza — odrzekł Jakób — nie powstydzi się także czytania. Od maleńkości wkładali się do tego w szkółce naszej, a i piszą przytem niezgorzej. Wielka to wygoda z tą nauką, chociaż z początku niejeden kręcił na nią głową i narzekał na wydatek i odrywanie dzieci od pracy. Ale to było złe wyrachowanie. Raz jeden tylko do roku nie pojechać na jarmark, to policzyć, co mitręga kosztuje i co się wyda w mieście często z obrazą Boską, to i wystarczy na opłatę szkolną. Co zaś do odrywania dzieci od pracy, to i w tem nie było słuszności. Albo to nasze dzieci w ciągłej pracy od świtu aż do zmroku? Alboż na zbytki, śmieszki, i różne

dokazywania brakuje im kiedy czasu? Nauka może iść swoją drogą, a praca i zabawa swoją i jedno drugiemu w mądrem rozporządzeniu nie zawadzi.

— Oj! prawda mój kumie — odezwał się Wojciech — Wczoraj dzieci nasze zaczęły na ściganego przez płot przeskakiwać. A że przy płocie była tarnina, Magdusia nasza ze szczętem podarła o nią nową koszulę i tak się otrzęsła że dziś leży nieboga i jęczy jakby w jakiej ciężkiej chorobie. Ot i szkoda i zmartwienie, a wszystko z próżniactwa.

— Dobrze powiedzieliście mój kumie, że z próżniactwa. Mają więc z niego szkodę i zmartwienie przynosić, czyż nie lepiej żeby czas ten na nauce przepędziły? Dziatki moje od najmłodszego naganiałem do nauki w szkółce i dziś mamy z tego wszyscy pożytek. Codzień rano i wieczór Janek albo Marysia czytają z książki nabożnej modlitwy, a my wszyscy w myśli na klęczkach powtarzamy je sobie i polecamy się opiece Boskiej i Najświętszej Pannie Maryi. Śliczne to modlitwy, słuchając to się zdaje że niebo otwiera się nad nami grzesznikami i Bóg błogosławi w całym majestacie swego miłosierdzia. Po takiej modlitwie zawsze się czuję krzepciejszy do pracy dziennej, a na noc do spoczynku zapominam o dziennych kłopotach, bo wiem że Opatrzność Boska czuwa nad nami, i aby rąk w pracy nie opuszczać, wesprze i pocieszy. Przyjdzie święto albo długie wieczory, każde z nas zajmie się jaką robotą, a dzieciaki nasze naprzemian czytają z książki różne ciekawe i nauczające rzeczy. Co się dzieje między ludźmi, jak Bóg dobrym błogosławi a złych zmartwieniami przywodzi do upamiętania: co się dawniej działo kiedy się ludzie zaczęli rozradzać na ziemi, jak pielęgnować pszczoły żeby wiele miodu dawały, jak obrządzać się z sadem żeby krzewy i drzewa smaczny owoc rodziły, jak prowadzić gospodarstwo rolne żeby dobrze plonowało, żeby dobytek wiódł się, w chorobie znalazł pomoc i wiele innych rzeczy. Słuchając tego człek się bawi, odpędza z głowy różne niepotrzebne myśli, a i korzyść wielką odnosi w swojem gospodarstwie. Wół czarny byłby mi się zmarnował, uratował go Janek z książki: dawniej brakowało mi zawsze paszy, książka

dała mi ją, bo nauczyła koło niej właściwej roboty. Dawniej pszczoły i sad stały w opuszczeniu, dziś miód przedajemy garncami, robimy z niego smaczny napitek, a agrest, porzeczki i czeresznie jemy co chcemy i jeszcze ludziom przedajemy. Wszystko to książki nam dały i jakże tu nauki nie szanować? — Ale to nie wszystko mój kumie. Dawniej rządzono nami, ciemnemu więc prędzej uszło, bo byli tacy co o wszystkiem myśleli. Dziś rządzimy się sami sobą i mamy starać się, aby nam coraz było lepiej. Ciemny nie poradzi temu, bo idzie jakby omackiem, i tu stuknie, tam potknie się, tu syknie z bolu, tam ze straty, i choć stara się i zabiega to nim gdzie sięgnie, drugi już uchwyci i tak ciągle. Ciemności rozprasza światło i przy niem wszystko człek jasno widzi. Światło to nauka i bez niej nic nie poradzimy...

— Ej! mój Jakóbie — przerwał nagle Tomasz wychodzący z za węgla, który we wsi zawsze był do wszystkiego dobrego największą przeszkodą — nie bałamućcie ludziom głowy swoją mową. — Mnie nic nie brakuje choć nie mam nauki, ale kiedyście tacy mądrzy to powiedźcie, czem prędzej nasyci, czy książką czy miską dobrze jadłem napełnioną?

— Na to wam nie dam odpowiedzi, ale powiem bajk ę co mi ją Janek przeczytał:

Pytał głupi mądrego: na co rozum zda się?
Mądry milczał: gdy coraz bardziej naprzykrza się,
Rzekł mu: na to się przyda, według mego zdania,
Żeby nie odpowiadać na głupie pytania.

JEDYNAK

Legenda.

Słońce rankiem w dzień lipcowy
Z za pagórków w wschodniej stronie
Zeszło prawie do połowy
Żniwom dzień zwiastując śliczny.
Więc gdzie pański łan pszeniczny
Falą złotych kłosów płonie,
Dwieście sierpów miga zdala
Jako jedna blasków fala.

Już poranna mgła płachtami
Zniża — zniża się w około,
I już zdala za łanami
Widać cerkiew — widać sioło,
Jak się rade tam w oddali
Kąpią w złotych świateł fali,

Słońce świeci — sierp wśród kłosów
Miga zdala — w dwieście głosów
Żeńce nucą piosnki hoże
Kładąc w rzędach zżęte zboże.

A przy miedzy, przy zielonej
Siedzi chłopczyk piękny — młody;
Bóg nie skąpił mu urody,
To też z twarzy uśmiechnionej
Tak anielska patrzy dusza,
Że gdy spojrzysz w jego oczy,
Już ci wyraz ich uroczy
Do podziwu serce zmusza.

Chłopczyk oko swoje sine
Wlepił w matkę, co z żeńcami

*

Kładąc zboże pokosami,
Czasem spojrzy na dziecinę,
To uśmiechnie się do niego,
To zagada jakieś słowo,
Nim się schyli i na nowo
Migniem błyskiem sierpa swego.

— „Dziécię moje, synu drogi
Weź dzbanuszek ten maleńki,
Idź po wodę do studzienki —
Lecz nie skalecz bosej nogi.
Źródło — widzisz — tam na dole
Gdzie się pańskie kończy pole,
Tam gdzie pasterz poi trzodę.
Tylko zważ, byś nie wpadł w wodę."

Chłopczyk chwycił dzbanek w dłonie
I przebiegłszy łan pszenicy
Biegł po wodę do krynicy.
Matce serce drgnęło w łonie.
Sierp błyszczący opuściła
I źrenicę wytężyła
Za biegnącym swoim synem —
On dziecięciem jej jedynem.

Już się zbliża do krynicy, —
Na kolano już przyklęka,
Bierze dzbanek do lewicy,
Już się w studnię chyli ręka,
Za nią chylą się ramiona
I prześliczna dziecka głowa.
Matce serce drzy wśród łona,
W ustach zamierają słowa.

Nagle jękła i krzyknęła,
Sierp rzuciła na pszenicę
I pobiegła ku krynicy —
Jéj dziecina, utonęła!

Prędzej niźli człowiek zdoła,
Już stanęła przy studzience,
Przyklęknęła — zgina czoło,
W głąb krynicy spuszcza ręce
I wyciąga ciało syna:
Lecz zapóźno! — jego oczy
Już sen zimnej śmierci spina,
Z twarzy uśmiech znikł uroczy.

Matka ciało tuli — pieści
I piersiami swemi grzeje,
Lecz twarz syna wciąż blednieje,
A o życiu ani wieści.

A więc pada na kolana,
Dziecię kładzie tuż na ziemi
I prośbami serdecznemi
Błaga jasnych niebios Pana.

— „Boże wielki — mocny Boże,
Zbudź mi dziecię — zbudź mi syna!
Panie, błagam cię w pokorze,
Bo już pęknie pierś matczyna.
Maryo! matko Zbawiciela,
Tyś kochała dziecię twoje,
Pierś twa ludzki ból podziela —
Wkrześ więc — wkrześ mi dziécię moje!"

Po tych słowach na twarz pada,
Skroń płonącą na darń składa,
Pierś na trupie syna spiera.
Wtém na rannej mgły pościeli
Jasny obłok się otwiera
Z niego w śniącej — śnieżnej bieli
Jakaś postać się wynurza,
A na jej świecącem łonie
Do jej piersi tuląc skronie,
Dziecię do snu oczka zmruża.
W koło nich w tęczowym wianku
Mgły się wiją bez ustanku,
A skowronki jak łuk mały
Na powietrzu się wstrzymały.

Mgła się zniża — zniża w koło.
Rozpostarta nad strumykiem.
Nagle matka wznosi czoło
I z radości głośnym krzykiem
Chwyta syna — syn jej żyje!
Już wyciąga rączki małe
I jak wstęgi jasne — białe
Splata matce w koło szyi.
Mgła się coraz niżej zlewa
Już potoku się dotyka,
Już rozpryska się — rozwiewa,
I z zjawiskiem razem — znika.

A żniwiarze widząc z łanu
Z dzieckiem Jezus Maryę Pannę
Osłoniętą w mgły poranne
Ukorzyli skroń swą Panu,
Wielbiąc jego dobroć świętą,
Tajemniczą — niepojętą!

Franek z nad Lipy.

Opowiadanie pana Piotra organisty o dzikich ludziach z Afryki.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! rzekł Jędrzej Panewka, wchodząc do pana Piotra Rzędzińskiego, organisty z Pisarkowa i pozdrawiając sędziwego sąsiada uprzejmym ukłonem.

— Na wieki wieków! witajcie Jędrzeju, odpowiedział pan Piotr, składając książkę którą właśnie czytał i wstając na powitanie przybyłego. Jak się macie? Co was do mnie sprowadza? Siadajcie i spocznijcie!

— Jeno tak na pogadankę przyszedłem do was panie Piotrze, rzekł na to Jędrzej, ale powiedźcie proszę czy wam nie przeszkadzam, bo jak widzę siedzieliście przy książce.

— Czytałem wprawdzie, powie Piotr, ale to nic pilnego, miły i oczom wypoczynek — a wreszcie gość w dom, Bóg w dom, rad wam jestem całem sercem, jak wszystkim, którzy mię samotnego czasami odwiedzają, bo jak każden stary, lubię gawędzić, lubię dzielić się z drugimi tem, co sam wiem, lub czego w długiem życiu doświadczyłem.

— Ale bo wy też ciągle i ciągle przy książce, rzecze Jędrzej.

— Ha! toć to jedyna moja rozrywka. Gospodarstwa od owdowienia nie prowadzę, dzieci dawno na swoim chlebie.... cóżbym robił cały dzień, gdy się ze służbą bożą uporam. To moje całe szczęście, że mam kilkanaście swoich książek i że od czasu do czasu dostaję książki od naszego księdza proboszcza i ze dworu, albo od dzieci. Teraz dostałem od syna i czytam bardzo piękną książkę.

To mówiąc podał Jędrzejowi książkę, którą był przed chwilą odłożył. Jędrzej wziął do rąk i przeczytał tytuł: Podróż do Afryki.

— O Afryce, wyście zapewne nic albo mało słyszeli, Jędrzeju, mówił organista, skoro więc przyszliście na pogadankę, opowiem wam cokolwiek co w tej książce i w innych dawniej czytałem o tej części świata.

— Tyle wiem zaledwie o Afryce rzekł Jędrzej, że tam niezmierne panują gorąca i że ludzie tamtejsi są czarni; będę wam więc bardzo wdzięczny, jeżeli mię lepiej oświecicie. Wprawdzie i o swoim własnym kraju nie wiele się wie, dodał skrobiąc się w głowę, ale taka to już natura ludzka, że co dalsze, to się lepiej podoba. Wreszcie nie tak często zdarza się posłyszeć o krajach zamieszkałych przez dzikich ludzi, a takie opowiadania są zawsze bardzo ciekawe i pouczające.

Pan Piotr świeżą świecę zaprawił, nałożył i zapalił fajeczkę i dalejże opowiadać Jędrzejowi o Afryce, jako to jest kraj płaski, w którym na wiele mil ciągną się stepy niezmierne, wysoką trawą zarosłe, gdzie niegdzie tylko górami poprzerzynane, jakie tam są puszcze piasczyste, w których ledwie co kilka lub kilkanaście mil spotyka wędrownik kępę zieloną. Opowiadał potem jaka to bieda w tych gorących krajach bez wody, bo rzek i jezior nie wiele. Dalej znowu mówił jak to w Afryce nie ma czterech pór roku, wiosny, lata, jesieni i zimy, lecz tylko dwie, sucha i dżdżysta. W suchej porze roku upały tak rozpalają ziemię, że bosą nogą stąpać po niej nie można a w dżdżystej, która trwa kilka miesięcy, tak gwałtownie deszcze padają, że wszystkie rzeki występują z brzegów i przyległe pola okrywają użyźniającym ziemię mułem, co jest wielkiem dla mieszkańców dobrodziejstwem, bo na tych polach bardzo bujnie rośnie potem zboże. Są jednak i takie miejsca, dodał w końcu pan Piotr, gdzie wieczna panuje wiosna, są i takie, gdzie długie lata bez przerwy posucha panuje i jedna kropla deszczu nie zwilży ziemi spragnionej.

— Ciekawym też jakie drzewa, jakie rośliny mogą rosnąć w tych dziwnych krajach? rzekł Jędrzej.

— Wiele tam jest drzew i roślin wcale u nas nieznanych, są i takie, których nasiona tylko widujemy. Najwięcej rośnie drzew zwanych palmami, które dostarczają smacznych bardzo owoców, jako to orzechów kokosowych, słodkich dakteli, i innych. Zresztą rośnie tam proso, ryż, trzcina cukrowa, kawa, bawełna, tytuń i wiele innych. Zwierzęta afrykańskie są także mało podobne do naszych a o wiele groźniejsze, zwłaszcza słonie. lwy, tygrysy, lamparty, hieny, szakale, krokodyle, węże

ogromnej wielkości, małpy, papugi, strusie; ze wszystkich zaś tych zwierząt najważniejszym jest wielbłąd, który dla mieszkańców Afryki jest tem czem, dla nas koń i wół.

— O tych wszystkich zwierzętach słyszałem i czytałem już niejedno, powie Jędrzej, dla tego proszę was Piotrze, nie mówcie już o nich, a opowiedzcie jeźli łaska co nieco o dzikich ludziach, bo tego jestem najbardziej ciekawy.

— Jakeście sami rzekli, mówił Piotr, najwięcej tam jest Murzynów, ludzi czarnych od stóp do głowy. W północnej Afryce mieszkają biali ludzie, ale ci nie są dzicy, tym razem więc nie będę wam o nich powiadał, skoro tylko o dzikich słyszeć chcecie. Owoż dzicy ludzie żyją jak zwierzęta. Nie mają zgoła miast murowanych, lecz tylko liche wioszczyny, po krawędziach lasów rozrzucone, obwiedzione w około żywym płotem, lub częstokołem, aby się dzikie zwierzęta wedrzeć nie mogły. Domy ich są to budy, sklecone z gałęzi i błota, pokryte trzciną, bez okien i jeden tylko mają otwór, którym zaledwie na czworakach można wejść wewnątrz. Inni nawet nie budują domów, lecz wyszukują sobie po lasach jaskiń i w nich mieszkają. Murzyni chodzą nago, bo całem ich odzieniem jest krótka i wązka zapaska z liści, albo też z plecionki zrobiona. Idąc jednak na wojnę przewieszają przez ramię skóry z dzikich zwierząt. Broń palna jest im nieznana, strzelają jednak celnie z łuków i bardzo zręcznie rzucają dzidami. Kobiety przebijają sobie wargę dolną i górną, i zatykają w nich kawałek drzewa albo szkła kolorowego.

— A dla Boga, co wy też mówicie Piotrze, przerwie Jędrzej, toż taka jejmość musi mieć gębę nieprzymierzając jak dziób u kaczki.

— Ha, co kraj to obyczaj, odpowie organista. Murzyn nie nosi świty ani kaftana, murzynka nie zna spodnicy i gorseta, zdobią się więc jak mogą, byle się sobie podobać. Dziwny też panuje między nimi zwyczaj szpecenia się i kaleczenia. Jedni piłują sobie zęby w szpic, drudzy wykrawują blizny na twarzy i całem ciele, i nacierają się popiołem z gnoju. Lubią też bardzo paciorki szklanne i obrączki świecące metalowe, które noszą na rękach i nogach. Pomimo tej ozdoby jednak

niepodobna prawie zbliżyć się do takiego dzikiego człowieka, bo smród obrzydliwy z daleka czuć od niego. Żywią się rozmaicie; jedni ścierwem czyli padliną, drudzy myszami, jaszczurkami, inni rybami lub owocami dziko rosnącemi, inni wreszcie gąsienicami, pająkami itp.

Jędrzej splunął.

— To już gorzej zwierzęcia. A czemże się oni trudnią? co robią?

— Cóż mają robić skoro nic zgoła nie umieją. Od trzystu przeszło lat Anglicy, Francuzi, Niemcy, Portugalczycy i inne narody oświecone prowadzą z nimi handel i wielu księży chrześciańskich jeździ tam corocznie, aby ich oświecać, ale to wszystko na nic się nie zdało; są dzisiaj tak samo głupi i ciemni jak przed trzystu laty.

— Ale skoro handlują, powie Jędrzej, toć muszą coś robić, coby mogli sprzedawać.

— Sprzedają ryż, kły słoniowe, futra, pióra z ptaków, a czego najwięcej, to ludzi, swoich własnych współbraci sprzedają w niewolę.



Murzyni podczas zaćmienia księżyca.

— To okropne...

— Okropne, jak wszystko, co się tam dzieje w tym kraju pogańskim, gdzie nie Boga, stwórcę nieba i ziemi, ale najrozmaitsze żywe i martwe przedmioty ubóstwiają, jak oto małpy, jaszczurki, krokodyle; gdzie modlą się do kamienia, nawet do prostego kija, wetkniętego w ziemię. Nie mają religii, nie mają żadnych praw, żadnych urządzeń. Murzyn kupuje dziewczynę za kawał płótna, lub flaszkę wódki i odtąd jest ona jego żoną a zarazem niewolnicą. Im bogatszy, tem więcej posiada niewolnic, ale ich nie żywi; każda musi starać się sama o wyżywienie siebie i swoich dzieci. Jak żona jest niewolnicą męża, tak dzieci są niewolnikami ojca. Wolno mu je sprzedać jak bydlęta, ale i on jest niewolnikiem naczelnika osady, takiego samego ciemnego, nagiego i nędznego murzyna i podobnież może być w każdej chwili sprzedanym. Trzy czwarte części całej ludności afrykańskiej są niewolnikami a los każdego niewolnika jest okropniejszy nad wszelkie pojęcie, bo właściciele obchodzą się z nimi z największem okruciestwem. Za lada przewinienie właściciel przywiązuje niewolnika do drzewa i chłoszcze do krwi, ucina mu ręce lub nogi, naciera oczy pieprzem, obrzyna uszy, rąbie go w kawałki i rzuca w rzekę rybom na pożarcie. Jest też zwyczaj taki, że gdy umrze starszy w rodzinie lub naczelnik osady, pozostali krewni biorą wielu jego niewolników, przywiązują ich do pali i puszczają na wodę, gdzie ryby szarpią ich po kawałku i pożerają. – Okropne to są rzeczy, mój Jędrzeju; widzę jak potrząsasz głową, niby z niedowierzaniem. Jakoż to wszystko niepodobne do wiary wydaje się nam, oświeconym w wierze św. i żyjącym według zasad Jezusa Chrystusa, ale jednak w tem wszystkiem co ci mówiłem nie było ani słowa przesady, lecz wszystko sama prawda. Cóżbyś dopiero powiedział, gdybym ci zaczął prawić o ludożercach, przed których chatami leży zawsze pełno kości ludzkich z pożartych ciał. Zjadają oni ciała zamordowanych na wojnie nieprzyjaciół, król zaś zjada tylko głowy, jako największy przysmak.

— Przyznam się wam Piotrze, rzecze Jędrzej, że nigdybym temu nie uwierzył gdyby, ktoś inny opowiadał..... Ale

prawdać i to: do czegoż to nie prowadzi ciemnota. Wprawdzie u nas nie dzieje się nic podobnego, ale kto wie coby się działo, gdybyśmy się tak jak murzyni wychowywali w ciemnocie, bez księdza, kościoła, bez szkoły. Bo choć u nas ludzie ludzi nie jedzą, ale przecież ileż to i u nas zdarza się okrucieństw, zwłaszcza w tych stronach, gdzie oświata mniejsza!

— Tak jest Jędrzeju, to widać i z tego, że u nas pomimo kazań i nauk w kościele i szkole, ciągle jeszcze tyle utrzymuje się zabobonów jakby u dzikich ludzi.

— Jakto? i murzyni są zabobonni?

— Wierzą nawet w czary i dla tego jest wielu pomiędzy nimi którzy chcą uchodzić za czarowników. Ten brak oświaty jest także przyczyną że każde zjawisko, którego sobie wytłumaczyć nie umieją, nabawia ich okropnego strachu. Tak np. gdy się zdarzy zaćmienie słońca lub księżyca, myślą że się zbliża koniec świata i w trwodze największej, krzyczą, skaczą, biją w ziemię nogami i wyciągają pięście ku niebu, sądząc że tym sposobem odstraszą ciemność, inni zaś grają na rogach i biją w bębny.

Gdy to mówił Piotr, ktoś z cicha stuknął w okno. Spojrzeli obadwa a Jędrzej postrzegł żonę swoją, która nie mogąc się go doczekać, przyszła ze starszym synkiem Józiem aby przypomnieć mężowi, że już czas udać się na spoczynek. Jędrzej widząc że już późno, podziękował serdecznie panu organiście za jego opowiadanie i pożegnawszy starca, pospieszył do domu.

Ksiądz Adam Prosper Burzyński, reformat, biskup sandomierski.

(Dokończenie)

Podczas gdy ksiądz Burzyński tak gorliwie uprawiał winnicę pańską w Egipcie, wielkie ale smutne zmiany zaszły w jego ojczyźnie. Dla Polski wybiła ostatnia godzina. Moskale, Prusacy i Austryacy podzielili się pozostałą jeszcze resztą ziem polskich i na cały naród ciężkie nałożyli kajdany. Nie było kąta, gdzieby wolno było nazywać się Polakiem. Ale

oto we Francyi powstał wielki wojownik Napoleon. Ponieważ walczył on także z nieprzyjaciołmi naszej ojczyzny, wielu Polaków zaciągło się do wojska francuzkiego i wysługiwali się Napoleonowi, krew swoją przelewali za niego, w nadziei że przez wdzięczność dopomoże im kiedyś do wydarcia ojczyzny ze szpon wrogów. Ale Napoleon zawarłszy pokój z Austryakami, i nic dla Polaków nie uczyniwszy, popłynął z licznem wojskiem do Egiptu, aby go opanować. Po kilku wygranych bitwach, przyszło mu walczyć pod Piramidami. Szczęście mu sprzyjało, pobił do szczętu Mameluków. Ksiądz Burzyński, który mieszkał w pobliżu, pospieszył zaraz na plac boju, i niósł żołnierzom pomoc lekarską i duchowną. Gdy się ze zwykłą gorliwością oddawał swojej pracy, posłyszał opodal dwóch wojskowych, rozmawiających ze sobą po polsku. Byli to pułkownik Sułkowski i jenerał Zajączek, Polacy, którzy z wielu innymi rodakami przybyli aż tu z wojskiem Napoleona. Cóż to była za radość gdy swoi swego, a do tego tak zacnego i świątobliwego męża w tym dalekim kraju znaleźli. Ale i ksiądz Burzyński nie mało się ucieszył, a zapoznawszy się z innymi Polakami, przywiązał się do armii Napoleona i odtąd towarzyszył jej ciągle. Poszedł potem z wojskiem aż za granicę Egiptu, do Syryi, co leży niedaleko Ziemi świętej i tam został.

Ale Napoleonowi nie dobrze się powiodło. Spalono mu okręty, wojska tureckie świeże nadciągły, zaraza w wojsku francuzkiem wybuchła. Francuzom w Europie także nie najlepiej się wiodło. Napoleon opuścił więc Egipt, i wrócił do swego kraju. Z dwóch Polaków, z którymi ks. Burzyński tak miłą pod Piramidami zrobił znajomość, Sułkowski poległ, a Zajączek odpłynął. — Wróciwszy do Francyi Napoleon objął władzę najwyższą i toczył straszne wojny. Wiele on bitew wygrał, cały porządek w świecie wywrócił i ogłosił się cesarzem Francuzów. Potem znowu wojny toczył z Austryą, Moskwą i Prusami, a odebrawszy Prusakom kawał polskiej ziemi, z miastem Warszawą, utworzył z niego księstwo warszawskie. I znowu wojował, to z Portugalią, to z Hiszpa-

nią i obalał dawne królestwa a stanowił nowe. Tylko Rosya stała jeszcze niewzruszona i ją więc upokorzyć postanowił.

Ogromna armia Napoleona ruszyła przez Polskę do Moskwy, ale tam niebawem straszną poniosła klęskę. Śmierć zabrała krocie tysięcy Francuzów, Polaków i Niemców towarzyszących Napoleonowi. Mało kto cały powrócił, toż i jenerała Zajączka kula nie minęła; wrócił wprawdzie żywy, ale bez nogi. Po tej klęsce Napoleona, wszyscy monarchowie poszli teraz na niego, pobili go i osadzili na jednej wyspie a gdy wkrótce ztamtąd powrócił i jeszcze raz na czele wojska stanął, znowu straszną mu klęskę zadali i wywieźli go bardzo daleko, poczem zjechali się wszyscy do Wiednia dla przywrócenia dawnego porządku, który ów niezrównany wojownik wywrócił.

Gdy się to dzieje w Europie, ksiądz Burzyński zatęsknił za krajem rodzinnym i zapragnął jeszcze raz zobaczyć go przed śmiercią. I oto już pożegnał swoje owieczki i z żalem powszechnym powraca do ojczyzny. Już wsiadł na okręt i przy pomyślnym wietrze szybko morskie tonie przebywa. Po wielu dniach podróży zawitał nareszcie do Europy i teraz już lądem spieszy a spieszy, aby jak najprędzej ujrzeć ojczyznę.

I oto już widzi jej pola zielone, jej rzeki i góry, jej wioski i miasta. Z oddalenia i mury Kazimierza już się uśmiechają do niego. Już wstępuje w mury klasztoru — witają go bracia, pytają o przygody, prowadzą do celi. Wiele się zmieniło w ciągu lat kilkunastu. Ten umarł, ów się postarzał ale i księdzu Burzyńskiemu na dobre długa pobielała broda. I w mieście zaszły zmiany, bo stary Kazimierz, jeszcze się bardziej postarzał; i w ojczyźnie zmiany niepospolite. Po upadku Napoleona monarchowie przywrócili królestwo polskie, wprawdzie bardzo obkrojone i pod panowaniem cesarza rosyjskiego, lecz że już ustały niepokoje i wojny, że był rząd polski, wojsko polskie, szkoły polskie, Polacy i tem się cieszyli.

Księdzu Burzyńskiemu mijał czas dość przyjemnie na wypoczynku, na opowiadaniu przygód, ale nie mógł się oswoić

ze swoją teraźniejszą nieczynnością i niespełna w rok po powrocie, zapragnął znowu dawnych trudów i niebezpieczeństw po których zaledwie wypoczął.

Pewnego wieczoru wszedł cichaczem do celi księdza gwardiana i dalejże rozpowiadać mu, że chciałby znowu wyjechać dla nawracania pogan. Ksiądz gwardian przedstawiał, ale nie śmiał odwodzić czcigodnego kapłana od tak pięknego zamiaru. Już nazajutrz w całym klasztorze wiedziano że ksiądz Burzyński znowu się na misyę wybiera a niebawem zaczęły się przygotowania do podróży. Ale przed wyjazdem trzeba jeszcze było udać się po paszport do Warszawy, stołecznego miasta.

Wspaniałe to miasto ta Warszawa, bo też to pałace.... a zamek królewski... a kościoły.. a Wisła... a lud poczciwy, choć przecież nie tak wesoły jak dawniej! A dzielne wojsko polskie! co to za postacie! Ten był w Egipcie, ten w Hiszpanii, ów pod Moskwą a każdy bił się za Polskę. Ksiądz Burzyński idąc ulicą zadumał się o tem wszystkiem, aż oto z nienagła jakiś pan sędziwy i poważny, kulawy, przystępuje i uśmiecha się do niego. Ksiądz Burzyński popatrzył, zdaje mu się, że już widział gdzieś tę twarz, ale gdzie, nie wie. A pan kulawy rzecze:

— Nie poznajesz mię księże dobrodzieju? A widzisz, ja cię zaraz poznałem, choć przyznam się, tylko po brodzie.

— Gdzieś widziałem, ale sobie nie przypominam, odpowiedział ksiądz.

— Widzieliśmy się pod Piramidami, rzecze pan; nie poznajesz księże jenerała Zajączka?

Jenerał Zajączek był naówczas namiestnikiem cesarza rosyjskiego w Królestwie Polskiem.

— A... to sam książę namiestnik! powie ksiądz.

— Cóż tu porabiasz, księże dobrodzieju? rzecze znów namiestnik; czy dopiero powracasz?

— Gdzieżtam, znowu się wybieram pod Piramidy i przyjechałem po paszport.

Namiestnik się zamyślił, a potem nagle jakby mu coś na myśl przyszło, zagadał:

— Daj sobie pokój dobrodzieju, zostań w kraju, znajdzie się tu może lepsza misya dla ciebie.

— Mości książę, powie kapłan, to mój obowiązek, to rozkaz z nieba, któremu trudno się opierać. A wszakże i ty panie, gdyby znowu na rozkaz Napoleona uderzono w bębny, porzuciłbyś wszystko i poleciałbyś choćby na koniec świata.

Książę poczerwieniał i rzekł:

— To nie, mój księże. Biłem się niegdyś w nadziei, że Polsce dobrze zrobię, ale teraz widzę, że dla Polski nie ma zbawienia tylko w Rosyi.

Ksiądz Burzyński przygryzł wargi i pomyślał:

— Taki to ty ptaszek?

Takim niestety ptaszkiem był na starość Zajączek. Uroiło mu się że Rosya Polskę zbawi. O Boże! chroń nas od takich ludzi, bo tacy ludzie równają się zdrajcom! Zdrajcy naród sprzedają, a ci go oszukują, co tem większą jest zbrodnią, gdy w nich naród całe swoje położy zaufanie.

Chwilę jeszcze rozmawiali. Namiestnik nalegał na księdza, aby pozostał w klasztorze.

— Mam dla ciebie mój dobrodzieju ważny obowiązek. Nie zaraz to nastąpi, ale mam nadzieję że mi się uda — jeżeli nie, to pojedziesz gdzie zechcesz.

— Cóż przecie? pytał ksiądz.

— Wracaj do Kazimierza a dowiesz się niebawem.

— Ha! nawykłem do posłuszeństwa zwierzchności, odpowiedział ksiądz; niechże i tak będzie.

Zaraz nazajutrz ksiądz Burzyński wyjechał z powrotem do Kazimierza. Nudził się długo czekaniem i niepewnością, aż oto jakoś w parę miesięcy nadchodzą listy z Warszawy do księdza Burzyńskiego. Zrobiono go biskupem sandomierskim. Jenerał Zajączek pisał o to do cesarza rosyjskiego, a ten do papieża. A tak ksiądz Burzyński nie pojechał już do obcych krajów dla nawracania pogan.

Biskup Adam Prosper zatrzymał do śmierci swoją bujną, długą po pas brodę, która wspaniałej jego postaci przydawała powagi. Był to mąż surowej cnoty, wzorowy i najgorliwszy pasterz, pilny w wykonywaniu wszystkich obowiązków

wysokiego swego stanu. Największą baczność zwracał na szkoły, tak nawet że gdy objeżdżał swoją dyecezyę pierwej nim do kościoła, szedł do szkoły i przysłuchiwał się nauce, poczem dopiero profesorowie i uczniowie odprowadzali go z chorągwiami do kościoła. Umarł w r. 1830.

Stanisław Krakowczyk.

Środek przeciw odmrożeniu.

Jest wiele nierozsądnych ludzi, którzy przeziębnąwszy na mrozie, idą zaraz do gorącego pieca a zdjąwszy obuwie, grzeją sobie nogi. W takim razie może raptownie nastąpić odmrożenie, które sprawia wielkie boleści nie tylko w zimie ale i na wiosnę. Kto sobie odmroził nogi lub ręce, wie o tem dobrze, że na wiosnę jakby kto rozpalone żelazo przykładał do tych odmrożonych części ciała, tak piecze i dokucza okrutnie. Należałoby, żeby każdy wyrył sobie w pamięci złote słowa ś. p. Legatowicza, który powiedział:

Pozbywszy się zimy skrzepłej,
Wnet nie zrzucaj sukni ciepłej.
Nie wchodź nagle złym zwyczajem
Z ciepła na mróz i nawzajem.

Wielu jednak nie zważa na te słowa, dla tego samochcąc cierpi nieraz dokuczliwe boleści. Kto sobie odmrozi nogi lub ręce, podaję mu na to dobrą, na doświadczeniu opartą radę. Niech rozpuści kawałek ałunu w letniej wodzie, w której należy potem moczyć nogi lub ręce, następnie obetrzeć dobrze i obłożyć zwykłym łojem, jakiego się używa na świece. Po dwu lub trzy razowej próbie skutek niezawodny. Należy to jednak czynić wieczór przed spaniem, nie rano lub w innej porze.

Gdyby odmrożenie było tak silne, iżby ciało odpadac zaczynało, wtedy trzeba natychmiast udać się do lekarza, by uniknąć bolu lub łatwego kalectwa.

Na odmrożenie jest także dobry środek, jakiego w Rosyi używają. Odrzynają łupę z ogórków, suszą ją na słońcu i chowają na zimę. Gdyby się zdarzył wypadek, żeby ktoś odmroził nogi, rozmiękczają łupę w wodzie i przykładają na odmro-

żone miejsca. Ponieważ zaś ogórki nie zawsze są pod ręką, prostszy i łatwiejszy jest środek pierwszy.

Nie puszczajcież wy, kochani rodzice, dzieci waszych do pieca, gdy zmarzną na mrozie, bo to najpewniejszy środek przeciw odmrożeniu. Lepiej użyć śniegu, poszurać nim odmrożone miejsca a nie chodzić do pieca żadną miarą.

Józef z Bochni.

Rozmaitości.

Nowy sposób robienia masła. Nietylko w maślnicy można zrobić masło. Oto nowy sposób: Śmietanę na masło przeznaczoną zawiązuje się w worku z płótna średniej grubości, wraz z workiem zakopuje w ziemię, mniej więcej na głębokość łokcia i zostawia tak przez całą dobę. Po upływie tego czasu wyjmuje się śmietana, która przez ten czas stwardniała, przerabia łyżką drewianą po wlaniu nieco wody, przez co maślanka lepicj się oddziela. Jeżeli śmietany jest bardzo dużo, to trzeba ją zostawić przez dłuższy czas w ziemi; w zimie zaś gdy ziemia jest przemarzłą, można robić to w piwnicy.

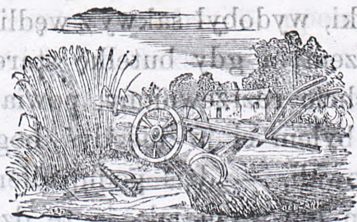
Sposób ten jest niezawodny i we Francyi wielkiem cieszy się powodzeniem, bo nie tylko oszczędza wiele czasu ale jeszcze śmietana wydaje wiele i to wybornego masła. Chcąc zapobiedz, aby masła nie było czuć ziemią, można, jak to wiele osób czyni, worek ze śmietaną jeszcze w drugim worku umieścić.

Przywiązanie indyczki do swego pana. Pewna gazeta francuzka opisuje następujący szczególny wypadek przekonywujący o przywiązaniu indyczki do swego pana. Pewien biedny włościanin znalazł w polu indyczkę ledwie żyjącą, zranioną przez psów, zabrał ją z sobą, opatrzył rany i tak gorliwie leczył, że nareszcie uzdrowił ją zupełnie. Indyczka tak przywiązała się do swego pana, tak go pokochała, że nie opuszczała go dniem i nocą, chodziła za nim w pole, do szynku, a nawet do kościoła jak wierny pies, wieczorem siadała koło jego łóżka i drzemała jednem okiem. Trwało to dość długo, ale nareszcie przyszedł koniec. Włościanin zachorował i po długich cierpieniach umarł. Kiedy ksiądz i krewni przyszli do nieboszczyka, zobaczyli biedną indyczkę leżącą na ciele swego pana usiłującą ogrzać skrzydłami zimne zwłoki. Z trudnością spędzono ją z łoża dobroczyńcy; biedna musiała ustąpić jakkolwiek była szczerszym od obecnych przyjacielem nieboszczyka. Nie broniono jej wszakże dążyć za trumną. Po pogrzebie opuszczona indyczka powróciła powoli do domu i odtąd nie widziano jej we wsi. Dopiero po tygodniu znaleziono ją nieżywą na łóżku nieboszczyka. Umorzyła się głodem.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Stanisław Nowiński. — Z drukarni E. Winiarza

Tom I. 11. Marca 1870. Nr. 8.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Kto z Bogiem, Bóg z nim.

Pobożny, a sumienny kupiec ormiański jadąc za towarami na Wołoszczyznę, gdy stanął w pewnej wiosce podolskiej na nocleg, postrzegł: że nie było tam odpowiedniej gospody, w którejby mógł przenocować. W niewielkiem jednak oddaleniu z poza drzew wychylał się schludny domeczek, wabiąc smutnego przybysza do siebie. Jakieś niezbadane uczucie pociągnęło go ku tej stronie. I zdążył do tej zagrody — i zapukał do drzwi, prosząc o gościnne przyjęcie.

Wnet ukazała się na progu poważna postać szlachcica polskiego, który widocznie niemogąc ukryć swego zakłopotania zawołał:

— Z całej duszy rad ci jestem ktokolwiek jesteś przybyszu, ale patrz! ja mam tylko jednę świetlicę, — w niej mieści się jedenaścioro dziatek, sam przyznaj, czy tu znaleść możesz wygodne dla siebie pomieszczenie?

— My Ormianie, powiada podróżny, przyzwyczajeni jesteśmy na wozie i pod wozem; jeżeli pozwolisz tylko, to najchętniej na twojej przyzbie przenocuję, a wolę nawet obok poczciwych ludzi na przyzbie przespać się, niżeli w pałacu królewskim biedować.

Nie miał nic przeciwko temu gospodarz, a kupiec udał się do swojej bryczki, wydobył sakwy z wędlinami i poczęstował dziatwę z gospodarzem; a gdy butelkę starego węgrzyna do dna wychylili, szlachcic rozrzewniony, powiada:

— Hej! hej! byłem ci ja niegdyś bogaty; ale Tatarzy dwa razy mię zrabowali, — dziś podupadłem na majątku do tego stopnia, iż sam nie wiem jak ja tę dziatwę wykarmię? i załamał ręce w niemem osłupieniu.

— Bóg z tobą! zawołał Ormianin, nie rozpaczaj! Dziwne są drogi Opatrzności, któremi nas do celu prowadzi; nie sprzeciwiaj się jej wyrokom! Ja ci dopomogę. Jeżeliby ci się urodziło jeszcze dwunaste dziecię, tedy, gdy mi Bóg nie dał potomstwa, wezmę je za swoje, a na zapomogę wyliczę ci sto dukatów, czy zgoda?

Szlachcic podając rękę na znak zgody, pospieszył do świetlicy, by oznajmić żonie co między nim, a gościem przybyłym umówione zostało. Żona rozpłakała się, ale w sercu rozpamiętywała wielkie miłosierdzie boskie, które tak wcześnie obmyśliło środek utrzymania dla dziecka na świat przybyć mającego.

Gdy się wszystko uciszyło, kupiec spoczął na przyzbie sianem wysłanej snem sprawiedliwych. Około północy dano mu znać, że szlachcicowi urodziło się właśnie dwunaste dziecko. Wstał i upadł na kolana prosząc pana Boga, by nowonarodzonemu szczęście dać raczył.

Potem wstał kupiec z modlitwy i wstąpił do świetlicy, gdzie już dziecię kąpano, a rzuceniem pięciu dukatów do kąpieli powinszował gospodarstwu. Szlachcic uradowany zaprosił kupca w kumy. Trzymał tedy do chrztu chłopaczka, którego Grzegorzem nazwano, a na wyjezdnem wyliczył pięćdziesiąt dukatów z tem oświadczeniem, że za rok przyjedzie po syna swego i resztę należytości odda. Zakupiwszy mnóstwo towarów na Wołoszczyznie i powróciwszy do domu zdrowo, całe to zdarzenie opowiedział żonie swojej, która bardzo się tem ucieszyła, że jej Bóg dozwolił stać się matką cudzego dziecięcia. Naszyła dużo koszulek, kaftaniczków, kapturków, sukieneczek i wysłała te dary do domu szlacheckiego na Podolu.

Rok prędko przeminął. Kupiec według umowy przybył do szlachcica, a rozdawszy drogie upominki całej rodzinie i wyliczywszy pięćdziesiąt dukatów, zabrał dziecię do domu swego. Najprzód starał się drobne rączęta pacholęcia tego ułożyć do modlitwy, by przez poznanie Boga łatwiej włożył się do wykonania obowiązków życia towarzyskiego. W lat ośm potem zdarzeniu, dał mu pan Bóg własną córkę, którą Rypsymą nazwano.

Grzesio wzrastał i wzmacniał się w rozum i siłę ciała. Gdy już sam zarządzał całym sklepem, a Rypsyma do lat pietnastu przyszła, powiada do niej ojciec:

— Córko moja! możebyś ty za mąż wyszła? ja mam dla ciebie walnego chłopaka, — nasz Grzesio będzie mężem twoim.

— Ojciec zapewne żartuje sobie ze mnie. Ja kocham Grzesia — ale to mój brat, jakże ja mam iść za brata mego? czy już nie ma dla mnie innych?

— Grzesio nie jest bratem twoim, to wychowanek nasz,.. jego rodzice dawno już pomarli,.. on sam jeden na świecie, on sierota. — A wiesz ty co to sierota? To lilia między cierniami, to krzewina mizerna, którą konary drzew olbrzymich do ziemi przyciskają, to kwiatek samotny w polu którym wiatr w różne strony kołysze.

— On sierota! Ach jakże ja go kocham! całe życie dałabym, żeby mu ojca i matkę zastąpić. Przywołaj go ojcze ja mu oddam rękę moją

Przywołano Grzesia i odkryto całą tajemnicę, która go mocno przeraziła Ale poddając się woli Najwyższego, zezwolił na ożenienie i sute odprawiły się zaręczyny.

Po zaręczynach wyprawił go ojciec w towarzystwie starych kupców do Galaczu za towarami, upominając go mocno, żeby się często modlił, bo kto z Bogiem, Bóg z nim. Gdy już za Jasami byli, nagle zaskoczyli ich zbójcy. Cała karawana zwątpiła o swem życiu Ale Grzesio wezwawszy imię Pańskie, skoczył do naczelnika Bużora, jak go ściśnie za rękę, tak, że ze wszystkich palców krew wytrysnęła. Bużor widząc, że to nie przelewki, zawołał:

*

— Da paczi Armenitor! dajcie pokój Ormianom!

Wnet poczęstowano go z całą czeredą dobrą wódką i wędliną. Po traktamencie odchodząc Bużor, rzekł do Grzesia:

— Duti sanatos bojeti! jedź zdrów chłopcze!

Wszyscy na kolana upadli, dziękując najprzód panu Bogu a potem Grzesiowi, że ich życie i majątek ocalił.

Przybywszy do Gałaczu znaleźli hurtownika greczyna Mauro Beldemana, który dostarczył Ormianom potrzebnych towarów za bardzo umiarkowaną cenę. W kilka dni potem pakowali kupcy towary nabyte; greczyn przypatrywał się Grzesiowi, którego zręczność i siła nadzwyczajna tak mu się podobała, iż postanowił koniecznie dostać tego chłopca. W tym celu urządził w swoim magazynie wieczerzę dla kupców, starego wina nie żałował, i tak ich upoił, że wszyscy jak snopy powalili się na ziemię. — Wtedy wzięto Grzesia na pokład okrętu, którym greczyn natychmiast do Smirny odjechał.

Kupcy przebudzeni postrzegli zaraz co się stało. Chodzili za Grzesiem po całym Gałaczu, a gdy wszelkie ich poszukiwania na niczem spełzły, powrócili do domu, oddali towary i oznajmili, że Grzesia pewny greczyn uwiózł do nieznanych im krajów. Trwoga zdjęła umysły domowników, a szczególnie Rypsyma płacząc i załamując ręce wołała:

— Ojcze! ojcze! na coś go wysłał do Gałaczu?

Ojciec stroskany pocieszał lament córki niezawodną nadzieją obaczenia kiedyś Grzesia, który jako pobożny człowiek znajdzie łaskę w nieskończonem miłosierdziu bożem.

Grzesiowi podobnież gdy się obudził, serce ledwie nie pękło od żalu; ale ufając Bogu serdecznie westchnął i prosił, by go nie opuszczał w tak ciężkiej dobie. Greczyn frasobliwego pocieszał, że skoro powrócą ze Smirny, zawiezie go do Bukaresztu, odda mu cały majątek i córkę jedynaczkę Modunię, z którą bardzo szczęśliwym być może. — Uspokoił się nieco i myśli sobie: nie ma nic złego coby na dobre nie wyszło, dobrze jest obaczyć kawałek świata. Jakoż chodząc po Smirnie zachwycał się pięknemi ogrodami i innemi cudami przyrody,

w które wschodnie kraje tak bardzo obfitują. W miesiąc powracali ze Smirny, a na morzu zaskoczyła ich okropna burza, która rozbiciem okrętu zagrażała. Wszystkich zgubna rozpacz ogarnęła, gdy postrzegli, że i maszt potężny trzeszczeć i chwiać się poczynał. Ale Grzesio nadzwyczajną swą siłą chwiejący się maszt utrzymał w jego posadzie i ocalił okręt od rozbicia.

Szczęśliwie tedy przybyli do Bukaresztu, gdzie greczyn przedstawił swej rodzinie Grzesia jako męża poczciwego, któremu też własne swe życie zawdzięcza. Mile przyjęła rodzina to oświadczenie, a szczególnie Modunia zachwyciła się nadobną postacią jego. Lecz niestety ona była próżną; aż nadto goniła za marnościami tego świata, każdemu się przymilała, — pragnęła podbić każdego serce. — To też całą potęgę swej urody rozwinęła, by Grzesia ku sobie nakłonić. Ale on marzył o Rypsymie i wszystkie swoje westchnienia wysełał do swej ulubionej, a jako człowiek prawy, niechcąc łamać słowa, najmniejszego powodu nie dał Moduni do śmielszego postępowania. Ona szalała za nim, zwłaszcza gdy przez cały rok nie potrafiła w nim obudzić tkliwszego ku sobie uczucia. Grzesio widząc na co się zanosi, udał się do jej ojca i rzekł do niego:

— Panie ja mam już narzeczoną, twojej córki nie pragnę, —ja potrzebuję gospodyni, nie zaś lalki, która za mamidłami świata tego goni. Pomyśl panie, że winieneś mi wdzięczność za uratowanie życia i puść mię wolno do domu

Udobruchał się greczyn, zapłacił mu dwieście dukatów i wyprawił go do domu kupca, ojca chrzestnego.

Serdeczne było przyjęcie u kupca, a Rypsyma rzucając mu się na szyję mówiła:

— Wyschłam z tęsknoty za tobą! oczy moje wypłakałam za tobą!

Grzesio pocieszał stęsknioną,... opowiadał swe przygody, wkrótce odprawił wesele,... żył bardzo długo, szczęśliwie i dzieciom i wnukom swoim często powtarzał: „Kto z Bogiem, Bóg z nim“. *Wincenty z Pokucia.*

Daj nam chleba naszego powszedniego dzisiaj.

Daj nam chleba naszego! daj wszechmocny Panie!
Wszak do Ciebie należy datek, do nas branie.
Owo żebracy z ręką wyciągnioną stoim,
Przed pańskiemi oknami, przed pałacem Twoim!
Do Ciebie wszełki żywioł oczy swe podnosi,
U Ciebie pożywienia zwierz i ptactwo prosi:
Twa opatrzność żadnego z nich niezapamięta,
Ty karmisz głodne dziki i głodne ptaszęta.
Daj nam chleba naszego! Ty, któryś od wieka
Chleb opatrzył posilny dla głodnego człeka:
Ty, któryś arcy pańską sprawiwszy biesiadę,
Kazał wezwać do stołu ubóstwa gromadę.
Daj nam chleba naszego! z Twej pańskiej wieczerzy,
Wszak kto szuka, znajduje, a kto prosi, bierze;
Ile kto Ciebie prosi, któryś dawać codzień
I cały bochen gotów, choć go i niegodzien.
Daj nam chleba naszego! wiem Ojcze jedyny,
Żem niegodna do stołu z Twymi siadać syny;
Lecz wspomnij żeś Ty Ojcem! zlituj się mej dusze,
Spojrzyj, że z głodu życia pozbawić się muszę.
O Panie najłaskawszy! Ojcze wszechmogący,
Wszakżeś sam wzgardzać duszy nie kazał łaknącej —
Daj nam chleba naszego powszedniego ninie!
Którego kto pożywa na wieki nie zginie:
Chleba, który na żywot wieczny dany; chleba
Który na ziemię zstąpił z wysokiego nieba!
Chleba, którym jest Chrystus! daj nam dzisiaj Panie,
Dzisiaj tu na tym świecie, w tym żywota stanie:
W ten dzień nędzy i biedy, bez którego snadnie.
Przed swym nieprzyjacielem człek na sile padnie.
Daj nam chleba naszego! chleba łez, pokuty:
Jakim się leczył Dawid ciężkim grzechem struty,
Jaki dał życie wieczne grzesznej Magdalenie;
Jakim się Piotr po grzechu zasilał codziennie.
Twą łaską jeszcze żyję, daj coby i ciało
Na chwałę Twoją w życiu tem utrzymywało
Nie proszę żadnych zbytków, ale tylko żeby
Stawało według stanu mojego potrzeby.
Daj nam chleba naszego! przysporz nam w komorze,
Błogosław nam na roli, błogosław w oborze,
Błogosław po wsiach naszych, i w domu i wszędzie;
Jednak niech Twoja wola, a nie nasza będzie.

K. B....ska.

Pielgrzym w górach św. Sawy.

Legenda serbska.

Każdy naród ma swoje podania, czyli stare odwieczne powieści, które z pokolenia na pokolenie przechodzą, opowiadane przy kądzieli, przy kominie w długich wieczorach zimowych. Z równem upodobaniem słuchają ich młodzi i starzy, bo powieści takie bywają nietylko ciekawe ale i nauczające. Zmieniają się one z biegiem czasu, bo każde pokolenie przekształca je po swojemu, i coś swego do nich dodaje, główna myśl atoli, nauka moralna którą w sobie ukrywają, zostaje zwykle ta sama. Podania bywają rozmaite. Te, które są pełne zdarzeń cudownych, nazywają się legendami. Jak każdy naród, i my Polacy mamy swoje legendy. Wszyscy którzy to czytacie, wiele ich umiecie na pamięć; sądzę zatem że miło wam będzie posłuchać legendy innego narodu, ale pokrewnego nam, bo mówiącego podobnym do naszego językiem, którą wam dziś opowiem. Będzie to legenda serbska. Serbowie zamieszkują kraj nie zbyt od nas daleki, stykający się z Turcyą. Tam w górach mieszkał niegdyś św. Sawa i o nim to będzie legenda. Św. Sawa wielbiony i ukochany przez okolicznych mieszkańców, po śmierci stał się przedmiotem szczególnej czci i nabożeństwa, i każdy kto tylko był strapiony lub przyciśnięty nieszczęściami, szedł w góry pomodlić się przy miejscach pobytem jego wsławionych, pewny że wyjedna dla siebie łaskę i miłosierdzie Boga.

Otóż zdarzyło się raz, że jeden z drwali, przyciśnięty wiekiem a zniszczony chorobą, nie mogąc już tak usilnie jak dawniej pracować na wyżywienie siebie i żony, popadł w wielką biedę. Poszedł więc w góry prosić św. Sawy o pomoc. Kiedy z gorącą modlitwą obszedł wszystkie znane miejsca i zatrzymał się przy dębie, pod którym święty ten przesiadywał, nagle zobaczył upadający przy swych nogach worek z ćwiartką zboża, i usłyszał głos następujące wymawiający słowa:

— Masz starcze dar Boży. Szczupła w nim miara, ale wypróżniony znowu się napełni, tylko przed nikim się z nim nie chwal.

Zdumiony drwal padł z uwielbianiem na kolana, zabrał woreczek, a że był bardzo zmęczony, wstąpił na odpoczynek do domu swego kuma, także drwala. Pomimo jednak zakazu milczenia, nie mógł wytrzymać i całe to zdarzenie kumowi swemu opowiedział.

W kumie obudziła się zazdrość i chęc przywłaszczenia sobie tak cudownego woreczka. Cichaczem więc podsunął inny z taką samą miarą zboża a podarunek św. Sawy zabrał Drwal nie domyślając się niczego, wrócił się do domu, zboże zmeł ale woreczek został pusty. Zmartwiony udał się znowu do św. Sawy, i kiedy przełożył swoje zażalenie, dostał woreczek z kilku miedziakami i ten sam głos rzekł:

— Masz starcze dar Boży. Szczupła w nim kwota, ale wypróżniony znowu się napełni, tylko z nim przed nikim się nie chwal.

Drwal nie wytrzymał i z wielkiej radości wygądał się przed kumem, który mu znowu woreczek ten zamienił na inny.

— Święty Sawo — modlił się drwal w górach — ratuj biednego starca. Pieniądze wydałem a woreczek próżny.

— Masz starcze kij — ozwał się głos znany mu już dobrze – podpieraj się nim, ten cię uszczęśliwi.

Drwal wziął kij, a choć nie wiedział co z nim robić, dziwił się jednak, że go św. Sawa darem Bożym nie nazwał i że mu nie zalecił milczenia.

Przed kumem wię pochwalił się bez żadnej obawy i podał mu go w rękę. Kum ujął kij chcąc poznać jaka w nim może się mieścić tajemnica, ale w tej chwili kij odwrócił się drugim końcem i nuż go porządnie okładać po plecach. Winowajca wił się z bolu i ze wstydu, a że miał nieczyste sumienie, przyznał się do wszystkiego i woreczki zwrócił drwalowi. Odtąd drwal stał się zamożnym, wspierał biednych, nie odmawiał pomocy potrzebnym i byłby się stał dobrodziejem całej okolicy ale nabrał pychy, zaczął się nad drugich wynosić, i raz w czasie uczty jaką wyprawił dla przyjaciół, wyrzucił za próg biedną niewiastę, co przyszła prosić go o pomoc dla dzieci. Od tej chwili woreczki straciły swoją moc cudowną. Drwal

zbiedniał i choć nieraz chodził w góry do św. Sawy, już daru żadnego nie otrzymał i żaden się głos do niego nie odzywał. Później zaś umarł w wielkiej nędzy i niedostatku.

Otóż i koniec legendy, która, choć nie długa, wiele i pięknych zawiera w sobie nauk. Oto uczy ona, że Bóg nie odmawia nigdy pomocy biednym, którzy uciekają się pod jego opiekę. Uczy, że wszelki rozkaz boski powinien być spełnionym, a kto go nie pełni, sam sobie źle czyni. Uczy dalej że oszukaństwo nikogo nie otuczy, że owszem każden oszust prędzej lub później zasłużoną odbierze karę. Uczy wreszcie, że kto wzbogaciwszy się za łaską Bożą, stanie się potem zatwardziałym na niedolę bliźniego, Bóg odwraca od niego swoje oblicze, a wówczas bogacz schodzi na nędzarza.



Pielgrzym w górach św. Sawy.

Lata, wieki minęły, a cześć dla św. Sawy nie wygasła w Serbii i rok rocznie wielu pielgrzymów nawiedza miejsca uświęcone jego pobytem. Wprawdzie żaden nie dostaje podobnych darów jak ów drwal w legendzie, ale każdy powraca pocieszony, uspokojony, pokrzepiony modlitwą i pełen ufności że św. Sawa przyczyni się za nim do Boga. Jednego z takich pielgrzymów, zatopionego w modlitwie załączona przedstawia rycina.

Winorośl.

Jednę z owych roślin, które już od najdawniejszych czasów ludziom znane były i wielkie im korzyści przynosiły, jest bez wątpienia winna latorośl.

Już Noe przed potopem znał ją — jak podaje pismo święte, a nieraz i później czytamy o tem, że winną latorośl jako jednę z najpożyteczniejszych roślin pielęgnowano.

Pierwotną ojczyzną winorośli jest południowa Azya, a zwłaszcza okolice położone na południe od morza Kaspijskiego. Tam są gdzieniegdzie takie miejsca, iż niemasz rośliny — niemasz drzewa na całej ziemi, którychby tam nie było. Od największego drzewa leśnego lub owocowego — aż do najdrobniejszego kwiatka wszystko tam rośnie. To też domyślają się ludzie, że w tych okolicach prawdopodobnie szukać należy owego raju, w którym Bóg pierwszych naszych rodziców umieścił. I dzisiaj jeszcze winorośl dziko tam rośnie, a jej jagody tak co do słodkości, jakoteż co do wielkości dorównywają najlepszemu gatunkowi szczepionemu.

Z Azyi dostała się winna latorośl do Europy już w najdawniejszych czasach: najpierw do Grecji, a ztąd rozpowszechniło się uprawianie winnej latorośli po całej Europie. Jednakże nie na każdem miejscu w Europie bywa winna latorośl pielęgnowaną, a to dlatego, że ona wymaga pewnego stałego stopnia ciepła, wymaga oprócz ciepłego lata jeszcze i ciepłej a suchej jesieni — a tego w Europie wielu krajom niedostaje.

W Polsce dzisiaj nigdzie nie uprawiają winnej latorośli w większej ilości tak, aby z jej jagód wyciskano wino. Dawniej jednak — jak czytamy w książkach starych — bywały w Polsce ogrody, gdzie winorośle w takiej ilości uprawiano, że wyciskano wino do picia. Lecz i wtedy tylko w ogrodach królewskich, lub u niektórych wielkich panów, a głównie po ogrodach klasztornych utrzymywano winorośl w większej masie. U króla i panów dla przyjemności, w klasztorach zaś robiono to dlatego, że księża codziennie potrzebowali wina do odprawiania mszy świętej, a sprowadzać go nie było można, bo drogi były złe, a przywóz trudny. Czytamy również, że już w r. 1343 przywieziono szczep winnej latorośli do Lwowa i że potem w okolicy miasta, głównie w południowej stronie góry zamkowej, a jeszcze bardziej z południowej strony gór, które koło Lwowa leżą, uprawiano winorośl w tak znacznej ilości, że nawet dwie kanonie dochód swój pobierały jedynie z tych winnych ogrodów, które się winnicami nazywają. Ba nawet miasteczko małe w tem miejscu leżące, nazwano Winnikami.

Podobna winnica była i w Przemyślu przy zamku książęcym, gdzie dzisiaj jeszcze nazywają to miejsce winną górą. Takie same winnice były w Czersku, w Wyszogradzie nad Wisłą i w wielu innych miejscach, jak tego dowodzą nazwiska wielu miast i wiosek.

Tak było u nas dawniej. Dzisiaj atoli rzeczy zupełnie się zmieniły. Winnic już dziś niema u nas, a zresztą nawet trudnem byłoby je utrzymywać. One bowiem potrzebują — jak to już wyżej powiedziałem — dość znacznego ciepła, a co główniejsze, potrzebują być zasłonięte przed wiatrami północnemi; nasz zaś kraj jest otwarty na północ, a przeto wystawiony na ciągłe wiatry zimne. Gdyby Karpaty rozciągały się na północnej stronie Galicyi, wtedy mielibyśmy powietrze tak ciepłe, jakie mają Węgry, a przeto winnice możnaby łatwo zakładać i wino podobnieby się udawało u nas, jak na Węgrzech. U nas teraz tylko po ogrodach zamożniejszych panów tu i owdzie pielęgnują winną latorośl. ale wina z ich jagód nie wyciskają, bo jagody do jedzenia są bardzo dobre, ale na

wino za kwaśne. Tylko gdzie niegdzie na Podolu i Ukrainie utrzymują winną latorośl w takiej ilości, że z nich wyciskają wino, chociaż bardzo kwaśne.

Teraz przypatrzmy się nieco bliżej kształtowi winnej latorośli, jej liściom i sposobowi pielęgnowania.

Winorośl jest krzewem, który sam o własnych swoich siłach ostać się nie może, lecz potrzebuje podpory. Służą jej do tego tak zwane wąsy, które się same przez się okręcają w około cienkich gałązek lub drewnianych tyczek, po których winorośl pnie się do góry. Te tyczki u nas ustawiane są zawsze pod ścianami zamieszkałych pomieszkań i to zawsze na południowej stronie. Wysokość winorośli wspinającej się po murze do góry dochodzi od 20 do 30 stóp; lecz u nas nie dosięga ona tej wysokości. Tak wysokich krzewów winnych szukać należy albo tylko we Włoszech, w południowej Francyi i Hiszpanii — albo aż na południowych brzegach morza Czarnego i Kaspijskiego. Tam to w owej ojczyźnie winorośli, można widzieć najpiękniejsze i najwybujalsze winorośle w stanie dzikim.

Pień krzewu winnego jest we Włoszech bardzo gruby, a gałęzie zawsze są nieraz na kilkadziesiąt stóp długie. U nas pień nie grubieje, a gałęzie zawsze są miernej długości.

Pień krzewu, zwany winną macicą, jest zazwyczaj guzowaty, gałęzie zaś, zwane winnemi latoroślami są zupełnie gładkie. Liście mają wielkie podobieństwo do serca, są okrągławe i 3 do 5 razy wcięte, czasem głębiej, czasem płyciej, brzegami zaś są nierówno ząbkowane. Wyrastają one na dość długich ogonkach i to zawsze tak, że dwa listki przy łodydze na przemian do siebie leżą. Z pomiędzy tych listków wysuwają się sznureczkowate wąsy, które się skręcają w formie śruby, a gdy przylegają do tyczek, okręcają się w około nich.

W miesiącu Czerwcu kwitnie winorośl. Jej kwiat jest drobny, skupiony w bukietach, barwy żółtawo zielonawej, i zapachu bardzo przyjemnego. Z tych kwiatów wytwarzają się później jagody, również w formie bukietów kupiasto zebrane. Są one kuliste, różnej wielkości i różnej barwy, są bowiem zielone, czerwone i granatowe winne grona t. j.

winne jagody. W środku bardzo soczystym mają pesteczki maleńkie, lecz są takie jagody, które żadnej nie mają, a są znowu takie, które mają po dwie.

Taką jest winorośl w Europie pielęgnowana a w Azyi południowej dziko rosnąca. Jest i u nas winorośl dziko rosnąca — ale jej owocu nie można kosztować. To też służy ona tylko do upiększenia ścian lub do ocienienia altanek letnich.

Sposób pielęgnowania pożywnych gron winnych jest dość trudnym, wymaga bowiem wielkiej znajomości natury tej rośliny i znacznego około niej starania.

Grunta piaszczyste, lub ciężkie i wilgotne nie sprzyjają winorośli wcale. W jesieni obcinają się świeże wyrostki aż do trzeciego oczka t. j. pączka jesiennego, poczem gałęzie składają się na ziemi i na parę cali przykrywają się ziemią lub gnojem i dopiero na wiosnę znowu się je odkopuje i nanowo po tyczkach i ścianach rozpina. Na wiosnę nigdy się nie powinno młodych gałązek obcinać, gdyż gałązka w tej porze obcięta płacze t. j. wydaje sok, przezco się znacznie osłabia.

Owoców winorośli używamy w najrozmaitszy sposób: same jagody świeże stanowią bardzo zdrowe lekarstwo dla cierpiących na piersi, a suszone na słońcu dają rodzaj rodzynek. Z soku wyciśniętego z jagód robi się wino do picia, które ma rozmaity smak i rozmaitą siłę w miarę dobroci grona i w miarę wyrobu. Nakoniec z wina robimy ocet winny, lub nawet wódkę, zwaną koniakiem.

Widzimy przeto, jak wielkie przysługi wyświadcza nam owoc winorośli. Jest to roślina, która bardzo wielkie ma znaczenie dla ludzi; to też w pogańskich czasach tak wysoko ją ceniono, iż wynaleziono dla niej osobne bóstwo, które wielką czcią otaczano. *Franek z nad Lipy.*

Miłość braterska.

List z Warszawy.

Pospieszam panie Redaktorze z doniesieniem o wypadku niezmiernie czułym i serdecznym, który i was i czytelników Dzwonka wzruszy do głębi duszy. Wiadomo, że dnie poboru

do wojska na całym świecie podobno, są chwilami ogólnego wszystkich smutku, a dla tysiąca rodzin dniami rozpaczy i wielkiego nieszczęścia. U nas pobór z podwójną obawą jest przyjmowany: długi termin służby wojskowej głównym tego powodem. Przytem ogromna przestrzeń cesarstwa rosyjskiego większa znacznie od reszty Europy, niemało się przyczynia do wstrętu, jaki w całej tutejszej ludności panuje. I nic dziwnego. Kto dostanie się do wojska, prawie przepada bez wieści, ginie jak kropla wody w morze rzucona, albo jak pyłek wichrem porwany. W Warszawie boleść ogólna mniej jest widoczna w dniach poboru: gwar uliczny, ruch, wrzawa zagłusza wszystko, wreszcie losowanie odbywa się na uboczu po za miastem na Pradze w miejscu oparkanionem, zabudowanem jak jaka osada, więc niejeden wolny lub bezdzietny nie wie nawet o poborze. Ale w miasteczkach na prowincii losowanie to istny sądny dzień, a wyruszanie partii rekruckiej do miasta gubernialnego, coś tak strasznego i bolesnego, że się nawet nie da opisać. Gdzie się obrócisz, słyszysz tylko płacz i narzekanie matek, ojców co tracą synów, żon tulących niemowlęta do piersi, rozstających się z mężami, braci, sióstr i wreszcie wszystkich, choćby serce twardsze mieli od kamienia. Przynać jednak należy, że dziś dola żołnierza rosyjskiego znacznie jest lepszą jak była dawniej. Lepiej żywiony, doznaje opieki przedtem nieznanej, a choć dostanie się do wojska jako rekrut, może awansować na oficera i posuwać się w dalszych stopniach, byleby tylko złożył przepisami oznaczony egzamin. — Nie wielu wprawdzie może z tego dobrodziejstwa korzystać, bo nauka dla biednych bardzo jest u nas utrudzona, który jednak posiada pewne ukształcenie a później przysiądzie się do książki, to po pewnym czasie przyzwoitego zachowywania się, może przygotować się i przystąpić do egzaminu.

Pobór do wojska odbywa się teraz u nas jak i u was przez losowanie i miał miejsce w początkowych miesiącach bieżącego roku. Pomiędzy wielu innemi rodzina włościańska Flamów ze wsi Wawr pod Warszawą dostawiała dwóch synów do ciągnienia losów, jednego Grzegorza żonatego i Wawrzyńca bezżennego. Imion tych nie jestem pewny, bo w ta-

kiem zamieszaniu i płaczu, jakie przy tej czynności panują, nie podobna szczegółów podobnych dobrze uważać i zapamiętać. Jeżeli okażą się mylnemi, niezaniedbam później tego sprostować.

Pierwszy do losów przystąpił Grzegorz, z obawą sięgnął ręką do urny i na nieszczęście wyciągnął los skazujący go na żołnierską służbę. Zbladł biedak, bo żonę i dzieci zostawiał sierotami. Wawrzyniec był szczęśliwszy, wybrał los zostawiający go w domu. Ucieszony obrócił się w tej chwili do urzędników delegacyjnych i składając ukłon przewodniczącemu rzekł:

— Niech wielmożny pan będzie łaskaw mnie wpisać za mego brata On potrzebniejszy w domu, bo ma żonę i dzieci, a ja wolny, to ojcowie i tak bezemnie muszą sobie radzić.

— Nie mój bracie -- odezwał się Grzegorz — jak Bóg rozporządził niech tak zostanie. Ty poczciwy, nie zapomnisz o moich sierotach, a jabym wiecznie się martwił gdybym przyjął twoją ofiarę.

Urzędnicy ujęci tak zacnym czynem Wawrzyńca, zaczęli namawiać Grzegorza, aby nie odrzucał jego poświęcenia: do nich przyłączyli się i inni rekruci. Wawrzyniec prosił, płakał, zaklinał, wszystko to jednak nic nie pomagało, Grzegorz stanowczo na zastępstwo nie chciał pozwolić

— Kiedy tak — odezwał się Wawrzyniec — to i mnie proszę przyjąć do wojska. Ja tak kocham mego brata żebym nie przeżył naszego rozłączenia.

— Wawrzusiu! mój bracie! — zawołał ze łzami starszy, rzucając się w objęcia swego brata — nie rób tego.... zostań... zostań....

Dalej nie mógł biedak mówić a w sali słychać tylko było płacz zobopólny ściskających się braci, jakby im kto serca wyrywał z piersi. Łzy we wszystkich równie pokazały się oczach, każdy w myśli błogosławił poczciwych braci co starali się miłością jeden drugiego zwalczyć.

Po długich wreszcie namowach i urzędników i rekrutów, Grzegorz zgodził się na zastępstwo. — Wawrzek poświęcił się dla szczęścia brata — wy więc, co czytać będziecie to opowiadanie, westchnijcie do Boga i proście Go o opiekę nad poczciwym młodzianem i żeby natchnął serca wszystkich rodzin polskich równą im miłością. *J. K. Gregorowicz.*

Złote ziarna.

Nie kto ma złoto, ma perły, ma szaty,
Ale kto na swem przestał, ten bogaty.

Rozmaitości.

O kopytach zrebiąt i koni. Pono każdy gospodarz wie o tem, że z kopytem końskiem nie można żartować, bo jeżeli kopyto kiepskie, to cały koń nie wiele wart, a często do niczego nie zdolny. Dla tego też już u źrebięcia trzeba uważać, aby kopyto rosło jak należy i obrzynać je, gdy zbytecznie nadrasta. Te źrebięta co ciągle po pastwisku uganiają, mają zwykle przód kopyta schodzony a piętki wysokie. Owóż te piętki należy czasami obrzynać, i porysowany róg strzałki zbierać i oczyszczać, aby się w rysach bród nie zagnieździł, bo od tego strzałka gnić może. Owóż tak ze źrebiętami co sobie po pastwisku swobodnie bujają, ale inaczej ma się rzecz z temi, które musiały długo stać w stajni. Źrebiętom ciągle w stajni trzymanym albo kopyto nadto wysycha, albolitеż miękczeje i wyrasta zbytecznie. Czemuż to ono wysycha a czemu miękczeje i jak temu zaradzić? Wysycha, bo źrebię ciągle na suchym gruncie stało, trzeba je więc wypuszczać na grunt wilgotny, a wnet mu lepiej będzie. Miękcieje zaś dla tego, bo zapewne zrebię nie miało dość podściołu i stało na wilgoci gnojowej, a wówczas tworzą się czasem nawet wrzody około strzałki. Ale i temu nie trudno zaradzić. Dodaj źrebięciu podściołu żeby suszej stało, obetnij części kopyta której się zbyt rozrosły, zdejm ostrożnie narośl ze strzałki ot i po wszystkiem, a na ropienie najlepszem jest lekarstwem obmywać wodą kilka razy dziennie i zasypywać proszkiem koperwasowym.

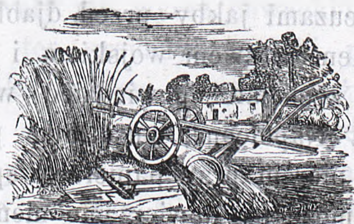
Ale i o dorosłych koniach także godzi się i potrzeba pamiętać i przestrzegać aby im kopyta zbytecznie nie wysychały. Gdy koniowi kopyta wyschną zbytecznie, stawia się go albo na wilgotnej glinie, albo na świeżym gnoju bydlęcym, albolitеż robi się z gliny i gnoju papkę i szmatą w tej papce umaczaną obwija się kopyto. Doświadczeni gospodarze mają zawsze w domu gotową maść, którą niekiedy smarują koniom kopyta, aby zbytecznie nie kruszały i nie wciągały w siebie wilgoci. Ta maść robi się tak: Bierze się 1 część oleju lnianego i 2 części sadła. Wszystko to na ogniu się topi, mięsza i dodaje sadzy sosnowej tyle, ile potrzeba aby maść poczerniała. Aby ta maść nie stawała się zbyt rzadką w czasie upałów, dodaje się cokolwiek roztopionego wosku.

Tyle na dzisiaj o kopytach, jak ich strzedz od choroby. Innym razem mówić będziemy o chorobach tychże jako to o zagwożdżeniu, o zapaleniu kopyta i t. d. i podamy różne łatwe a skuteczne sposoby leczenia tych chorób.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Stanisław Nowiński. — Z drukarni E. Winiarza.

Tom I. 21. Marca 1870. Nr. 9.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Józef Jastrzębski
dzielny wojak polski.

Przed sześćdziesięciu laty wielkie dziwa działy się na świecie. Na tronie francuskim zasiadł cesarz Napoleon, tak wielki wojownik, że od początku świata aż do dzisiaj znalazłoby się zaledwie kilku rycerzy do niego podobnych. Napoleon był synem ubogich rodziców, ale rzadki rozum utorował mu drogę do najwyższych dostojeństw wojskowych a w końcu nawet osadził go na tronie takiego wielkiego i rozumnego narodu, jakim są Francuzi. Osiadłszy na tronie cesarz Napoleon dokazywał cudów prawdziwych bez końca i miary. Ciągle prowadził wojnę a przytem zawsze bił nieprzyjaciół daleko silniejszych od siebie. Jednego roku wypowiedział wojnę Prusakowi i zbił go na kwaśne jabłko, drugiego roku wytrzepał tęgo skórę moskiewskiemu carowi, a zaraz potem za jednym zamachem zapędził się aż pod Wiedeń i sprawił Austryakowi gorącą łaźnię. Ale nie koniec na tem. Nieraz wyruszyło na Napoleona kilku monarchów na czele licznych wojsk. Ale to wszystko na nic się nie przydało. Napoleon wyszedł przeciw nim z daleko mniejszemi siłami, natarł odważnie na nieprzyjaciela i nie minęło jeszcze kilka godzin a już plac boju zasypany

trupami moskiewskimi i austryackimi, wojsko nieprzyjacielskie ucieka przed Francuzami jakby przed djabłami, a cesarz Napoleon pędzi za niem z swem wojskiem i okrutnie bije! Ale gdybym wam tu zechciał opowiedzieć wszystkie wojny i zwycięztwa cesarza Napoleona, musiałbym przynajmniej przez rok cały siedzieć z piórem przy papierze i spisać bardzo grubą książkę. A jeżeli może nie dowierzacie memu opowiadaniu, to postawić mogę żywych świadków, boć jeszcze żyje niejeden wiarus, co bił się w wojsku cesarza Napoleona. Polaków bardzo dużo miał Napoleon w swojem wojsku. Obiecywał on naszą ojczyznę odbudować. Raz nawet pobiwszy na głowę Moskala odebrał mu tęgi kawał ziemi polskiej i utworzył Księstwo Warszawskie. Gdyby był trochę dłużej pożył i na tronie się utrzymał, byłby może nawet całą naszą ojczyznę wyrwał z rąk nieprzyjaciół.

Nie dziw tedy, że Polacy lgnęli do cesarza Napoleona i bili się z jego nieprzyjaciołmi. A wszyscy bili się tak odważnie i dzielnie, że Francuzi i cesarz bardzo ich poważali. Jeżeli gdzie potrzeba było śmiało uderzyć na nieprzyjaciela, rzucić się prędko w ogień największy i wyprzeć wroga z miejsca, wysyłał Napoleon zawsze najpierw Polaków i nigdy się nie zawiódł na ich męztwie. Polacy spadali jak wicher na nieprzyjaciela, a za chwilę wracali już jako zwycięzcy. Cesarz Napoleon witał ich serdecznie, chwalił, a gdy mu się jaki wiarus polski szczególniej podobał, przybliżał się do niego, wypytywał się go po polsku, zkąd jest rodem, jak się nazywa, czy jest zadowolony z swego zawodu i poklepał go przytem kilka razy po ramieniu.

Takim dzielnym żołnierzem polskim był Józef Jastrzębski, grenadyer z pułku jenerała Wybranowskiego. Aż miło patrzyć na takiego chwata! Był to bowiem chłop wysoki jak dąb, a silny jak niedźwiedź. Dość było spojrzeć na twarz jego a zaraz można było poznać, że nie jedną już wojnę przetrwał. Na czole miał szram, którędy prześliznęła się szabla pruska, koło ucha ciągnęła się długa bruzda, którą wyryła w innej bitwie kula moskiewska, a oprócz tego pozostały jeszcze znaki kilku mniejszych ran, które zadano mu w kilkunastu bitwach

i potyczkach. Te rany zabliźnione i wąsy grube i długie jak dwie miotły, nadawały mu wyraz chwacki i rycerski. Osobliwie dzielnie wyglądał ten grenadyer polski podczas bitwy, gdy dano znak do ataku a krew w żyłach raźniej krążyć zaczęła. Jastrzębski szedł nieustraszony z bagnetem na nieprzyjaciela a oczy mu się przytem tak iskrzyły, z twarzy wyglądało takie męstwo i zapał, że niejeden Niemiec lub Moskal na sam widok takiego grenadyera polskiego rzucał swój bagnet na ziemię i uciekał co tylko tchu stało. Ale jeżeli Jastrzębski życie jakiego Moskala na wąs sobie namotał to i ucieczka nie pomogła, bo w największem oddaleniu trafiał każdego kulą tam, gdzie wymierzył. Był bowiem synem Kurpia a potem strzelcem u pułkownika jednego i tam się wyuczył strzelać tak celnie, że wszyscy żołnierze z jego pułku patrzali na niego jak na diabła i posądzali go o jakieś czary. Jastrzębski wyszczególniał się w wojsku zawsze celnemi strzałami, ale raz się tak gracko spisał że zręczność jego aż w książce nawet zapisano. Opowiem wam tutaj co o Jastrzębskim wyczytałem w książce, w której jenerał jego Wybranowski opisał swe koleje i przygody wojenne.

W r. 1813 stał Jastrzębski z pułkiem swoim w mieście niemieckiem Lipsku. W tej chwili właśnie cesarz Napoleon nie trzepał nikomu skóry, więc wojsko francuskie i polskie odpoczywało po trudach wojennych. By jednakże i w spokoju wojsko w ciągłem lenistwie czasu nie spędzało, więc najstarszy jenerał francuski rozkazał, by z każdego pułku wybrano co najlepszych strzelców i posłano ich do innego miasta niemieckiego Dessau, gdzie mieli do celu strzelać. Jenerał Wybranowski wybrał z swego pułku Jastrzębskiego, a potem jeszcze kilku innych, i wraz z innymi francuskimi strzelcami pospieszył do Dessau. Ale po drodze frasował się mocno jenerał, bo wiedział że kiedy żołnierz francuski bardzo dobrze strzela, więc bardzo łatwo mogliby się przy nich jego żołnierze powstydzić. Zafrasowany jenerał zbliżył się do swego najlepszego żołnierza Jastrzębskiego i zapytał:

— No jakżeż będzie, Józefie?

— Dobrze panie jenerale! — odpowiedział Jastrzębski rezolutnie. — Gdyby nawet djabeł siedział w tarczy to muszę

*

trafić w sam środek, albo sobie samemu w łeb strzelę, jeżeli mi się nie uda.

Ta odważna odpowiedź Jastrzębskiego zaspokoiła trochę jenerała. A Jastrzębski uśmiechnął się do swego karabina i szedł dalej odważnie.

Wreszcie przyszli wszyscy strzelcy na miejsce, gdzie mieli strzelać do celu. W odległości kilkuset kroków przybito do słupa okrągłą tarczę, na której porobiono kółka zwężające się coraz więcej ku środkowi. Ostatnie kółko było bardzo małe a w środku samym tarczy stał już tylko punkt czarny. Cała sztuka polegała na tem, by trafić w ten punkt środkowy. Tarcza była tak sztucznie przybita do słupa, że skoro tylko kula czyja ugodzi w sam środek, z tyłu pokazać się miał bardzo piękny fajerwerk.

Była to bardzo ładna i ciekawa zabawka; więc prócz jenerała, oficerów i wojska, zeszło się jeszcze bardzo dużo ludzi z miasta.

Strzelcy stanęli wreszcie przed tarczą. Jenerał oznajmił im, że kto trafi w sam środek tarczy, dostanie za to w nagrodę 150 złotych. Oficerowie postawili potem strzelców w takim porządku, w jakim do tarczy strzelać mieli. Pierwsi z kolei strzelać mieli Francuzi, a dopiero po nich następowali Polacy.

Zrobiło się nagle cicho, jakby mak siał. Pierwszy bowiem z kolei strzelić miał do tarczy jakiś żołnierz francuski, stary i osiwiały w wojnach a strzelec doskonały. Wszyscy byli pewni, że żołnierz ten niezawodnie trafi w sam środek tarczy i weźmie nagrodę. Francuz stanął na swem stanowisku, przycisnął karabin do ramienia, mierzył kilka minut i strzelił wreszcie Ale z poza tarczy nie pokazał się żaden ogień sztuczny, bo kula na cal jeden po za środkiem wydrążyła sobie dziurę w tarczy.

— Jeżeli ten nie trafił, to już to wszystko pewnie na niczem się zakończy! — pomyśleli w duchu wszyscy żołnierze.

Francuski żołnierz ścisnął w rękach karabin ze złości, jakby go chciał pogruchotać i zagryzł usta. Pierwszy to bowiem raz nie udało mu się trafić z niego do celu. Jastrzębski zaś

uśmiechał się ciągle, spoglądał wesoło na swój karabin i tak się niecierpliwił, że chciał ze skóry wyskoczyć, by trafić jak najprędzej.

Przed nim jednakże strzelać miało jeszcze kilku francuskich żołnierzy. Każdy z tych żołnierzy był zawołanym strzelcem, każdy mierzył długo, ale nikt nie trafił w sam środek. Kule dokoła posiekały tarczę, a sam środek stał nietknięty.

— Teraz kolej przychodzi na was Polacy! — rzekł jenerał francuski zwracając się do kilku z polskich żołnierzy.

— Wiem, rzekł dalej jenerał francuski — że ktoś z was otrzyma nagrodę, bo pod słońcem niema lepszych od was żołnierzy.

Jenerał Wybranowski stał tymczasem na uboczu mocno zafrasowany.

— Jeżeli Jastrzębski chybi — pomyślał sobie, co wtedy powiedzą o polskich żołnierzach? A trudno, by kto z naszych trafił, skoro tylu Francuzów chybiło.

Ale lżej się zrobiło panu jenerałowi, gdy ujrzał Jastrębskiego, który wyciągnięty jak struna wyszedł z szeregu, stanął silnie na swem stanowisku i zdjąwszy karabin z pleców jakby piórko lekkie przyłożył go do ramienia.

Niemcy, co się tej strzelaninie przypatrywali, widząc takiego dużego i silnego grenadyera polskiego aż o krok w tył ze strachu się cofnęli.

I zrobiło się znowu bardzo cicho dokoła, bo wszyscy słyszeli o polskich żołnierzach dziwne rzeczy, więc ciekawi byli, czy prawda to, co o nich ludzie mówią.

Jastrzębski tymczasem wpatrzył się w sam środek tarczy, przyłożył karabin silniej do ramienia i palcem chwycił za kurek. Z ogromnym hukiem wypadł strzał i w tej chwili z po za tarczy wybuchł piękny fajerwerk, co było znakiem, że kula w sam środek trafiła. W tej chwili także ozwała się muzyka wojskowa na cześć dla celnego strzelca.

— Niech żyje Jastrzębski! — zawołali obecni przy tem żołnierze polscy.

Tymczasem jenerał francuski a za nim wszyscy żołnierze pobiegli co tchu, by się dowiedzieć, dlaczego po strzale

Jastrzębskiego tarcza odpadła od słupa, do którego przybita była grubym żelaznym gwożdziem. Pokazało się, że Jastrzębski trafił tak jak mierzył, nie tylko w środkowy punkt czarny, ale nawet w gwożdź, w skutek czego tarcza od słupa się oderwała.

Widząc to jenerał francuski, pobiegł zaraz do Jastrzębskiego, który śmiał się z tego i spokojnie karabin swój czyścił, ściskał go, ucałował serdecznie i rzekł.

— Zuch z ciebie bratku! Wiedziałem o tem, że Polacy są zawsze najdzielniejszymi żołnierzami.

Jenerał Wybranowski pobiegł także do Jastrzębskiego i uściskał go tożsamo. Ale nie dość na tem, że tak ściskano i chwalono Jastrzębskiego. Za ten celny strzał spotkał go wielki zaszczyt, bo jenerał francuski zaprosił go do siebie na obiad.

Wielki to był kłopot dla Jastrzębskiego, który jako szeregowy żołnierz znalazł się nagle przy jednym stole z tylu jenerałami i oficerami Ale nikt nie uważał na tę różnicę. Wszyscy oficerowie i jenerałowie ściskali Jastrzębskiego i pili jego zdrowie.

Gdy już się wszyscy rozejść mieli od obiadu, jenerał francuski zrobił pomiędzy starszyzną wojskową składkę na Jastrzębskiego. W jednej chwili zebrał jenerał 150 złotych dał je w darunku Jastrzębskiemu, który już przedtem za celny istrzał otrzymał z kasy wojskowej 150 złotych

Francuscy żołnierze z początku patrzali na Jastrzębskiego niechętnie, bo żal im było, że Polak wziął im z pod nosa taką piękną nagrodę, ale mimo to szanowali go bardzo potem, bo Jastrzębski uradowany bardzo tem, że przyniósł zaszczyt polskiemu wojsku, uczęstował wszystkich swych towarzyszy od serca.

Co się potem z Jastrzębskim dalej stało, powiedzieć wam nie mogę. Na naszą nieszczęśliwą ojczyznę bowiem spadły wielkie klęski. Jastrzębski jako dobry Polak i dzielny żołnierz nie puścił z rąk swych broni wtedy, gdy wszyscy nieśli życie ojczyźnie w ofierze. Więc Jastrzębski bił się za Polskę zawsze dzielnie i walecznie, aż raz w jednej bitwie

otrzymał ranę i dostał się do szpitalu w Lipsku. Rana była ciężka, więc może umarł Jastrzębski w szpitalu śmiercią chlubną, jak tyle tysięcy naszych walecznych rodaków. Ale wszyscy co z nim razem walczyli, wspominali jego imię ze czcią.

Raz spotkałem jednego starego wiarusa, co walczył razem z Jastrzębskim.

— A czy znaliście grenadyera Jastrzębskiego? — zapytałem.

— Jastrzębski? — zapytał staruszek. — Ho! ho! A któżby to nie znał takiego żołnierza? Strzelał jak djabeł, niech mu Pan Bóg tego nie pamięta. Z jego karabinu nie wypadł ani razu choćby jeden strzał daremnie!

Bartek Szkolarz.

Góral na polanie.

Jam porzucił moją chatę,
Wygnał owce do tych gór,
Co wierzchołki lodowate
Wystawiają z ciemnych chmur.
Złote niebo na zachodzie,
Pod nim kilka modrych smug,
Na równinie jak w ogrodzie
Leżą wioski u mych nóg.

Gdzie Dunajec srebrny płynie,
Kędy leży cienka mgła,
Tam ja chatę mam w krzewinie,
Tam i brat mój chatę ma.
Jak pod jesień z tej polany
Me owieczki będę gnał,
Będzie księżyc wyzłacany
Popod czystem niebem stał.

J. P. T.

Św. Wojciech i jego pomnik
w katedrze gnieźnieńskiej.

Przez Jana Kantego Gregorowicza.

Dzień św. Wojciecha kościół jak wiadomo obchodzi 23. kwietnia i to z wielką uroczystością jako poświęcony uczczeniu pamięci męczennika, który wierny obowiązkom swego powołania legł pod ciosami pogańskiego barbarzyństwa. Święty ten urodził się w r. 956 na ziemi Czeskiej z ojca Sławnika hr. na Libiczu i matki Strzeżysławy, równie ze znakomitego pochodzącej rodu. W owym czasie Czechy jak i inne pobratymcze narody Słowiańskie byli jeszcze poganami. Wprawdzie wiara chrześcijańska znaną im była, naród uważał się nawet za

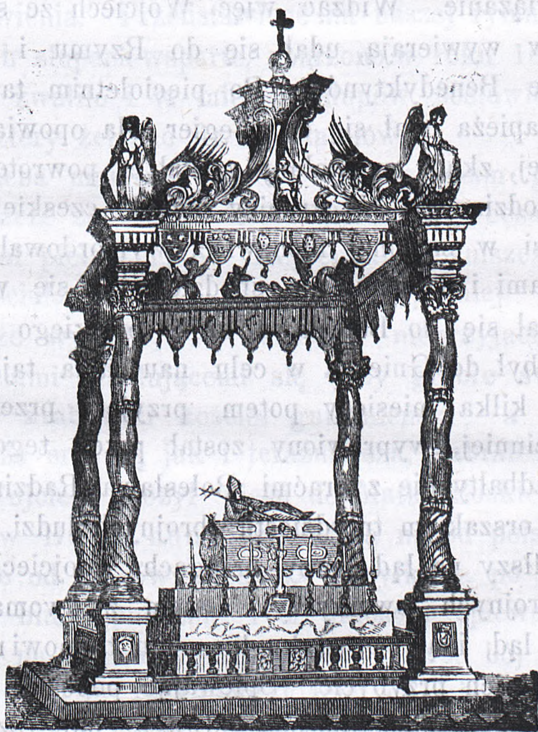
wyznawców nauki Chrystusa, ale w gruncie był jeszcze pogańskim, i tylko mała ilość mieszkańców pojmowała należycie światło prawdziwej wiary i pragnęła jak największego jej rozszerzenia. Do tych szczupłych w liczbie należał hrabia Sławnik z żoną swą Strzeżysławą, których jako ludzi sprawiedliwych, pobożnych, miłosiernych, nie tylko uwielbiał lud ubogi, ale i zamożni czcili i szanowali.

Młody Wojciech w młodzieńczych swych latach przeznaczony był do życia świeckiego, aby mieczem służył krajowi i pomnażał jego sławę pomiędzy ościennemi ludami. Ale uległszy niebezpiecznej chorobie, kiedy rodzice stracili wszelką nadzieję ocalenia jedynego syna, zaniesiony został do kościoła, położony na ołtarzu Matki Zbawiciela, z obietnicą poświęcenia go służbie Bożej, gdyby cudownym sposobem wrócił do sił dawnych i zdrowia. Bóg ulitował się, dziecię ozdrowiało i rodzice zaczęli przygotowywać go do spełnienia uczynionych ślubów. Wyuczywszy się więc pisania, czytania, pierwszych zasad chrześcijańskiej wiary i całego psałterza na pamięć, w szesnastym roku swego życia, wyprawiony został do Magdeburga posiadającgeo przy klasztorze św. Maurycego szkołę nader słynną i chwaloną powszechnie. Po dziewięcioletniej pilnej nauce, Wojciech mając lat 25, wrócił do rodzinnego kraju i zaczął się przygotowywać do przyjęcia święcenia kapłańskiego. W czasie ceremonii kościelnej, kiedy powstał biskup pragski Therat, aby dopełnić ostatniego obrzędu, powstał i hrabia Sławnik wraz ze swą zacną małżonką i wyciągając ręce po nad głową ukochanego syna, odezwał się silnym acz rzewnym głosem:

— Oddaję Ci Boże com miał najdroższego, jedyne dziecię mego pacholęcego domu, jedyną nadzieję sławnego i starożytnego naszego rodu. I oddaję Ci je z sercem chętnem i radosnem, bo dla rozszerzenia Twej chwały, dla wyrwania dusz ludzkich z pogańskiej mocy, nie ma ofiary dość wielkiej któraby była nad siły człowieka. Idź więc i pracuj, ucz słowem, zachęcaj przykładem, głoś prawdę, walcz fałsz i kłamstwo: nieulękły nigdy, nieustraszony, nawet nietrwożny, z raz obranej drogi nie ustąp ani kroku; bądź jak

skała wśród morskich otchłani, jak orzeł po nad Karpat szczytami, ale nigdy nie zapomnij o obowiązku jaki poślubiłeś. Gdybyś zaś kiedy powodowany słabością, zapomniał o swem przeznaczeniu, o kraju i ziomkach, i powodowany ponętami świata, sponiewierał anielską szatę, w jaką cię dostojne ręce biskupa przystroją, wówczas i ja również zapomnę że mam syna i rozbolały sercem rzucę na twoją głowę przekleń....!

— Ojcze! nie kończ — przerwał Wojciech zrywając się z kolan, — czyż to ma być ostatnie słowo, z jakiem mnie wyślesz wciernistą drogę mego zawodu?



Pomnik św. Wojciecha przed r. 1840.

— Dziecię moje ukochane — odezwała się matka zalana łzami — gołąbeczku mojej duszy, posłanniku zgody i pokoju pomiędzy ludźmi! Dla szczęścia twego oddałabym chętnie ostatnią krwi kropelkę, a jednak wyszafuj wszystką, jaka płynie w twoich żyłach, dla miłości Boga i szczęścia ludzi, braci twoich w Chrystusie. Oby Bóg wszechmogący w dniach osłabiena był ci podporą, w zwątpieniu pokrzepieniem i oby ci tak zawsze błogosławił jak ci błogosławię w tej chwili,

sercem przejętem zarówno radością że cię poświęcam na tryumf wiary chrześcijańskiej, jak i boleścią, że cię tracę dla żywota mego ziemskiego.

Z takiem to podwójnem błogosławieństwem Wojciech namaszczony został na przyszłego męczennika, a przejęty ważnością poślubionych obowiązków, wkrótce zasłynął pobożnością i tak świątobliwem życiem, że po śmierci biskupa Therata obrany został na jego miejsce i zasiadł na biskupiej stolicy. Ale naród Czeski, jak powiedzieliśmy, nie był jeszcze wtenczas czysto chrześcijańskim i do dawnego poganizmu miał silne przywiązanie. Widząc więc Wojciech że starania jego mały wpływ wywierają, udał się do Rzymu i zamknął się w klasztorze Benedyktynów. Po pięcioletnim tamże pobycie z rozkazu Papieża udał się do Węgier dla opowiadania nauki ewangelicznej, zkąd przywołany został z powrotem do Czech jako kraju rodzinnego. Na granicy jednak czeskiej, dowiedział się, że Czesi w szalonej nienawiści wymordowali braci jego wraz z żonami i dziećmi, nie spodziewając się więc żadnego pożytku, udał się do Bolesława króla polskiego i z końcem r. 996 przybył do Gniezna w celu nauczania tajemnic nowej wiary. W kilka miesięcy potem, przyjęty przez Bolesława jak najgościnniej, wyprawiony został przez tegoż Wisłą na Pomorze Nadbałtyckie z braćmi Bolesława Radzinem i Benedyktem i z orszakiem trzydziestu zbrojnych ludzi.

Wysiadłszy na ląd przy brzegach Wojciech odpra-wił statek i zbrojnych towarzyszy, a sam z dwoma kapłanami wyszedł na ląd, idąc wprost ku licznemu tłumowi mieszkańców, zbiegłemu na ich przybycie. Śpiewając pobożne psalmy szedł ciągle naprzód z nieustraszoną odwagą, lud rozstępował się z poszanowaniem, ale jeden z pomiędzy ludu nagle uderzył go silnie wiosłem, tak że Wojciech padł na ziemię jakby nieżywy. Wróciwszy jednak do przytomności, przeprawił się na drugą stronę rzeki i przez las wyszedł na pole ciągnące się aż do Romowe, miejsca słynnego pogańską świątynią. Tam to poganie napadli na śpiących, skrępowali, a jeden z nich utopił włócznię w piersiach Wojciecha. Upadł zamordowany d. 23. kwietnia 997. r. i dlatego dzień ten na święto dla tego męczennika

przeznaczony został. Towarzysze jego zdoławszy szczęśliwie wydobyć się z rąk pogańskich wrócili do Bolesława, który zwłoki św. Apostoła wykupił.

W mieście Trzemesznie jest kościół starożytny, w którym król Bolesław złożył najprzód zwłoki św. Wojciecha, ztąd zaś przeniósł je do Gniezna, gdzie spoczywają w wspaniałym grobie w pośrodku kościoła, który przedstawia rycina, tak, jak wyglądał przed dwudziestu kilku laty. Na skrzydłach orłów wznosi się srebrna trumna ze zwłokami, na niej zaś spoczywa ulana także ze srebra postać świętego jakby podnosząca się dla błogosławienia. Przedstawione na naszej rycinie sklepienie na kręconych słupach wsparte, zburzono w roku 1840 z obawy aby się nie zwaliło i w miejsce słupów postawiono w około grobowca cztery żelazne figurki aniołów.

Nie trzeba mniemać, że to jest ten sam grobowiec do którego jeszcze za czasów króla Bolesława cesarz niemiecki Otto odbywał pielgrzymkę. Tamten uległ zniszczeniu podczas pożaru kościoła, równie jak kilka później wzniesionych. Dodać także wypada, że rozmaici nieprzyjaciele zwabieni kosztownościami znajdującemi się przy grobie św. Wojciecha kilkakrotnie zrabowali kościół gnieźnieński, a przedostatnią trumnę, także srebrną jak i teraźniejsza, zabrali Szwedzi.

Św. Wojciech ułożył pieśń do Matki Boskiej zaczynającą się od słów Boga rodzica, którą naród polski tak sobie upodobał, że od czasów Bolesława nietylko ją po kościołach ale i na polach bitew pobożnie i z ufnością spiewano, a nawet z tą pieśnią na ustach wojsko polskie zawsze bój rozpoczynało; w Krakowie zaś ile razy nieprzyjaciel do miasta się przybliżał, wytrębywano ją z wieży, a na to hasło mieszczanie za broń chwytali i biegli tłumnie na obronę murów ich pieczy powierzonych. Gdy ostatni z starodawnych rycerzy polskich legli w krwawym boju za ojczyznę, skonały na ich ustach ostatnie dźwięki pieśni Bogarodzica i już nie ożyły. Odtąd nie spiewano jej, zapomniano i dziś nikt jej nie umie. Tylko w katedrze gnieźnieńskiej słyszeć ją można jeszcze, śpiewaną tak samo jak za polskich czasów co niedzielę. Po nabożeństwie czterech księży wychodzi na środek kościoła, stają w półkole przed

srebrną trumną i spiewają pieśń Bogarodzica. Kościół jest tak zbudowany, że chociaż tylko cztery odzywają się głosy, sklepienie stokrotnym grzmotem rozmnaża każdą nutę; słysząc to któż się nie ukorzy w duchu, kto nie uczuje w sercu szczęścia, że mu dano zasłyszeć jakby echo owych bolesławowskich czasów, w których poczęła się miniona wielkość i sława naszej ojczyzny. r.

Dwa krzyże.

przez ks. Wojciecha z Zaleszan.

Są u nas takie miasta i wsie, które zostały nazwane na wieczną pamiątkę od tych krolów, biskupów i panów, co je fundowali. Na ten przykład Lwów nazwany jest tak od jednego księcia, który to miasto fundował i miał imię Lew, Kraków nazwany od swego fundatora Krakusa, Tarnów nazwany od swego fundatora pana Tarnowskiego; Stanisławów nazwany od swego fundatora pana Stanisława Potockiego; Przemyśl i Jarosław od swych fundatorów książąt Przemysława i Jarosława i t. d. Tak samo jest wieś w górach, co się zowie Wieś biskupia, bo ją fundował biskup krakowski, do którego należały te góry z lasami, wodami, miastami, i gromadami, a dostało się to wszystko biskupom od pobożnych królów polskich. Zabrali zaś to Niemcy i Moskale i trzymają dotąd albo już wyprzedali. Otoż przejeżdżałem z moim furmanem Szymonem Gardzielem dwa roki temu i przez tę wieś biskupią. Patrzę a tu kościół murowany, jakby farny w mieście, wieża z zegarem starym, a zaraz szkoła murowana z sadowiną, pasieką i ogrodem warzywnym, gdzie się dzieci uczą drzewka sadzić, szczepić, czyścić, gdzie się uczą chodzić koło pszczół i ogrodowiny, a więc znają na książkach, znają pieśni nabożne, znają opowiadać o królach, biskupach, panach dawnych, a naostatek znają ule robić, ustawić dobrze w pasiece i rój osadzić, znają różne warzywa w ogrodzie siać, sadzić, a niejedno dziecko zna i krawiectwo, bednarstwo i różne roboty. Widząc to pomyślałem sobie:

— Mój Boże! dawni ludzie wiedzieli jakoś, co im potrzeba! mieli na kościele zegary, kościoły murowali, szkoły murowali aby długie stały lata, a dzieci ich uczyły się dużo rzeczy, które się w życiu każdemu przydadzą — a dziś tego nie ma; mówię do Szymona.

— Widzicie Szymonie, co tu dobrego w tej wsi?

A Szymon na to:

— To wszystko ofiara biskupów krakowskich; górale mieli tu prawa dobre, dbali o siebie, dlatego mieli się dobrze, i dziś są tu tacy gazdowie, co pokończyli szkoły w Krakowie, potem osiedli na gruncie i są mądrymi gazdami. Ale! pokażę też Jegomości tam za wsią dwa krzyże, o których opowiadają górale ciekawe historye.

— No! mówię ja, to naprawdę dziwne rzeczy, bo ja wiem, że się stawia jeden krzyż, albo trzy krzyże, ale o dwu krzyżach razem tom jeszcze nie słyszał nigdzie.

I naprawdę zobaczyłem między gruntami na czystem polu dwa krzyże i jakieś drzewo zielone w środku. Na szczęście moje nadszedł stary góral, a ja powitałem go naprzód pochwaleniem Boga i mówię mu:

— Na jakąto pamiątkę postawiliście tam na polu te dwa krzyże?

Góral stary rzecze:

— To pamiątka i nauka dobra po dwóch gazdach, Macieju Srokaczu i Janku Gawronie, którzy mieli tu grunta razem, a tam, gdzie stoi to zielone drzewo między krzyżami, szła miedza graniczna, a na tej miedzy była wielka jabłoń. Otóż zawsze tak dziadkowie jak i potomki ich żyli w świętej zgodzie, nigdy miedzy tej nie ruszali i nie krzywdzili, a jak Pan Bóg zarodził jabłka na jabłoni i kiedy już były dobre do jedzenia, to szły dzieci tych gazdów, otrzęsły razem jabłka, zebrały na kupę, a potem podzieliły się ćwiercią sprawiedliwie na dwie równe części i poszły w zgodzie i cicho do domu, dziękując Bogu za smaczny owoc. Bo to powiadają tak starzy ludzie: Gdzie żyją ludzie w zgodzie, tam im bieda nie dobodzie, a gdzie są gniewy, swary, tam bieda zawsze do pary.

— Święte wasze słowa staruszku kochany! rzekłem; a u nas tak mówią o tem:

— W zgodzie robią się wielkie rzeczy z niczego a przez kłótnię zrobi się złe z dobrego. I gdyby to ludzie trzymali się tej prawdy i słuchali przykazu Boskiego, toby było wszystkim dobrze, nie byłoby gniewu, kłótni ani procesów na świecie, a najbiedniejszy pomieściłby się zawsze między bogaczami.

— Tak Jegomość! to prawda boska, rzecze góral staruszek, tak samo słowo w słowo stało się z tymi gazdami Srokaczem i Gawronem. Dopóki żyli w zgodzie, to siali, orali i jabłka zbierali, i każdy miał suszone i pieczone podostatkiem, a jak się pokłócili i w prawa się wdali, to poszło suszone i pieczone, poszedł grosz z domu za biednym jabłkiem.

— A to jakim sposobem porobiło się tak? spytałem ciekawy.

— Wszakto nie nowina i niepierwszyna na świecie! rzecze staruszek; jak długo nie ma śmiecia na progu, to drzwi nie skrzypią i dobrze się otwierają, niechno tam zaleci jakie śmiecie, to się drzwi odzywają i źle się zapierają. Tak i między ludźmi! Jak zły człowiek zalezie między kumów i braci, to ich tak pokłóci, że jeden drugiego zatraci. Otóż był tu niedaleko znowu Łukasz Nosal, a już widać miał to przezwisko od ludzi dla tego, że wszędzie wtrącał nosa, choć tam nie dał grosza; zawsze umiał tak się łasić i przyczaić, jakby był niewinnym barankiem, a potrafił znowu takie słodkie słówka głosić, że się wydawał być aniołkiem, a był to szkodnik i niecnota, iż szkoda było że go święta ziemia nosiła. Otóż poradził on raz tak Maciejowi Srokaczowi: Wiecie wy Macieju, że wam należałoby się co rok więcej jabłek z tej jabłoni na miedzy, bo nad waszem polem ma ta jabłoń daleko więcej gałęzi, a jak się jabłka trzęsą, to dwa razy tyle jabłek spada na wasze pole — a ten Janko Gawron bierze niesprawiedliwie tyle co wy.

Maciej zrazu zmiarkował, że to prawda, bo nad jego zagonami było więcej gałęzi i mówi do Nosala niecnoty:

— A cóżby tu zrobić takiego, aby można dojść swego? dotąd nie uważałem tego, że ta jabłoń stoi tak, jak na mojem polu.

A w to graj Nosalowi, temu kłótnikowi! otóż rzecze on do Macieja tak:

— Ja wam napiszę darmo skargę do wójta, aby zrobił sprawę i aby wam Janko Gawron zapłacił za cały ten czas, odkąd zabierał jabłka z gałęzi nad waszem polem — a może się tak ugodzi z wami, że cała jabłoń do was należeć będzie.

— Już naprzód zgadnę, rzekłem na to, że wójt nie zważał na zgodę dawną i za napitek przyznał sprawę Maciejowi a za to dostało się coś i Nosalowi, bo tacy pisarze i pijacy napisaliby skargę i na pana Boga, jakby im kto dał pić i do kieszeni co wtrącił.

— A tak na włos się stało! rzecze staruszek; tapierwsza kłótnia między sąsiadami i to o marne jabłka, narobiła wrzawy w całej wsi między góralami i przyniosła stratę dla obu tak wielką, żeby było parę koni za to. Cały tydzień pili i radzili, pytali i gadali, na pole pod jabłoń chodzili i mierzyli, potem na korce rachowali, to ujmowali to dodawali, aż na końcu dekret wydali, aby Gawron zapłacił Srokaczowi Maciejowi za 20 lat, co rok rachując pół korca jabłek. Ale Nosal podszedł znowu Janka Gawrona i powiada słodziutko: Słyszycie wy Janie! bylibyście głupi, żebyście na to prawo wójta przystali, ja wam napiszę aż do Krakowa skargę na Macieja i wójta, a zobaczycie, że wygracie — trzeba wam będzie co stracić, ale wolicie stracić niż durnemu Maćkowi zapłacić.

— A to niecnota dopiero rzekłem, z tego Nosala, żeby durzyć tego na owego, a buntować znowu jednego na drugiego i tak całą wieś zaprzątać i poplątać! a tu nikt się nie poznał na takim lisie! ale widzi mi się, że on obu tych sąsiadów w pole wyprowadził.

— Oj bo wyprowadził! rzecze góral, rozpoczął się proces na śmierć między góralami. Naraz dostali pozew do Krakowa tak Maciej jak Janko, i każdy nabrał na furę swoją świadków. A Nosal podszedł znowu jednego i drugiego. Maciejowi dał list taki: Proszę pana urzędnika trząść dobrze tę jabłoń i długo, bo na niej są złote jabłka! i powiedział mu, aby list oddał w sądzie. A znowu potajemnie dał list Jankowi taki: Proszę pana urzędnika trząść i tę jabłoń dobrze, bo to bogacz i może płacić — i kazał mu ten list oddać w sądzie. — I tak każdy pojechał z listem i wierzył że wygra.

Na to rzekłem zdziwiony:

— Może też Bóg jakim cudem otworzył oczy tym zaślepionym sąsiadom, że się poznali na cygaństwie.

— Tak się stało, powie staruszek. Wypadło im nocować w jednej gospodzie na drodze — nuż więc przy furach w sieni do przymówek i wypominania o czasach zgody, cichego życia, aż jeden z górali zawołał: Otwórzcieno wasze listy, a ja przeczytam co wam Nosal popisał. Otworzyli, przeczytali to się śmiali, to gniewali, całą noc nie spali ale przegadali, ręce sobie podali, pięknie się pojednali a rano do wsi nawrócili i całą drogę się dziwili, że przez tyle lat w zgodzie byli a przez jednego złego się pokłócili i na wielkie straty narazili i w proces się w taki wdali, żeby byli konie i krowy sprzedali, a w końcu suchą jabłoń wygrali. A gdy przyjechali do wsi i przeczytali te listy od Nosala, oj byłaż mu ciężka niedola! musiał niebożątko stratę wrócić, i do Boga się nawrócić i pisarstwo zarzucić, a pokutował też pokutował, bo go palcem lada kto pokazywał a jeszcze dziś mówią górale tak:

— Jeżeli chcesz popaść w jaką zdradę, to idź do Nosala po radę!

— Dobrze się stało! rzekłem, ale na cóż te dwa krzyże stoją tu?

— To na pamiątkę i naukę postawili te krzyże Maciej Srokacz i Janko Gawron, każdy na swojem polu tak, że jabłoń została w środku, aby każdy wiedział, że kto idzie w proces, to niech się na krzyż gotuje, a kto idzie do zgody to niech szczęścia oczekuje, bo krzyż święty jest znakiem cierpienia i wiecznego zbawienia. Odtąd cicho w naszej biskupiej wsi jak mak siał, dzieci się uczą, górale pracują, a każda sprawa kończy się w szkole, przed krzyżem a nigdy w arendzie.

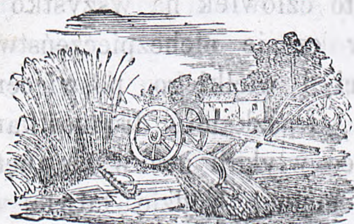
— Chwała Bogu! powiedziałem, to doskonale! oby tak wszyscy u nas robili, jak robią górale a wam staruszku wielkie Bóg zapłać za to opowiadanie, które pójdzie do Dzwonka na czytanie, aby ludzie dobrze rozumieli, co to pisarze i proceśniki wyrabiają, jak waśnią i okpiewają, aby się sami godzili przed ołtarzem albo pod krzyżem.

Róbcież tak moi kochani i żyjcie z Bogiem.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Stanisław Nowiński. — Z drukarni E. Winiarza.

Tom I. 1. Kwietnia 1870. Nr. 10.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Młode lata
Marka i Jana Sobieskich

przez Jana Kantego Gregorowicza.

Słyszeliście zapewne nieraz o królu naszym Sobieskim, dzielnym wojaku, co często samym postrachem swego imienia, rozpraszał liczne hordy Turków i Tatarów. On to męztwem i poświęceniem ratował wielokroć nietylko Polskę ale i cały świat chrześcijański od niewoli bisurmańskiej: on jeden nie tracił nigdy odwagi i nadziei, choć w czekajacej go walce stawać musiał często jeden przeciw całej setce nieprzyjaciół: on to uratował Wiedeń z pod oblężenia tureckiego, kiedy wszyscy cesarze i króle z panami i magnatami potracili głowy: jego to wreszcie sławiło całe chrześcijaństwo zwąc go bohaterem nad bohaterami i czcząc naród, któremu przewodził.

W Warszawie w rezydencyi królewskiej zwanej Łazienkami, na moście wprost pałacu, stoi statua kamienna wyobrażająca króla Sobieskiego siedzącego na wspinającym się koniu, pod którym leży kilku Turków osłaniających się przed groźnemi kopytami rumaka. Wystawił ją Stanisław Poniatowski ostatni król polski, bo pod jego rządami ostatecznie Polska

została rozebraną i podzieloną jak bułka pomiędzy Austrję, Prusy i Rosyę, a on wywieziony na mieszkanie do Petersburga.

Stanisław był to człowiek na wszystko zdatny ale nie na króla, zwłaszcza w czasie niebezpieczeństwa, kiedy potrzeba i wielkiej dzielności i wielkiego poświęcenia. Zajęty swojem dostojeństwem, fraszkami, drobnostkami, patrzył przez szpary na obcych, co wtykali nos w wewnętrzne sprawy narodu, aby później w mętnej wodzie łatwiej łowić mogli ryby. To też rozumni i poczciwi, co przewidywali, że z takiego zarządu nie może nic dobrego dla biednej ojczyzny wypłynąć, gniewni byli niezmiernie na króla Stanisława. Oni to też w czasie uroczystego postawienia statuy Sobieskiego, kiedy w pałacu wrzała zabawa, przylepili na niej kartkę z następującemi wierszami:

Stanisław, co nas kraju z ujmą sławy zbawił,
Janowi Sobieskiemu statuę wystawił,
Koszt łożył sto tysięcy, jabym dwakroć łożył,
By Stanisław skamieniał a Jan trzeci ożył.

Żeby zdobyć taką pamięć i cześć narodu potrzeba na to zasłużyć pracą całego swego życia. Jan też szczerze na to zapracował, a choć urodzony w bogactwie i dostatkach, od młodzieńczych lat jak uchwycił oręż w obronie kraju, tak go już z rąk niewypuszczał prawie do samej śmierci. Na polach bitwy, w pośród pożogi wojennej i trupów nieprzyjacielskich nie szczędząc ani życia, ani zdrowia, ani mienia, Sobieski zdobywał sławę i dostojności, aż wreszcie ogólną wolą narodu obrany został królem, choć wielu obcych królów i książąt starało się usilnie o tron polski już to dla siebie, już dla swych powinowatych.

Oprócz wrodzonych przymiotów, któremi Bóg obdarzył Sobieskiego, najwięcej do wyrobienia go na bohatera przyczynili się rodzice jego a szczególniej matka Teofila, z rodu Daniłowiczówna. Bogobojna ta niewiasta od młodego wieku ponosiła krwawe ofiary z najukochańszych i najdroższych dla siebie osób dla sprawy ogólnego dobra. Najprzód pod Cecorą zginął w bitwie z Tatarami dziad jej Żółkiewski, starzec blisko osiemdziesięcioletni, który pomimo tak późnego wieku nie wymówił

się od rycerskiej posługi dla całego narodu. Wkrótce potem wuj jej rodzony Jan, syn dziada Żółkiewskiego, wydobyty z niewoli tureckiej, do której dostał się pod Cecorą, nieszczęściami swemi zniszczony zupełnie na zdrowiu umarł na ojczystej ziemi. Później zginął pod nożem tatarskim ojciec Teofili, następnie brat jej jedyny, który uniesiony zapałem znalazł śmierć pod mieczem sułtana. Pomimo takich strat serdecznych Teofila zostawszy żoną Jakóba Sobieskiego i matką dwóch synów Marka i Jana z pokorą pochyliła głowę pod wolę Opatrzności mówiąc:

— Bóg tak chciał niechże się dzieje, jak rozporządził. Nie nam marnym prochom rozważać wyroki Opatrzności, ale przyjmować je należy z poddaniem bez szemrania, bo najlepiej Bóg radzi o swojej czeladzi. Mam dwóch synów i obu poświęcę na służbę krajowi i obronę chrześcijaństwa. Jeżeli Bóg obudwom przeznaczył zaszczytną śmierć na polu bitwy z pogaństwem, niech się dzieje święta Jego wola. Najświętsza Panna oddała Syna swego jedynego na męczeństwo dla zbawienia świata, oddam i ja moich synów na obronę chrześcijaństwa.

Wierna temu postanowieniu a pragnąc w synach obudzić męztwo i ducha poświęcenia, za znaczny okup sprowadziła z Konstantynopola głowę dziada swego Żółkiewskiego zawieszoną u bramy pałacowej sułtana. Drogocenną tę pamiątkę po zacnym mężu pomieściła w kościele w Żółkwi obok szczątków pośmiertnych ojca, wuja i swego brata. Tam to zacna ta niewiasta codziennie przyprowadzała synów swoich i po wysłuchaniu rannego nabożeństwa wszyscy społem uklękali przy prochach tych męczenników mówiąc ze łzami w oczach:

— Boże miłosierdzia wejrzyj na nas łaskawie! — Przodkowie nasi położyli głowy w obronie kraju, przyjmij i nas na obrońców krzyża i namaść na przyszłych chrześcjańskich rycerzy. Daj nam zaparcie siebie dla dobra kraju i dozwól iść za przykładem przodków naszych, do ostatnich chwil życia wiernych swemu obowiązkowi. Prosimy Cię Boże całą naszą duszą, sercem i myślą, a Ty Najświętsza Maryjo wstaw się za nami grzesznymi!

W chwilach zaś wolnych od zajęć naukowych, chrześcijańska ta Polka i matrona opowiadała synom wielkie czyny ich

przodków, co legli w mogile, wpajała w ich umysł powinności dobrego syna kraju i pokazując rynsztunek wojenny dodawała:

— Oto szata dla was najozdobniejsza, twarda, żelazna i pełna hartu, niechże i w was znajdzie rycerzy, gdy ją kiedyś przywdziejecie, o silnej ręce, hartownej duszy i sercu pełnem poświęcenia. Gdy takimi zostaniecie, na ziemi błogosławić wam będzie matka chlubiąc się, że takich synów wychowała a tam w niebiesiech wasi zacni przodkowie, odbierający już nagrodę za męczeństwa swojego żywota.

Ale i ojciec Jakób niemniej był troskliwy o wychowanie dobre swych synów. Sam bardzo światły człowiek uczył ich obcych języków i różnych nauk, a przytem utrzymywał nauczycieli, przy których uczyli się muzyki, fechtunku, władania orężem i zręcznego powodowania koniem. Kiedy po ukończeniu nauk w domu, dla nabrania praktyki życia pomiędzy ludźmi, młodzi Sobiescy wyprawieni zostali w obce kraje do Niemiec, Włoch, Francji i Anglji, ojciec wypisał rady, co mają wypełniać, aby podróż tę z korzyścią dla siebie odbyli. W nich to pomiędzy innemi powiada: Przedewszystkiem pamiętajcie każdy dzień rozpoczynać i kończyć modlitwą, bo kto z Bogiem to Bóg z nim.

Nie gardźcie grubym pokarmem, bo mając kiedyś bojować przeciw bisurmanom nie dobrze byłoby dla was, gdybyście się papierkowato i pieszczotliwie wychowali.

Gdy was będą prosić na jaką ucztę taneczną idźcie bawcie się, byle z przystojnością i pomiędzy uczciwymi ludźmi. Nie chcę, abyście byli mądrzy tylko po łacinie, ale żebyście byli równie grzecznymi po polsku Groszem nie szastajcie bez miary ale i nie skąpcie dla uczciwego pożytku i przyjemności. Hojność rozumna i umiarkowana zdobi, sknerstwo poniża, ale lepiej być skąpcem niż marnotrawcą.

Będąc w świecie pomiędzy ludźmi pamiętajcie, że od nich macie się uczyć rozumu. Słuchajcie więc obu uszami, patrzcie dokoła, a mówcie tyle, ile koniecznie potrzeba.

Strzeżcie obyczajności i poczciwości waszej. Grzech zrazu słodki wprędce w piołun się przemienia a potem w piekący ogień, co was strawi i zatraci.

Jak objedziecie mocarstwa chrześcijańskie, pojedziecie potem do Turcji, abyście własnemi oczami poznali olbrzyma, z którym będziecie bojować przez resztę swego żywota. Później pojedziecie do Azyi, bo tam główne siedlisko hordy pogańskiej.

Wreszcie w podróży uczcie się wszystkiego, co pożyteczne, możecie tylko tańce zostawić na boku, bo ich dostatecznie nauczycie się w boju z Turkami i Tatarami. Przy odjeździe, kiedy młodzi Sobiescy padli do nóg rodzicom prosząc o błogosławieństwo, ojciec rzekł ze łzami w oczach robiąc znak krzyża na pochylonych głowach młodzieńców:

— Jedźcie z Bogiem, podziwiajcie co cudze, ale kochajcie zawsze, co swoje i ojczyste.

Matka zaś tłumiąc łkanie dodała:

— Nie zapominajcie nigdy żeście Polakami i że ziemia nasza ojczysta przesiąknięta krwią męczenników domaga się nowych obrońców, w których rzędzie macie pierwsi stanąć.

Tacy to byli rodzice młodych Sobieskich. Choć od losu obdarzeni bogatą fortuną, od dziecka starali się w nich wpajać nie zamiłowanie rozkoszy ziemskich, ale miłość rodzinnej ziemi i gotowość dla jej szczęścia poświęcenia nawet życia. Obaj nie zawiedli nadziei rodzicielskich a pamięć Jana nie zginie nigdy i obudzać będzie wieczne dla niego poszanowanie. — O sprawach wojennych obu Sobieskich powiemy wam w następnych numerach Dzwonka.

Dola wieśniaka.

Już się gwiazda dzienna skryła,
Już pogodny księżyc świeci,
Witam cię o chatko miła!
Witam was kochane dzieci!

Pracowałem w pośród znoju,
Wesół wracam do mej strzechy,
Tu użyję znów spokoju
Z wami drogie me pociechy!

Przez dzień cały trudym znosił,
Nie było mi przykro przecie,
Ten pot, co me czoło zrosił,
Wy mi dłonią swą otrzecie.

Zgoda jedność i te cnoty,
Co do szczęścia wspólnie wiodą,
Wasza miłość i pieszczoty
Starań moich są nagrodą.

Jestem panem całej chatki,
Kocham was, wy mnie wzajemnie,
Praca mnoży mi dostatki,
Któż szczęśliwszy jest odemnie?

Ten, co mnogie skarby liczy
A zbytkami boleść tłumi,
Nie zna pewnie tych słodyczy,
Tej swobody czuć nie umie.

Gdzie sumienie trwoga głuszy,
Tam zbyt krótkie są uciechy,
Radość w sercu, pokój w duszy,
Oto wierne szczęścia cechy.

Jam spokojny, bom ubogi,
Żyję wesół, spię przyjemnie,
Nigdy nie znam żadnej trwogi —
Któż szczęśliwszy jest odemnie?

Opowiadanie organisty z Buszcza
o świętym Ludwiku.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! zawołał stary Dmytro chylając się i zdejmując czapkę przed panem Bartłomiejém, organistą, który właśnie przechodził drogą.

— Na wieki wieków! Jak się macie kumie Dymitrze? Czy wy czekacie na kogo przy wrotach?

— Ot wyszedł sobie człowiek z synem, aby tak przy niedzieli odpoczywając zobaczyć się i pogadać z ludźmi.

— A ja właśnie wracam z kościoła do domu.

— Ale, ale panie Bartłomieju, przed chwilą przechodził tędy posłaniec ze dworu, który wracał z gazetami z miasta, i mówił, że przywiózł dla was coś takiego, jak zawiniętą grubą świecę, tylko że nie jest wcale ciężkie, jakby to świéca ciężką być powinna.

— Ej to nie świeca, Dymitrze, to są, jak się domyślam obrazy umyślnie tak zawinięte, bo przecież niezwiniętych pocztą posyłać nie można.

— A jakieto obrazy?

— Chodźcie ze mną, a weźcie i waszego małego, to się popatrzycie u mnie. O to bardzo ładne obrazy!

— Stefku, Stefku, chodźno, pójdziemy do pana organisty popatrzeć na obrazy z miasta przysłane! — zawołał stary Dmytro na syna biegającego po podwórzu.

Za chwilę stary Dmytro i jego synek Stefko już byli u pana organisty w jego porządnem i czystem pomieszkaniu.

— Oto leżą na stole. Pomału rozwiniemy i zobaczymy!

Organista porozrywał pieczęcie i rozwinął obrazy.

— Patrzcie, Dymitrze, prawda, że ładne?

— Śliczne, ładne, ale kiedy niewiem, co one przedstawiają?

— Czekajcie, ja wam opowiem. Siadajcie sobie i posłuchajcie.

— Oba obrazy — opowiadał organista — przedstawiają chwile z życia świętego Ludwika, któiy jako król francuzki nazywał się Ludwik dziewiąty, bo p: zed nim już ośmiu było Ludwików. Ten pierwszy obraz przedstawia Ludwika, kiedy z biskupem na czele swego wojska krzyżackiego, wyszedł za mury egipskiego miasta Damietty, które właśnie zdobył, i tutaj pod murami zastał przy małym płóciennym namiocie siedzącego Turka. Turek ten podczas oblężenia miasta mocno raniony, tak, że już pewny był śmierci, pisał do swej rodziny list i testament. Przed nim leżała krzywa szabla i księga modlitw. Święty Ludwik widząc ciężko rannego bez pomocy lekarskiej, kazał go odnieść do szpitala. Wkrótce rana się zgoiła a Turek pamiętając uroczystą chwilę za murami miasta, a zresztą, ponieważ nie spodziewał się już żyć i tylko w rękach Chrześcian wyzdrowiał, kazał się potem ochrzcić i był bardzo dobrym chrześcianinem. Oto jest myśl tego pierwszego obrazu.

— Proszę pana, zapytał nieśmiało Stefko syn Dmytra, a czego Ludwik szedł się bić aż do Egiptu? My się w szkole uczyli, jak i gdzie który kraj leży, i ja wiem że od Francyi, której królem był Ludwik, do Egiptu bardzo daleko i oba kraje szerokie morze dzieli, dla czegoż więc św. Ludwik szedł bić się z Egipcyanami?

— Dobrze, dobrze, mój Stefku! — odpowiedział organista. Kiedyś taki ciekawy, to ci opowiem.

— O i ja ciekawy słyszeć, wtrącił Dmytro, który się cieszył, że jego syn już wie o tych krajach, o których opowiada pan organista.

— Otóż musicie wiedzieć — zaczął pan Bartłomiej, że już prawie ośmset lat temu, jak w Jerozolimie i w całej ziemi świętej zapanował Turek. Wszystkie owe święte miejsca po których nasz Zbawiciel pan Jezus chodził, gdzie go męczono i gdzie umarł, zabrał Turek przemocą. Chrześcianie z całego świata podróżowali do ziemi świętej, aby choć raz w życiu swojem pomodlić się u grobu Pana Jezusa. Alеż wtedy Turcy zaczęli wszystkich pielgrzymów, a potem wszystkich Chrze-

ścian uciskać, zdzierać i oszukiwać, tak że każdy co powrócił z ziemi świętej aż płakał, gdy męki Chrześcian opisywał.



Święty Ludwik pod murami Damietty.

Wtedy to królowie i książęta w całej Europie zmówili się, aby zebrać dużo wojska, pójść tam aż za morze i uwolnić ziemię świętą od Turka. Zbierała się wielka moc rycerzy, wszyscy z krzyżem na płaszczach, bo dla krzyża się bić mieli i szli do ziemi świętej. Dla tego to wojny te nazywają się krzyżowemi. Ale wszystkie owe wyprawy krzyżowe nie osiągnęły tego, do czego zmierzały. Siedm ich było wszystkich razem, a choć

prawie 300 lat trwały, ziemia święta pozostała pod panowaniem Turka, bo skoro co wywalczono, to wnet stracono, a to dlatego, że tak daleko do ziemi świętej, więc nim się na obronę zdobyć można było, nieprzyjaciel już znowu był panem Jerozolimy.



Śmierć św. Ludwika.

Szóstą i siódmą wyprawę krzyżową prowadził Ludwik dziewiąty. Był to bardzo świątobliwy i pobożny król. Miał on zaledwie dwanaście lat, gdy umarł jego ojciec Ludwik ósmy. Wychowanie i tymczasowe rządy prowadziła jego matka Blanka. Wychowanie jego było bardzo ostre i surowe, a przytem pra-

wdziwie chrześciańskie. Razu jednego zachorował królewicz. Wtedy ofiarowała go matka Bogu, aby, jeżeli wyzdrowieje, poszedł się bić o wolność ziemi świętej. Ludwik wyzdrowiał i skoro tylko przyszedł do lat, oddał panowanie matce, a sam na czele wielkiego wojska popłynął morzem na wschód Z nim udał się jego brat. Król Ludwik nie pojechał prosto do ziemi świętej, ale chciał pierwej Egipt zdobyć, bo musicie wiedzieć że w ziemi świętej i Egipcie jeden panował król i było to jedno państwo. Egipcyanie i Turcy zamknęli się w mieście Damiecie; przeto Chrześcianie otoczyli to miasto i zdobyli je. — Na tem skończyła się pierwsza wyprawa Ludwika, bo doniesiono mu że matka umarła, więc musiał powrócić. — Po kilku latach Ludwik zwowu postanowił bić się o ziemię świętą; zebrał więc wojsko i odpłynął. Po drodze chciał zdobyć Algeryę, pogańskie miasto w Afryce; chciał on je zdobyć dla tego, aby się nawróciło do nauki Jezusa Chrystusa. Poszedł więc do Algeryi. Ale tutaj źle mu szło — nieprzyjaciel dobrze się bronił, a na nieszczęście wybuchła pomiędzy wojskiem Ludwika ogromna zaraza. Ludzie podali jak muchy po drogach. Król sam zachorował i w kilka dni poczuł, że już umiera. Zawołał więc do swego łóżka młodego swego syna, nauczał go, a potem pobłogosławił i umarł. Wtem nadjechał z Francyi królewski brat. Wpada więc do namiotu króla, rzuca się przed nim na kolana, ale już tylko król spojrzał na niego, ręka mu się zsunęła, a gdy ją klęczący brat pochwycił, już była zimną, bo król już umarł.

Otóż to ta chwila śmierci przedstawiona na tym drugim obrazie. Król umarły, brat trzyma skostniałą rękę, synek stoi zapłakany, a rycerze w krzyżowych szatach smutni i zgryzieni.

— Dziękuję Wam, panie Bartłomieju — rzekł Dmytro, — za to opowiadanie. O gdybyto człowiek umiał czytać, toby sam czytał o tem.

— A czy to jest w jakiej książce? zapytał młody Stefek.

— Jest, jest, mój chłopcze — odrzekł pan Bartomiej — nawet mogę ci pożyczyć tę książkę.

Stefko uradowany wziął książkę i pochwaliwszy Boga wyszedł z ojcem, bo już zadzwonili na nieszpory.

Franek z nad Lipy.

Silni ludzie.

Było to w niedzielę przed wieczorem. Przed chatą Klemensa Tuby siedziało kilku ludzi i rozmawiało o różnych rzeczach. W tem nadszedł Michał Pieniacz.

— A witajcie, miły kumie! — zawołał Klemens Tuba.

— Bóg zapłać, witajcie moi mili! — przemówił Pieniacz — Cóż tu porabiacie?

— A tak sobie gwarzymy — odrzekł Szczepan Wiarus — aby nam do miesiączka czas pięknie zeszedł. Cóżeście tam widzieli, to nam opowiedzcie a radzi słuchać będziemy.

— Ot cóż wam powiem — rzekł Pieniacz — chyba to, żem się przed chwilą bardzo zadziwił. Idę drogą, a tu od młynarza wiezie parobek kilka worów mąki. Nieszczęście chciało, spadł jeden wór na ziemię. Parobek męczy się i trudzi i nie może mu dać rady. W tém nadchodzi jakiś człowiek i pyta co się stało? Parobek mu powiedział, że nie może dźwignąć wora. — Co nie możesz dźwignąć? — zapytał obcy i jak szarpnął, jednym rzutem położył wór na wozie. Ażem się zadziwił na to dziwo, bo to wór był nie lada.

— Ej cóż tak dziwnego? — zagadał Grzegorz Bilski — przecież mój dziadek udźwignął korzec ziemniaków a jak uderzył w stół pięścią, to się rozpadł na dwie połowy. Siła u nas w dawnych czasach nie była niczem dziwnem. Ale bo też przodkowie nasi żyli inaczéj, niż my dzisiaj; my od nich żyjemy daleko wystawniej a przytem różnemi rzeczami podkopujemy siły i zdrowie nasze. Przodkowie jedli i pili co innego, to téż na wojnach nieraz dokazywali cudów waleczności i niezwykłą odznaczali się odwagą. I dzisiaj żyjemy na świeżem powietrzu, ale inne prowadzimy życie i wódką skracamy siły nasze. Dawniej pili ojcowie nasi miód wyborny, mieli głowę więcej spokojniejszą, żyli z Bogiem, zajmowali się więcej pracą w domu, na roli i w lesie, to też była w nich moc co się zowie.

— A czy to prawda — przerwał Klemens Tuba — że dawnemi czasy był jakiś Wyrwidąb i Waligóra, że pierwszy wyrywał dęby a drugi walił góry?

— To tylko ludzie — odpowiedział Grzegórz — chcąc zachować pamięć dawnych siłaczy w naszych czasach umyślnie tak o nich opowiadają, abyśmy wiedzieli, jaka to dawniej była siła. Gór nikt walić nie mógł, ale nie było bardzo szczególną rzeczą, że ten i ów wyrwawszy drzewo z korzeniami bił nim nieprzyjaciela i pędził za dziesiątą górę. Przypatrzmy się owym żelaznym zbrojom, w które ubierali się przodkowie nasi, czyby je kto potrafił nosić dzisiaj? Dźwignąć możeby potrafił, ale czyby, potrafił w tem chodzić, wojować a do tego przepłynąć rzekę jak tego nieraz bywały wypadki?

— Rozciekawiliście nas tém, miły Grzegorzu! — przemówił Michał Pieniacz — to może będziecie mieć ochotę i opowiecie nam chociaż o kilku takich silnych ludziach, boć wy czytacie książki i macie główkę nie od parady?

— A dobrze, moi mili! — odpowiedział Grzegorz i w ten sposób dalej opowiadał.

— Nie tylko między ludem wiejskim, co przywykł do pracy, ale i między panami, ba nawet królami była siła nadzwyczajna. Młode panięta nie były dawniej tak chowane jak dzisiaj. Zawczasu je hartowano i przyzwyczajono do niewygód, do znoszenia spiekoty i zimna, do głodu i pragnienia, do jazdy konnéj, do różnych ćwiczeń ciała a nadto do robienia szablą i wysyłano je do obozu, aby na karkach nieprzyjaciół wyrabiali w sobie siłę. Z królów polskich Zygmunt I i August II szczególną celowali siłą. Król Zygmunt I w młodości łamał podkowy, zginał jak pręty szyny żelazne, za jednem szarpnięciem rozdzierał paczkę kart do grania o wiele grubszych od naszych, a konopne powrozy zrywał jak nici. Król August II srebrne puhary (naczynia do picia) gniótł jakby papierowe. Janusz II ostatni książę Mazowiecki, oprócz wielkiej siły umiał bardzo zręcznie rzucać wielkie kamienie, a łuku nikt mocniej nie naciągnął od niego. Książę Konstanty na Ostrogu trzema włóczniami nacierał na nieprzyjaciela. Jan Tarło, krajczy Zygmunta I, rozbestwionego niedźwiedzia przebijał oszczepem a jednem uderzeniem ręki rozbijał drzwi i zamki żelazne, Kniazia Dymitra Wiśniowieckiego powieszono w Konstantynopolu na hak za żebro, ale on z haka urągał Turkom i nie omdlał

nawet. Dają znać o tem sułtanowi, który temu wierzyć nie chciał Idzie tedy dla przekonania się pod szubienicę i pyta, Wiśniowieckiego, czyby jeszcze mógł strzelać z łuku? — Dajcie, spróbuję! — odrzekł na to. Gdy mu łuk podano, naciągnął go silnie, puścił strzałę i omało że nie zabił sułtana. — Niejaki Godziemba, gdy szedł przeciw Morawianom, wyrwał sosnę z korzeniami i nią bił nieprzyjaciela. Smulski w Sandomierskiem ręką swoją rozbijał drzwi dębowe a Marcin Brzozowski z gostyńskiéj ziemi tańczył z beczką piwa na ramieniu po izbie lub podwórzu i zupełnie się nie zmęczył. Piszą o Stanisławie Radzimińskim, kasztelanie Zakroczymskim sławnym z swej siły, że najtęższego mężczyznę brał na rękę i nosił jak dziecko. Konia, którego kilku ludzi nie mogło utrzymać na linie, pochwyciwszy za uszy tak trzymał długo, dopóki mu uzdy nie włożono. Dziki rumak szedł potem spokojnie bo mu od silnego ściśnięcia łeb i uszy napuchły. Stanąwszy Radzimiński na jednej nodze nie dał się ruszyć najsilniejszemu chłopu, a wołu rozjuszonego potrafił pochwycić i wyrwać róg za jednem szarpnięciem, gdy mu się szamotał. Prokop z Granowa Sieniawski, marszałek wielki koronny, jednem cięciem zabijał lub na pół przecinał konia lub wołu a ująwszy sześciokonną kolasę za koła wstrzymał na miejscu. Eustachy Tyszkiewicz, wojewoda brzeski, lubił drażnić niedźwiedzia, a gdy się rozwściekli! łeb mu ucinał.

— A to istne cuda, co nam mówicie, miły Grzegorzu — zawołał Piotr Sędyk.

— Aj prawdać że cuda — odpowiedział Grzegorz — bo dzisiaj są to rzeczy prawie nie do uwierzenia. A przecież tak było. Poznajcie tedy, jacy to byli przodkowie nasi.

Tu podumał chwilę i tak znowu opowiadał.

— Na dworze Marcina Korwina, króla węgierskiego, był Polak, który bardzo zręcznie bronił się pięścią. Miał przytem siłę nadzwyczajną. Gdy raz głodnemu lwu wrzucono do klatki kawał barana, obowiązał się odebrać mu strawę. Jakoż wszedłszy do klatki, pochwycił mięso a lwa uderzył w łeb tak silnie, że osłupiał, poczem Korwin wyszedł powoli i wyniósł mięso. Lew popatrzył się tylko na niego, ale go nie tknął

nawet. Zygmunt Rozen, pod Manaczanami, lubo naonczas chory, w sześćdziesiąt swoich puścił się na 300 Tatarów i 52 położył trupem, 26 pojmał a innych zmusił do ucieczki. Marek Sobieski, wojewoda Lubelski, będąc jeszcze chorążym nadwornym w 1576 roku, a chcąc, przeciw powstańcom gdańskim prędzej przybyć na pomoc swoim, wskoczył do Wisły natenczas dotkliwie ranny i całą przepłynął pod Tczewem w pełnej zbroi. Innym razem wyjechawszy z królem Stefanem na łowy w oczach królewskich nie mając żadnej broni prócz szabli zabił rozjuszonego niedźwiedzia, który na nich wypadł. Stanisław Leśniowolski, kasztelan Czerski, uderzywszy pod Newlem w półtora tysiąca, na czterdzieści tysięcy Moskwy, położył siedm czy ośm tysięcy trupa na polu, resztę rozprószył.

Co dalej Grzegorz opowiadał swoim sąsiadom opowiemy wam w przyszłym numerze Dzwonka.

Rady i przestrogi gospodarskie i domowe.

Sposób uczynienia nieurodzajnych drzew owocowych płodnemi. Takie nieurodzajne drzewa oczyszcza się w pogodny dzień zimowy, a mianowicie w lutym, z mchu, suchych gałęzi i t. p., poczem w marcu w odległości 3—8 stóp od pnia (odpowiednio do jego grubości) wykopuje się dołki na 1—2 stóp głębokie, które co 8 dni napełnić potrzeba gnojówką, dopokąd nie rozwinie się kwiecie. Następnie wlewa się do każdego dołka kwartę wody i zasypuje się go ziemią. Jest to wyborny środek, przez który przy niepomyślnej pogodzie kwiat tak zostanie wzmocniony, że nie dozna żadnej szkody a oprócz tego uzyska się owoc wyborny.

Jak wygubić świerszcze w mieszkaniu. W mieszkaniu, w którem się świerszcze znajdują, zamyka się na kilka nocy parę kaczek, które zasiadają na te zwierzątka i zjadają je, skoro tylko się pojawią ze szpar.

Leczenie odmrożeń zadawnionych. Odmrożenia zadawnione należycie niewyleczone otwierają się, jak wiadomo, co zimy. Okazują się one świerzbieniem, pieczeniem, lub jątrzeniem ciała Przeciw temu jest nieomylnym środkiem: moczenie członka dotkniętego w odwarze z liści olszowych i kwiatu

bzowego. Odwar ten musi być bardzo tęgi, t. j. tak długo gotowany, aż nabierze koloru ciemnego. Najdawniejsze odmrożenie i rany z tego powstałe po kilku moczeniach w takim odwarze ustąpią niezawodnie i niepowrotnie.

Środek na rany od stłuczenia. W szklance wody studziennéj ropuszcza się soli tyle, ile się tylko rozpuścić może, i mięsza sięz równą ilością octu. Mięszaninę tę zletnia się, macza w niej płatek płócienny, i przykłada na ranę lub stłuczenie. Użycie tego środka zapobieży ropieniu, a plastry i inne leki zupełnie staną się niepotrzebnemi.

Złote ziarna.

Z małych się rzeczy wielkie sklejają i wznoszą,
Z szelągów się nie z złota ubodzy panoszą.

Lepszy szeląg z zarobku, chociaż jest miedziany,
Niż pieniądz z złotym stęplem, ale pożyczany.

Czas ucieka a żaden nie zgadnie,
Jakie szczęście o jutrze przypadnie.

Rozmaitości.

Pocieszny wykręt. Pewien żydek coś zbroił, więc go zamknięto do kozy. Gdy się zbliżała ostateczna rozprawa przed sądem i miał już być wyrok wydany, pytał żydek ów adwokata, co ma robić, ażeby się wykpić z tego kłopotu. Adwokat poradził mu, by przy wszystkich zarzutach i pytaniach przeczył i odpowiadał tylko temi słowy: nie, nie wiem, nie przypominam sobie i t. d. Podobało się to bardzo żydkowi i stanął całkiem spokojnie przed sądem.

— Więc ty jesteś Szmul? rzekł sędzia.

— Nie, ja nie jestem żaden Szmul odparł żydek.

— Jak się więc nazywasz? zapytał go sędzia.

— Ja się nie nazywam, odpowiedział żydek. Na co mam się nazywać? Zkąd mam się nazywać? Dlaczego mam się nazywać?

— Ile masz lat? pytał dalej sędzia.

— Ile lat? powtórzył żydek. Ja nie mam lat. Na co i za co mam mieć lata?

— A kiedyż się urodziłeś? pytał dalej sędzia już nieco rozgniewany.

— Kiedy się urodziłem? powtórzył żydek. Ja się nie urodziłem. Kto Wielmożnemu panu powiedział, że ja się urodził?

Dopiero teraz poznał sędzia, co to wszystko znaczy i postanowił złapać żydka na kłamstwie. Rzekł więc do niego:

— Jesteś niewinny idź do domu.

Żydek uśmiechnięty zwrócił się ku drzwiom i chciał już wyjść ze sądu.

— Ale, ale! zawołał sędzia łagodnym głosem. Mam ci coś dać jeszcze, zaczekajno Szmul....

Żydek usłyszawszy, że mu sędzia coś dać chce, odwrócił się do drzwi i pobiegł do niego myśląc, że otrzyma może jaki podarunek. Sędzia roześmiał się i rzekł:

— Więc ty jesteś tym Szmulem, boś się odwrócił od drzwi gdy cię po imieniu wezwałem. Poczekajno ptaszku!

Szmul zastraszył się, kłamstwo mu się nie udało więc zamknięto go do aresztu na kilka tygodni.

Dowcipny gospodarz. Do jednego domu zajezdnego wjechał z wielkim krzykiem i hałasem jakiś butny Niemiec.

— A co tam można dostać do zjedzenia? zapytał w progu nie zdejmując nawet czapki z głowy.

— Może pieczeń wołową mam zrobić? zapytał gospodarz.

— Alboż to ja wół jestem, żebym miał jeść pieczeń wołową, bąknął Niemiec.

— To może służyć mogę Wielmożnemu Panu wieprzową pieczenią? zapytał gospodarz z lekkim uśmiechem.

— A to co innego! Więc proszę mi dać wieprzową pieczeń — odpowiedział Niemiec i połknął ślinkę.

OD REDAKCYI.

Rozpocząwszy po sześciomiesięcznej przerwie napowrót wydawnictwo Dzwonka odezwaliśmy się z prośbą o poparcie do naszych dawnych a życzliwych przyjaciół i czytelników. Odezwie tej naszej towarzyszyły przekonanie i ufność, iż pożyteczny cel i zadanie pisma naszego znajdzie należyte uznanie i poparcie. I nie zawiodła nas ta nadzieja. Po trzech miesiącach dzięki życzliwości czytelników byt Dzwonka został zapewniony.

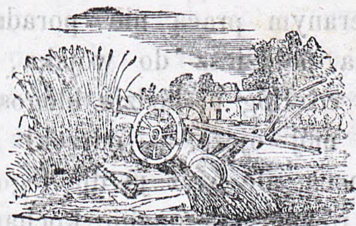
To nadzwyczajne powodzenie skłania nas do złożenia podziękowania tym, którzy gorliwie zajęli się rozpowszechnieniem naszego pisma a mianowicie świetnym Radom powiatowym i gminnym, księżom proboszczom i dyrektorowi ekspedycyi przy kolei Karola Ludwika, panu Adolfowi Lipp, który, jakkolwiek jest cudzoziemcem, ocenił jednakże należycie nasze zadanie i z uznania godną gorliwością stara się ciągle a skutecznie o rozszerzenie koła naszych czytelników.

W końcu przesyłamy wszystkim naszym czytelnikom serdeczne podziękowanie: Bóg zapłać!

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Józef Laskownicki. — Z drukarni E. Winiarza

Tom I. 11. Kwietnia 1870. Nr. 11.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

List z Warszawy

Jana Kantego Gregorowicza.

Znowu wam przesyłam opis dwóch pięknych wydarzeń w tegorocznym u nas poborze rekruckim, godnych, aby je Dzwonek podał do powszechnej wiadomości. Żałuję niezmiernie, że treści podobnej nie mogę czerpać z innych stron kraju. Zmuszony jestem ograniczać się na samej okolicy pod Warszawą. Szkoda, bo wszędzie znajdą się dobrzy ludzie, o których wiadomość niemałą stanowi pociechę.

W Jeziornej posiadającej fabrykę papieru mieszka gospodarz rolny Bieńkowski mający dwóch synów, Antoniego i Jakóba. Młodszy Jakób razem z ojcem gospodarzył i stanowił mu w pracy niemałą pomoc, starszy Antoni był w służbie o mil kilka dozorcą lasów pracując sam wyłącznie na swoje utrzymanie Obaj byli dobrzy i porządni ludzie i nieszczęśliwym trafem obaj powołani zostali do losowania. Że jednak według prawa w jednym roku tylko jeden z synów może być wzięty do wojska, ojciec więc oświadczył przed delegacją, że jeżeli już koniecznie ma jednego z synów poświęcić służbie wojskowej, to do takowej przeznacza starszego.

— Ty jesteś starszy — rzekł mu — znasz więcej świat i ludzi, umiesz pisać i czytać, to dasz sobie lepszą

radę od Jakóba, bez którego niebym w gospodarstwie przy moim wieku steranym pracą nie poradził. Oświadcz więc, że bez losowania pójdziesz do wojska, staniesz się naszym dobrodziejem, za co Bóg ci będzie błogosławił.

— Prawda mój ojcze, — odrzekł Antoni — że Jakób jest dla was pomocą, ale czyż ja dla tego nie jestem waszym synem, czy was równie jak on nie kocham i nie szanuję?

— Kochasz to prawda i szanujesz — odezwał się biedny ojciec wzdychając — ale cóż ja nieszczęśliwy zrobię?

— To dla czegoż — rzekł Antoni — odrzucacie mnie od swojego serca a chcecie tylko przytulić Jakóba?

— Moje dziecko, Bóg świadkiem — odezwał się ojciec rozrzewniony — że cię równo kocham z Jakóbem, że serce krwawi mi się myśląc o tobie, ale...

— O! ja nieszczęśliwa matka! zawołała sama Bieńkowska załamując ręce z rozpaczą — o moje dzieci kochane, com je wykarmiła i wyhodowała!..

— Cicho matko, cicho! — przerwał ojciec a Antoni dodał:

— Uspokójcie się matko moja jedyna, Bóg litościwy, Jemu więc zaufajmy. Przy tych słowach zwrócił się do urzędników i rzekł:

— Kiedy jeden z nas ma iść koniecznie do wojska, to niech los stanowi. Jak Bóg rozporządzi niech się tak stanie. Podano więc urnę, pierwszy Antoni włożył rękę i wyjął kartkę.

— Los dobry — przeczytał urzędnik. Antoniemu rozjaśniła się twarz tajoną w sobie radością. Zaraz po nim przystąpił Jakób do urny. Los, który wydobył, był zły, przeznaczający go do służby. — Biedny młodzieniec zbladł, ojciec został jak niemy a matka załamała ręce i głośnym załkała płaczem.

— Nie płaczcie droga matko — po chwili odezwał się Antoni — tak jak pragnąłem, tak się stało. Ale jednak mimo tego Jakóba trzeba ocalić na waszą pociechę. Przez czas mojej służby trochę uciułałem grosza, dam go więc chętnie nic nie zostawiając sobie, wy dołożycie resztę a tak Jakób zostanie wykupiony. Nie chciałem odrazu wam powiedzieć,

jak myślę się rozporządzić z Jakóbem, bo pragnąłem przekonać was dowodnie, że i ja jestem dobrym synem, że i ja pragnę waszego szczęścia i pociechy. Gdyby mnie los był przeznaczył do wojska, byłbym poszedł bez szemrania, bo nie dając wam pomocy żadnej nie mam prawa żądać, abyście na mnie tak wielki robili wydatek. Jakób co innego, on pracuje na was, więc i ja więcej dbać winienem o niego, jak o siebie. W kilka dni potem Jakób już był wolny, a ile było radości z tego, łatwo możecie sobie wyobrazić.

Drugi wypadek miał miejsce u mecenasa pewnego z lokajem jego Franciszkiem, któremu nie udało się wyciągnąć dobrego losu przy losowaniu. Jestto chłopak dobry, porządny, pracowity, lubiony był bardzo przez państwa a szczególniej przez ich dwoje dzieci jeszcze małoletnich, które kochał z prawdziwie serdecznem uczuciem.

Gdy wiadomość doszła o losie Franciszka, dziatki zaniosły się płaczem, a gdy trzeciego dnia zobaczyły go ostrzyżonego i ubranego w płaszcz rekrucki, nie można je było prawie uspokoić. Przy pożegnaniu uwisiły się Franciszkowi na szyję ściskając go i płacząc oświadczyły, że go od siebie nie puszczą. Musiano aż przywołać ojca. Dziatki w płacz, potem w prośby, aby ojciec koniecznie postarał się o uwolnienie Franciszka, bo inaczej ze zmartwienia pochorują się. Cóż było robić? Czegóż ojciec nie zrobi dla dziecka, gdy go to tak serdecznie o co prosi? Zacny więc mecenas, wyjął z biórka czterysta rubli srebrem, co czyni najmniej sześćset złotych reńskich i zaniósł je do kasy rekruckiej. Dzieci znowu wolnego Franciszka przyjęły ze łzami radości. Czy ten jednak potrafi się wywdzięczyć za tak kosztowną dla siebie ofiarę? Czas to dopiero pokaże.

Trębacz Borysiewicz.

Mądre to i prawdziwe przysłowie staropolskie: nie wścibiaj nosa do cudzego grosza. Mimo to jednak człowiek łatwo ulega tej pokusie i zagląda ciekawie w cudze sprawy, by

*

przy jakiej dogodnej sposobności skorzystać z czegoś lub okpić drugiego. Rzadko jednak udaje się taka sprawka, najczęściej zaś człowiek taki potknie się w swych zamiarach i zamiast korzyści jeszcze o stratę siebie samego przyprawi. Tak to się stało z Austryakiem w r. 1809, gdy wtargnął do Księstwa Warszawskiego, które utworzył cesarz Napoleon pobiwszy Prusaka i Moskala i odebrawszy im część zrabowanych ziem polskich Austryacy myśleli, że wkroczywszy w 40000 żołnierza ze swym arcyksięciem Ferdynandem na czele pochłoną zaraz ten kraj mały. Księstwo Warszawskie miało wtedy tylko 8.000 wojska ale i ta drobna garstka zuchów pod Raszynem zmyła głowę ogromnej armii austryackiej i odebrała jej w krótkim czasie Warszawę, Lublin, Zamość i Sandomierz. Książę Józef Poniatowski, który był naczelnym wodzem wojska polskiego, prędko się tedy uporał z tym napadem austryackim. Kilka tysięcy Polaków zaś chcąc dać Austryakowi nauczkę, by się o cudzą własność nie kusił i nie napadał znienacka na sąsiada, oddając dobre za nadobne wkroczyło do Galicyi. Miał tedy arcyksiążę Ferdynand kłopotu niemało, bo nie tylko że nie dopiął swego celu i nie zagarnął Księstwa Warszawskiego, ale nadto jeszcze musiał się cofnąć do Galicyi i ciągle uciekać przed Polakami, którzy nań siarczyście nacierali. Ciężko odpokutowali Austryacy za swoją zachłanność, bo polskie wojsko nigdy spokoju im nie dało. Tymczasem nadciągnął cesarz Francuzów Napoleon z drugiej strony, pobił okrutnie armię austryacką pod Wagram, zmusił Austryą do przyjęcia wszystkich warunków pokoju a Polacy w skutek tego zaniechali tożsamo wojny. Ale gdybym wam tu chciał wyliczać wszystkie czyny rycerskie Polaków z tego czasu, nie doczekalibyście się końca tego opowiadania mego. Każdy żołnierz był chwacki i dzielny a wiedzieli o tem najlepiej Austryacy, gdyż po każdej bitwie wypadło im uciekać.

W wojsku polskiem znajdował się podczas tej wojny trębacz Borysiewicz, o którym Polacy i Austryacy jakby o jakiem dziwie mówili. Trąbkę jego znali dobrze Polacy, bo głos jej wiódł ich do zwycięztwa, wyprowadzał z zasadzki i niebezpieczeństwa, dodawał ducha rycerskiego i zapału do

walki. Trąbkę Borysiewicza znali doskonale Austryacy i Moskale, bo drżeli na sam jej odgłos.

Patrząc na Borysiewicza zdawało się, iż człowiek ten urodził się już chyba na trębacza. Był on niskiego wzrostu a przytem nadzwyczaj silny i kształtny, jakby z kamienia uciosany. Pierś jego była szeroka i mocno wypukła. Zdawało się, że nie potrzebował tchu zaczerpnąć, bo jak przyłożył trąbkę do ust, to nie tak prędko ją odjął, by odetchnąć choćby raz jeden. Wąsy miał Borysiewicz ogromne ale zawsze starannie uczesane i skręcone w długi a gruby sznurek, by mu przy trąbieniu nie przeszkadzały. Gdy Borysiewiczowi mówiono, by choć trochę podciął wąsy, bo mu rosną już bez końca i miary, Borysiewicz odpowiadał na to:

— Ktoby to robił! W potrzebie kiedyś będę mógł na jednym wąsie powiesić Moskala a na drugim Prusaka.

Gdy Borysiewicz przyłożył trąbkę do ust i silnie zatrąbił, trudno było żołnierzowi utrzymać się na nogach. Krew burzyła się w żyłach, nogi i ręce drgały, bagnet lub szabla sama się z rąk wymykała, a każdy tylko wzrokiem szukał nieprzyjaciela, by uderzyć na niego.

— Gdyśmy wkroczyli do Galicyi na Austryaka — mówił mi jeden wiarus, co służył w jednym pułku z Borysiewiczem — trzydziestu ułanów a między nimi ja i Borysiewicz stanęliśmy pod Lwowem. W mieście tem stał nieprzyjaciel silniejszy od nas nieskończenie, ale mimo to natarliśmy na niego, bośmy jakoś koniecznie pohulać chcieli we Lwowie. Nieprzyjaciel był daleko silniejszy, więc koniec walki był niepewny i wątpliwy. Niejeden stracił już ducha, ale wtem Borysiewicz zatrąbił z całej siły do ataku, wszyscy odżyli i skoczyli na nieprzyjaciela z pikami. Zanim jednak ulecieliśmy kilkadziesiąt kroków, już i na lekarstwo nie znalazłbyś Austryaka. Myśleli zapewnie Austryacy, że nadchodzi dla nas silna pomoc, skoro z takim hałasem i zapałem uderzamy na nich, więc czmychnęli tak prędko. Borysiewicz odetchnął dopiero wtedy spokojniej a jego Mucyk nie posiadał się z radości, biegał około niego i ogonem ruszał.

— Czy to był pies ten Mucyk? — zapytałem staruszka.

— Wyglądał on niby na psa — odparł staruszek — ale było to także jakieś dziwo. Widziałem już dużo psów w mojem życiu, ale takiego jak Mucyk nie zdarzyło mi się jeszcze widzieć. Była to bestya dziwnie rozumna. Nie opuścił pana swego na krok nawet w najgorętszej bitwie, biegał wciąż obok jego konia, doskonale przytem rozumiał, kiedyśmy wygrali bitwę, bo w takim razie biegał naokoło swego pana, jak szalony, skomlił z radości i wykręcał ogonem. Nie uwierzycie w to co wam teraz opowiem, a przecież wszystko to jest świętą prawdą. Mucyk dziwnym węchem czy rozumem umiał odróżnić polskiego żołnierza od nieprzyjacielskiego. Jeżeli wśród bitwy zaplątał się pomiędzy nas jaki Prusak lub Moskal, Mucyk rzucał się na niego, obalał na ziemię lub szarpał za nogi i zajadłby go był na śmierć, gdyby kto z pomocą nie nadbiegł. Na polskiego żołnierza zaś nigdy nie zawarczał nawet, choćby go poraz pierwszy zobaczył. Ale i ilu to ludziom pies ten nieraz życie ocalił! Nieraz wśród bitwy przyszło nam opuścić stanowisko nasze i rzucić się w inną stronę na nieprzyjaciela. Jeżeli który z rannych żołnierzy nie mógł podążyć za swoimi, to bardzo łatwo wpaść mógł w ręce nieprzyjaciół. Mucyk biegał po pobojowisku a gdy znalazł takiego rannego, biegł do swego pana, skakał i zastępywał mu drogę dotąd, aż Borysiewicz pobiegł za nim do rannego.

— A to istnie dziwa mi tu prawicie! — zawołałem rozciekawiony tem opowiadaniem.

— I cóż się dalej stało z Borysiewiczem i z psem jego? zapytałem.

Staruszkowi na te słowa zakręciła się łza w oku. Sposępniał mocno i tak dalej opowiadał:

— Żałość wielka zbiera mię, ile razy przyjdzie mówić o tej nieszczęśliwej utarczce pod Wieniawką. Tam to poległ Borysiewicz właśnie wtedy, gdy trąbił do ataku, a myśmy już gonić poczęli za nieprzyjacielskiem wojskiem. Z przeciwnej strony padł strzał nieszczęsny, a kula ugodziła Borysiewicza w pierś samą. Zsunął się z konia dzielny trębacz a z martwej

ręki wypadła trąbka, która nas zawsze męztwem ogrzewała, zapałem przejmowała i do zwycięztwa prowadziła.

Tu rozmowa przerwała się nagle, bo staremu wiarusowi i mnie naraz po tem opowiadaniu na wielki smutek się zebrało. Obu nam stały łzy w oczach. Gdyśmy się trochę uspokoili staruszek szeptał dalej cichym bardzo i rozrzewnionym głosem.

— Po bitwie cały nasz oddział stanął około zwłok Borysiewicza. Staliśmy wszyscy jak niemi, piersi ściskał mocny żal a łzy cisnęły się do oczu. Bo jakżeż nie żałować tak dzielnego żołnierza i trębacza. Mucyk zaś przysiadł u nóg martwych swego pana i wył żałośnie. Litość i żałość zbierała człowieka patrząc na to poczciwe zwierzę. Gdyśmy zwłoki Borysiewicza złożyli do grobu i z boleśnym żalem rzucili grudkę na trumnę jego, chciałem wziąć z sobą Mucyka i trzymać to zwierzę u siebie. Ale trudna rada! Mucyk nie dał się oderwać od miejsca, gdzie padł jego pan z konia, nie chciał nic jeść i zginął nareszcie w tem miejscu.

— A cóż się stało z trąbką Borysiewicza? — zapytałem. Warto było schować ją na pamiątkę.

— Tak to się teraz mówi, ale wtedy inaczej trzeba było zrobić. Gdy Borysiewicz zginął, potrzeba było znaleść nowego trębacza. Było kilku takich, co się znali na tej sztuce, ale na trąbce Borysiewicza nikt zatrąbić nie potrafił. Każdy dmuchał w trąbę z całej siły, omal ducha nie wyzionął, ale z trąby dobywał się tylko głos bardzo słaby. Nikt nie miał takiej siły jak Borysiewicz, więc nikt na tej trąbce zatrąbić nie potrafił. Wtedy pomyślałem sobie: Ha, kiedy tak, to trąbka ta i po śmierci do Borysiewicza należeć powinna, skoro nikt na niej zatrąbić nie potrafi. Zgodzili się na to wszyscy i razem z trumną rzuciliśmy trąbkę do grobu!

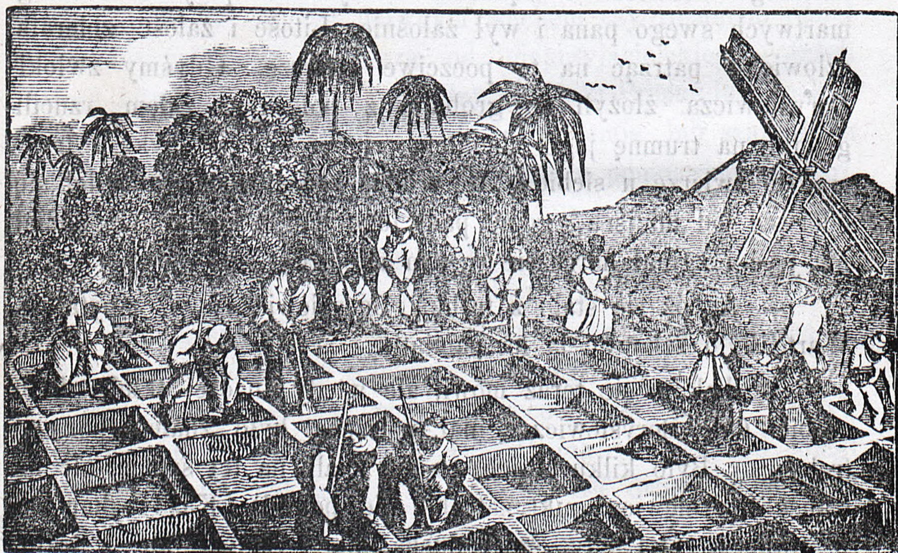
Gdy staruszek skończył to opowiadanie, pochylił głowę na dół, zasępił i zadumał się mocno. Nie śmiałem go pytać o inne jeszcze rzeczy, chociaż miałem do tego chęć wielką. Wiarus ten bowiem widział i wiedział bardzo dużo pięknych rzeczy, a umiał tak ładnie opowiadać o wszystkiem, że się trudno oderwać od takiej pogadanki przyszło. Podziękowałem

staruszkowi za jego opowiadanie, pożegnałem go serdecznie i odszedłem do domu, by wszystko to, co mi opowiedział, spisać zaraz dla Dzwonka.

Bartek Szkolarz.

O wyrobie cukru z trzciny cukrowej i z buraków.

Któż nie zna cukru? Gdzie jest dziecko któreby za kawałek cukru nie oddało chętnie kromkę chleba? Ale choć



Przysposobienie plantacyi pod trzcinę cukrową.

wszyscy cukier znają, nie wszyscy wiedzą, jak się robi. U nas robią cukier z buraków. Jest to wynalazek nie zbyt dawny, bo znany dopiero od czasu wojen napoleońskich. Dawniej tak w naszym kraju, jak i w innych, które z naszym sąsiadują, wcale cukru nie robiono, lecz sprowadzano go z dalekich zamorskich krajów, z Indyi, gdzie dotąd wyrabiają go w wielkiej ilości, ale nie z buraków jak u nas, lecz z rośliny zawierającej jednakże więcej niż buraki soku cukrowego, zwanej **trzciną cukrową**. Podczas jednej wojny, cesarz Napoleon zabronił dowozu wszelkich towarów zamorskich do Europy, zatem i cukru zupełnie u nas zabrakło. Była

jakiś czas wielka bieda bez tej słodyczy, do której ludzie niezmiernie już byli nawykli, ale w tym czasie znalazł się jeden Francuz, który odkrył, że nie tylko trzcina cukrowa, lecz i inne rośliny a osobliwie buraki zawierają w sobie dużo soku cukrowego. Odtąd zaczęto u nas wyrabiać cukier z buraków, przyczem potwierdziły się dwie stare jak świat i bardzo ważne prawdy, pierwsza, że potrzeba jest matką mądrości, a druga, że nie ma złego, któreby na dobre nie wyszło.



Zbiór trzciny cukrowej.

Trzcina cukrowa jest gatunkiem trawy, ale nie wiele do niej podobna, bo wyrasta na sześć do ośmiu łokci wysokości i miewa łodygi grubości ręki, liście zaś ma półtora łokcia długie a dwa cale szerokie. Trzcina cukrowa rośnie dziko, w gorących zamorskich krajach, gdzie zaś nie rośnie dziko, tam nie szczędzą trudu i pracy na jej uprawę, jest bowiem bardzo użyteczna.

Pole zasadzone trzciną cukrową nazywa się plantacyą, a jej właściciel lub dzierżawca, który się trudni uprawianiem trzciny cukrowej, nazywa się plantatorem. Plantacya trzciny cukrowej, jeżeli jest dobrze urządzona, może trwać dwadzieścia

i trzydzieści lat, dlatego też właściciel nie szczędzi kosztów i trudu przy jej zakładaniu. Abyście mieli jakie takie wyobrażenie, jak się to robi, podajemy wam rycinę, która przedstawia przysposobienie plantacyi pod uprawę trzciny cukrowej. Widzicie tu kawał pola, równo, starannie pokratkowany z wygłębionemi przegrodami; a czy się domyślicie, do czego mają służyć te przegrody? Oto w nich sadzą się korzenia trzciny cukrowej. Cóż to za różnica od uprawy buraków u nas! Na pierwszy rzut oka zrozumiecie, o ile to trudniej uprawiać trzcinę cukrową niż buraki. Wszystkie te kratki, które widzicie na rycinie, porobione są w ziemi z niemałym mozołem. Gdy są gotowe, wydobywa się nieco ziemi z każdej przegrody, przetrząsa się na powietrzu, napowrót w to samo miejsce wsypuje, poczem przystępuje się do sadzenia korzeni trzciny cukrowej. Kto się zna choć cokolwiek na uprawie ziemi przyzna, że nie mamy powodu zazdrościć owym dalekim krajom zamorskim trzciny cukrowej, skoro Ojciec wszechmocny dał nam zamiast niej buraki, z których przecie takie same możemy mieć użytki z daleko mniejszym kłopotem.

Tu wam jeszcze mili czytelnicy dodać winienem, że robieniem tych przegród jakoteż całą uprawą trzciny cukrowej zajmują się niewolnicy murzyni, kupieni jak bydło, i przez swoich panów gorzej niż bydło ciężką trapieni pracą, za którą oprócz nędznej strawy i lichego odzienia żadnej nie pobierają zapłaty. Widzicie ich na rycinie zgiętych we dwoje nad ciężką pracą, widzicie obok dozorcę, którego obowiązkiem przynaglać upadających do pospiechu. Takie jest całe życie nieszczęśliwego niewolnika murzyna. Dopiero śmierć, na którą z utęsknieniem oczekuje, przynosi mu swobodę i wypoczynek. Niektóre narody już dawno zniosły u siebie niewolnictwo. Przed niedawnym czasem toczył się w Ameryce bój zacięty, do którego to dało powód, że niektóre kraje nie chciały wyzwolić u siebie nader licznej ludności murzyńskiej. Po kilku latach skończyła się wojna. Zwyciężyli ci, którzy chcieli wyzwolenia niewolników i oto tysiące tysięcy nieszczęśliwych murzynów, z którymi dotąd obchodzono się jak z bydłem w jarzmie, odzyskało wolność, wolność pójścia i czynienia

co im się podoba i gdzie im się podoba. Są jednak jeszcze kraje na świecie, w których niewolnictwo dotąd kwitnie, a co więcej są narody, które ciągle trudnią się zakupnem i przedażą niewolników. Ale wróćmy do trzciny cukrowej.

Korzenia trzciny cukrowej zasadzone w przegrodach wypuszczają po niejakim czasie latorośla. Nowe teraz czekają trudy plantatora a jeszcze większe jego niewolników, bo właśnie teraz z największą potrzeba baczyć pilnością, aby latorośle rosły jak należy, to jest równo i prosto, te zaś, które uschnęły, zastąpić należy co prędzej świeżemi sadzonkami. Czynność to mozolna i wielu rąk wymaga, ale oto z dniem każdym przybliża się żniwo, bo gdy nadejdzie czas kwitnienia trzciny cukrowej czemprędzej zbierać ją trzeba, nie dopuszczając do zawiązania się kwiatu.

Praca ta wymaga pospiechu dla tego, ponieważ trzcina, która się na kwiat wysili, wydaje mało soku cukrowego. Już to co się tyczy pospiechu, to rzecz się ma tak samo, jak u nas podczas zbiorów. Ale zbiór trzciny zupełnie się inaczej odbywa, jak u nas zbiór zboża lub roślin innych. Właściciel plantacyi zebrawszy wszystkich swoich niewolników mężczyzn i kobiety, uzbraja ich w siekiery nie zaś w sierpy i motyki, jak się to dzieje u nas do żęcia zboża lub kopania buraków. Idą tedy murzyni jak wojsko, i dalejże ścinać i rąbać co żywo. I w tem także różnią się żniwa owe od naszych, że u nas, choć słońce doskwiera i strudnionym robotnikom pot z czoła się leje, przecież wesoła piosnka od czasu do czasu zabrzmi na zagonie i choć przy ciężkiej pracy dzień boży wesoło upływa robotnikom. Wszyscyśmy do pracy stworzeni, a że każdy pracuje albo dla własnej korzyści albo dla dobra swoich ukochanych i im pilniej pracuje tem obfitszy zbierze owoc, nikt się przy robocie, dlatego, że robić musi, nie smuci, chyba próżniak jak, co, nie godzien nazywać się boskiem stworzeniem. Inaczej myśli sobie niewolnik. Wie on, że po pracy nie czeka go spoczynek, i że z pracy swojej żadnej nie odniesie korzyści, wie że tylko ten, co za jego życie z góry zapłacił, zbierać będzie owoce jego krwawych wysileń. Ztąd też nie słychać nigdy wesołej piosnki

przy zbiorze trzciny cukrowej, jak u nas przy żniwach, lecz za to często zobaczyć można łzy, co z kroplami potu spływają po czarnych licach nieszczęśliwych niewolników.

Załączona tutaj rycina przedstawia zbiór trzciny cukrowej. Ściętą trzcinę wiążą w pęki, i na stojących w pogotowiu wozach odsyłają niezwłocznie do młynów, gdzie za pomocą stosownych przyrządów wyciska się z tych porąbanych kawałków trzciny sok słodki.

Dokończenie nastąpi.

Z Bogiem.

Z Bogiem, z Bogiem każda sprawa,
Tak mówili starzy —
Kiedy wezwiesz tej pomocy,
Wszystko ci się zdarzy.

Jedziesz w pole, masz siać zboże,
Z Bogiem zacznij pracę —
Bóg powiedział, rąk dokładaj,
A ja cię zbogacę.

Idziesz w drogę, chociaż blisko,
Z Bogiem wychodź z progu,
A gdy wrócisz z niej szczęśliwie,
To podziękuj Bogu.

Czy na rzekę puszczasz statki,
Z Bogiem zwyczaj stary,
Bóg uchroni od przypadku,
Przywieziesz talary.

Z Bogiem, z Bogiem każda sprawa,
Tak mówili starzy,
Kiedy wezwiesz tej pomocy,
Wszystko ci się zdarzy.

S. I.

Silni ludzie.

Grzegorz zapaliwszy świeżą fajkę, tak mówił dalej: Gdy król polski Zygmunt I. był z wojskiem swojem między Dąbrowną a Smoleńskiem niejaki Persztein, herbu Wieniawa, chciał przepłynąć Dniepr tamtędy płynący a był do kolan w pełną zbroję ubrany. Koń zaniosłszy go do połowy rzeki zrzucił go z siebie. Wszyscy myśleli, że pogrąży się w głębokości wody. Patrzał na to król Zygmunt i około trzy tysiące ludzi. Aż tu po pewnym czasie, chociaż ciężką miał zbroję na sobie, idąc nurkiem pod wodą po ziemi przeszedł Persztein na drugą stronę Dniepru i jak sam mówił dwa razy tylko napił się wody. Gabryel Modliszewski miał oprócz siły niepospolitą zręczność. Ścinał chłopcu pieniądz drobny z głowy nietknąwszy żadnego włosa. Nikodem Pieniążek był takiej siły, że konia równemi nogami w ubiorze husarskim przeskakiwał i podziwienia godne pokazywał sztuki. Chorąży Łęczycki zrywał naraz dwanaście powrozów konopnych a Wojciech Brudzyński, żołnierz za Aleksandra Jagiellończyka, w żelaznej zbroi podnosił sześciu husarzów do góry. Ścibor ze Ściborzyc, herbu Ostoja, gdy Zygmunt I. przepływał Dunaj pod Nikopolem w czasie wojny z Turkami, rzucił się w ciężkiej zbroi w wodę i za łódką królewską przepłynął Dunaj, który pod Nikopolem jest szerszy niż Wisła pod Warszawą.

Kopczak, piwniczy Branickiego kasztelana krakowskiego, w sześć koni zaprzężoną karetę zatrzymywał w największym pędzie ująwszy ją za tylne koła. Wspomniony dopiero Brudzyński jadąc na koniu, gdy się uchwycił belki nad bramą, podnosił w górę konia swego, ścisnąwszy go tylko obiema nogami. Wojciech Lachocki w pełnej zbroi przeskakiwał jadący wóz lub pędzącego konia. Wojciech Padniewski jednem cięciem ściął Turkowi głowę wraz z ręką do pachy. A mazur Łoś, gdy się położył na ziemi, nikt go nie mógł podnieść z miejsca. Byli i tacy co skrzydła wietrznych młynów zatrzymywać umieli. Michał Żołkiewski wyciągnięty sznur przecinał uderzeniem ręki a nosząc dwóch ludzi na rękach trzeciego utrzymał w zębach.

Ksiądz Druszkowski gdy komu ścisnął rękę, to mu tryskała krew ze wszystkich palców. Mając siedmdziesiąt lat wieku tak jeszcze był silnym, że przełamywał naraz dwanaście srebrnych łyżek.

— Ale dla Boga żywego! zawołał Stach Wątroba, to być nie może, żeby ci ludzie taką mieli siłę. To byli chyba olbrzymi, bo zwykły człowiek nie mógłby tego dokazać...

— Że to jest prawdą — odrzekł Grzegorz Bilski — to was zapewnić mogę. Stoi o tem wszystkiem w starych księgach i sam czytałem własnemi oczyma. Że to byli rośli ludzie i tęgiego ciała, to o tem wątpić nie można. Przekonywają nas pozostałe po nich żelazne zbroje i broń różna, jak już wyżej powiedziałem. Nie były to lalki, ale ludzie czynu. Co o niektórych ludziach piszą stare księgi, to prawdziwie zdaje się być niepodobną rzeczą, a przecież to prawda swięta...

— To jeszcze wiecie o innych silnych ludziach? — zapytał Michał Pieniacz.

— A tak jest, wiem — odrzekł Grzegorz — owóż posłuchajcie! I tak jął dalej opowiadać:

— Na króla Zygmunta Augusta napadł żubr, zwierzę do woła podobne, lecz większe i okrutniejsze. W tem Piotr Wiesiołowski, marszałek wielki litewski, który był z królem, osadził żubra na oszczep i króla ocalił. Był to silny człowiek, któremu nic nie było dziwnego zatrzymywać rozpędzone karyty lub podnosić konia. Tomasz Olędzki, kasztelan zakroczymski, jednym zamachem rozcinał pięć talarów srebrnych, ułożonych jeden na drugim. Maciej Kostka, siedmiu ludzi, którzy mu się opierali, posuwał w którą chciał stronę, łamał podkowy w palcach, rozdzierał za jednym razem paczkę kart do grania, rozrywał powrozy i kruszył talary srebrne. Wojciech Cieński regimentarz, który żył za Augusta II pokazywał raz przed tym królem swoją siłę. Ująwszy grubą sztabę żelazną wyginał ją na wszystkie strony, poczem założył ją na szyję strażnikowi i zakręcił na węzeł. A ponieważ król, był także bardzo silny więc prosił, aby go rozwiązał. Próbował król August, ale podołać niemógł. Woła tedy sławnego z swej siły kowala z Warszawy, ale i ten nic nie poradził. Wtenczas Cieński

wziąwszy węzeł w rękę, rozwiązał go tak łatwo jakby był z wosku zrobiony. Tenże Cieński musiał mieć umyślnie dla siebie robione stołki i powozy, bo gdy siadł na cudzym natychmiast go złamał. Będąc w Tarnowie widział jak chłopi składali z wozu beczki z winem. Z jednej spadła obręcz, bali się więc staczać, by się wino nie rozlało. Nadchodzi tedy Cieński, wybił czop z beczki włożył dwa palce i na nich zniósł beczkę na ziemię. Innym razem stojąc w cukierni widział, jak na przeciwległej stronie chłop kupował w sklepie żelazo. Trzeba mu zrobić figla, powiada do zgromadzonych i idzie do chłopa. A poczem poznajesz dobroć żelaza? — pyta. Po dźwięku, proszę jegomości odrzekł chłopek. Nie mój kochany, po giętkości próbuje się żelazo. I to powiedziawszy wziął szynę żelazną do rąk, wygiął ją kilka razy a potem opasał chłopa dokoła. Chłop w lament, bo Cieński odszedł. Chodzi od jednego kowala do drugiego, ale żaden pomódz nie może. Wraca zmartwiony do sklepu. Przychodzi Cieński i w okamgnieniu i ku zdziwieniu wszystkich rozwiązuje grube żelazo.

Teodor Łacki, pisarz polny litewski, nosił na dłoni stojącego mężczyznę a gdy się oparł o ścianę, nie dał się ruszyć z miejsca. Mógł się naraz potykać z kilkoma osobami. W Wenecyi rozjuszonego woła dzikiego za rogi ująwszy tak nim uderzył o ziemię, że mu kark skręcił. Liny zrywał jak nici, wstrzymywał wozy i tak łuk naciągał, że mu nikt nie wyrównał. Przyszedłszy z posłem tatarskim na dwór króla Stefana, tak naciągnął łuk wyśmienicie, że za to otrzymał od króla pięknego rumaka.

Dokończenie podamy wam w przyszłym numerze Dzwonka.

Niedziela palmowa.

Co roku obchodzimy w ostatnią niedzielę przed Wielkanocą pamiątkę religijną i dajemy poświęcać w kościele rószczki czyli gałązki z drzew świeżo rozwijających się — i nazywamy to palmami. Chowamy te palmy na pamiątkę i w każdej niemal chacie są one zatknięte koło świętych obrazów.

Otóż chcielibyśmy wam mili czytelnicy w krótkich słowach przedstawić ten zwyczaj przyjęty i w obrzędzie kościelnym zachowany.

Pan Jezus na sześć dni przed Wielkanocą po odbytej uczcie w Bethanii u Łazarza, którego z grobu powołał i wskrzesił do życia — wracał do Jeruzalem, i gdy się zbliżył do góry Oliwnej, wysłał dwóch uczniów do miasteczka, aby przywiedli mu oślicę, na której jeszcze nikt nie siedział. Uczniowie ci znalazłszy przywiązaną oślicę u furty, gdzie się dwie drogi schodziły, odwiązali ją — a pytającym się, dlaczego to robią, powiedzieli, że biorą ją dla Pana Jezusa. Wtedy uczniowie włożyli na oślicę swe odzienie robiąc posłanie i posadzili na nią Syna Bożego. I spełniły się słowa przepowiedziane przez proroka: ›Nie bój się córko Syońska, oto król twój jedzie cichy siedząc na oślęciu.›

Tłumy narodu usłyszawszy że Pan Jezus idzie do Jeruzalem szły naprzeciw Niego z rószczkami palmowemi wołając: Hosanna! Błogosławiony, który idzie w imię Pańskie! król Izraelski. Pokój na ziemi a chwała na wysokościach. I ci co wyszli naprzeciw Pana Jezusa i ci co szli za nim, zrywali gałązki drzew i rzucali je ścieląc drogę Panu.

Tak Syn Boży wjechał do miasta Jeruzalem.

Pamiątkę tę obchodzi kościół w całym świecie chrześcijańskim w niedzielę którą nazywamy palmową niedzielą, a zwyczaj święcenia rószczek czyli palm w ten dzień w naszym narodzie od czasu przyjęcia wiary chrześcijańskiej co roku się odbywa i wszędzie bywa zachowywany.

Przypomnieliśmy wam tę pamiątkę bo właśnie w niedzielę palmową posyłamy wam Dzwonek.

Józef z Medyki.

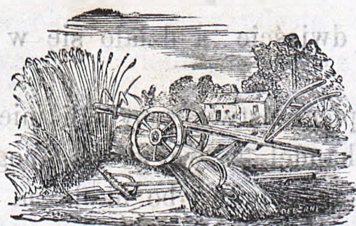
Złote ziarna.

Próżno morzem nie pływamy,
Próżno w bitwach nie bywamy,
Ugodzi nieszczęście wszędzie,
Choć podobieństwa nie będzie.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Józef Laskownicki. — Z drukarni E. Winiarza

Tom I. 21. Kwietnia 1870. Nr. 12.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Alleluja!

Alleluja! Okrzyk ten brzmi w całym kraju;
W każdej chacie polskiej po dawnym zwyczaju
Z weselem, miłością i sercem skruszonem
Wszyscy dzisiaj dzielą się jajem święconem.

Więc i Dzwonek spieszy dziś pod wasze strzechy
Z życzeniem pokoju, szczęścia i pociechy.
Z rodziną, czeladką w jednem siądźmy kole
I wpośród uciechy przy święconym stole.

Wspomnijmy o braciach, co jęczą w jasyrze,
Moskiewskiej dziczy i tych, co na Sybirze
Wśród lodu i pustyń zdala od rodziny
Szlą łzę, westchnienie do polskiej krainy.

I w dzień ten radośny prośmy niebios Pana,
Co dzisiaj zgruchotał dziką moc szatana,
By znowu na Polskę zwrócił wzrok łaskawy
I wrócił jej czasy potęgi i sławy!

S....

Lwów 17 kwietnia.

O bohaterskim czynie Sandeczanów.

Byłoto lat temu dwieście a działo się w ojczyźnie naszej Polsce.

W spokoju i bezpieczeństwie zasypiali mieszczanie sandeccy w swém mieście; handel z węgierską pograniczną krainą i rzemiosło opłacało się dobrze, bo okoliczni panowie szlachta często zajeżdżali do starego grodu, aby tam zaopatrzyć się w rozmaite towary, których na wsi dostać nie można. Górale z Nowego Targu pokazywali się też często na rynku przynosząc kosze plecione, kwiczoły i inne rzeczy, które można było nabywać i dalej spieniężać; szło tedy jakoś mieszczanom sandeckim, bo przy pracy i uczciwości można uzbierać sobie nieco zapasowego grosiwa.

Mówili wprawdzie ludzie od niejakiego czasu o wielkiej wojnie daleko na wschodzie, którą Polacy z Kozactwem i Tatarstwem prowadzili. Nieraz widziano jakiegoś rycerza, który z szablą przy boku, na dzielnym koniu i z długą dzidą w ręku spieszył w dalekie okolice, aby się bić z wrogiem. Ale tyle było wszystkiego; jak świat światem nie widzieli Sandeczanie pod swojemi murami żadnego nieprzyjaciela, bo mieszkali zdala od tych stron, którémi wrogowie Polskę najeżdżali. Dlatego też i teraz nie obawiali się niczego, ponieważ król węgierski, od którego ziemi nie wiele byli oddaleni, z królem polskim stateczną przyjaźń chował.

Jakoś niedługo po nowym roku 1655 zaczęła obiegać wieść, że nieprzyjaciele jacyś przedtem nieznani, z za morza pochodzący, naszli polską krainę wojną i spustoszeniem. Raz opowiadali ludzie, że jakiś potężny król pokonał wojsko polskie, które mu przejście tamowało, później słyszano na jarmarku, że już wielkie i sławne miasto Warszawa najezdnikom się poddało, a za kilka tygodni donosili podróżni straszniejsze jeszcze rzeczy; mówili, że król nasz Jan Kazimierz uszedł z kraju, a liczni nieprzyjaciele, co się Szwedami zowią, zdobyli już Kraków i prostą drogą idą ku Sączowi.

Dopieroż to powstał płacz i strach w całem mieście. Co chwila ma nadciągnąć potężny nieprzyjaciel, który będzie

rabował i ciemiężył, a tu niema znikąd żadnego ratunku. Wojska nie było w okolicy, mury miasta były słabe a broni między mieszczaństwem nie wiele, zwyczajnie jak między ludźmi nie znających zawodu rycerskiego. A zresztą komu przyszłaby chętka bronić się przeciw takiemu nieprzyjacielowi, przed którym sam król Jegomość ustąpić musiał.

To też postanowili mieszczanie pokornie i uniżenie zachować się przeciw wrogom, aby sobie uległością na miłosierdzie zasłużyć. Skoro usłyszeli w mieście, że Szwedzi nadchodzą, wyszli panowie radni z panem burmistrzem na czele, który niósł klucze miejskie w rękach, przed bramy i stali z pokorą czekając na przybycie niemiłych gości. Niejednemu krew zakipiała w żyłach, nie jeden zaciskał pięści ze złości, ale i najodważniejszemu oddechu zabrakło, gdy z pośród tumanów kurzu wynurzyło się wojsko szwedzkie.

Ciekawy to był widok; szwedzcy rajtary siedzieli na tęgich koniach poubierani w czerwone, niebieskie i zielone kurtki, na piersiach błyszczały blachy, które miały zasłonić wojownika od pchnięć, a przy czapkach unosiły się kity z piór różnobarwnych. Piechota miała ogromne halabardy i ciężkie strzelby, których ogień w bitwie roznosił śmierć i zniszczenie. Za pieszakami następywały działa, straszne już z samego widoku, o których opowiadano, że w kilku minutach całe mury rozwalać mogą.

Dumnie spojrzał wódz szwedzki po wystraszonych rajcach Sącza, ale chcąc się okazać łaskawym, powiedział, że miastu nic się złego nie stanie, byle tylko było posłuszne i żołnierzom jego żywności dostarczało. Mieszczanie pokłonili się do kolan i wprowadzili cały pochód do miasta.

Ciężka zaczęła się teraz dola dla biednych Sandeczanów. Żołnierze szwedzcy nie palili wprawdzie i nie rabowali tak, jak to rozpowiadano o Tatarach, ale mimo to dawali się coraz bardziej w znaki biednym ludziom. Z każdym dniem rósł ich apetyt, coraz więcej żądali mąki i krup, mięsa i słoniny, a po niejakim czasie zaczęli się także dobierać do składów skór, sukien i płócien. Jaki taki wydał już wszystką gotówkę, którą wziął w posagu za żoną, sprzedał warsztat lub bydło,

a tu coraz nowe wymysły; o zarobek było trudniej niż zwykle, bo od czasu przybycia Szwedów ani pan ani chłop do miasta nie zagościł; wszystko chowało się w mysie jamy.

Udawali się wprawdzie mieszczanie do komendantów szwedzkich z prośbami o ulgę w niedoli, ale jak się można było spodziewać, nic nie zyskali prócz groźb, że jeszcze będzie gorzej, gdy się będą naprzykrzali. Szwedzi bowiem rozgościwszy się w mieście mieli wszystko w swojej mocy, zaufani w swoich armatach i strzelbach. To też nie bojąc się nikogo dopuszczali się rozmaitych niesprawiedliwości nad biednymi ludźmi, ledwo ich za boże stworzenia uważając. Jaki taki chciał uciekać z rodzinnego miasta, het daleko za góry niedostępne, ale Szwed nie pozwalał wydalić się z miasta obsadziwszy żołnierzem wszystkie bramy. Zresztą trudnoć przychodzi człowiekowi rozstać się z temi miejscami, gdzie przebył cały swój wiek od lat dziecinnych.

Wszystko jednak na świecie ma swój koniec; więc też i cierpliwość Sandeczanów nie mogła trwać bardzo długo, tem bardziej, że wrogowie niesprawiedliwością i gwałtami coraz bardziej drażnili naigrawając się nawet z kościelnych obrzędów jako ludzie innej wiary. Nie mogąc uskarżać się głośno schodzili się mieszczanie po domach nieco obszerniejszych rozpowiadając sobie wzajemnie to, co codziennie widzieli. Przy kuflu miodu starego, w kółku zaufanych przyjaciół, przy drzwiach szczelnie zamkniętych rozprawiano wiele o wrogu, a jaki taki zmarszczył groźnie brwi i powiedział: Alboż my nie Polacy? Nie mamy zdrowych rąk? Pokażemy, co umiemy i wyrzucimy to plugastwo z naszych murów.

— Próżne słowa — odpowiadali starsi i spokojniejsi; — cóż zrobimy sami, bezbronni. Szwedzi wymordują nas i spalą nasze miasto.

Tak mówili nieraz między sobą mieszczanie, bo z jednej strony coraz gorzej dokuczali Szwedzi, z drugiej strony strach przed strzelbami i berdyszami miał wielkie oczy.

Jeden wypadek dodał serca Sandeczanom. Oto Szwedzi chcąc wsie pobliskie rabować wysyłali z miasta oddziały swego

wojska na wyprawy rozbójnicze. Mocno dokuczali rajtary, biednym mieszkańcom, ale nie uszło im to na sucho. Bo z góralami, którzy górskie okolice Polski zamieszkują, to nie przelewki; chłopy to silni jak dęby i wprawni czy to do kosy, czy do toporka. To też dostało się Szwedom, co się tam po górach wałęsali, co niemiara, tak, że kilku zabitych i kilkunastu rannych do miasta przywieźli. Patrzali się podziwem zdjęci na to ludzie i jaki taki pomyślał, że nie taki djabeł straszny, jak go malują. Jeżeli potrafili górale to i nam udać się może. Zaczęto przebąkiwać z początku cicho, potem głośniej czyby się nie dało Szwedom kurtę skroić. Rozprawiano o tem przy kuflu, aż nareszcie stanęło na tem między starszymi, że trzeba Szwedów z miasta wyrzucić.

Nie wiele zachodu było potrzeba, aby wszystkich mieszkańców do walki nakłonić, bo niesprawiedliwości i gwałty wszystkich do oporu pobudzały. Wszystko, co żyło, młodsi i starsi przygotowywali drągi, topory, i inne narzędzia; z rozmaitych kryjówek zaczęto wyciągać strzelby stare, które udało się mieszczanom ukryć przed wrogiem. Szwedzi ani się spodziewali, co się w mieście święci; myśleli sobie, że nikt na taką rzecz by się nie odważył, a zresztą nie mogli dobrze miasto nadzorować, bo wieśniacy z pobliskich siół spokoju im nie dawali. Co chwila wysyłali zatem na wycieczkę oddziały wojska, przezco ich siły znacznie się zmniejszały.

Jednej nocy wyszli oni w większej niż zwykle liczbie z miasta i ustawili się na stanowisku, gdzie według ich wiadomości górale i szlachta okoliczna zgromadzić się mieli. Czekali tam Szwedzi długo, patrzali na wszystkie strony, aż ledwo oczy nie wypatrzali, a tymczasem nic nie ujrzeli. Tacy sławni wodzowie szwedzcy dali się uwieść mieszczanom, którzy umyślnie pogłoskę tę puścili, by wrogów w pole wyprowadzić. Tymczasem w mieście wcale inne przygotowywały się rzeczy.

Gdy się już dobrze zmierzchało, poczęli mieszczanie schodzić się na rozmaitych miejscach; około północy wyszli z kryjówek i rozbiegli się po rozmaitych okolicach miasta, aby Szwedów znienacka zaskoczyć. Ciemność nocy posłużyła

im; wkrótce wielka część żołnierzy i oficerów została albo do niewoli wziętą albo, gdy się bronili, zakłutą. Ze snu przebudzeni Szwedzi z trudnością tylko bronić się mogli; zanim się większa ich liczba zgromadziła już pokonali ich Sandeczanie, którym obawa przed zemstą odwagi dodawała. Szwedzi zagrożeni składali się i prosili o przebaczenie, niepomni na to, jak przed kilkoma dniami zbytkowali się nad ich żonami i dziećmi.

Tak to zawsze się dzieje; kto nie szanuje innych ale owszem jeszcze źle się z innymi obchodzi, sam doświadcza na sobie przykrej kary.

Szwedzi, którzy byli wyszli z miasta nie mieli już po co wracać, bo mieszczanie uporawszy się z tymi, którzy byli pozostali, obsadzili bramy miasta i nikogo wpuścić nie chcieli. Opatrzeni bronią odebraną wrogom mogli teraz swobodnie przechadzać się po mieście, które własnem męztwem od niewoli uwolnili.

Pamięć tego zdarzenia przechowywała się długo w okolicach podkarpackich. Rodzice opowiadali to swoim dzieciom i wnukom i tak powieść ta doszła aż do naszych czasów.

Franek z Starejsoli.

Rycerze spiący

Baśń góralska z pod Babiej góry.

Pod lasem mieszkał ubogi kowal żywiąc liczną rodzinę garstką lichego owsa, co wśród kamieni rósł na małej w borze polanie — aliści pewnego razu przyjedzie na siwym koniu, w żelazo okuty rycerz. Rycerz w tych stronach! to widmo, nie człowiek, pomyślał przestraszony góral. Przecież zbrojny zsiadłszy z konia Bogiem powitał kowala, a ludzkim rzekł do niego głosem, by mu za dobą przygotował podkowy do okucia tysiąca koni.

— Zkąd tu żelaza na tyle podków, ani doba starczy choćby djabeł młotem kierował.

— Sprzedaj co z dobytku, i kup żelaza, rzekł rycerz, w imię Boże weź się do roboty, a skończysz, jutro wieczorem po podkowy przybędę.

Zbrojny odjechał, a kowal długo się z żoną namyślał nim zawiódł do miasteczka krowę i konia, by za nie nabyć żelaza. Ledwo się wziął do roboty po powrocie, aliści niby cudem już całe podkowy same z pod młota wybiegały. Gdy ostatnia z naznaczonej liczby była gotową przybył i rycerz.

Dobrze już było ciemno, nim kowal spakował robotę, aby się udać na miejsce, gdzie obozowała drożyna konnych, O północy przywiódł zbrojny zdumionego kowala pod skałę w Babiej górze; tam za trzykrotnem uderzeniem pałasza, głazy się rozwarły a rycerz wprowadził go w podziemię, gdzie tysiąc żołnierzy z siwemi po pas brodami spało na uszykowanych w hufiec koniach.

— Kujże teraz mój człowieku, rzekł zbrojny do kowala, ale pomnij, byś żadnego nie zbudził.

Wziął się drżący góral do roboty i jakby co czarowało, migiem wszystkie założył podkowy. Gdy ostatni gwóźdź, przybijał, trącił ze strachu w szablę zbrojnego i przebudził śpiącego starca.

Ockniony rycerz wielkim głosem zawołał ku owemu, co przywiódł kowala.

— Mistrzu! czy już czas?

— Nie! odrzekł zgniewany rycerz.

Starzec znowu zasnął.

— Teraz ty biedaku żeś mi przebudził towarzysza, rzekł tamten, tylko ostrużyny rogu zbieraj sobie za zapłatę.

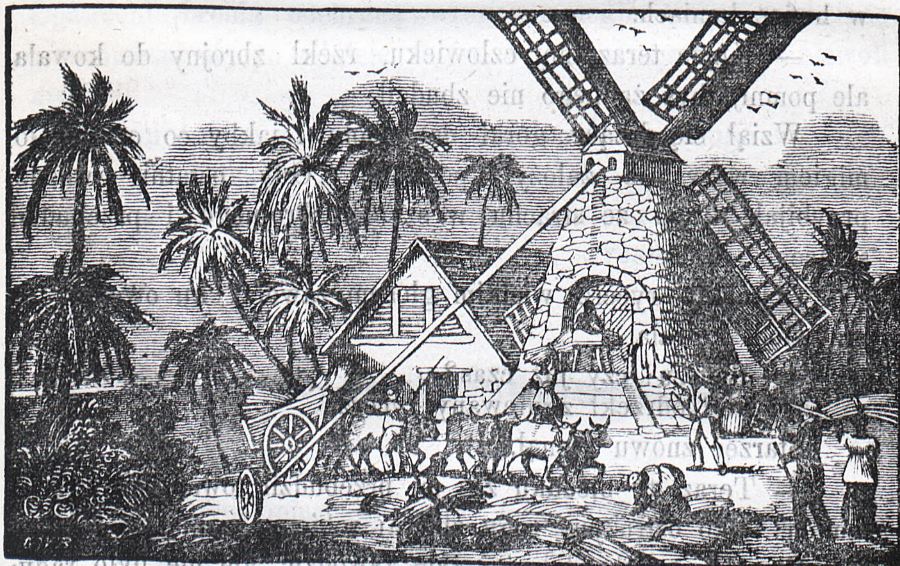
Kowal począł płakać i żale zawodzić ale nie było rady; zebrał kawałki rogu a dziękując jeszcze Bogu, że wyszedł cało, umykał do domu. Jedzie i jedzie, dom daleko a koń ustaje, worek coraz to cięższy. Wreszcie i dnieć poczęło patrzy aż tu obrzynki kopyt w złoto się zamieniły. Biedny góral panem wrócił do domu.

Stanisław Krakowczyk.

O wyrobie cukru z trzciny cukrowej i buraków.

(Dokończenie)

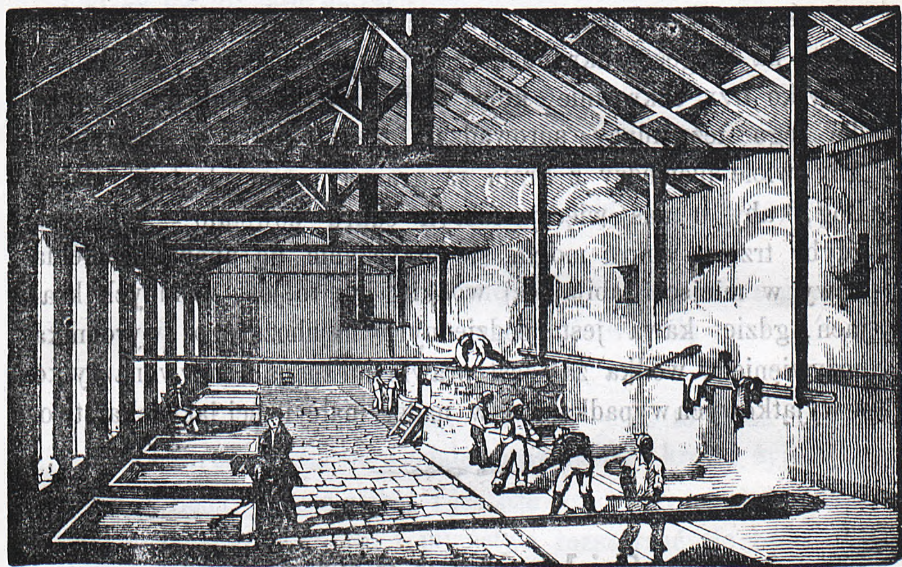
Opowiadaliśmy wam mili czytelnicy w przeszłym numerze o uprawie i zbiorze trzciny cukrowej. Dzisiaj podajemy wam znowu dwie ryciny, z których jedna przedstawia młyn do wyciskania soku, a druga warzelnię. Wspomnieliśmy tamtym razem, że porąbane kawały trzciny odwożą do młyna. Otóż właśnie jest ten młyn. Paki z trzciną leżą wokoło, a już oto sześć wołów nowy wóz z trzciną przyciągły. Murzyni co żywo chwytają przywiezione paki i niosą do młyna. Jak jest młyn urządzony, jakie tam są maszyny do wyciskania soku służące, tego wam opisywać nie będę, bo prędzejbym znudził, niżbym was czego mógł nauczyć Dość będzie, gdy sobie



Młyn do wyciskania soku.

spamiętacie, że w tym młynie sok wyciskają. Sok zlewają potem w kotły i ogrzewają na wielkim ogniu; ażeby zaś nie skwaśniał, co się łatwo i często zdarza, dodają do niego niegaszonego wapna rozrobionego na mleko. Gdy już sok jest mocno ogrzany, zlewa się rynwami do innych kotłów, stosownie urządzonych, w których powoli i stopniowo stygnie, przyczem gęstnieje, tak, że gdy go palcem dotkniemy, ciągną się od

palca nitki. Tymczasem opodal przygotowują już wielkie płytkie naczynia drewniane, w których sok ma stygnąć do reszty. Do tych to naczyń wlewa się sok z kotłów. Po niejakim czasie stygnie on tu do reszty i zamienia się w miękkie grudki cukru. Grudki te wsypują się do beczek tak urządzonych, że jeszcze reszta wilgotnego soku może na spód ściekać, na wierzchu zaś zostaje suchy cukier, który się nazywa surowym, a surowym dla tego, ponieważ choć już przez tyle rąk przechodził, jeszcze nie mało potrzebuje pracy, aby się stał takim, jak być powinien. Mianowicie jest to dopiero mączka żółtawa, którą potrzeba oczyścić do białości i zamienić w bryły wielkie zwane g ł o w a m i. To dzieje się w osobnych zakładach zwanych rafineryami i dlatego też cukier, który mamy w sklepach nie nazywa się już cukrem surowym lecz rafinowanym.



Warzelnia.

Wyciskanie soku z buraków nie tak się odbywa, jak wyciskanie soku z trzciny cukrowej. Przedewszystkiem potrzeba wam wiedzieć, że nie wszystkie buraki zdatne są do wyrobu cukru. Najlepsze do tego celu są buraki białe, ale i te nie zawierają w sobie tyle cukru, co trzcina cukrowa. Z tem wszystkiem cukier z buraków równie jest słodki jak cukier z trzciny.

Buraki dowiezione do cukrowni obcinają się najprzód starannie ze wszystkich wyrostków liścia, co się nazywa ogłowieniem. Po ogłowieniu płuczą się buraki w wodzie, a następnie trzeba je trzeć na tarkach. Powstaje ztąd miazga, z której zapomocą pras wyciskają sok cukrowy. Z tym sokiem postępuje się mniej więcej podobnie jak z sokiem trzciny cukrowej, aż znowu otrzymuje się z niego mączkę cukrową, z której w rafineryach wyrabiają głowy cukru.

Był niegdyś czas, że w kraju naszym, gdzie dzisiaj cukier tak jest upowszechniony, że w każdem najmniejszem miasteczku, nieledwie w każdej wiejskiej karczmie dostać go można, był wcale nie znany, i pojawiał się tylko na stole królewskim. Do czego dzisiaj używamy cukru, używano niegdyś miodu. Teraz miodu mamy mało, bo pszczelnictwo u nas upadło i ledwie gdzieniegdzie dźwigać się zaczyna, za to na drogość cukru uskarżać się nie możemy. W Galicyi są tylko trzy cukrownie, które niewielką ilość cukru wyrabiają. dla tego też kupcy sprowadzają resztę cukru z zagranicy. Aby wiele pieniędzy z kraju za granicę nie wychodziło, dałby Bóg, aby u nas więcej fabryk cukru powstało, zwłaszcza gdyby trzcina cukru mogła się przyczynić do upowszechnienia kawy w miejsce zabijającej wódki, jak to jest w innych krajach, gdzie kawa jest codziennym najuboższego wyrobnika pożywieniem, wódka zaś jest prawie nieznana i używana tylko w wyjątkowych wypadkach i w nader małej ilości jako lekarstwo.

Silni ludzie.

(Dokończenie)

Stanisław Ciołek wojewodzic mazowiecki nadzwyczajną miał siłę, nad niego nie było podobno silniejszego. Skręcał miecze, łamał podwójne podkowy, targał grube powrozy, a we wsi swojej Ostrołęce dźwignął sam drzewo, którego dwudziestu ludzi ruszyć nie mogło, i zaniósł je do młyna. Dwanaście szabel ująwszy za końce podnosił jedną ręką z ziemi,

a gdy ścisnął surowe drzewo, sok z niego wyciskał. Będąc w Krakowie, wyciągnął na wieżę przy kościele Panny Maryi dzwon wielki, którego nie podniosło czterdziestu ludzi. Pieniądze miedziane lub srebrne łamał dwoma palcami. Stawał często w kole szablą oznaczonym i kazał się dwunastu ludziom ciągnąć za pomocą sznurów, lecz go ruszyć nie mogli, on zaś szarpnąwszy pozrywał powrozy i powywracał ludzi. Raz był z Kazimierzem Wielkim w Pradze. Próbował się tam z sławnym z swej siły człowiekiem, lecz gdy go przycisnął do ściany, natychmiast wyzionął ducha. W 16 wieku żył w łasach Świętokrzyskich sławny gajowy nazwiskiem Babań. Porastał on na całem ciele a szczególnie na piersiach i plecach. Husarza z koniem zbrojnego przewracał, drzewa 10 i 15 letnie wyrywał z korzeniami a kogo tknął palcem, musiał się wywrócić. Miał dopiero lat 36, gdy umarł.

Bywały także i kobiety, które się odznaczały siłą. Jedna ująwszy za pasy dwóch panów, naraz ich oknem wyrzuciła do ogrodu.

— A jak widzę, to wy macie pamięć nielada mój Grzegorzu! — powiedział Wątroba — kiedy sobie spamiętacie tyle nazwisk.

— Jabym wam wymienił i więcej — odrzekł Grzegorz — bo takich silnych ludzi było u nas mnóstwo, ale na to nie ma czasu.

— Mój Boże! — westchnął Wiarus — że to teraz nie ma takich silnych ludzi! — Ludzie coraz słabsi i krócej żyją....

— Będą jeszcze słabsi i jeszcze krócej żyć będą — odparł Grzegorz — jeżeli zbytki i pijaństwo rozszerzać się będą dalej. Aby podtrzymać zdrowie i siły, uczą się teraz różnych ćwiczeń ciała, co się gimnastyką zowie. Bardzo to piękna i pożyteczna nauka, ale nie wiele ona pomoże, jeżeli kto nie żyje trzeźwo i umiarkowanie a przytem nic nie pracuje. Praca głównie rozwija i zwiększa siły.

Pracujmy i żyjmy inaczej zapatrując się na przodków naszych, którzy dostarczyli nam takich przykładów siły, o jakich wam tu mówiłem.

Prawdę mówicie, kochany Grzegorzu! — zawołali gospodarze i rozmyślając nad słowami Grzegorza rozeszli się do domów, bo już późno było wieczór.

Ja zaś podaję wam tę gawędkę w całości, abyście i wy wiedzieli, co Grzegórz opowiadał.

Józef z Bochni.

ŚMIGUST.

Drugi dzień świąt Wielkanocy zazwyczaj bywa obchodzony wesoło z żartami, swawolą i pustemi figlami, t. j. oblewaniem wodą. Chłopcy nie żałują wody i oblewają nią dziewczęta, a dziewczęta także odwzajemniają się chłopcom, jednakże jako słabsze zawsze przytem więcej ucierpią. Obyczaj ten przyjęty u nas od niepamiętnych czasów obchodzony bywa wszędzie tak w miastach jak po wsiach, jak u włościan tak i między panami. Chłopcy na wsi nieraz przybierają miarkę w tych figlach i zlewają bez miary konewkami a często do rzek lub stawu wrzucają dziewczęta Jednakże tej ostatniej psoty pochwalać nie można, należy ją owszem jak najmocniej zganić, bo częstokroć z tego wyniknąć może ciężka choroba, jak n. p febra.

We wsi Dąbrowie mieszkał wielce szanowany Stanisław Skiba, który chociaż syn włościański bardzo był uczony i oczytany, pokończył bowiem szkoły i dużo książek czytał. Pochwalał on każdy zwyczaj dawny i z radością przypatrywał się każdemu takiemu obchodowi, jako pamiątce zachowanej po przodkach. Ale gdy widział, że niektórzy nadużywają tego zwyczaju, to ganił i karcił ostrem słowem swawolnych psotników. Otóż gdy zobaczył, że chłopcy porwawszy dziewczynę wrzucili ją do stawu, rzekł do nich:

— Hola chłopcy, tak się nie godzi robić i nie powinno się nadużywać tego obyczaju.

— Kiedy oblać, to już porządnie, odezwał się jeden z wesołych chłopców.

— Moi kochani, ten obyczaj nie pochodzi od topienia ludzi. Dla tego nie powinno się nikogo rzucać do stawu, tylko oblewać.

— A zkąd to pochodzi ten obyczaj? zapytał jeden z ciekawych.

Skiba rzekł na to

— Obyczaj ten oblewania wodą w drugie święto Wielkanocy od bardzo, bardzo dawnych czasów pochodzi i dwojaki zdaje się mieć początek. Najprzód z tego, że w Jerozolimie, gdy Pan Jezus zmartwychwstał, chrześcijanie schodzili się i o zmartwychwstaniu rozmawiali, żydzi dla rozpędzenia gromady chrześcian oblewali ich z okien wodą. Powtóre także ztąd prawdopodobny początek tego obyczaju, że gdy u nas w Polsce a szczególniej w Litwie wprowadzono świętą wiarę, księża nie mogli od razu tak wielkiej liczby ludu ochrzcić w kościele lub też w domu, więc obrzęd ten odbywał się przy rzece. Poświęciwszy wodę w rzece księża obficie skrapiali nią licznie zgromadzone tłumy narodu. A trzeba wam wiedzieć, że wtedy chrzczono nietylko małe dzieci, ale dorosłych i starych którzy porzucali wiarę pogańską.

— A dla czegóż ten obyczaj śmigustem nazywają? zapytał rozciekawiony Sobuś.

— Śmigust czyli Śmigurst, albo dyngus, znaczy podarek, który w drugie święto Wielkanocne dają — mówił Stanisław Skiba. — Podług dawnego obyczaju w poniedziałek wielkanocny chłopcy oblewali dziewczęta, we wtorek zaś i dnie następne dziewczęta chłopców. Śmigust czyli podarek wielkanocny był więc wykupem, t. j. kto nie chciał być oblanym musiał się wykupić jakim datkiem. Podług starożytnego obyczaju dziewczęta niosąc przed sobą wierzchołek sośniny przystrojony różnemi błyskotkami, wchodziły do domów, spiewały stósowne piosenki i zbierały podarki. Chłopcy zaś chodzili z kogutkiem i pokazywali rozmaite figle i sztuki, a po uczęstowaniu ich, kompanie się łączyły i razem wszyscy się bawili lub tańczyli. Gdzie niegdzie chodziły także po wykupnie czyli po śmiguście ubożsi studenci ze szkółek,

i po domach opowiadali z pamięci wiersze o Zmartwychwstaniu Pana Jezusa i dodawali:

A ja tę nowinę do państwa wznoszę
I o wykup proszę.

A zakończając przypomnieniem o podarek spiewali:

Przyszedłem tu po śmiguście
Co mi dacie, w torbę włóżcie.

Dawano im za to kołaczyki, paski, święcone jaja lub też farbowane, które nazywamy pisankami.

— Jak to dobrze wiedzieć — rzekło kilku. Dziękujemy wam za opowiadanie.

— Nie macie za co dziękować, tylko nie wrzucajcie nikogo do wody, bo taka zabawka jest szkodliwą.

— Usłuchamy was, panie Stanisławie, odezwali się chłopcy.

— No to dobrze, rzekł Stanisław Skiba odchodząc i dodał — A przyjdźcie do mnie po Śmiguście, zaspiewacie i zabawicie się trochę, każdemu dam kołacza i pisankę na śmigust.

A my wam, mili czytelnicy na śmigust niesiemy Dzwonek.

Józef z Medyki.

Rady i przestrogi gospodarskie i domowe.

— Środek zaradzenia złemu, gdy drzewa owocowe wymarzną. Doświadczony sadownik podaje następującą radę: Tegoroczna zima mroźna wymroziła znaczną część drzew owocowych. Przekonałem się, że gruszki, wreszcie śliwki a nawet pomimo starannego ukrycia brzoskwinie i morele w części albo całkowicie wymarzły. Tę zimę można tylko porównać z zimą w roku 1829., w której niemal w całej Europie drzewa owocowe wymarzły. Chcąc choć w części zaradzić tej klęsce, podaję do publicznej wiadomości jedyny środek zalecony i uznany przez sadowników, a którego sam doświadczyłem: Skoro na wiosnę soki zaczną krążyć, należy drzewom zamarzniętym puszczać krew, t. j. przecinać korę ostrym scyzorykiem od góry do samego dołu drzewa. Takich cięć daje się 5. 4. 3.

2 lub jedno, stosownie do grubości i wieku drzewa. To samo zrobić należy i na gałęziach. Należy przecinać także górne gałązki dosyć krótko. Zalecam przytem dłuższą cierpliwość w wycinaniu drzew, które należy zostawić nietknięte do sierpnia.

— Co robić z kartoflami przemarzłemi. Według doświadczeń biegłych gospodarzy, kartofle przemarzłe mogą być użyte na mąkę wyborną równie jak zbożowa. Postępowanie w tym względzie jest bardzo proste. Zmarzłe kartofle składa się w otwartem miejscu, ażeby zupełnie wyschły. Częste marznięcie i odtajanie sprawia oddalenie z nich wilgoci, bo ilekroć kartofle na nowo zamarzną, formuje się między skórką i owocem skorupka lodu, który przy następnem odtajaniu przez rozpadliny skórki wypływa. Tym tedy sposobem osuszone kartofle, gdy oddzielone zostaną od opadających już skórek, przez roztarcie tylko pomienioną dają mąkę. Mieszkańcy Ameryki, zkąd kartofle pochodzą, dają im umyślnie marznąć, potem depcą ich nogami dla złuszczenia skóry, i w worach kładą je potem w wodę bieżącą. Wyjąwszy je ztamtąd po dwóch lub trzech dniach, suszą na słońcu i rozcierając przysposabiają z nich mąkę, której jako bardzo smacznej do wszelkich używają pieczyw.

Złote ziarna.

Myślmy, patrząc na zdrożność czy wielką czy małą —
I nas to mogło spotkać, co innych spotkało.

Nie wie człowiek, co dobre, a często tak zbłądzi,
Że swe szczęście za wielką niefortunę sądzi.

Nie ten mądry, co bogactw dorobił się mnóstwa,
Lecz ten, co je straciwszy, nie czuje ubóstwa.

Rozmaitości.

Zabawna rozmowa. Szedł raz Walek mocno zafrasowany.

— A coż to ci się stało Walku? — zapytał Franek. Jesteś tak zafrasowany, jak gdybyś siedm wsi podpalił.

A! — odpowiedział Walek — Jak tu się nie frasować, kiedy mój pan chciał mię dzisiaj trzy razy w twarz uderzyć.

— A zkądżeż wiesz o tem, że cię pan twój chciał aż trzy razy w twarz uderzyć.

— Wiem o tem dobrze, bo mię trzy razy uderzył.

— Dlaczegoż więc mówisz, że chciał cię uderzyć, skoro cię uderzył.

— Gdyby był nie chciał, to nie byłby uderzył!

Niezręczna wymówka. Pewien student otrzymał list od wuja. W liście tym znajdowały się pieniądze, za które student ten miał dla wuja książki jakieś pokupić. Ale studentowi potrzeba było pieniędzy, więc książek nie kupił i pieniędzy nie zwrócił. W kilka tygodni spotyka się z swym wujaszkiem na ulicy. Poczerwieniał ogromnie i nie wiedział jak się tłumaczyć, chociaż go wuj o pieniądze i książki jeszcze nie pytał.

— Ach przepraszam kochanego wuja — zawołał — że nie przysłałem dotychczas książek. Ale list, w którym znajdowały się pieniądze zginął na poczcie, więc nie mogłem kupić.

— A zkądże wiesz o pieniądzach i książkach tych — zapytał wuj — skoro list, jak powiadasz zginął na poczcie?

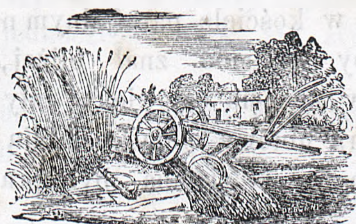
Zmięszał się nieborak mocno, bo zamiast wymówki sam siebie oskarżył.

Swieca cukrowa. Przed czterdziestu laty był namiestnikiem w Warszawie brat cara, Wielki Książę Konstanty. Jak jego bracia i wszyscy zresztą Moskale, tak samo i Wielki Książę Konstanty był srogi i dziki barbarzyńca i okropnie nienawidził Polaków. Każdego Polaka byłby najchętniej utopił w łyżce wody. Otóż ten Moskal zaprosił raz kilku Polaków na ucztę, a chcąc i tu im dokuczyć, kazał na sam koniec uczty przynieść każdemu do zjedzenia jednę świecę łojową. Dla siebie zaś kazał zrobić świecę z cukru, która tak samo wyglądała, jakby łojowa. Przed ucztą cieszył się mocno Wielki Książę, że dokuczy Polakom. Ale dobrze mówi stare przysłowie: Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada. Lokaj pomylił się i zamiast świecy cukrowej dał Księciu łojową. Książę będąc pewnym że ma przed sobą cukier, a przytem chcąc Polaków zachęcić do jedzenia świec łojowych, ukąsił prędko kawał swej świecy i połknął. Natychmiast nie dobrze mu się zrobiło i dostał wymiotów, bo łój był tak brzydki, że nawet moskiewskiemu żołądkowi zaszkodził.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Józef Laskownicki. — Z drukarni E. Winiarza

Tom I. 1. Maja 1870. Nr. 13.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Wilk w baraniej skórze.

Powiastka

Jana Kantego Gregorowicza.

We wsi Swiątniki pod Sandomierzem, darowanej jeszcze włościanom przez bogobojną królowę Jadwigę, co to przez małżeństwo z księciem Litewskim Władysławem Jagiełłą przyłączyła do Polski całą Litwę pogańską i oświeciła ją chrześcjańską wiarą, mieszkał przed laty Mateusz Ziemba, jeden z najzamożniejszych gospodarzy. Doszedł on do mienia swego pracą, zabiegiem i oszczędnością, ale nie zawsze używał do tego uczciwych środków i powiadano, że na każdym zebranym przez niego groszu błyszczy łza ludzka co go zniszczy i strawi.

Na mowę tę Ziemba potrząsał tylko głową i uśmiechał się, ale nie brał jej do serca i zawsze odpowiadał:

— Zazdrość ludzka i nic więcej. Cóż to, czy ja to kradnę, czy podstępnie co komu zabieram?

Prawda, że Ziemba pod tym względem był bez zarzutu, o kradzież albo podstęp nie można go było oskarzać, ale lubił niezmiernie pożyczać na procenta i wtenczas darł z biednego bez miłosierdzia. Był jednak niezmiernie nabożny, chodził zawsze ze schyloną głową, odmawiał pacierze, bił się

w piersi, przed swiętemi figurami przyklękał, a żadnego nie ominął swięta, żeby w kościele parafjalnym nie wysłuchał całego nabożeństwa. Ktoby go nie znał bliżej, sądziłby że to najmiłosierniejszy w świecie człowiek, cały przejęty miłością ludzi i dla ich dobra gotowy oddać ostatnią z siebie koszulę. Tak jednak nie było, i Ziemba był prawdziwym wilkiem w baraniej skórze.

Jednego dnia w żniwa, kiedy cała prawie wieś znajdowała się w polu u roboty, Mateusz pozostał we wsi i pozamykawszy drzwi na zasuwy, wszedł do komory.

Przez całą jej długość na żerdziach znajdowały się pozawieszane różne ubrania włościańskie, kapoty, kożuchy, sukmany, w kącie stały siekiery a w pudle drewnianem mieściły się sznury korali różnej wielkości. Były to wszystko zastawy za udzieloną pożyczkę, z których większa część już miała być nie wykupioną. Ziemba przejrzawszy wszystko szepnął:

— Trzeba to będzie posprzedawać, bo tylko ze stratą moją niszczeje.

Potem zasunął okienko, rozniecił ogień i zapaliwszy małą groszową świeczkę, zepchnął wielką beczkę w rogu stojącą, odsunął duży płaski kamień pod nią znajdujący się, potem wyjął kilka cegieł ziemią okrytych i cichaczem jak kot odemknął drewnianą skrzynię. Pełna była srebrnych rubli. Ziemba dotknął się ich kościstemi palcami i na dźwięk, jaki wydały, zadrżał i obejrzał się jakby bał się podpatrzenia.

— Ślicznie brzęczą; -- szepnął do siebie — gdyby dowiedziano się, gdzie je mam w schowaniu...

I znowu obejrzał się podejrzliwie a oczy zaiskrzyły mu się jak u gadziny.

— Wszystko to moja praca, mój zabieg — mówił do siebie — Ludzie zazdroszczą, nazywają mnie derusem, ale każdemu wolna wola brać albo nie brać. Ja nikogo nie przymuszam, czasem wymawiam się, a że pragnę korzyści, to któż ją odrzuca? Dał mi Bóg jednego syna, dla niego to wszystko, a gdy dorośnie, kupię mu folwarek i zostanie Ziembickim. Ludzie będą go wielmożnować, bo przed bogaczem każdy chyli głowę.

W tej chwili na podwórzu ozwały się głosy jakieś nawołujące go po imieniu i jednocześnie dało się słyszeć silne w drzwi kołatanie.

— Co to znaczy? — szepnął z wielką trwogą. — Czybym drzwi wchodowych nie zamknął?

Przelękniony, ustawił napowrót beczkę, odsunął zasuwę z okna, zgasił świecę i wszedł do izby. Na podwórzu przed oknem zobaczył jednego ze swoich sąsiadów i biedną wdowę komornicę.

— Pewno przyszli z prośbą o pożyczkę, pomyślał sobie w duszy i zapytał głośno:

— A kto tam taki?

— Otwórzcie Mateuszu — odezwał się sąsiad Józef — takeście się zamknęli jak w jakiej fortecy, a zapomnieliście drzwi od drogi zasunąć.

— Bodaj ci się język zasunął! — szepnął Mateusz i wpuścił nowo przybyłych.

— Przyszłam tu do was z wielką prośbą, — odezwała się pierwsza Walkowa, biedna wdowa, żyjąca tylko z wyrobku

— Mówcie, mówcie — odrzekł Mateusz z takim układem łagodnym, jakby anioł przez jego usta przemawiał — wiecie dobrze, jak ja dla waszego wdowieństwa jestem litościwy.

Walkowa westchnęła, bo znała twardość jego serca i odrzekła:

— Już to co prawda, litości dla mnie nie macie do zbytku, ale niech tam prawda przy was będzie.

— A cóż to, czy ja kiedy fałszywie mówię?

— Różnie się zdarza mój Mateu...

Walkowa nie domówiła, bo ją trącił Józef, ale tak niezręcznie, że Mateusz dostrzegł to i uśmiechając się rzekł:

— Pewno macie ochotę wyzyskać co ze mnie, bo się przestrzegacie w mowie, ale to na nic się nie przyda. Z biednego trudno zysk wyciągnąć.

— Ej! co wy też gadacie — odezwała się Walkowa i choć ją Józef trącał a nawet ciągnął za spodnicę, ona mówiła dalej — przecież ludzie wiedzą dobrze, że u was więcej rubli srebrnych jak u mnie włosów na głowie. Nie zazdroszczę wam tego, niech Bóg broni, ale dla biednego powinniście mieć wyrozumienie.

Mateuszowi stanęły oczy kołem, pobladł, potem zczerwieniał i ściskając pięście zawołał z największą gwałtownością:

— Kto wam mówił o rublach moich? kto je widział? Że nie pożyczam, że mam grosz na wszystko co potrzeba, to zaraz mnie ogłaszacie bogaczem? Ruszajcie sobie z mojej chudoby, bo jak wezmę kija...

— Hola! hola! — przerwał Józef — z kijem nie wojujcie bo ma dwa końce...

— A ty obszarpańcze! — zawoła Mateusz tracąc wszelką przytomność i chwytając Józefa za gardło — ty mnie tu będziesz groził, w moim własnym domu...

Józef człowiek silny, strząsnął się oderwał rękę od szyi i popchnąwszy Ziembę tak mocno, że ten aż padł na łóżko, zawołał:

— Wara ci derusie od mojego gardła! Czyś oszalał, czy co? Czy masz czy nie masz pieniądze, to mi wszystko jedno, ale krzywdzić się nie pozwolę!

— Czegóż więc odemnie chcecie? — zapytał Mateusz i pomiarkowawszy, że takiem uniesieniem prawie wydał się z pieniądzmi, nagle wyjaśnił twarz i dodał z najwi kszą łagodnością: Czy to się godzi Józefie tak starego poniewierać? Przecież dla wiekowych ludzi, zawsze każdy ma poszanowanie...

— Przebaczcie — przerwał Józef a Walkowa dodała: — to prawda starszych wszędzie szanują, mego nieboszczyka tatusia to pan z Bilczy zawsze sadzał przy sobie i winem częstował.

— A widzicie, a wy jakeście się ze mną obeszli?

— Toż was proszę o przebaczenie — szepnął zawstydzony Józef, a Walkowa mówiła dalej:

— Kiedy raz mego tatusia kowal w Bilczy popchnął, że aż tatuś zadarli nogi do góry, to pan z Bilczy powiedział mu, że na starszego podnosi rękę tylko ostatni nicpoń, hultaj, łotr i szubienicznik.

— Tak, tak — potwierdził Mateusz uszczęśliwiony niespodziewaną obroną — widzicie Józefie co to starszy znaczy?

— No ja wiem — mruknął Józef - przecież nie jestem maluśkie dziecko, ale wy Walkowa zamiast mnie bronić, to bijecie na mnie bez pamięci. Przecież przyszedłem w waszej sprawie...

— To trudno, za posługę wam Bóg zapłać, a co prawda to prawda.

— Kiedy ja już taki ostatni, to sami sobie wojujcie językiem a ja zejdę wam z oczu.

— A bójcie się Boga — zawołała przestraszona Walkowa chwytając Józefa za połę — nie odstępujcie mnie, bo z Mateuszem nie dam sobie rady.

— A cóż to we mnie tak strasznego? — zapytał Mateusz, czy to mam na sobie sierść jak zwierzę jakie?

— Ej! sierści tam nie macie — odrzekła Walkowa dobrodusznie wzdychając — i Boga chwalić wyglądacie jak człowiek, ale ludzie powiadają, że jesteście wilkiem w baraniej skórze.

Mateusz oniemiał a Józef spluwając zawołał:

— A toście sobie naprawili sprawę, i tak wyszykowaliście interes, że już lepiej nie trzeba. Język u was to jak pytel w młynie.

— Ha! jaki mam to trudno, ale i wam nienajgorzej lata.

Józef machnął ręką a Mateusz nachylając z pokorą głowę rzekł z czułością:

— Chrystus Pan więcej cierpiał a odpuścił swoim prześladowcom, to i ja ludziom odpuszczam różne na mnie wymyślone szkalunki.

— Oj! prawda, prawda, — ze wzdychaniem odezwała się Walkowa — U was mowa jakby u ojca duchownego tylko wam z oczów źle patrzy.

— I czegóż chcecie odemnie, że mi tak ciągle przypochlebiacie się? — zapytał Mateusz z szyderstwem.

— A to przyszłam do was po dwoistym interesie...

— Oj! — mruknął Mateusz.

— Żebyście mi użyczyli miarki żyta na odrobek w żniwa, i żebyście mi sukmankę wydali z zastawu dla Połusi. Na św. Annę wypada odpust w Obrazowie, radabym też żeby dziewucha schludnie między ludźmi wyglądała.

— Tylko tyle chcecie odemnie? — zapytał Mateusz i aż mu się zatrzęsły wargi z rozgniewania.

— Tylko tyle. Dziś ostatni bochenek chleba napoczęłam, a sukmankę zaraz wam po odpuście odniosę.

— To sobie idźcie z Bogiem jakeście przyszli. Żyta nie mam, więc nie dam, a sukmanki także nie wydam, bo nie chcę żeby wasza Połusia przyuczała się zalotności. To tylko obraza Boska, do kościoła idzie się dla modlitwy nie dla przystroju.

— I ja to samo mówiłam, ale z dziewuchą cóż poradzi?

— Jeżeli wam idzie o pewność — odezwał się Józef, to ja poręczę, że wam sukmankę Walkowa odniesie.

— To lepiej zapłaćcie, co wypada.

— Kiedy teraz nie jestem przy groszu...

— To możecie dać zastaw. Wasza kobieta ma piękne korale, widziałem je.

— A cóż to, czy mego poręczenia za nic ważycie? — zapytał Józef. Mateusz pokiwał głową a Walkowa widząc że milczy, rzekła:

— Ej! poręczeniem waszym Mateusz nie gardzą, tylko ich ciągnie ochota do korali waszej kobiety.

— A was do mego żyta! — wrzasnął Mateusz — Idźcie sobie z Bogiem, bo ja nie czasowy.

Walkowa jeszcze coś dowodziła, Józef prosił, ale Mateusz zatkał uszy i poszedł do stodoły.

Zaledwie jednak Józef z Walkową odeszli, drzwi znowu skrzypnęły i weszło na podwórze dwóch włościan. Był to Jan z Maciejem także sąsiedzi Mateusza.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — odezwali się razem.

— Na wieki wieków amen! — z pokorą odrzekł Mateusz — a cóż to was prowadzi do mnie kochani sąsiedzi?

— Najprzód dajcie kieliszka — odezwał się Jan wyjmując flaszkę z wódką z kieszeni. Mateusz przełknął i błysnął spojrzeniem na taką smaczną łakotkę, a gdy zobaczył że Maciej kładzie na stole kiełbasę i kawał chleba, aż się uśmiechnął i poprawił pasa. Nad częstunkiem nie długo się zabawiano, Mateusz popijał i zajadał choć nie bardzo był głodny, że aż mu się uszy trzęsły. Kiedy się nieskąpo posilił, zapytał wreszcie swych gości, w jakim przyszli do niego interesie?

— Z frasunku, — odrzekł Jan — nie mamy chleba ani pieniędzy na podatek więc chcemy was prosić, abyście nas zapomogli a z nowego oddamy.

— Ja biedny jestem, ale dla miłości Pana Boga, dla sąsiedzkiej uczynności na co stać mnie będzie to się wzmogę i użyczę. Wieleż wam tego potrzeba?

— Po korcyku żyta i po rublu na podatek — odrzekli, a Mateusz pokiwał głową i zobaczywszy jeszcze wódkę we flaszce odrzekł:

— Za wiele to na mnie biedaka, i choć mam żyto ale chciałem za nie kupić krowę. Mam także dwa ruble ale to na buty dla chłopca. Jeżeli wam pożyczę, to nie będę miał mleka a na buty zapożyczę się u szynkarza, ale on bez prowizyi nie daje.

— To i my zapłacimy prowizyę, tylko miejcie Boga w sercu.

— Mam Boga w sercu moi kochani sąsiedzi i dla tego za korczyk żyta oddacie mi z nowego tylko pięć ćwiartek, a od rubla dacie mi piątkę na tydzień prowizyi.

— Choć to ciężko, ale niech i tak będzie, byle dziś zaraz.

— Tego nie mogę wam przyrzec. Muszę pomiarkować dobrze wszystko wyrachować...

— To już wam dam — odezwał się Jan — pół kopy główek kapusty...

— Lepiej całą bo to składniej.

— Niechże będzie cała kopa.

— A wy Macieju dacie mi kitek lnu, parę mendelków, bo wam się udał na dziwowisko.

— Dam mendel — odrzekł Maciej z westchnieniem

— I gąskę — dołożył Mateusz — macie ich dwadzieścia, to co wam po tylu szkodnikach?

— Niechże będzie i gąska.

— Ale sam sobie wybiorę.

— A wybierzcie sobie jaką się wam podoba, wszystkie one jednakie.

— Oj! nie mój kochany sąsiedzie. Siodłate wszystkie cięższe, miałem je w ręku. Maciej miał ochotę złajać dobrze,

chciwca za ten przegląd swojej pracy, ale był rozważniejszy niż Walkowa, więc tylko westchnął i rzekł:

— Przynieśliśmy worki z sobą, to może byście namierzyli.

— Tak nagle... żony nie ma w domu.

— Czy jeszcze chcecie jakiej przykładki na prowizyę? zapytał Maciej niecierpliwie.

— Na prowizyę? Niech Bóg broni — odrzekł Mateusz podnosząc ramiona — ale... i podrapał się w głowę.

— Więc cóż jeszcze chcecie z nas wyciągnąć?

— Wy Macieju zawsze macie swoje żarty — odrzekł z wesołością Mateusz — ale żebyście poznali moją dla siebie życzliwość, więc dacie mi jeszcze po dwie ćwierci ziemniaków, a już więcej nie rzeknę wam słowa.

— Niechże będzie jak chcecie, tylko więcej nie bałamućcie.

— Więc pokażcie fanty.

— Jakie fanty?

— Kożuchy, korale albo co innego.

— Cóż to? Czy my nie gospodarze, czy co? Nie pierwszy raz bierzemy od was zapomogę, a nie mieliście z nami nigdy najmniejszego zmartwienia i wierzyliście nam bez fantów.

— Tak było, ale jak z Fabianem chodziliśmy aż do wójta, tak wyprzysiągłem się bez fantu pożyczać. Ja bym rad dogodność wam zrobić .. ale... — Mateusz przełknął a Jan spytał porywczo:

— Więc co jeszcze chcecie z nas skorzystać, mówcie bez ogródki.

— Wy Janie to w gorącej wodzie kąpany. Najświętsza Panienka patrzy w moje serce, niech mnie sądzi czy ludzi wyzyskuję.

— Dobrze to wszystko, ale czego się jeszcze domagacie od nas? — zapytał Jan ledwo hamując oburzenie.

— Fraszki moi sąsiedzi, fraszki — odrzekł pokornie Mateusz i wzdychając nabożnie mówił dalej: — Znacie moje nabożeństwo do Naj. Panny Częstochowskiej i do mego patrona św. Mateusza; otóż ślubowałem święcie na ołtarz; dacie mi więc po krążku wosku i po kwarcie miodu, bo u was to się zmarnuje...

— A miód wam na co? przerwali włościanie, ale Mateusz udał że zapytania tego nie dosłyszał i mówił dalej przewracając oczy niby z wielkiego nabożeństwa:

— Niechże ta królowa nasza dla swojej większej chwały ma ozdobę nową w ołtarzu: niechże święty Patron mój, męczennik, rozlewa światło wiary i oświeca nasze zatwardziałe serca, za Twojem wstawieniem się Matko Boża, którą czczę ustami i sercem, mówiąc z pokorą: Zdrowaś Maryja...

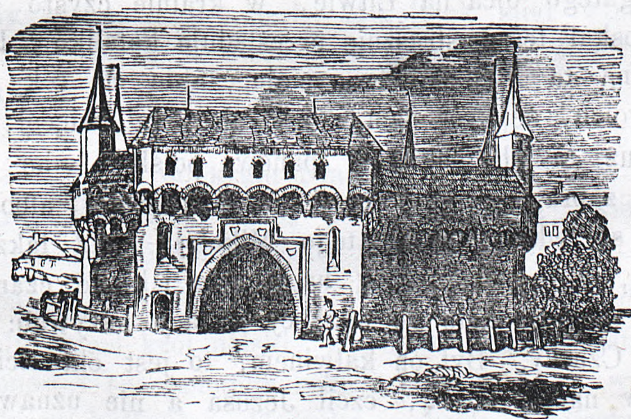
I przy tych słowach Mateusz zdjął czapkę i nachylony odmawiał półszeptem pacierz. (Dokończenie nastąpi.)

KRAKOWIAK.

O Floryańskiej bramie.

Słynie Kraków słynie, jak Polska szeroka,
Bo też pełen skarbów dla serca i oka;
Dla oka tak miły, dla serca tak drogi,
Żebym z czcią całował stare jego progi.

U progu tej świętej pamiątek skarbnicy
Floryańska brama, co ma kształt wieżycy:
Posępna, ponura snać marzy o latach,
Gdy u wrót jej stawał nieraz król w szkarłatach.



Przed laty bywało, gdy z dzielnej wyprawy
Wśród tłumów natłoku — z rozgłosem swej sławy,
Z hetmanem na czele polska młódź wracała,
Floryańska brama pierwsza ją witała.

Szumi wiatr w około, o mury się łamie,
Tak wieki mijają przy Floryańskiej bramie!
Przy Floryańskiej bramie wieki przeleciały,
Możeż do niej jeszcze wrócą czasy chwały.

Franek z nad Lipy.

Mikołaj Radziwiłł

pobożny pan polski.

We wsi Zapłocie kilku gazdów jest tak ciekawych, że schodzą się co dzień wieczorami raz do jednego, drugi raz do drugiego, i tam po robocie czytają sobie różne książki i gazety, a na końcu rozmawiają sobie o tem, co czytali. A jak przyjdzie święto jakie, to po nabożeństwie czytają sobie Dzwonek i inne książki ciekawe, jakie są w szkole wiejskiej. Jest tam w ich szkole dużo różnych książek, zamkniętych w osobnej szafie, od której ma klucz ksiądz sam. Otóż jest tam taka stara książka, która ma napis taki: „Pielgrzymka do świętej Ziemi, którą odbył Mikołaj Radziwiłł i opisał ją sam."

Tę książkę starą i ciekawą czytał już niejeden, czytali ją i ci gazdowie, pamiętali sobie to wszystko, co tam stoi drukowane, ale jednej rzeczy nie wiedzieli dobrze, kto to był ten Mikołaj Radziwiłł, który się podpisał na tej książce? Rada w radę i poszli z książką do księdza. Ksiądz tak im opowiadał: Jak żył ten pan polski to już 300 lat okładem. Miał on bardzo bogatego ojca na Litwie, w krainie czysto polskiej, gdzieto Moskal teraz strasznie prześladuje katolików Polaków.

Rodzina ta Radziwiłłów miała takie co rok dochody z dóbr swoich, że król sam polski nie miał więcej, a dziś nie ma już takich bogatych panów polskich, bo Moskale zrabowali, zabrali i najgorszym ludziom rozdali, albo za psie pieniądze sprzedali. Ojciec tego Mikołaja miał także takie samo imię, a że miał włosy na głowie i brodę czarną i był czarniawej twarzy, zato go wszyscy Polacy nazywali: Mikołaj Radziwiłł Czarny. Był on kalwinem, to jest chrześcijaninem, wierzył w naukę boską, czcił Jezusa a nie uznawał Ojca św. nad sobą. Żona zaś jego Elżbieta była bardzo dobrą katoliczką i chowała dzieci tak samo. Otóż dał im Bóg tego syna na sam dzień Matki boskiej Anielskiej roku pańskiego 1549, a jak sami uważać teraz możecie, to temu już 300 lat z przyczynkiem dobrym. Był wtedy królem polskim Zygmunt August, ostatni z rodu Jagiellonów, którzyto króle byli wszyscy ojcami najlepszymi dla Polaków. Otóż raz poszli ojcowie na

zabawę z domu, a był tam i król także. Dziecko samo zostało w lipowej kołysce bo sługi także poszły przypatrzeć się zabawie; wtem dziecko obudziło się, zaczęło krzyczeć, aż król na to nadszedł, wziął je, utulił, uciszył, uspił, a że nie było ni żywej duszy przy niem, nazwał je sierotką, i od tego czasu nazwano w całej Polsce tego Mikołajka Sierotką. I my go też dziś jeszcze wspominamy jako Mikołaja Radziwiłła Sierotkę! Matka uczyła go sama pacierza i katechizmu tak, że stary ojciec ani wiedział o tem. Ojciec myślał, że syn jego zostanie także kalwinem, ale matka wyuczyła syna na dobrego katolika.

— A czy on niebył nigdzie w szkołach? zapytali gazdowie.

— Właśnie że był! mówił ksiądz, i to w Lipsku, gdzie to jak wiecie, dawny cesarz Francuzów Napoleon I stoczył straszną bitwę, która przez 3 dni trwała. Na tej wojnie był tam może i kto z naszej wsi, bo było tam dużo Polaków. Wtej szkole uczyli Niemcy; ale Mikołajek Sierotka miał dobrze w pamięci i sercu nauki od matki, i nie dał się przerobić ani na kusego Niemca ani przystał na inną wiarę, jeno w duszy pozostał dobrym Polakiem i katolikiem.

Gdy ojciec jego umarł, Mikołajek miał wtedy 18 lat dopiero, a był już na swoje lata młode tyle mądry, stateczny i pobożny, że mu urząd oddał cały majątek. Chciał też poznać świat i ludzi i wyjechał do kraju włoskiego, gdzie siedzi Ojciec św., potem do kraju Francuzów i Niemców, a gdy się przypatrzył dobrze światu, pomyślał sobie: „Nie ma tu co robić, trza wrócić do dom, do matki i na ojcowiznę, bo tam najlepiej“ i powrócił tak samo dobry, stateczny i mądry.

Gdy umarł król polski, Zygmunt August, ostatni z rodu Jagiellonów i bez potomka roku 1572, to Polacy wybrali sobie francuskiego królewicza Henryka za króla, i pojechali po niego aż do Paryża. Pojechał z nim także Mikołaj sierotka. Ale ten francuski królewicz nie bawił u nas, jeno trzy miesiące i uciekł do dom, bo mu brat umarł, a po bracie spadała na niego ojcowizna. Na to odezwali się gazdowie tak:

— Lepiej każdemu na swojem choć małem, niż na cudzem choć wielkie!

— To prawda! mówił ksiądz — dlatego też i Polacy nie bardzo stali o takiego króla, który uciekł z Krakowa, niedługo obrali sobie Batorego, bogatego pana aż z Węgier na króla i trafili bardzo dobrze. Był ten Batory królem co się zowie doskonałym, dbał o prawa każdego, dbał o szkoły, dbał, o dochody, dbał o wojsko, bali się go Turcy, Tatarzy, Niemcy i sami Moskale. Chciał on Moskalom dać nauczkę, wydał im wojnę, zbił porządnie i zabrał im miasta i kraje polskie, które oni niesprawiedliwie i z wielką krzywdą najechali i sobie przywłaszczyli. Na tej wojnie z Moskalami był i Mikołaj Sierotka i bił Moskala, jakto mówią, młotem kowala, bił tych niedowiarków, co się zawsze rzucali na Polaków i katolików i robili im tyle krzywdy, żeby tego nikt nie potrafił zrachować. Ale nie miał on dobrego zdrowia, dlatego zrobił sobie ślub taki, że pójdzie aż do Jerozolimy, gdzie jest Grób Boży i wszystkie pamiątki męki Pana Jezusa, aby tam zrobić ofiarę na chwałę Boga i uprosić sobie zdrowie i długie życie. Dwa razy wybrał się na tę pielgrzymkę i dwa razy wracał się z drogi, bo mu zdrowie nie służyło.

— No! zapytali gazdowie, to może i nie był tam?

— Był! — mówił ksiądz! Bo co kto Bogu przyrzeka dla swego zbawienia, powinien dopełnić bez odwłoczenia. Otoż taką mocną wolę miał Mikolaj Sierotka. Na trzeci raz wziął sobie na drogę księdza i 12 sług, nabrał w sakwy dukatów, szedł i jechał aż stanął w Rzymie przed Ojcem św., który go pobłogosławił na drogę. Ztąd wsiadł na okręt i morzem dojechał na brzegi ziemi świętej, a dalej szedł drogami różnemi aż do samego Grobu Bożego w Jerozolimie. Tu sprawił złoty kielich i złotą patynę, dał zakonnikom, co pilnują grobu Bożego, co rok po 100 dukatów na msze świętą a zaś aby się lampa dniem i nocą świeciła w Grobie Bożym, ofiarował na to 25 dukatów co rok. W Betleem, gdzie się narodził Pan Jezus, dał do kościoła znowu złoty kielich i patynę, zeszedł wszystkie cudowne miejsca, nabrał dużo relikwii św. i znowu na okręcie powrócił do Rzymu, a ztąd do Krakowa i do Częstochowy, gdzie zostawił na pamiątkę swój kij podróżny t. j. laskę pielgrzymską, ładnie utoczoną i z gałkami w środku

i w górze. Cała ta podróż trwała dwa lata całe. Co sam na własne oczy widział, to spisał i dał wydrukować książkę na pamiątkę i naukę Polakom, aby wiedzieli, jakie cudowne miejsca są w świętej ziemi, gdzie się narodził P. Jezus, gdzie się wychował, żył, nauczał, cuda robił a potem był umęczony dla zbawienia grzesznych ludzi. T. książka więc jego zowie się: Pielgrzymką t. j. pobożną podróżą do cudownych miejsc w świętej ziemi i ta to książka znajduje się w waszej bibliotece szkolnej. Ma ta książka przeszło 300 lat i była już nieraz przedrukowaną. A ktoby sobie życzył ją mieć może sobie sam kupić i czytać.

— A czy też wyzdrowiał potem i żył jeszcze długo? — pytali gazdowie.

— Kto o co Boga prosi i zasłuży sobie, mówił ksiądz, ten pewnie będzie miał. Po tej podróży był Mikołaj sierotka zdrów jak dąb, ożenił się z pobożną panią Elżbietą Wiśniowiecką, której ojciec był na Podolu bardzo bogatym panem i zasłużonym Polakiem. Ożeniwszy się, nie popróżnował ani dnia, a majątku swego nie sterał ale na dobre użył. Mieszkał on w Nieświeżu na Litwie, gdzie było gniazdo całej jego ojcowizny. Cała ta ojcowizna miała setki miast, miasteczek i drugie tyle wsi, i nazywała się ordynacyą Radziwiłłowską dlatego, że nie wolno było ją podzielić na części, a zawsze najstarszy syn dostawał ją całusieńką i spłacał młodszych braci i siostry. Dziś nie ma już tego, bo Moskale to pokasowali, porozdzierali, posprzedawali najgorszym jenerałom albo urzędnikom, a dziedziców wytracili albo na Sybir wysłali.

Mikołaj Radziwiłł wybudował kościół w Nieświeżu, wyrobił sobia u biskupa probostwo i podarował na to dwie wsie i sto morgów dobrego pola. Oprócz kościoła parafialnego fundował kościół z mieszkaniami dla księży Jezuitów. Ten kościół nazywał się kościołem Bożego Ciała. Przy budowie tego kościoła kopał sam Mikołaj Sierotka fundamenta, nosił rękami cegły i kamienie, podawał murarzom wapno, a żona jego i bracia pomagali mu także. Oprócz tego fundował dwa klasztory, a więc w samym Nieświeżu fundował cztery kościoły naraz. Po wsiach gdzie byli chłopi biedni fundował znowu pięć kościołów parafialnych.

A są to tylko ważniejsze jego ofiary. Jak się trafił jaki chłopak z dobrą głową do nauki, to dostawał od tego pana pieniądze na naukę tak długo, aż się wyuczył na co dobrego. Jak się znowu trafiła jaka biedna ale pobożna dziewka, to dostawała wiano od niego i szła za mąż. Gdzie były drogi kiep-

skie, to zwoływał ubogich w czasie przednowku, drogi robił, kazał strawy ciepłe gotować pod niebem i ratował krocie głodnych od śmierci i głodu. Gdzie było dużo wsi blisko, tam fundował miasta, zoprowadzał targi dla chłopów, aby miał każdy wygodę na sprzedaż lub kupno. A to wszystko robił na to, aby ubodzy mieli zarobek i nie byli pijakami, złodziejami, próżniakami i dziadami. Po tamte czasy napadali Tatarzy kraje polskie i nieraz tysiące Polaków brali w niewolę i męczyli w domu. Nie raz zabrali ojca od dzieci, albo ojcu ostatnie dziecię.— Na wykupno takich biedaków, składali się wszyscy, a do zbierania jałmużny na wykupienie takich niewolników byli osobni zakonnicy, którzy chodzili w kraju od domu do domu i zbierali, co kto dał, a za to wykupywali z niewoli tatarskiej niejedną duszę katolicką. Otóż i Mikołaj Sierotka wykupił niejednego biedaka z takiej niewoli, a kosztowało to nie mało. Po kościołach zaprowadzał z księżami bractwa miłosierne dla poratunku biednych staruszków, wielkich kalek, a na każdą niedzielę kazał napiec chleba, naładować pełne wozy, pod kościoły zawoził i sam ubogim rozdawał, dodając do chleba i pieniądze. Kilka razy do roku sprawiał obiady dla ubogich, którzy się całemi gromadami schodzili na nie. Książę sam usługiwał przy jedzeniu, a po obiedzie rozdawał chleb i pieniądze. Po różnych miejscach fundował szpitale, gdzie babki i dziadki mieli spokojny przytułek do śmierci, a na pogrzeb dostawali trumnę i śmiertelne ubranie. W każdy Wielki czwartek wybierał 12 najstarszych i pobożnych dziadków, mył im nogi, całował, dawał każdemu po 3 dukaty potem sprawiał Wieczerzę Pańską, gdzie sam razem z żoną i dziećmi służył dziadkom do stołu. Robił to na pamiątkę, bo Pan Jezus uczniom swoim nogi umywał w ten dzień.

Książę Radziwiłł żył 77 lat, przeżył aż trzech królów polskich, to jest: Zygmunta Augusta i Henryka, co był Francuzem i zwany Walezym, potem Batorego, który umarł w roku 1586 w sam dzień św. Łucji, a jeszcze mało co nie przeżył i czwartego króla Zygmunta III., bo chodziło tylko o 6 lat dłuższego życia, a byłby i tego czwartego króla pochował. A dał mu widać Bóg takie długie lata za jego pobożne życie i za jego dobre uczynki. Umarł on roku 1626 na drugi dzień po św. Macieju w swojej ojcowiznie w Nieświeżu i tam pochowany. Dziś jego grobu nie szanują Moskale.

Za życia nie lubił słuchać, jak go kto nazywał księciem choć był takim, ale mówił tak:

— Ja tylko robak u Boga taki, jak każdy człowiek! Ja bogaty na to, abym to na dobre obrócił za życia a po śmierci otrzymał zbawienie i dobre wspomnienie!

Przed śmiercią chorował dość długo, jak każdy na stare lata utyka i często zapada, ale w chorobie był spokojny, nie lękał się śmierci ani sądu bożego, bo żył zawsze pobożnie, modlił się i czekał wezwania przed sąd Boga. Gdy miał już umierać zwołał swoje dzieci, a było ich 6 synów i 3 córki, pobłogosławił ich, przykazał żyć w zgodzie, szanować i słuchać matkę, trzymać się zawsze Boga, nie przywiązywać się do marnego świata, a gdy dzieci strasznie płakały, powiedział im:

— Za mnie macie Boga za ojca, Tego kochajcie a będzie wam zawsze i wszędzie i na wieki dobrze! Ale was proszę moje dzieci, abyście mi sprawiły prosty pogrzeb, nie jako panu ale jak grzesznemu człowiekowi, abym leżał w prostej trumnie, a na cmentarz aby trumnę nieśli dziadki bez grania, strzelania i parady pańskiej. A w kościele na mszy św. aby stała moja trumna na prostych marach, jak stoi trumna każdego ubogiego. Pamiętajcie byście wypełnili moją prośbę i pochowali mię razem z ludem moim na jednym cmentarzu! I umarł po tej mowie.

Takimto dobrym i pobożnym panem polskim był na Litwie Mikołaj Radziwiłł, zwany Sierotką, a co on i jego potomki zrobili dobrego, to Moskale zatracili.

A wy, co to czytacie, módlcie się za braci swoich Litwinów, katowanych za ojcowiznę i św. wiarę naszą i pamiętajcie sobie, że Moskal był, jest i będzie katem dla każdego Polaka katolika, bo taka to już jego dzika, mongolska natura.

Ksiądz Wojciech z Zaleszan.

Bajki ludowe.

I. Wybieg zajęczy.

Był u gospodarza wół, nazywał się Wojciech. Ten pewnego razu uzuchwaliwszy się, wyłamał się z jarzma i popędził przez pola, łąki, lasy — światami.

Bujał sobie swobodnie kędy chciał, nabrał ciała, wygładził się, zaokrąglił i aż sierść na nim połyskiwała.

Pewnego dnia zdybuje się z nim wilk, a zwał się Mikołaj. Rzecze wilk do wołu:

— Panie Wojciechu, skóra, która na was, nie wasza; ale moja.

— Żartujecie chyba, panie Mikołaju! tę skórę mam na sobie od urodzenia. Tak odrzekł wół, a wilk prawi:

— Gadacie, a skóra moja, i zdejmę ją z was.

— Nie stanie się to bez sądu, na świecie już nie ma dzisiaj gwałtu, żyjemy pod prawem. Odparł wół.

— Więc chodźmy się sądzić! — rzecze wilk.

Idą, idą i idą, aż się zdybali z liszką; tej było Maryanna. Wilk woła:

— Panno Maryanno! panno Maryanno! prosimy.

Zbliżyli się do siebie.

— Czem mogę służyć? — zapytała liszka.

— Oto, rzecze wilk, między mną a panem Wojciechem jest spór a to taki: Jeszcze jego ojcu dałem ładny grosz na tę skórę, która na nim; teraz on mi jej oddać nie chce. Ja nieprawdy nie mówię, co rzekę jest, jakby sto świadków zaprzysięgło.

Wół milczy. Panna Maryanna, rada z niego także jaką kość oblizać, rzecze tak: — Skoro pan Mikołaj twierdzi, że skóra jego, to nie ma żadnej wątpliwości. Oddajcie panie Wojciechu, co nie wasze, i skończył się spór.

— Kazałby mi kto — powie na to wół dość stanowczo, słuchać babskich sądów. Chodźmy dalej.

Idą obaj. Liszka, jak niepyszna, pozostała za nimi. Przydybują zająca i wół odezwie się do niego: Mości Zakrzewski, tak było po ojcu zającowi, między mną a panem Mikołajem jest spór taki a taki, bo panu Mikołajowi potrzeba sporu.

Rozpowiedział wszystko zającowi. Zając się ozwie:

— Mości panowie! świadków nie ma, więc potrzeba przysięgi. Jest tutaj niedaleko trybunalski (sądowy) stół, przed tym złożysz waszmość, panie Mikołaju przysięgę na to, co utrzymujesz. — Idą wszyscy, wół zadumany. Wnet doszli do trybunalskiego stołu.

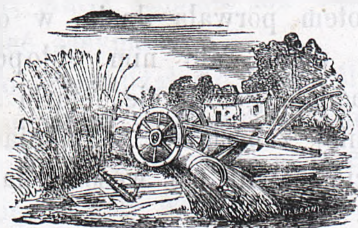
— Przysięgaj waszmość za mną, ozwie się zając do wilka, a wymawiaj za mną każde słowo wyraźnie. — Zając mówił następujące słowa a wilk za nim: Ja... Mikołaj... przysięgam... że ta skóra... co... na... panu... Wojciechu... jest... moja... a... nie... pana... Wojciecha... Tak... niechaj... mnie... słońce... wspomaga... Potemu powie zając: uderz waszmość czołem o stół. Wilk uderzył a żelazo go złapało. Czekaj że teraz panie Mikołaju, aż przyjdzie gajowy i napisze ci kołem wyrok; a ty, panie Wojciechu, nie błąkaj się próżniacząc po puszczach, ale ruszaj do domu, przeproś gospodarza i pracuj poczciwie na chleb, a wilcy nie będą się ciebie upominali o skórę. [Ztąd nauka, że swawola prowadzi do niebezpieczństwa.] *Kazimierz z pod Dobromila.*

Sprostowanie. W N. 12 podpis: Stanisław Krakowczyk zamiast na str. 183 winien być na stronie 186.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Józef Laskownicki. — Z drukarni E. Winiarza

Tom I. 11. Maja 1870. Nr. 14

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Skarb.

Powieść prawdziwa z dawnych czasów.

Zaledwie rok minął od śmierci pana Gniewosza z Dalewic, a już w kamienicy jego w Krakowie wszystko zmieniło się nie do poznania. Mój Boże! któżby przed rokiem był uwierzył, że Jaś Gniewosz, cała ojca nadzieja, tułać się będzie dzisiaj po czeladnej izbie, że dla biednej dzieciny sługa tkliwsze mieć będzie serce, niż matka rodzona.

Ale bo też Marta, piastunka Jasia, to sługa jakiej szukać w świecie. Powiadali, że nieboszczyk pan, kiedy oczy na śmiertelnej pościeli zamykał, kazał Martę do swego łoża przywołać, długo z nią sam na sam rozmawiał, i opiekę nad swojem dzieckiem jej, a nie własnej żonie poruczył.

Na kolanach u Marty Jasiowi było dobrze jak w niebie Ona go pieściła, tuliła, szeptała mu o ojcu. Jaś dobrze ojca pamiętał, ale siedmioletni chłopczyna nie pojmował jeszcze, co to nie mieć ojca. Marta wszystkiem mu była.

Wtem zaszeleściało w sieni, drzwi skrzypły, blask rzęsistego światła i odgłos muzyki wpadł do izby. Weszła pani wystrojona jak do ślubu, — choć to były dopiero jej zaręczyny, — błyszcząca od złota i drogich kamieni, ale dziwnie

zmieniona, smutna. Stanęła przed Martą i dziecięciem swojem, załamała ręce. Potem porwała Jasia w objęcia, gwałtownie przycisnęła go do piersi, ale nim chłopczyna mógł słowo wyrzec do matki, oddała go Marcie, otarła łzy z oczu i wyszła.

Muzyka huczniej zabrzmiała w pokojach i głośno ozwały się wiwaty. Goście bawili się wesoło, jak zwykle w dniu zaręczyn.

Ten i ów przypomniał stare przysłowie:

— U wdowy chleb gotowy...

— Ale nie każdemu zdrowy, ktoś z boku powie...

— U wdowy chleb gotowy, ale wyproszony...

— Jakoś to będzie, zawoła pan młody, pewny siebie, pewny że sobie da radę.

Tymczasem w izbie czeladnej Marta szeptała dziecinie:

— Czy wiesz ty Jasiu, że będziesz miał ojczyma?

— Nie chcę ojczyma, daj mi kluczyk, chcę koniecznie kluczyka, co go nosisz na piersiach.

— Nie dam ci kluczyka, moje dziecko, odpowiedziała Marta, ten kluczyk nie do zabawy. Widzisz ja go chowam i szanuję, aby broń Boże nie zginął. Kiedyś będziesz mi wdzięczny, żem ci go dochowała, ale to jeszcze daleko, bardzo daleko do tego... lat siedemnaście...

— Ale ja chcę koniecznie kluczyka...

— Poczekaj, dam ci co innego. To mówiąc wstała i wyjęła piernik ze skrzynki.

Malec wyciągnął obie ręce do przysmaczka, a zjadłszy łakotkę, zapomniał o kluczyku, którego tak się napierał przed chwilą.

— Moja Marto, rzekł obejmując ją rękami za szyję, co ja ci dam za to, że ty taką dobrą jesteś dla mnie?

— Poczekaj moje dziecko, odpowiedziała: jak urośniesz, i będziesz panem dasz mi spokojny kącik w izbie czeladnej albo mały domek gdzie niedaleko od dworu, abym cię często widzić mogła.

— Wizbie czeladnej? O nie! powiedział chłopczyk, ty będziesz ze mną we dworze mieszkać, w najpiękniejszym pokoju, bo ty mie kochasz najbardziej.

To mówiąc dziecię przytuliło się do Marty i skłoniło główkę na jej piersi; Marta szeptała mu słodkie wyrazy coraz ciszej i ciszej, bo Jaś zasypiał.

Parę dni minęło. Przybliżał się dzień ślubu pani Gniewoszowej. Siedziała samotna w swoim pokoju i dumała. Znać ciężko jej na sercu, bo znowu smutna: ale czemu—któż to wie?

W tem drzwi się otwarły, wszedł ksiądz Augustyanin i przestawił się pani jako nowy przełożony klasztoru św. Katarzyny w Krakowie.

— Cóż to się stało księdzu Jackowi, że tak nagle opuścił ziemskie mieszkanie? pytała pani. Ostatni to był prawdziwy przyjaciel nieboszczyka mego męża, dodała z westchnieniem.

— Tak prędko Bóg go powołał, odpowiedział ksiądz, ale ja tu właśnie z tego powodu przychodzę do waszmości pani, bo wieści chodzą po mieście, że świętej pamięci małżonek waszmości złożył u księdza Jacka jakiś skarb, a my nie wiemy o niczem i klasztor radby się oczyścić z zarzutów.

— O żadnym skarbie nie wiem, odpowiedziała pani. Wszakże nieboszczyk w moich rękach całe swoje mienie zostawił, dlaczegoż by miał skarb komu innemu powierzać, gdyby go miał.

— Tak i my mówimy, miłościwa pani, ale cóż począć z ludzkiemi językami. Mówią ludzie, że świętej pamięci małżonek waszmości otrzymał od arcyksięcia rakuskiego Wilhelma za to, że mu sprzyjał gdy się starał o rękę królówej Jadwigi sprzęt bogaty, pieniądze i klejnoty, i że to wszystko złożył w rękach księdza Jacka; wieści zaś takie bardzo szkodzą dobrej sławie klasztoru.

— Mój księże, powie na to pani, a któż lepiej od was powinien umieć znosić obmowę ludzką?

— Prawda miłościwa pani, ale przecie miałem sobie za powinność zapytać ostatecznie Waszej miłości czy macie do nas jakie żądania?

— Żadnego nie mam żądania, nie wiem o tem wszystkiem, nigdy słowa o tem od nieboszczyka męża nie słyszałam i gotowam to stwierdzić na piśmie.

— Teraz już jestem spokojny, rzecze kapłan. Świętej pamięci ksiądz Jacek, przez cały czas swego przełożeństwa układał sobie, że wystawi obok naszego klasztoru, klasztor dla zakonnic i zbierał na ten cel dary pobożne. Owoż znaleźliśmy w skarbcu kościelnym skrzynię z temi darami i chcemy rozpocząć budowę, a tylko to nas wstrzymuje, ponieważ właśnie o tej skrzyni chodzą wieści, że własnością jest waszą.

— Budujcie klasztor i niech wam Bóg dopomaga, a z obmowy ludzkiej nic sobie nie róbcie; ja pierwsza tym wieściom zaprzeczę.

Odszedł ksiądz, śmiało skrzynię otworzył i rozpoczął fabrykę. W parę lat stanął dom poświęcony na przytułek dla pobożnych niewiast, chcących z życia swego uczynić Bogu ofiarę.

W tymczasie, gdy ów klasztor budowano, wielkie zaszły zmiany w losie rodziny Gniewosza z Dalawic Wdowa po nim wyszła za mąż. Bóg ją obdarzył dziatkami, a wówczas i w czeladnej izbie miejsca dla Jasia nie stało. Kto ma być sierotą, lepiej się nie rodzić. Sierota cięższa niż kamień, sierotą dziurę zatkać wszędzie. Przyszło do tego, że Jaś opuścić musiał dom rodzicielski i pójść w świat za oczy. Szczęściem nie był całkiem opuszczony, bo mu wierna Marta została. Ona mu opiekunką i matką była, na chleb pracowała, aby go wyżywić i do szkół posyłać, a krewniacy ojca dopomogali. Bóg błogosławił usiłowaniom Marty i jej chęciom poczciwym: Jaś chował się pięknie, rósł zdrowo i uczył się dobrze.

Rok za rokiem szybko przemijał. Przyszło do tego, że Jan Gniewosz niepotrzebował już, aby Marta pracowała na niego. Już on na nią i na siebie pracował i wspólną dolę poprawił. O matce jednak własnej nic nie wiedział i ona nie wiedziała o nim. Głuche wieści tylko dochodziły do Krakowa, że jej się nie najlepiej powodzi.

— Ach Jasiu, dałby Bóg, abyś ty jak najprędzej skończył dwadzieścia cztery lat, o Boże daj mi tej chwili doczekać! mawiała często Marta do swego wychowanka.

Na zapytanie Jana, dlaczego tak niecierpliwie tego dnia wygląda uśmiechem tylko tajemniczym odpowiadała i nigdy nie chciała wyjawić prawdy.

Ale dzień ten upragniony nadszedł nareszcie. Wówczas Marta kazała Janowi usiąść przy sobie i w długą wdała się z nim rozmowę. Opowiadała mu o ojcu, o jego zgonie, opowiadała jak ją w ostatniej godzinie przyzwał do siebie, aby jej poruczyć opiekę nad synem i kluczyk od skarbu, co miał całe mienie jedynaka stanowić na wypadek, gdyby matka wstąpiła ponownie w związek małżeński.

Jan słuchał z natężoną uwagą, a Marta zdjęła ze szyi sznurek, na którym od owego czasu kluczyk od tego skarbu nosiła.

— Przykazał mi ojciec, abym ci go nie oddała aż w dniu dzisiejszym. Oto masz; pójdziemy teraz do przełożonego klasztoru św. Katarzyny, tam skrzynia złożona, ja ci ją wskażę, a ty zabierzesz mienie.

Biorąc kluczyk, przypomniał sobie, jak się go w dzieciństwie do zabawy napierał. Rozrzewiony upadł przed Martą na kolana, dziękował, że tak święcie dopełniła woli ojca i cieszył się skarbem nie dla tego, że się teraz bogatszym stanie, ale dla tego, że Marcie będzie mógł resztę życia osłodzić i nagrodzić ją za wszystkie trudy i walki, za jej szlachetne poświęcenie.

Próżna radość! próżna nadzieja! Od owego czasu już trzeciego przełożonego miał klasztor św. Katarzyny. Nikt nie wiedział, co się stało ze skarbem. Ledwie znalazł się jeden sędziwy zakonnik, który sobie przypomniał, że mówiono o tem przed ośmnastu laty, po nagłej śmierci księdza Jacka, ale sama pani Gniewoszowa, zapytywana o to, zaprzeczyła prawdziwości ludzkich podejrzeń i domysłów, i pozwoliła użyć skarbu na budowę klasztoru dla zakonnic.

Marta usłyszawszy to, padła bez zmysłów i ledwie się jej dotrzeźwiono. Jan wyprowadził ją z klasztoru i na cmentarzu przed furtą gmachu wzniesionego za jego mienie, słodkiemi słowy pocieszyć ją usiłował. Wtem postrzegł niewiastę jakąś, staruszkę, w nędznem ubraniu i z wyrazem okropnej boleści na twarzy, która właśnie do furty się zbliżyła, stanęła i wzrok utkwiła. Jan drgnął sam nie wiedząc dla czego, a w tem niewiasta owa wydała krzyk i rzuciła się ku niemu.

— Mój syn!

— Moja matka!

Długa chwila minęła w milczeniu, nim oboje z pierwszego ochłonęli wrażenia.

— O jakże ciężko Bóg ukarał mię za ciebie, moje dziecko, szeptała staruszka; ileż cierpień, ile łez, ile boleści! jaka straszna pokuta! Okropne było całe moje życie od naszego rozłączenia, wreszcie mąż umarł, dzieci wszystkie poumierały, całe mienie stracone. Przyszłam poświęcić Bogu w murach klasztoru resztę życia i pokutować. Synu czy nie przebaczasz?

— Matko, wszystko zapomniane, kiedy cię czuję przy mojem sercu. Ale czy wiesz matko za czyje pieniądze ten klasztor wzniesiony? Przypominasz sobie, jak ci się pytano o skarb po moim ojcu? Marta miała klucz od niego, i tylko ona o nim wiedziała. Dziś przyszliśmy go odebrać, ale niestety już i wieść prawie o skarbie zaginęła.

— Przebóg! więc to była prawda?... i za tęn skarb.....

— Za ten skarb stanął dom przytułku dla ciebie moja biedna matko, a ja dziękuję Bogu, że się tak stało. Widzę w tem palec Opatrzności i z uszanowaniem korzę się przed jej wyrokami.

W tej chwili furta klasztorna otwarła się przed nieszczęśliwą, aby się za nią zamknąć na zawsze. Jan klęczał, matka udzieliła mu ostatnie błogosławieństwo i pożegnała go na całe życie.

Gdy przyszedł do siebie z głębokiego wzruszenia, obejrzał się za Martą i postrzegł ją pochyloną na kamieniu pod murem klasztornym. Przystąpił do niej, ujął za rękę i odskoczył nagle:

— O Boże! ona nie żyje!

Złamany boleścią, bezprzytomny prawie, ukląkł i szeptał:

— Duchu przybranej matki wstępuj do nieba po zasłużony wieniec nagrody i módl się za mną, módl się za nieszczęśliwą w tych murach zamkniętą, co tak wiele wycierpiała i jeszcze cierpi!

Stanisław Krakowczyk.

Pieśń sierotki.

Miałam ojca, miałam matkę,
Drodzy sercu byli,
Poszli, poszli, pustą chatkę,
I mnie zostawili.

Ni pocieszyć mię niebogę,
Ni popieścić komu,
W niepewną się puszczam drogę,
Od domu do domu.

Pójdę czasem do mogiły,
Gdzie matka spoczywa,
Płaczę, wołam co mam siły,
Nikt się nie odzywa.

Tylko wicher smutno szumi,
I trawka się chwieje;
Nikt nie pojmie, niezrozumie,
Co się w sercu dzieje.

Jeden przyjmie i posili,
Drugi mnie odpycha;
A po licu w każdej chwili
Płynie łezka cicha

Ksiądz Boduin

fundator szpitalu Dzieciątka Jezus w Warszawie.

Może już i słyszeliście coś o tym pobożnym księdzu Boduinie? Tutaj również opowiem piękną o nim historję.

Już minęło temu kilka setek lat, jak ów bogobojny i świętobliwy kapłan Boduin żył w Warszawie.

Otóż on będąc wielce litościwym, ubolewał bardzo nad tem, że często biedne dzieci, sieroty, tak zwane podrzutki, umierały z głodu, jeszcze w niemowlęctwie. I począł przemyśliwać nad tem, aby można taki dom, taki szpital zafundować w którym by biedne sieroty, niemowlęta, miały pewne schronienie i przytułek i dalsze wychowanie.

Lecz cóż on biedny zakonnik temu poradzi? jakże tu z niczego co zrobić? Ale widzicie, takiemu człowiekowi, co

chce dla bliźnich dobra i co pożytecznego uczynić, to prawie zawsze Pan Bóg dopomoże; bo jako ojciec miłości, ma upodobanie w sprawach naszych, jeżeli te pochodzą z miłości bliźniego.

Tak też i tego Boduina natchnął Bóg myślą, iżby szedł od domu do domu po kweście, i zbierał pieniądze, na założenie takiego szpitalu.



Ksiądz Boduin.

Pobożny kapłan poszedł od razu za tem natchnieniem, a opowiedziawszy swoją intencję, puścił się zbierać od litościwych datki po Warszawie.

I poszczęściło mu się bardzo, zaraz na początku, myśl ta jego pobożna podobała się wszystkim, i zewsząd poczęły spływać chojne dary, na taki piękny zamysł.

Ależ to wszystko było jeszcze mało, na tę fundację! to też pobożny zakonnik nie przestawał kwesty, ufając iż swój zamysł doprowadzi do skutku.

Tymczasem podobało się Panu Bogu, spróbować go jednego dnia, aby go później nagrodzić hojniej w jego gorliwości.

Chodząc po Warszawie, mijał właśnie wspaniały dom zajezdny, do którego bogacze z okolic zajeżdżali na gospodę, więc też wszedł do niego. A że to było już pod wieczór, więc widział, jak rzęsiste światła błyszczały w oknach. Musi tam być dużo gości myślał, i zamożni i szczęśliwi, bo wesoły, gwar bowiem było słychać na ulicę. Z tem większą też otuchą i nadzieją wstąpił w dom, i podążył nawschody. Gdy wszedł do pokoju, z którego najwięcej słychać było głosów; stanąwszy we drzwiach, z pokorą wyrzekł chrześcijańskie pozdrowienie: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“ a gdy nie odebrał odpowiedzi, zbliżył się z nieśmiałością do stołu, przy którym siedzieli widać jacyś bardzo bogacze, na stole bowiem przed nimi leżała kupa złota; i oświadczył swą prośbę. Aż serce uderzyło poczciwemu mnichowi na ten widok, bo myśli, że jego kwestarska sakwa, nie odejdzie ztąd próżno.

Omylił się srodze, — gdyż to byli zawołani gracze w karty a gracze nie mogą mieć serca dobrego, bo by lekomyślnie nie zgrywali jedni drugich, i nie robili nieszczęśliwemi żon swych i dzieci. — A kto nie pamięta na własne dzieci, jakoż ma mieć staranie o cudzych sierotach?

To też ci gracze zapamiętali, ani się słowem do mnicha na jego prośbę nie odezwali, ani nawet na niego i nie spojrzeli.

Gdy pokorny ksiądz Boduin, zaczął powtarzać swą prośbę, jeden z graczów, któremu właśnie w tej chwili, nie posłużyło szczęście, i przegrał wszystko swe złoto do drugich; nie mając się na nikim zemścić, zerwał się ze stołka, a wybuchnąwszy z przekleństwem na kapłana, że ten się naprzykrza, uderzył go w policzek.

I cóż? myślelibyście, że ten czcigodny mnich rozgniewał się za taką obelgę? lub odstąpił od gorliwości swej kwesty?

Bynajmniej, lecz zniosłszy ból cierpliwie, odezwał się z największą łagodnością w te słowa:

„Policzek dostałem dla siebie, a cóż teraz dostanę dla moich sierot?“

Wtedy gracz zdziwiony taką pokorą i cnotą kapłana, skruszony jego dobrocią, rzucił mu się do nóg, prosząc o przebaczenie; ci inni zaś gracze, widząc to, tak się tem rozczulili, iż aby nagrodzić kapłanowi, zagarnęli wszystko złoto, jakie było przed nimi i oddali cnotliwemu kapłanowi na szpital. I to złoto w istocie największy fundusz przyniosło, i przez to prędzej powstał dobroczynny ten zakład.

Ludka z Myślenic.

Wilk w baraniej skórze.

Powiastka

Jana Kantego Gregorowicza.

(Dokończenie)

Kiedy Mateusz ucichł i skończył pacierz, podnosił na nowo głos i bijąc się w piersi mówił:

— Boże bądź miłościw grzesznej mojej duszy — i póty to robił aż wreszcie obadwa włościanie znudzeni, machnęli rękoma i rzekł Jan:

— Niechże będzie jak chcecie, damy wam i wosku i miodu..

Mateusz udał że nie słyszy, i przeżegnawszy się rzekł:

— Jak się modlę to nie wiem nic co się koło mnie dzieje Coś mówiliście, ale nie wiem co takiego.

Włościanie powtórzyli swoje postanowienie dania wosku i miodu, Mateusz westchnął mówiąc: nie dla mnie to, tylko dla chwały Boskiej.

— Nie bluźnijcie po próżnicy — zawołał Jan tracąc wszelką cierpliwość — wy nie Boga macie w myśli, tylko mamonę. — Pamiętajcie, że to grzech wielki, może ludzi oszukacie, ale nie Boga, bo Bóg słucha mowy, czyta w sercu i patrzy na uczynki,

— Oj! prawda – prawda — przerwał Mateusz nie lubiący mowy podobnej – chodźcie więc do komory bo i wam zapewne pilno i ja nie czasowy.

Kiedy Mateusz uchylił drzwi, zadrżał, bo mu przez okienko mignął jakby cień ludzki i za ścianą słyszeć się dało niby chrupotanie chwastów i badyli gnących się pod nogą przechodnia.

— Ej! to wieprzek — odezwali się włościanie zobaczywszy przestrach malujący się na twarzy Mateusza

— Tak - tak — to wieprzek — powtórzył z radością.

— Kiedy wreszcie z włościanami załatwił się, patrząc za odchodzącymi ścisnął pięść i szepnął do siebie z największą złością:

— Kaznodzieja! mądrala! — a równie do mnie po ratunek przychodzi. — Maciej potulniejszy to da mi jeszcze serek bo widziałem że schnie u niego kilka pod ścianą

— I stało się jak pragnął —

Serek, miód, wosk, i gąska jeszcze tego samego dnia znalazły sie w chałupie Mateusza Z radości też aż zatarł ręce i potem obliczył sobie w myśli, co zarobił na nieoględnych sąsiadach.

Takiemi to sposobami Mateusz dorabiał się mienia. Wyciągał ostatni grosz z biednego człowieka a frymarcząc wszystkiem, nabożeństwem, sumieniem, biciem się w piersi, zaklinaniem, oszukiwał nie Boga ani nawet ludzi, tylko samego siebie. Dla tego też słusznie zwano go wilkiem w baraniej skórze. Jednak ten cień, co go postrzegł w komorze, trzask łamanych badyli i wejście Józefa z Walkową na podwórze, choć był pewny, że drzwi dobrze zamknął, zaniepokoiły go wielce· Myślał dzień i noc, coby to mogło znaczyć, stał się dwa razy jeszcze we wszystkiem ostrożniejszy, zrywał się czasami w nocy zachodząc do komory bo mu się zdawało że ktoś po niej chodzi, ale pomału przekonawszy się, że to tylko przywidzenie uspokoił się wreszcie zupełnie Przyszły żniwa ozime. Włościanie jednego dnia korzystając z pięknej pogody, wysypali się całą gromadą w pole, tak że we wsi pozostały tylko małe dzieci. Mateusz jednak nie poszedł i pozostał w domu sam jeden. Takie osamotnienie wsi przerażało go, obudzając

obawę kradzieży. Kiedy wieczorem już późnym wrócono do domu, z domu Mateusza podniósł się krzyk niezmierny i głośny płacz, dowodzący jakiegoś nadzwyczajnego wypadku. Wprędce też ludzie zbiegli się gromadą i z wielkiem przerażeniem ujrzeli Mateusza leżącego w izbie na ziemi nie dającego żadnych znaków życia. Żona jego załamując ręce głośno lamentowała, syn biegał po izbie jak obłąkany, a sąsiadki dopomagały do ogólnej wrzawy stojąc i dziwiąc się z założonemi rękami. Nadbiegło wreszcie kilku porządniejszych włościan, zaczęli Mateusza oblewać wodą, wycierać, aż wreszcie omdlały otworzył oczy i spojrzawszy po wszytkich, krzyknął wielkim głosem:

— Ludzie ratujcie! ja biedny człowiek, ratujcie! ratujcie! i upadłszy na łóżko zagrzebał się z głową w pościeli. Kiedy go ztamtąd chciano wydobyć, piszczał, rzucał się, bronił i ciągle jedno powtarzał:

— Ludzie ratujcie! ja biedny nędzarz! ratujcie! ratujcie!

— Mateusz wyraźnie oszalał — zaczęli szeptać pomiędzy sobą ludzie i dawszy różne rady i przestrogi, pomału rozeszli się do domów.

Na drugi dopiero dzień z urywanych słów Mateusza dowiedziano się, że korzystając z obecności ludzi we wsi, napadło go trzech nieznajomych mężczyzn, i straszliwemi mękami wymogli na nim, że pokazał, gdzie ma ukryte pieniądze. — Co się dalej działo, nic już nie wiedział, bo omdlał, a kiedy wrócił do przytomności, zdawało mu się, że izba jest pełna rabusiów. — Od tego nieszczęśliwego wypadku Mateusz chodził jak obłąkany. — Do reszty osiwiał, wyłysiał, wychudł jak szkielet i był więcej do mary podobny, jak do człowieka. — Ludzie litując się nad nieszczęśliwym grzesznikiem, pocieszali, krzepili religijnie jak mogli, doradzali upamiętanie, ale wszystko nic nie pomagało. — Na wszystkie rozumne słowa, Mateusz jedno zawsze odpowiadał:

— Co mi znaczą wasze słowa, kiedy mi nie wrócą mojej krwawej pracy.

Aż wreszcie jednego dnia zaniemógł obłożnie i zażądał przyjęcia ostatnich świętych Sakramentów. — Przyjechał więc

z Obrazowa zacny proboszcz Drozdowski ze świętą komunią, ludzi zbiegła się cała gromada, a gdy spowiedź ukończoną została, wszyscy weszli do izby. — Mateusz leżał na łóżku blady jak trup i tylko znać było po poruszeniu ust, że się modli. — Kiedy żona i syn załkali głośnym płaczem, Mateusz skinął na nich i rzekł:

— Nie płaczcie, ale cieszcie się, bom chodził w śmiertelnym grzechu, a teraz czuję, że Bóg wstąpił do mojego serca. — Dawniej Boga miałem tylko w ustach, a pieniądz, największą marność w myśli i duszy, i on był moim prawie Bogiem. — Straciłem go, stałem się ze zgryzoty jak szalony, a nie pomyślałem, że dopust ten był największym miłosierdziem Bożem, bo mię oświecił i nauczył, że człek wszystko opuści, a tylko z duszą stanie na strasznym sądzie ostatecznym. — Dziś czuję, jakim byłem grzesznikiem; powtarzałem bez myśli w pacierzu codziennym: nie będziesz miał cudzych bogów przedemną, a jednak pieniądz czciłem jak Boga. — Żal mi, żal niewysłowiony zmarnowanego życia..... czy Bóg przebaczy?..... czy ulituje się nad moim błędem?!.....

I rzekłszy to, z wielkim wysiłkiem podniósł głowę, z przerażeniem przerzucił oczyma po gromadzie ludzi i chwytając za rękę kapłana, zawołał wielkim głosem:

— Ojcze duchowny, ratuj grzesznika; powiedz: czy Bóg przebaczy mi i da zbawienie dla mojej czarnej duszy?

— Miłosierdzie Boskie jest nieograniczone, jeżeli więc żałujesz szczerze, to Bog przebaczy i roztworzy podwoje swego nieba, dla przyjęcia twej duszy oczyszczonej spowiedzią.

— Żałuję!.... żałuję!.... wyjąkał umierający i całą twarz zalał łzami, usta poruszyły się modlitwą i zawoławszy:

— W Twoje ręce Panie oddaję duszę moją....

Zamilkł, — i na łożu zostało martwe ciało, a dusza uniosła się w niebieskie wyżyny do podnóżka tronu Wszechmocnego Pana.

Kto napaści na Mateuszu dokonał, zostało dotąd tajemnicą. — Nie znaleziono po nim ani jednego grosza, a syna choć nie został bogaczem, szanują ludzie, tem bardziej, że wszystkie fanty wydał bez wykupu, i o ile ojciec był chciwym derusem,

o tyle on starał się być zawsze litościwym. — Nie dał mu jednak Bóg dziatek, a po śmierci dość wcześnie grunta i całe mienie poszło na podział między familję, tak, że dziś śladu nawet nie zostało z osady Ziemby.

Różne są drogi Boskie, któremi Stwórca wiedzie ludzi do zbawienia. — W nieszczęściu też nie należy narzekać, ale badać siebie, czem człowiek błądzi.

Rady i przestrogi gospodarskie i domowe.

Bulwa znana u nas bez porównania dawniej, niż ziemniaki, nie rozprzestrzeniła się przecież, jak na to bardzo sprawiedliwie zasługuje.

Posadzona raz w gruncie, trwa w nim do 12tu lat — i to jest jedną z jej zalet; ale ztąd, że niełatwo pozbyć się jej z pola, zasługuje na niejaką naganę, ale ta nagana ustaje, gdy bulwę uprawiamy na jakim kawałku pola, od reszty oderwanym.

Ma bulwa, tak samo jak ziemniak, wiele wody, ale ma mniej od niego włókna drzewnego, niewiele mączki różnej od ziemniaczanej, zwanej inulinem; za to ma w sobie wiele cukru i jest łatwą do strawienia. Na stoły pańskie dają bulwę tak, jak szparagi, lub z winną zaprawą (szodonem). Ubożsi mogą ją jeść pieczoną z barszczem, mlekiem, kapustą kwaśną, lub uduszoną z mięsiwem. Można też pokrajaną bulwę kisić z kapustą. Dla dojnych krów jest ona z powodu, że ma w sobie wiele cukru, wybornym pokarmem, a najużyteczniejszym przed wiosną i z wiosny, nim się jaka zielona pasza pojawi. Jej liście jest także dobrym pokarmem dla bydła; jednakże gdy się liście wcześnie obrywa, zmniejsza się plon w ziemi. Dopiero w jesieni staje się liście bulwy bardzo pożądanem, ponieważ nie ulega silniejszym mrozom, daje zieloną paszę wtedy, kiedy o nią już z kądinąd trudno. Łodygi w okolicach ubogich w drzewo są cennym opałowym materyałem. Można ich użyć i na podściel dla bydła; lecz należy je naprzód ułożyć na twarde miejsca i zgnieść jeżdżąc po nich ciężkim wozem.

Bulwa, oprócz w moczarnym, darzy się w każdym gruncie byleby był dobrze, głęboko uprawionym i dostatecznie nawie-

zionym. Nawiezienie obornikiem należy powtarzać co 4, nawet co trzy lata; obfity plon zapłaci go dostatecznie.

Sadzić należy bulwę, skoro rola obeschnie, na wiosnę, w rzędach na 2½—3 stóp i w tejże odległości jednę od drugiej. Oczyszczać, osiekiwać i ogartywać ją od razu, skoro dostatecznie podniknie. Gdzie rola sypka, można bulwę sadzić od razu na grzbietach, poczynionych obsypywaczem. To nie wyklucza jednakże późniejszego obchodzenia rośliny motyką.

Wykopuje się ziemny owoc w jesieni, ile go potrzeba, w zimie, jeśli ziemia nie zamarznięta, i wczas na wiosnę, nim się roślinność obudzi. Co się wykopie na dłuższy zapas, należy przechowywać w suchych nakrytych rowach; w piwnicy w cieńkich warstwach pod nakryciem słomy, bo owoc ten, wystawiony na powietrze i światło, wnet się psuje, dlatego na nasienie przewozi się go w beczkach, lub baryłkbch zadnionych po obu stronach.

W drugim i następnym roku, skoro z korzonków w ziemi pozostałybh powschodzą rośliny, należy, gdzie są kupkami porozrzedzać je, a gdzieby ich brakło, podosadzać. Pierwej jednak, t. j. przed obudzeniem się roślinności, należy grunt płytko zorać i zbronować. Aby się pozbyć bulwy z pola, należy na nie przez całe lato puszczać chlewną trzodę.

Wilk syty i baran cały.

II.

Stary, głodem wynędzniony wilk, nie wiedział jak zaspokoić łaknienie; udał się więc do patrona zwierząt i rzekł z pokorą: Patronie nasz wielki! ratuj mnie starca, bo zginę marnie z głodu.

Odpowie patron: idź prosto po pod las, za górę; na dolinie pasie się stado owiec, tych nie płosz, bo i pasterz czujny i psy srogie; ale postępuj ostrożnie, opodal pasie się samotnie stary, słabiuchny baran. Tego nagle napadnij, a nie wdawaj się z nim w żadne rozmowy, zatłum i pożyw się do syta.

Wilk skłonił się i poszedł uradowany. Znalazł wszystko, jak mu patron przepowiedział. Zbliżył się do barana i uchwycił go z lekka za kark.

Baran rzecze: wielmożny panie wilku, miej litość nad starcem! Co ci po mnie, jam skóra i kości. Powie wilk: zjem cię, bo łaknę bardzo. — Kiedyż, rzecze baran, ten trud wcale niepotrzebny, bo ja mogę być cały, a wielmożny pan syty. Zapyta wilk: jakim sposobem? — Oto, prawi baran, ja wnijdę na górę, w. pan stań pod górą; ja rozpędzę się z góry i skoczę cały w. panu przez gardło do brzucha. Podobało się to wilkowi, więc rzeknie: niechaj i tak będzie.

Czynią jak się umowili. Baran rozpędził się, trzasnął z całej siły wilczyska rogami w łeb i ubił na śmierć.

Ztąd ta wynika nauka, że jeśli kto od kogo powziął dobrą radę, to niechaj ją sobie dobrze pamięta i całą — i niech tak zrobi wszystko, jak mu kazano.

Złote ziarna.

Nie za wodami szczęście i nie za górami:
Jest wszędzie, bo Bóg wszędzie wciąż czuwa nad nami.

Jak Boga, tak i szczęścia trzeba szukać w sobie,
I szukać w tejże chwili, nie w późniejszej dobie.

Kto swych bliźnich wspomaga, bardzo się bogaci,
On zbiera milliony, tylko grosze traci.

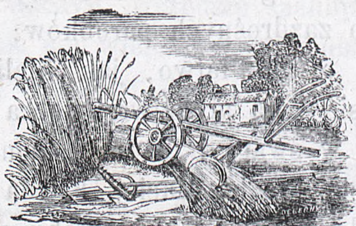
Rozum pokuł olbrzymy, cnota złość pokona,
W rozumie i zacności największa obrona.

Bogatym być ci wewnątrz nikt a nikt nie zbroni,
Bogactwa zewnątrz człeka, to bogactwa w toni.

Redak tor odpowiedzialny i wydawca Kazimierz Okaz. — Z drukarni E. Winiazra

Tom I. 21. Maja 1870. Nr. 15.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Podróż Macieja Kołowrotka.

Czytelnikom „Dzwonka" na pożytek i zabawę opowiedział
Bartek Szkolarz.

Na ośmiu morgach dość urodzajnej ziemi żył w Jagódce, wsi małej ale bardzo zamożnej, włościanin Maciej Kołowrotek. Maciej był jeszcze bardzo młody a do tego taki urodziwy, że choćbyś kilkanaście wiosek dokoła ze świecą obszedł, nie znalazłbyś nigdzie takiego tęgiego parobczaka. A kiedy w niedzielę szedł do cerkwi ubrany w sutą białą sukmanę z czerwonemi tasiemkami i gładkie palone buty, patrzali na niego wszyscy sąsiedzi z drzwi i okien. Parobczaki połykali ślinkę z zazdrości, dziewczęta ukradkiem strzelały na niego oczkami, a starsze kobiety i inni gospodarze uśmiechali się do Macieja i żałowali mocno jego matki i ojca, że tak wcześnie pomarli i nie napatrzyli się dość na swego dorodnego syna. Maciej za to szedł sobie tak dumnie, jakby król jaki i patrzał tożsamo na ustrojone dziewczęta, bo mu się już trochę sprzykrzyło jego samotne życie i chciał dla siebie znaleść ładną a może i bogatą żonę. Ale w tym wyborze był Maciej bardzo wybredny i postanowił ożenić się chyba tylko z najładniejszą w całej wsi dziewczyną. To też nie spieszył się tak bardzo.

Przytem był pewny, że go każda dziewczyna za męża przyjmie i zawsze mówił do zazdrośnych parobków:

— Dla mnie to tak łatwo, jak kieliszek wódki wypić. Jeżeli tylko trafi się jaka urodziwa i dobra dziewka, to poszlę dwóch gospodarzy w swaty i już mam żonę.

I nie mylił się wcale Maciej. Każda matka dałaby mu swą córkę, a każda dziewczyna poszłaby za niego z zawiązanemi oczyma. Wszyscy go bowiem bardzo lubili i poważali.

Maciej zasłużył sobie na ten szacunek, bo był pracowity i trzeźwy. Zawsze zasiał swe pole najprędzej, zebrał zboże w czas i bardzo prędko; a do karczmy wstąpił chyba tylko z musu, by dotrzymać kompanii, na kieliszek wódki. Jednego mu tylko nie dostawało, to jest nauki. Rodzice Macieja wyuczyli starszego swego syna Jana na księdza i chcieli także młodszego do szkoły posyłać, ale nadaremnie, Maciej nie chciał się uczyć i mówił zawsze:

— Ot! Co mi tam nauka! Byle tylko kieszeń i stodoła były pełne. Co mi tam teraz z pełnej głowy, skoro tem się nie nakarmię ani nie odzieję.

Rodzice widząc, że tego uporu przełamać nie potrafią, przestali go namawiać. Maciej za to robił, co mu się podobało. Gdy inni ludzie chodzili w niedzielę do księdza, który im ładne książki czytał, to Maciej poszedł sobie do miasta lub na zabawę i śmiał się ciągle z nauki. Kiedy rodzice pomarli, Maciej został sam na gospodarstwie i o niczem już więciej nie myślał.

Ale to naśmiewanie się z nauki nie wyszło Maciejowi na dobre. Prawda, że należy pracować na majątek i dobytek; prawda, że praca około roli zasługuje zawsze na pochwałę; ale nie należy przez to pogardzać nauką, bo człowiekowi dał Pan Bóg rozum na to, by się czegoś nauczył i coś poznał. A zresztą nauka jest bardzo potrzebną, daleko potrzebniejszą niż pieniądze. Bez nauki niepodobna i nosa wyściubić w świat bo nigdzie sobie rady dać nie potrafisz, choćbyś miał pełne kieszenie grosiwa. A potem nauka podnosi ludzi wysoko a ubogich stawia wyżej nad największych bogaczów. Z ludzi głupich a bogatych śmieją się wszędzie, a ludzi biednych,

którzy się czegoś nauczyli, wszędzie szanują i poważają. Otóż widzicie, że majątek nie wiele pomoże, jeżeli, jak to mówią, głowa ciemna, jak tabaka w rogu.

Poznał później i Maciej, że nie należy tylko samą kieszeń lecz także i głowę bogacić. Ale zanim się o tem przekonał, dużo musiał połknąć wstydu i biedy.

Miał Maciej jeszcze jednego brata Jana, a ten był księdzem w Kalińcu. Janowi powodziło się bardzo dobrze, a ludzie szanowali go, bo był bardzo rozumnym i dobrym kapłanem.

Dużo lat minęło już od tego czasu, gdy Jan po raz ostatni widział się z swym bratem Teraz gdy się już wyświęcił na księdza i dostał dobrą parafję pragnął koniecznie zobaczyć się z swym bratem. Ale obowiązki kapłana wiązały go ze wsią i ludźmi, których był pasterzem. Napisał tedy list do Macieja z prośbą, by przyjechał do niego, gdy już ukończy robotę w polu W liście tym posłał ksiądz Jan Maciejowi pieniądze na drogę.

Gdy list ten przyniesiono do wsi, zdziwił się mocno Maciej, bo na razie nie mógł się nawet domyslić, ktoby do niego mógł list z pieniądzmi posłać. Łatwo o tem można się było dowiedzieć, bo potrzeba było tylko list otworzyć i przeczytać. Ale dla Macieja była to rzecz bardzo trudna a nawet zupełnie niepodobna, bo jak wiecie już, nie umiał ani czytać ani pisać. Trzymał tedy list w rękach i patrzał na pismo, jakby na dziwo jakie. A trapiła go w tej chwili tak wielka ciekawość, że odstąpiłby był połowę pieniędzy znalezionych w liście za to, gdyby go kto zaraz czytać i pisać nauczył.

— Cóż tu teraz z tem zrobić? pomyślał Maciej i zafrasował się mocno.

— Wprawdzie sąsiad mój Antek, rzekł do siebie, umie czytać i pisać, ale gdybym się do niego udał, śmiałby się bardzo ze mnie, żem się niczego nie nauczył i niczego nie umiem.

— Cóż tu teraz robić? — zapytał z wielkim frasunkiem. Do Antka iść nie chciał, bo ten śmiałby się z niego a taki wstyd nie łatwo zniesćby potrafił dumny Maciej. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że w sąsiedniej wsi mieszka

pisarz gromadzki, a ten mógłby list odczytać. Co najprędzej pobiegł tedy do pisarza, a ciekawość tak mocno go niepokoiła, że biegł prawie przez całą drogę. Gdy przybiegł do wsi, poszedł prosto do pisarza i oddał mu list.

— A cóż to nie umiecie czytać, panie gospodarzu? — zapytał ów pisarz z uśmiechem.

Macieja, który dotąd śmiał się zawsze z każdej nauki, uśmiech ten mocno zakłopotał. Czuł, że mu krew do głowy uderza a na policzki występuje piekący rumieniec wstydu.

— Umię ja wprawdzie czytać, ale tak to niewyraźnie pisano, że trudno być z tego rozumnym, rzekł Maciej, ratując się kłamstwem z tej biedy.

— Ależ pismo to takie wyraźne, jakby drukowane odpowiedział pisarz.

Maciej nie wiedział już teraz co ma powiedzieć. Tak mocno uląkł się wstydu, że postanowił znowu skłamać.

— To prawda, że wyraźnie pisano, rzekł niepewnym głosem, ale ja właśnie nie umiem czytać wyraźnego pisma, bo mój nauczyciel pisał niewyraźnie. Gdyby list ten był pomazany trochę, tobym może i przeczytał.

Maciej nie wiedział jak wielkiem i niedorzecznem jest to kłamstwo. Niejeden bowiem człowiek, co nieźle czyta, nie da sobie może rady z niewyraźnem pismem, ale jeżeli kto już tylko cokolwiek umie czytać i pisać, to z łatwością odczyta wyraźne i duże pismo.

Pisarz nie chciał go do większego kłamstwa pobudzać, przestał z nim rozmawiać i odczytał mu list jego brata.

Z tego listu dowiedział się Maciej, że brat zaprasza go do siebie i że przesyła mu pieniądze na drogę. Zarazem objaśnił w tym liście ksiądz Jan swemu bratu, jak się może do niego najprędzej i najłatwiej dostać. Z Jagódki było cztery mile do Szańca, a ztamtąd koleją żelazną w jednej godzinie dostać się mógł Maciej do brata, do Kalińca.

Gdy Maciej usłyszał, że ma jechać koleją żelazną zrobił minę zakłopotaną, bo po raz pierwszy usłyszał to słowo. Spostrzegł to dobrze pisarz, bo ozwał się natychmiast do niego:

— Koleją żelazną musieliście już jeździć? A zresztą gdyby i nie tak, to musieliście coś o tem słyszeć lub czytać, skoro jak mówicie, czytać umiecie.

Te słowa wpadły do głowy Macieja, jak klin twardy. W pierwszej chwili nie wiedział, czy przyznać się, że o kolei żelaznej nic jeszcze nie słyszał i prosić pisarza, by mu coś o tem powiedział, czy też skłamać znowu, by się ocalić od wstydu. Ale Maciej obawiał się tak mocno wstydu, że postanowił ratować się znowu kłamstwem.

— At, co też pan mówi! zawołał. Ile to razy, dokąd i jak daleko jeździłem już koleją. Raz nawet zajechałem w rów, wywróciłem się w kałużę i połamałem wóz cały.

Pisarz zaczął się śmiać z tego i rzekł do Macieja:

— Ależ to być nie może. Z tego widzę, żeście koleją jeszcze nigdy nie jeździli i że nawet o tem zgoła nic nie wiecie.

— Co też pan mówi! rzekł Maciej i poczerwieniał mocno jak burak. Dlaczegóż nie mogłem się wywrócić. Konie bestyje były płochliwe i zapędziły do rowu. A wóz chociaż żelazny, czy tam kolej żelazna, jak to pan nazywasz, połamał się do szczętu.

Pisarz widząc, że Maciej coraz głębiej brnie w kłamstwie począł mu tłumaczyć, że to wszystko, co powiedział, jest nieprawdą.

— Wszakże musicie gospodarzu wiedzieć — rzekł do Macieja — że kolei żelaznej nie ciągną konie tylko ją para porusza.

— Para? zawołał Maciej i ze zdziwienia aż o krok w tył się cofnął.

— A tak jest, para — ciągnął dalej pisarz. Wszakże nieraz może widzieliście w kuchni, jak wielką jest siła pary. Jeżeli postawicie koło ognia garnek z wodą i położycie na to pokrywkę, to skoro tylko woda zakipi, para dobywa się z garnka z taką siłą, że nawet nieraz pokrywkę aż na ziemię zrzuci.

— Mocny Boże! — zawołał Maciej.

— Otóż jeżeli z kwarty wody — mówił dalej pisarz para jest tak silną, że podniesie blaszaną nakrywkę, to nic w tem dziwnego, że większa ilość pary jest w stanie poruszać kilka, kilkanaście, ba nawet kilkadziesiąt wozów ukutych z żelaza. Jednak taka maszyna z parą (nazywa się zaś ta maszyna lokomotywa) ciągnie za sobą taki długi ogon żelaznych wozów, i to tak szybko, że ujedzie na godzinę kilkanaście mil, jak się to naprzykład w Ameryce dzieje. U nas zaś na godzinę ujechać można koleją tylko cztery mile, ale za to wygodnie i całkiem bezpiecznie.

— A jeżeli trafi się kamień lub jaki wybój w drodze? — zapytał Maciej, którego wesołość i łagodność pisarza trochę ośmieliła.

— Kolej żelazna nie idzie po zwykłej drodze – rzekł pisarz. Na to buduje się osobna droga, gładka i równa jak szkło. Na drodze tej są szyny, jakby grube druty z żelaza. Koła wozów (wagonów) są wydrążone tak, że wpadają na te szyny jakby czapka na głowę. I dlatego to kolej pędzi tak szybko i gładko. A jeżeliby, nie daj Boże, uszkodziła się ta szyna, nad którą zawsze osobni strażnicy przy kolei czuwają, to nastąpić może okropne nieszczęście. Maszyna bowiem nie da się w miejscu powstrzymać jak konie. Mimo przeszkód szarpie i rwie za sobą wagony. To też nieraz już zdarzyło się, że i cały pociąg na drobne kawałki pogruchotał się, a wszyscy ludzie, co się wtedy tam znajdowali, śmierć lub ciężkie rany poniesli.

Rozmowa ta zajęła z początku Macieja i cieszył się, że się dowie o rzeczy, o której dotychczas nigdy nie słyszał. Ale dobrze to mówi przysłowie: czego się Jaś nie nauczył, tego się już w późniejszych latach Jan nie nauczy. To też Maciej nagle zawstydził się prawie, że chciał się czegoś nauczyć. Sprzykrzyło mu się słuchać tego opowiadania o kolejach, a widząc, że pisarz mówił długo i tak obszernie, by go każdy zrozumiał, począł się bardzo niecierpliwić i myślał nad tem, jakby się z tego wykpić.

Na nieszczęście z pobliskiej karczmy dobiegł wsród tego opowiadania wesoły głos muzyki wiejskiej. Maciejowi zrobiło

się jakoś tęskno w duszy, opowiadanie pisarza wydało mu się tak nudnem, że rzekł do niego:

— Miło to wprawdzie słuchać o takich dziwnych i pięknych rzeczach, ale bardzo mi spieszno, łaskawy panie, więc muszę odejść.

— Szkoda, rzekł pisarz. Miałbym wam jeszcze wiele do opowiadania panie gospodarzu. Ale jeżeli wam tak spieszno, to opowiem wam to wszystko chyba w innym czasie, jeżeli do mnie przyjść zechcecie.

Maciej pokłonił się pisarzowi, podziękował za naukę i przyrzekł, że niezadługo przyjdzie, a tymczasem pomyślał w duchu, gdy już był za drzwiami:

— Zobaczysz ty mnie tu kiedy, jak białego kruka.

C. d. n.

Jan Sobieski, Król polski.

Panował od roku 1673 do 1696.

Czytaliście już nieraz w dawnych rocznikach Dzwonka powieści o królu Janie Sobieskim, nazywanym pospolicie Janem trzecim. Nie chcielibyśmy tu powtarzać tego samego, co wam jest znane i dlatego podajemy wam tylko wizerunek Jana Sobieskiego i prześliczny wierszyk, napisany przez sławnego naszego poetę, Juliana Ursyna Niemcewicza.

Trapił bezbronną Polskę Turczyn dziki,
Płonęły miasta pożarem i dymem,
Kiedy Sobieski z nielicznemi szyki [1])
Zniósł bisumańskie hufce [2]) pod Chocinem.

Jeszcze nie otarł szabli krwią oblanej,
Aż już nieszczęsny Michał [3]) żyć przestaje:
Sobieski chlubny z tak świetnej wygranej
Z zwycięskiem wojskiem w polu obrad staje.

Wielu się książąt o tron ubiegało
Świetnych potęgą i licznym orszakiem:
Ci rodem — Jan nasz jaśniał tylko chwałą,
Umiał zwyciężać, był naszym rodakiem.

---

[1]) Wojskiem.
[2]) Bisurmańskie hufce, tyle co tureckie wojsko.
[3]) Michał Korybut Wiśniowiecki, król polski, poprzednik Jana trzeciego.

Już z wodza [1]) królem; rządząc dwa narody
Szkodliwe błędy zamyśla poprawić,
Lecz gdy w tem znalazł niezłomne przeszkody
Zostało tylko orężem się wsławić.

Kara Mustafa [2]) tłum Turków zawzięty
Groźnie przybliżał ku wiedeńskim szańcom:
Uciekł Leopold [3]) bojaźnią przejęty
Stolicę na łup wydając pogańcom.



Jan Sobieski, Król polski.

Tu poseł jego, widząc króla Jana:
„Ratuj" — zawołał — „i Wiedeń i państwo" [4])
To mówiąc z płaczem upadł na kolana,
A Legat [5]) dodał: „ratuj chrześcijaństwo".

---

[1]) Z wodza: Sobieski był wtenczas hetmanem, t. j. nawyższym dowódcą wojska polskiego.
[2]) Kara Mustafa, tak się nazywał dowódzca wojsk tureckich, który z 300,000 Turków oblęgał Wiedeń.
[3]) Leopold, Cesarz austryjacki.
[4]) Legat Na dwory mocarzy katolickich wysyłał Ojciec święty posłów, którzy się legatami 'zwali

Bohater tknięty głosem potrwożonych
Sam spiesznie wiedzie swe hufce dobrane;
Już na Kalbergu w oczach oblężonych
Widać proporców lasy nieprzejrzane.

Jak orzeł, kiedy w dole zoczy zwierza,
Lotnym się szybem z pod obłoków ciska:
Z tym pędem wojsko Polaków uderza
I szablą pośród nieprzyjaciół błyska.

Rozprasza tłumy rycerstwo skrzydlate [1])
I Mahometa chorągiew wydziera,
Zdobywa obóz i łupy bogate,
A Wiedeń bramy zwycięzcom otwiera.

Wjeżdża Jan trzeci z swoimi hetmany
W pośród radosnych pospólstwa okrzyków,
Gdzie się pokazał, wszędy głos słyszany:
„O to nasz zbawca, pierwszy z wojowników".

Niechętnie Cesarz dobroczyńcę wita,
W licznym orszaku jadą z nim dworacy,
Szata ich złotem i perłami szyta; —
Przy królu zbrojno na koniach Polacy

Odmienne były monarchów postacie;
Chciał cesarz mówić, lecz gdy słów nie stało,
Rzekł mu król polski: Rad jestem mój bracie,
Żem ci uczynił tę przysługę małą.

Król, co tak dzielnie postąpił w tej sprawie,
Nie znalazł później wdzięczności zapłaty,
W każdym przymierzu i w każdej wyprawie
Nie widział tylko zawody i straty.

Wśród trosków wolnej chcąc używać doby,
Gdzie Wisła raz się okaże znów chowa,
Zgromadza głazy i świetne ozdoby
I wznosi pyszne gmachy Willanowa.

To było jego najmilsze ustronie —
Tam słodząc troski zbyt przykrej niedoli,

[1]) Rycerstwo skrzydlate, husarze polscy, mieli oni skrzydła z piór orlich przypięte u ramion.

Z swym Jabłonowskim lub w uczonych gronie
Chodził pod cieniem odwiecznych topoli.

Tam umarł, a jak słońce u zachodu
Jaśniejszem ziemię oświeca promieniem,
Tak i on dzielniej wzniósł sławę narodu,
Nim Polska śmierci okryła się cieniem.

Opowieści zdawnych czasów

— Piast —

Piękny to i wielki i szeroki ten nasz kraj, ta nasza Polska; i nogi byś schodził i życieby ci minęło, a jeszczebyś jej całej nie poznał, jeszczebyś się dość nie nadziwił jej krasie i nie zobaczył jej bogactw wszelakich, jakiemi ją Bóg udarował. Przypatrz się jakiemubądź kawałcowi tej naszej ziemicy, spoglądnij naprzykład na okolicę nadwiślańską. Po obu stronach rzeki Wisły gęsto osiadły wioski jak kopy po bogatem żniwie; z jednej strony chaty tulą się do stromych wzgórzy, z drugiej równia jak po stole. I tu i tam jednaka mowa, jednaka religia, jednaka wiara, jednakowe obyczaje i ubiór nawet jednakowy, a przecież nie wolno jednakowo gospodarzyć, nie wolno się rozmówić bratu z bratem, ojcu z synem, nie wolno nawet do świętego miejsca zajrzeć na drugą stronę, chyba za paszportem — bo tak chce, tak nakazuje Moskal. A zkąd ma prawo do tego? Oj długoby o tem mówić!... a choć to już sto lat blizko mija, jak nas tak na kawałki pocięto, choć Moskal ciągle gnębi, ciemięży i prześladuje toć przecie rzadko który człowiek szczerze pomyśli o tem: a zkąd ma prawo do tego? A toć każdy z nas powinien we dnie i w nocy, kiedy sobie tylko wspomni, kiedy tylko spojrzy na ten kraj, szczerze pomyśleć: a skąd ma Moskal prawo do tego? Jużci nie od Boga — bo to jedna wiara, jedna mowa, jedna ziemia, jeden obyczaj, jedna dawniej dola, jeden naród.

Ale dzięki Bogu i między gospodarzami zaczyna już świtać, już wielu bardzo umie czytać i pisać, już wiedzą, że na biedę jest ratunek, wiedzą, że jeden nic nie pomoże,

ale wszyscy razem połączeni wszystkiego dokonać mogą; wiedzą, że krzywda bratu wyrządzona wszystkich zarówno boli. Pojmuje to osobliwie lud nadwiślański i garnie się do nauki i czyta ochotnie książki i słucha dobrej rady i chętnie wspomaga potrzebnych, bo wie: co innym dzisiaj, to jemu jutro stać się może A przykład idzie z góry, od najstarszych i najzamożniejszych. Oni to uważają za niehonor, jeżeli dziecko ich bez książki idzie do kościoła, jeśli nie potrafi listu napisać, jeśli nie wie, jakie ma obowiązki względem Boga i współbraci. Między wszystkimi znów odznacza się Wojciech Zawiślak. Oddawna osiadł on w małej wiosce nad Wisłą, zakupił grunt i wybudował chatę, a choć to już czterdzieści lat dochodzi, nikt dotąd nie wie, zkąd przybył i czem był pierwej. Pracowity, gospodarny, uczciwy, nie skąpi nigdy grosza dla biednych, wspomaga sąsiadów w nieszczęściu i potrzebie. Nie żąda nigdy za żadną przysługę zapłaty, ale rzetelności, a kto raz tylko nie odda mu należytości w oznaczonym terminie, może być pewnym, że już więcej do Wojciecha nie ma po co przychodzić w potrzebie. Umie doskonale czytać i pisać, sprowadza książki i w wolnych od pracy godzinach siada do stolika i albo głośno dla całej zebranej rodziny i sąsiadów, albo, jeśli nie ma nikogo, sam dla siebie czyta rozmaite ciekawe powieści i opisy. Od pierwszego roku, kiedy zamieszkał w gminie i poznajomił się z sąsiadami, namawiał ich, ażeby u siebie założyli szkołę. Z początku szło to bardzo trudno; gospodarze nie chcieli nawet słyszeć o szkole; mówili, że dzieci nie powinny być mądrzejsze od rodziców, bo mogłyby zhardzieć i nie słuchać; powiadali że się im dzięki Bogu, dobrze powodzi, choć nic nie umieją, że nauka tylko dla panów potrzebna; pletli i wygadywali niestworzone rzeczy i głupstwa, jakie i teraz jeszcze dość często pomiędzy ludem usłyszeć można. Wojciecha nazywali mądralą, przybłędą, co to nie wiedzieć zkąd przyszedł, ażeby ich rozumu uczyć, po cichu nawet obmawiali go, że nieuczciwym sposobem dorobił się majątku, że go do gminy nie należało przyjmować; ale otwarcie nie śmiał mu tego nikt powiedzieć, bo wszyscy znali jego uczciwość, rzetelność i pobożność. Powoli namowy

Wojciecha, zacnego księdza proboszcza i dworu, poczęły skutkować. Niejeden, co to już wiele biedy doznał przez to że nic nie umiał, pokiwał głową i mówił: ot dobrzeby to było nauczyć się czegoś; inni, co to widzieli i słyszeli jak wiele z książki nawet o gospodarstwie nauczyć się można, z zazdrością spoglądali na piękny ogród i urodzajną rolę Wojciecha i także życzyli sobie, aby i u siebie coś podobnego zaprowadzić.

Nareszcie w roku 1850 stanęła szkółka. Jakaż była radość Wojciecha, gdy ks. proboszcz poświęcił szkółkę, a potem w przemowie do ludu wypowiedział, że to najwięcej staraniom Wojciecha zawdzięczyć mają. To też sława jego i powaga coraz więcej wzrastała; obierano go zawsze wójtem, a teraz należy nawet do wydziału rady powiatowej. Chata jego w środku prawie wioski położona, czyściutka, wybielona, obszerna, wygląda jak dworek jaki; zielone drzewa owocowe otaczają ją do koła i bardzo mile ją zdobią. Co niedziela schodzą się wszyscy prawie gospodarze wieczorem na pogadankę — a Wojciech to podaje mądre rady, to przyrzeka jakąś zapomogę, to wreszcie, kiedy się już nieco przyciszy, kiedy wszyscy się nagadali do woli, wyciąga jakąś ciekawą książkę i czyta lub opowiada z pamięci. Gospodarze przysuwają się bliżej i słuchają uważnie.

Według zwyczaju zgromadzili się w drugie święto wielkanocne gospodarze na pogadankę. Chata była umieciona czyściutko, Wojciech i żona i córeczka przystrojeni świątecznie. Pogadanka szła żwawo, aż w końcu Bartłomiej Powała, największy niegdyś przeciwnik szkoły, odezwał się do Wojciecha w te słowa:

Pojmuję ci ja teraz, że nauka czytania i pisania każdemu człowiekowi koniecznie jest potrzebna. Wy Wojciechu przekonaliście i najzaciętszych przeciwników. Boć to u nas teraz aż miło popatrzyć. Do kościoła sunie każda dziewczyna i parobczak z książką pod pachą, a wstyd tego, kto czytać nie umie. Wychodzi to na chwałę Pana Boga i pożytek ludziom; — ale nie może mi się się pomieścić w głowie, na co się to zdało wiedzieć, co się tam działo w dawnych czasach; na co czytać

historye rozmaite o królach i obyczajach dawnych, kied z tego nic już człowiekowi nie przyjdzie.

Wojciech uśmiechnął się nieznacznie, poprawił się na stołku i począł prawić piękne opowieści o rozmaitych narodach, o Piaście rolniku i jego synach, co i my wam na przyszły raz opowiemy.

Nauka w las nie poszła.

We wsi Siekierki wielkie zacny był proboszcz, a nazywał się ks. Ignacy Kubalak. Kochał chłopków i chłopskie dzieci, i bardzo o ich dbał dobro. Dziś już nie żyje, a w młodym jeszcze wieku zeszedł z tego świata. Poświęcając się gorliwie w czasie cholery zapadłym na tę straszną chorobę, sam nakoniec zachorował, i po kilku już godzinach Bogu ducha oddał. Cześć jego pamięci, a wieczny spokój jego duszy!

Chodził on codziennie do szkółki, przysłuchiwał się co tam nauczyciel dziatwie prawił, i sam ją słowem Bożem pouczał. Potem niekiedy pod wieczór brał chłopięta z sobą na przechadzkę w pole, do lasu. Chłopcy gonić się musieli, skakać, zręczne harce wyprawiać — co to giminastyką zowią — a przytem zawsze jeszcze pouczał ich czego. Mówił im o niebie i ziemi, o słońcu, księżycu i gwiazdach, zkąd się biorą grzmoty i pioruny — i co bywa przyczyuą zaćmienia słońca lub księżyca.

W maju zwykle urządzał majówkę do lasu. Cała gromadka z proboszczem na czele i nauczycielem pociągnęła doń, spiewając po drodze. A potem zjeżdżała i rodzina dziedzica.

Wybrano sobie gołe miejsce w boru, rozpoczęły się tany — mieli z sobą skrzypka wiejskiego i basistę. A potem różne nastąpiły igrzyska. Dziedzice uraczyli całe zebranie sowitym podwieczorkiem. A co więcej, każde dziecko jakiś otrzymało podarek: chłopcy koziki, piszczałki, guziki ładne, książeczki itp. — a dziewczęta paciorki, wstążki, książki i obrazki. Wieczorem wszytko znowu, spiewając różne pieśni, do domów wracało. W dniu takim ks. Kubalak zawsze

był wesoły i szczęśliwy — szczęśliwy radością niewinnych dziatek.

W dni świąteczne, po nieszporach, zbierał zwykle na godzinę starszyznę wioski do izby szkolnej i przeczytał im co pouczającego lub ciekawego z gazet niekiedy — albo też z dzienników i książek.

Rozdawał im nawet i do domów różne książki i pisma, a pomiędzy temi był zawsze i Dzwonek. Gdy przeczytali, to odnieśli z podziękowaniem, i znowu coś innego dostali.

Było właśnie potrzeba ogrodzenia kościelnego cmentarza. Proboszcz wezwał gospodarzy do siebie i rzecz im przedłożył, a dodał też i nauczyciel uwagi swoje. Chłopi wszelako jakoś na ten koszt zgodzić się nie chcieli. Ks. proboszcz znowu od serca do nich przemówił. Ale kręcili głowami i na złe czasy narzekali — jak to zwykle bywa. Już nawet i rozejść się chcieli, gdy ot, naraz jeden ozwał się Bartek Czajka, milczący dotąd ciągle, pogładziwszy szeroką dłonią najeżoną czuprynę.

— Ej kumowie! a pamiętacie wy ową przypowiastkę w Dzwonku, cośmy ją to łońskiego czytali lata?

— Nie baczę.

— Ani wiem.

— Ktoby tam pamiętał — odmruknęło kilka głosów.

— Przecie o tej babie z prosięciem!...

— Co to w jednej wsi gospodarze radzili, że na reperacyę kościoła pieniędzy nie dadzą. A tu ot przyszła baba...

— Dyć pamiętamy — wymówił stary Marcin Jasiak — przyniosła prosiaka.

— A był to cały jej dobytek — dodał nauczyciel — prosiątko oddała, by je sprzedać, a grosz wdowi na reperacyę kościoła obrócić.

— A jakżeż Panu Bogu miłą była ta ofiara! — wyrzekł cnotliwy proboszcz.

— Otoż więc, kumowie — mówił znowu Czajka, wstrząsnąwszy głową i aż się wyprostował — to więc złóżmy wiele kto może, by i nas jaka baba z prosięciem nie zawstydziła.

— Iście mi się zdaje — zaśmiał się stary Marcin — że już słyszę kwik prosięcia w sieni.

— A może i gęganie — dorzucił wesoły parobczak Antoni Skiba — bo stara Sobkowa gotowa swojego przynieść gąsiora.

Poczęli się śmiać wszyscy i żartować — i na składkę przystali.

Paulina Wilkońska.

Rady i przestrogi gospodarskie i domowe.

O oborniku. Zamożność rolnika zależy w znacznej części od tego, ile ma obornika i jaki on jest, a najtańszym kosztem uzbierać go można.

Ile i jaki jest obornik, zależy w znacznej części od tego, jak się z nim gospodarz obchodzi.

Obornik marnuje i psuje się dwoma głównie sposobami:

1. Zmniejsza się i psuje paleniem.

2. Zmniejsza go się i psuje się on wypłukaniem.

Paleniu się obornika zapobiega się, gdy się każdą warstwę ułoży i ubije starannie tak, aby do niej powietrze jak najmniej dochodziło; gdy każdą warstwę posypie się gipsem, popiołem, a przynajmniej gliną, lub gdy się ją przykryje darniami. Dalej należy obornik utrzymywać w stanie wilgotnym i w tym celu polewać go gnojówką, a gdy tej niema, wodą. Nakoniec, nie należy obornika kłaść na wysokie kupy, ani mu dawać zbyt długo leżeć. Gdy w oborniku skruszała słoma, a on jest masłowatym, wtedy wielki czas wywozić go na pole. Wiadomo, że obornik koński nagle się grzeje i pali, należy go tedy mięszać z bydlęcym, świńskim; a jeśli go koniecznie rzucać osobno, tedy wypada go zlewać mocniej i częściej, niż inny. Należy też ochraniać, aby świnie obornika nie borykały.

Wypłukaniu obornika zapobiega się niedopuszczaniem, aby z dachów, ani zkądbądź do niego dochodziła woda.

Deszcz, który prosto na kupę gnoju spada, nic mu nie szkodzi, jeśli gnojówka nie odchodzi, ale przechowuje się w jamie, położonej tak, że ściek wilgoci do niej z kupy jest łatwy, a niepodobny zkądinąd. Jednakże mocz (uryna) bydląt

i gnojówka ze stajni wprost, jeśli to może być, powinna także do tej samej jamy spływać. Jeśli to nie może być, należy na mocz i na gnojówkę prosto ze stajni płynącą osobną jamę wykopać. Każda jama powinna być przykryta. Z jamy lub jam puszcza się rynewką gnojówka na kupę, aby ją po całej kupie rozprowadzić; należy do pierwszej rynewki poprzystawiać inne.

Gnojówka, która do polewania obornika zużyć się nie da, może być użytą z wielką korzyścią do wyrabiania kompostu, o którym później powiem, co należy.

Gospodarz, który nie zapobiega paleniu i wypłukiwaniu się obornika, jeśli ma teraz rocznego dochodu sto złotych, miałby pewnie dwieście, gdyby temu jak należy ciągle zapobiegał.

W kraju naszym marnotrawstwo obornika tak wielkie, że szkoda ztąd wynikająca miliony wynosi.

Przedmiot ten jest ważnym i jednym z najważniejszych dla rolnictwa, a złe obchodzenie się z obornikiem zanieczyszcza powietrze i wodę, i szkodzi również zdrowiu.

Złote ziarna.

Nad żywot piękna sława, nad sławę ostrożne
Sumienie, nad sumienie skończenie pobożne.

Co czynisz, czyń rozmyślnie, skora rada szkodzi,
Gdyż za nią jaka za panią sługa, żałość chodzi

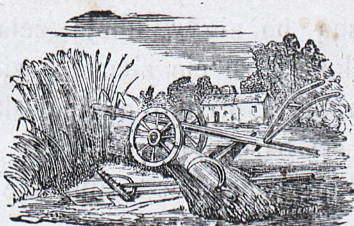
Jak śnieg, chociaż pomału, bo i drobny leci
A przecie wielkie czyni zaspy i zamieci,
Tak z błędu błędy rosną z małych szeptów wieści,
Że się po wszystkim świecie odgłos ledwie zmieści.

Najpierwsze chrześcijańskiej miłości jest dzieło:
Tego drugiemu nie czyń, co tobie nie miło.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Kazimierz Okaz. — Z drukarni E. Winiarza

Tom I. 1. Czerwca 1870. Nr. 16.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Podróż Macieja Kołowrotka.

Czytelnikom „Dzwonka“ na pożytek i zabawę opowiedział
Bartek Szkolarz.

(Ciąg dalszy.)

Maciej wybiegł prędo z pomieszkania pisarza i żałował że zamiast bawić się, słuchać musiał nauk jego.

— Straciłem niepotrzebnie tyle czasu — pomyślał sobie idąc przez wieś — co mi tam przyjdzie z tego, że wiedzieć będę, co to jest kolej żelazna i jak się tem jeździ? Tego przecież nikt odemnie nie kupi.

Tymczasem doleciał do uszu Macieja odgłos ochoczej muzyki z karczmy. Wstąpił więc, pogadał z kilkoma gospodarzami o żniwie i urodzajach, pofiglował z ładnemi dziewczętami i puścił się w drogę do domu.

Gdy wrócił do Jagódki zaraz na wstępie do wsi spotkał Antka, którego nie lubiał bardzo. Antek bowiem umiał czytać i pisać, więc śmiał się nieraz z Macieja, że o niczem nie wie jak tabaka w rogu. Maciej dowiedziawszy się cokolwiek o kolei żelaznej, chciał się z tem popisać przed Antkiem, bo myślał, że ten nic o tem nie wie.

— A wiesz ty, co to jest kolej żelazna? zapytał Maciej.

Antek zdziwił się na to pytanie. Po chwili odpowiedział:

— Czytałem ja coś o tem, ale cała ta rzecz nie jest mi jeszcze zupełnie jasną bo nigdy koleją żelazną nie jeździłem.

— A no to szkoda, że cię ziemia święta nosi — odpowiedział Maciej szorstko i prędko poszedł dalej.

Antek zdumiał się bardzo i myślał, że Maciej zwaryował. Chciał pobiedz za nim i pogadać z nim, ale miał pilną robotę, więc nie mógł się wracać.

Maciej tymczasem idąc przez wieś popisywał się przed każdym, kogo tylko spotkał, ze swoją nauką. Każdego pytał, czy widział kolej żelazną, a ponieważ właśnie teraz spotykał się tylko z młodymi parobkami, którzy jeszcze o tem nie wiedzieli, więc prawił im smalone duby i niestworzone rzeczy. I byłby ich dalej bałamucił, ale wtem nadszedł gospodarz, co za młodu służył w wojsku i poznał różne kraje i rzeczy. Maciej wiedział, że z tym gospodarzem trudna sprawa, bo mu niczem oczu zamydlić nie można. Nie czekając więc na niego, opuścił wszystkich parobków i pobiegł prędko do domu.

Nazajutrz rano wybrał się Maciej z parobkiem swoim do Szańca. Przybył do miasta w samo południe. Odesławszy parobka z końmi do domu, sam pobiegł prędko na kolej żelazną. Na wstępie zdumiał się Maciej ogromnie, bo zastał tu wiele rzeczy ciekawych, o których mu się dotąd nie śniło nawet. Przypomniał sobie, co mu pisarz opowiadał i przekonał się, że to wszystko jest prawdą. Żałował przytem, że nie słuchał dłużej pisarza, bo byłby się może dowiedział o wszystkich rzeczach, które tu po raz pierwszy widział, a których znaczenia sam odgadnąć nie potrafił. W tej chwili przyznawał że nauka jest pożyteczną i wyrzucał sobie, że się niczego nie nauczył.

Maciej przypatrywał się uważnie każdej rzeczy, oglądał wszystkie żelazne wagony i maszyny, podziwiał porządek, jaki tu wszędzie zastał i wszystko rozciekawiało go bardzo.

Chciał już jak najprędziej wyjechać, by poznać jazdę koleją żelazną. Zbliżył się do jakiegoś pana stojącego koło niego i rzekł:

— A proszę też pana wyprawić mię jaknajprędzej. Spieszno mi bardzo w drogę, więc chciałbym zaraz wyjechać.

Pan ten popatrzył na Macieja i roześmiał się głośno. Boć to przecież koleją żelazną nie można jechać o każdej godzinie, kiedy się podoba i tak na zawołanie. Pociąg wyjeżdża zawsze o jednej i tej samej godzinie i minucie, a wiezie z sobą nie jednego człowieka, lecz kilkadziesiąt a nawet kilkaset ludzi.

— To wy pewnie panie gospodarzu po raz pierwszy jedziecie koleją żelazną? — zapytał ów pan Macieja. Maciej nie chciał wyznać prawdy, więc postanowił skłamać i rzekł:

— Chyba pan żartuje ze mnie! Wszakże ja co tydzień jeżdżę koleją żelazną po naftę do Borysławia.

Pan ów na tę odpowiedź parsknął głośnym śmiechem. Ależ bo skłamał Maciej nadzwyczajne niezręcznie! Kolei żelaznej nie ma w każdem miejscu, tylko tam, gdzie do tego umyślnie drogę zbudowano. W Borysławiu nie było i dotychczas jeszcze nie ma kolei żelaznej.

Poznał Maciej, że mu się kłamstwo nie udało, więc zawstydził się mocno i poszedł prędko w inną stronę. Postanowił siedzić już teraz spokojnie i czekać aż dadzą znak, że już można jechać.

Tymczasem minęło półtory godziny. Z przeciwnej strony nadszedł pociąg, a zaraz w kwadrans potem miał odejść drugi do Kalińca, dokąd właśnie Maciej zdążał. Gdy Maciej ujrzał długi szereg wagonów z ludźmi, towarami, wołami i końmi, gdy usłyszał świst i syk maszyny, która jakby na skrzydłach unosiła za sobą długi ogon wozów i co chwila wyrzucała ogromne chmury dymu — zemdlał prawie ze strachu.

Wkrótce potem otwarto kasę. Maciej usłyszał, że kupują bilety, więc i on sobie kupił kartkę, za którą mógł jechać aż do Kalińca Skoro kupił tę kartkę, nadszedł pociąg i kazano wszystkim siadać do wagonów.

Gdy już trzeba było siadać do wagonu, przypomniał sobie Maciej, że mu fajka zgasła.

— Panie! rzekł do jednego z tych, co utrzymują porządek na kolei i koło wagonów chodzą — Panie! Fajka mi zgasła; pójdę po ogień. Zaczekajcie więc póki nie wrócę.

Maciej nie wiedział, że na kolei nie można i setnej części minuty stracić. Tam wszystko tak porządnie idzie jakby ze-

*

garek. O jednej godzinie, ba nawet jednej minucie odchodzą zawsze pociągi. Choćby Bóg wie kto chciał zatrzymać pociąg, to by mu się to nie udało. Porządek i regularność taka jest tu bardzo potrzebną. Na dzień bowiem przychodzi i odchodzi kilka pociągów zawsze o pewnej godzinie, a nawet minucie. Gdyby się tak spóźniano do woli, mogłyby się zetknąć z sobą dwa pociągi, a wtedy nie trudno o takie nieszczęście, o jakiem opowiadał Maciejowi pisarz.

Więc gdy usłyszano pytanie Macieja, wszyscy śmiać się zaczęli.

— Za pół minuty odchodzi pociąg! zawołał urzędnik — siadać!

Gdy Maciej zobaczył, że wszyscy tak pospieszno siadają do wagonów, zapomniał o fajce i siadł tożsamo jak najprędzej. Skoro tylko usiadł w wagonie, zadzwoniono i pociąg ruszył.

Maciej siedział sam jeden w wagonie. Z początku bawiła go bardzo taka szybka jazda, ale wnet przypomniał sobie, że fajka mu zgasła.

— A no, co to za źli ludzie! pomyślał. Nie chcieli się zatrzymać i chwilkę jedną, bym sobie mógł ognia wziąć od człowieka. Poczekajcie więc! Wystrychnę ja was teraz na dudka za to! Zmuszę was do tego, że stanąć musicie, póki sobie fajki nie zapalę.

Roztworzył sobie okienko i począł krzyczeć z całego gardła:

— A hou! Stój!

Ale głosu tego nikt nawet i nie słyszał. Świst maszyny zagłuszył go prawie.

— Djabła zjecie, ale ja was nauczę, pomyślał Maciej, i rzucił kapelusz na ziemię. Muszą stanąć, bym sobie mógł podjąć z ziemi kapelusz. Jeżeli nie staną, to zapłacą tak, jak za nowy, bo im powiem, że mi przypadkiem spadł z głowy.

— Stójcie! Kapelusz spadł mi z głowy! wołał Maciej w niebogłosy. Stójcie, bo mi zapłacicie za nowy kapelusz a taki kapelusz kosztuje jeden złoty reński i dwadzieścia dudków.

Ale któż tam zważał na to wołanie. Kolej nie może się ani na jedną minutę w drodze zatrzymać. Tymczasem zaś ludzie, co siedzieli w sąsiednim wagonie patrzali na to,

widzieli wszystko i śmiali się z Macieja jakby z warjata jakiego. Macieja gniewało to okropnie. W okamgnieniu znikł kapelusz, bo nim się obejrzał po za siebie, kolej uleciała już taki kawał drogi, że i śladu kapelusza nie można było zobaczyć.

— Czego się śmiejecie gawrony, małpy! wołał Maciej do swych sąsiadów, co także koleją jechali w sąsiednich wagonach.

Ale gniew ten Macieja pobudzał ich do jeszcze większego śmiechu. Wszyscy byli pewni, że to jakiś człowiek opętany, więc robili przed nim znak krzyża świętego. Maciej aż trząsł się ze złości

— Pomszczę ja się na was! wołał Maciej i zgrzytał z gniewu zębami. Za kapelusz zapłacicie mi jeden złoty i dwadzieścia dudków, a tymczasem za wasz upór dam wam nauczkę.

Po tych słowach jednym z machem ręki stłukł dwie szyby w oknie. Nie skończyło się na tem. Wywijał kułakami dokoła tak, że w dwóch wagonach powybijał wszystkie szyby. Mocno to cieszyło Macieja.

— Teraz możecie mię procesować! wołał. Za kapelusz zapłacicie mi, a te szyby to kara za wasz upór i złość waszą.

Dopiero w pół godziny potem zatrzymał się pociąg na pół minuty, bo stanął na stacyi przedzielającej Szaniec od Kalińca. Tu stawał zawsze pociąg na pół minuty, zabierał wszystkich podróżnych i pędził dalej do Kalińca. Maciej zaś myślał, że urzędnik zląkł się jego gniewu i zatrzymał maszynę.

Maciej pierwszy ze wszystkich wyskoczył z wagonu.

— A co? zawołał z uśmiechem do konduktora od kolei. Kto wygrał sprawę? Jeżeli mi zaraz za kapelusz mój nie zapłacicie jednego złotego i 20 dudków, to was ztąd nie puszczę.

— Kto to okna potłukł? zawołał konduktor.

— A któż, jeżeli nie ja — odparł Maciej bardzo śmiało. To jeszcze dla was kara mała. Na drugi raz trzeba stanąć, jeżeli się jaki przypadek wydarzy. Nauczę ja was, poczekajcie!

Konduktor patrzał na Macieja jakby na warjata jakiego, a wszyscy ludzie co około niego stali kładli się aż na ziemię ze śmiechu.

— W Kalińcu zapłacicie za tę szkodę, rzekł kunduktor, a teraz siadajcie, bo za kilka sekund pociąg odchodzi.

— W Kalińcu? zawołał Maciej bardzo zuchwale. Wy mnie tutaj zaraz za kapelusz zapłacić musicie, bo inaczej nie puszczę was ztąd.

I przy tych słowach chwycił Maciej za koło wagonu. Tymczasem zadzwoniono, z maszyny buchnął dym i pociąg zaczął się powoli z miejsca ruszać.

— Nie puszczę! wołał Maciej. Ja was nauczę!

Gdyby jeden człowiek ze służby kolejowej nie był odtrącił szaleńca na bok, Maciej byłby wpadł pod koło i niechybną śmiercią przepłacić by musiał ten krok zuchwały. Kolej ruszyła i niebawem zniknęła z oka Maciejowi, który stał zdziwiony i jakby piorunem rażony.

— Ja zapłaciłem za podróż aż do Kalińca, zawołał. Oddajcie mi pieniądze lub wyszlijcie mię osobnym wozem, bo inaczej pójdę do sądu.

— To wasza wina — rzekł do niego urzędnik od kolei. Możecie nas skarzyć, gdzie chcecie, a tymczasem zapłacicie za te okna, coście w drodze potłukli, trzy złr.

— Co? zawołał Maciej. A mój kapelusz?

Urzędnik się zaśmiał i rzekł:

— Zapłaćcie natychmiast, bo inaczej ot ten policjant, co tu stoi, weźmie was do aresztu.

Maciej widząc koło siebie policjanta, uląkł się naprawdę, i rad nierad zapłacił żądane pieniądze. Ale w duchu był pewny, że to jakieś oszustwo i że skoro powróci do domu, sądownie zmusi urzędnika do zwrotu pieniędzy i zwrócenia utraconego kapelusza. Mocno rozgniewany poszedł do karczmy i zaczął się odgrażać. Ale arendarz i inni włościanie wytłumaczyli mu powoli, że jego sprawa przegrana, bo kolej nie może się zatrzymywać, choćby kto w niebogłosy wołał i nietylko kapelusz, lecz nawet surdut w drodze zgubił.

— Ale cóż ja teraz mam robić? zapytał Maciej z wielkiem zakłopotaniem.

— Nu co macie robić, rzekł arendarz. Ja wam sprzedam kapelusz, a wieczorem pojedziecie sobie innym pociągiem do Kalińca.

Rad nierad musiał, Maciej usłuchać tej rady. Przepłacił bardzo jakiś stary kapelusz i czekał przez cały dzień na pociąg wieczorny. Pociąg odchodził o ósmej godzinie, a na dziewiątą stawał w Kalińcu. Maciej myślał, że zapłaciwszy w Szańcu za całą podróż, pojedzie teraz daremnie, ale gdy mu wytłumaczono, że musi drugi raz zapłacić, bo kolej nie wraca pieniędzy tym, którzy z własnej winy zaniechali podróży, szarpał włosy ze złości i utrapienia. Ale cóż miał robić? Zapłacił po raz drugi za podróż.

Gdy kolej nadeszła Maciej, siadł do wagonu bardzo spokojnie i ostrożnie, by przypadkiem nie zrobił nowej szkody.

Wśród dalszej podróży nie złościł się już więcej, nie tłukł szyb i nie groził nikomu procesem. Siedział owszem w kącie bardzo spokojnie. Wyrzucał sobie nawet, że nie słuchał pisarza do końca, bo może dowiedziałby się był i o tych przepisach na kolei, a tem samem uniknął przykrego wypadku, który go już tyle pieniędzy kosztował. Koło Macieja siedział jakiś podróżny, który spał jak zabity. Maciej widząc to wsparł się o ścianę i dumając o swem nieszczęsciu, zasnął tożsamo.

(Dokończenie nastąpi)

Stanisław Jachowicz.

Stanisław Jachowicz urodził się dnia 17 Kwietnia 1799 roku w miasteczku Dzikowie nad Wisłą, uczył się w Rzeszowie Stanisławowie, nakoniec we Lwowie. Kiedy ukończył nauki postanowił zostać nauczycielem.

W roku 1818 przybył Jachowicz do Warszawy, gdzie pomimo lat młodych dał się od razu poznać jako doskonały nauczyciel młodzieży. Kochany i szanowny od wszystkich, sam też polubił szczerze Warszawę, i postanowił stale się w niéj osiedlić. W roku 1832 po ciężkich klęskach, jakie Bóg dopuścił na Polskę, po wojnie i po cholerze, wiele było nieszczęśliwych rodzin bez chleba, wiele było biednych sierót bez rodziców i bez przytułku.

Kilkanaście miłosiernych osób, widząc tyle nieszczęśliwych rodzin bez przytułku i chleba, postanowiło złączyć się razem

i wspólnemi siłami założyć Towarzystwo Dobroczyności. Jachowicz wziął pod szczególną opiekę szkółkę sierót urządzoną w towarzystwie Dobroczynności. Maleńka to była szkółka, zaledwie kilkanaście dziatek mogło się w niéj pomieścić.



Stanisław Jachowicz.

W skutek usilnych starań, wynalazł nowe fundusze na powiększenie szkółki; jakoż niedługo potem tyle przybyło sierót, że już pomieścić się nie mogły w domu towarzystwa Dobroczynności. Jachowicz umyślił zebrać potrzebne pieniądzie i wybudować oddzielny dom dla swoich sierót. Kołatał wszędzie gdzie mógł, zarówno do pałacu bogaczów, jak do ubogiej izdebki wyrobnika. Tym sposobem Jachowicz zebrał 80000.

W owym czasie w r. 1839 Warszawa poniosła ciężką klęskę z powodu wielkiego wylewu Wisły. Towarzystwo

Dobroczynności zajęło się natychmiast zbieraniem składek dla nieszczęśliwych nadwiślan; składki tak cudownie wzrastały, że z nich wkrótce urosły ogromne sumy. Z tych to pieniędzy dołączono 36000 złotych na składkę Jachowicza. Stanął też niedługo na nowym świecie dom dwupiątrowy o czterech oknach z porządnym podwórzem, w którym umieszczono około siedemdziesiąt chłopców; tyleż dziewcząt pozostało w gmachu towarzystwa Dobroczynności.

Z prawdziwą pociechą serca patrzał Jachowicz na postępy swoich sierót w naukach. W każdej potrzebie przychodziły one do domu jego, znajdowały w nim pomoc, wsparcie i radę, a wdzięczne za podjęte około nich starania, błogosławiły go i kochały jak Ojca. Kiedy w ostatnich latach mało mógł pracować, a ztąd dochody jego znacznie się uszczupliły, przyjaciele upominali go, aby dla drugich nie zapominał o sobie i o własnych dzieciach. Jachowicz mało zważał na te upomnienia i oddawał resztę, mówiąc: „mnie przecież wszyscy znają, to mi nie dadzą umrzeć z głodu, a ten biedak nie ma kawałka chleba.“

Ciągła i mozolna praca stargała wkrótce zdrowie jego i sprowadziła przedwczesną starość. Miał zaledwie pięćdziesiąt kilka lat, kiedy Bóg dotknął go niemocą i siły pomału opuszczać go zaczęły. W ostatnich jeszcze chwilach życia rozmawiał z kapłanem o ukochanych wychowankach swoich, o ubogich sierotkach ze szkółki.

W późnej jesieni roku 1857, uczuł się nagle słabszym i dnia 24. Grudnia 1857 r. w samą wigilję Narodzenia Bożego oddał, ducha spokojnie, bez cierpień. Cała Warszawa zapłakała rzewnemi łzami, dowiedziawszy się, że utraciła ukochanego dobroczyńcę, tkliwego ojca sierót.

Kasia żniwiarka.

Wróciła Kasia z sierpem od żniwa,
Na progu sobie siadła w komorze;
Znój jej perlisty po licu spływa,
Skłoniła złotą główkę niebożę, —

I patrzy sobie po Bożym świecie,
Na błękit nieba i sadku kwiecie.
Patrzy — aż oto tam na jabłoni
Przysiadła jakaś ptaszyna szara;
Pstrą muszkę goni, piosenkę dzwoni,
Głusząc szmer listków i brzęk komara,
A dziewczę słucha i mówi sobie:
— Ciężej ptaszyno mnie, niżli tobie!...
Nie zbierasz latem, wiosną nie siejesz,
O szatę, chatę nie łamiesz głowy,
W złotem promieniu słońca się grzejesz,
Spoczywasz w wonnym cieniu dąbrowy;
Pieśń twoją pracą, twoim pacierzem,
W błękitach lekkim żeglujesz pierzem.
Lecz nam ptaszyno nie tak się dzieje:
Nam ludziom ciężko pracować trzeba,
I pot się krwawy z czoła poleje,
Nim stanie kąsek czarnego chleba —
O wszystko praca, o wszystko troska,
Nic gotowego nie da dłoń Boska!

Złociste słońce zgasło za lasem,
Na ziemię pada rosa perłowa,
W sadku piosenka ścichła tymczasem,
Śpiewak na nocleg w prątki się chowa,
A dziewczę jeszcze powtarza sobie:
— Ciężej ptaszyno mnie, niżli tobie!...
Ale na polu skończona praca,
Drewniane wrota skrzypnęły w ciszy,
Sędziwy ojciec do chaty wraca,
Jedynej swojej słówko dosłyszy,
I dłoń jej biorąc w grube swe ręce,
Tak cichym głosem mówi Kasience:
— Widzisz dziewczyno gwiazdy na niebie,
Widzisz księżyca światłość promienną?
Choć oczy zamkniesz, one dla ciebie
Będą nad ziemią świeciły senną,
Będą świeciły, bo Bóg im każe,
By nad snem twoim trzymały straże.
— Tak, tak, tatulu! — dziewczę przerywa,
Aż ich zluzuje złoty blask słonka;

Wtedy mnie zbudzi piosnka skowronka,
Z sierpem na zagon pójdę do żniwa,
Złożę na garście, powiążę w snopy,
Pod wieczów sobie zliczę na kopy.
— A potem, potem?.... ojciec znów pyta.
— Potem, jak zawsze, zwieziecie doma;
Na chleb się ziarno omłóci żyta,
A dla bydlątek zostanie słoma.
Toż wy tatulu dobrze to wiecie,
Co rok jednako bywa na świecie.
— Tak dziecię, co rok łaska to Boża
Czuwa nad słabym rodem człowieka,
Dobroci Jego święta opieka
Strzeże źdźbło w ziemię wsianego zboża,
Wśród mrozów puchem śniegu okrywa,
Wiosennem ciepłem lekko ogrzewa;
Przezeń to deszczyk i krople rosy
Odwilżą kiełek, zanim omdleje,
Przezeń słoneczko ozłaca kłosy,
Aż zdrowe, jędrne ziarnko dojrzeje.
I wszystko takim porządkiem idzie,
Co nam w tej ziemskiej potrzebne biedzie.
Więc pomyśl sobie: opiekun taki
Musiał ukochać człowiecze plemię.
— Przecież gdy pierzem przyodział ptaki,
Nas bez odzienia zesłał na ziemię,
Zamiast nad ziarnkiem czuwać troskliwie,
Mógł chleb gotowy rozsiać po niwie;
I gdy dąb z liściem z ziemi wyrasta,
Dlaczego chata wyrość nie może?
Czemu len musi upleść niewiasta,
By z niego miała płótno nieboże?
Czemu gdy dobry i wszechmogący,
Czoło nam skazał na znój gorący?....
— Czemu, niebaczna?.... Mądrość to święta
Miłość swą w tajnię pracy złożyła.
Pracy potęga, pracy to siła
Wyniosła ludzkość po nad zwierzęta;
Bo z konieczności pracy myśl wstała,
Która nam berło wśród stworzeń dała!....
Rzuć oto okiem, czarne te woły,
Jak straszne rogi mają na czole!

Przecież z snopkami do mej stodoły
Mogło je przywieść pacholę;
Bo musząc orać, jarzmo zrobiłem,
I słaby, siłą, pracą, podbiłem.
Błahy to przykład, lecz takim torem
Poszły ludzkości zwycięzkie losy.
Więc, jak przed chwilą umysłem chorym,
Śmiałaś o pracę skarżyć niebiosy,
Tak klęknij teraz, mówiąc w pokorze:
Dzięki Ci, dzięki za pracę, Boże!

Ilnicka Marya.

Przypowieści starej babki.

Moja babusia miała sto lat przeszło i taka staruszka była jak grzybek. Ja byłem wtenczas małym chłopczykiem, a dziś już siwe włosy okrywają mi głowę. Babusia nieraz posadzi mię na ławie przy sobie, a opowiada cuda z tego co zapamiętała

Pamiętam raz patrzy przez okno, pokazuje palcem na pole i mówi:

— Widzisz Piotrusiu tam zboże w kłosy się sypie, a wiatr po niem płynie jak po fali, bo to zboże daleko jak morze po naszym kraju zasiane. Będzie też chleba co nie miara, tyle narodu po naszych wsiach i miastach, a wszyscy się najedzą do syta. Piękne będzie żniwo w tym roku.

— Moja babusiu, zapytałem, dlaczego ludzie tak źle zbierają z pola, że tyle kłosów na ziemi zostaje?

— Moje dziecko, wiesz pan Bóg pamięta o wszystkich, karmi i ludzi i zwierzęta. Te obłamane kłoski on przeznaczył dla ptaszków, ale i bez nich tak dużo mamy chleba, że go sami nie zjemy. Ot my tym chlebem karmimy obce narody za granicą, karmimy Niemców łakomych, co u siebie już chleba nie mają a cisną się do nas jak śmiecie.

— To ich nie puśćmy.

— Jak tu nie puścić. Ziemia nasza miała swoich królów i swoją wolność, a dziś jest jak sierota opuszczona. Francuz ma swego króla i Anglik także, Niemcy mają cesarza i Węgrzy mają króla.

Moja babka żyła za czasów niemieckiego cesarstwa, a teraz już to się odmieniło i nie ma cesarzów niemieckich, tylko są królowie i cesarz austryacki.

Nie dawno wolność utraciliśmy, a już nami każdy pomiata. Ale na nasze bogactwa sąsiedzi łakomi i dobrze nas duszą, aby jak najwięcej wycisnąć. A mówię ci synu, ja lepsze czasy pamiętam, ale przyjdą jeszcze gorsze niż teraz — ty tego dożyjesz i wspomnisz moje słowa. Podatki będą większe, a pieniądze dzisiejsze pokasują i będą coraz gorsze, z jednego zrobią dwa i więcej, a nasz naród już tak wycisną, że się nawet nie będzie miał czem opłacić i ostatnią koszulę sprzeda na podatek, i ostatni kożuch zastawi, i ostatnią mu krowę zagrabią.

Na te straszne słowa mojej babki, ja dziecko małe płakać zacząłem, a ona mię pieści i pociesza:

— Nie płacz mały. Tak będą matki płakać po swoich synach, co ich popędzą w rekruty. Nasza nędza zhartuje nas tak jak żelazo. A gdy już na nas nie będzie co zagrabić, wtenczas naszym zbożem przestaniemy karmić zawłoki, wtenczas naród się weźmie za ręce i będzie jakby jeden człowiek. Wszyscy staną za jednego, a jeden stanie za wszystkich.

— Tych słów mojej babusi już nie rozumiałem, więc poczęła mi opowiadać o tych dawnych czasach, o tem co kiedy widziała lub słyszała, i ja wam też o tem opowiem.

Dziś nasza ziemia wabi swym chlebem Niemców i Moskali, dawniej napadali nas Turki, Tatary i Szwedy. Szwedy mieszkają za morzem Bałtyckiem. Z jednej strony dotykają morza brzegi naszej ziemi, z drugiej strony Szwedzkie wybrzeża.

Zima była mroźna, lód stanął na rzekach, zamarzło także i morze. Niezliczone wojska Szwedzkie puściły się po lodzie i weszły do naszego kraju. Nasze wojsko drogę wrogom zachodzi i staje do bitwy, tymczasem nie poszczęściło się, bo na wojnie tak bywa zwyczajnie, że raz przegrywa jeden, drugi raz drugi Nasi ustępują, a nieprzyjaciel zabiera miasto po miasteczku, wieś po wsi i gospodaruje, zwyczajnie, jak z cudzą własnością. Nakłada ciężkie podatki, ściąga rekruta, a naród biedny cierpi i ogląda się na króla. Wtenczas królował u nas Jan Kazimierz i byłby pewnie pobił wroga, ale jak mówiłem, nie

szczęściło się naszym Więc Szwed zabrał Warszawę i Kraków i już nawet dla króla samego nie było bezpiecznego miejsca, tak że musiał ukryć się za granicę.

Dumny król szwedzki już nawet wyciągnął rękę po nasza koronę i kazał się naszym królem nazywać.

Po nad Wisłą w Krakowie stał znak królewski; przy zamku kościół się wznosi. Tam się królowie nasi koronują, tam po śmierci naród ich ciała składa do grobów. Król Szwedzki kazał się oprowadzić po kościele i pokazywać groby królewskie. Idą przez kościół, ksiądz biskup krakowski tłumaczy Szwedowi, jak który ze zmarłych dla narodu się zasłużył.

— Tu, powiada, leży Władysław Łokietek. Nazwali go Łokietkiem dlatego, że był małego wzrostu, ale duszę miał wielką i serce odważne. On był trzy razy na tronie, bo mu nieprzyjaciele dokuczali i dwa razy musiał z tronu ustąpić, ale gdy trzeci raz wrócił i wrogów pobił; to i umarł już królem.

— Wasz Jan Kazimierz już pewnie nie wróci, rzekł król Szwedzki. A ks. biskup mu odpowiedział: W rękach Boskich są losy ludzkie. Król zachmurzył czoło, ale gdy spojrzał, a tu same trumny i groby królewskie, ustąpiła pycha z serca, i chociaż wróg ciężki, upokorzył się przed zwłokami tylu wielkich i rozumnych królów.

Słowom ks. biskupa, wyrzeczonym w kościele, dał pan Bóg moc proroczą, bo znalazł się między narodem mąż jeden silnego ramienia, co podniósł miecz i pobił Szweda. Ten hetman waleczny nazywał się Stefan Czarniecki. Wypędził Szweda z Krakowa i z Warszawy i za morze z naszym wojskiem popłynął, aby nieprzyjaciela zgnieść w jego własnym gnieździe.

A gdy się w naszej ojczyźnie uspokoiło, zaprosił naród znowu z zagranicy króla Jana Kazimirza, i nasz król powrócił i szczęśliwie panował. Ale gdy się zestarzał, zwołał cały naród na wielki sejm i powiedział:

— Długo służyłem memu narodowi i w wojnie i w pokoju. Strzegłem prawa i zaprowadziłem sprawiedliwość. A teraz się już zestarzałem i nie mam siły dźwigać ciężkiej korony

królewskiej. Wyście mię obrali na króla i dali koronę, więc ja wam oddaję teraz władzę w wasze ręce.

A naród przypomniał sobie, że dobrze mu było z królem Janem Kazimirzem i zapłakał gorzkiemi łzami i prosił, aby korony nie składał i aby dalej królował, ale on już był chory i stary, więc ustąpił z tronu, a naród począł radzić i rozmyślać, kogoby wybrać na króla. Bo nasz naród, dopóki był wolnym, sam sobie królów wybierał, a ja wam później opowiem, jak sobie poradził po ustąpieniu z tronu króla Jana Kazimirza.

Rozmaitości.

— Nowa książka. W Krakowie wyszła nowa książka dla ludu: Historya Polska ułożona w pytania i odpowiedzi przez W. W. przejrzana i poprawiona przez Wł. S. Anczyca. Jest to książka bardzo pożyteczna, a tak zręcznie i dobrze ułożona, że każdy z niej z łatwością pozna nasze dzieje, czasy dawnej potęgi i dzisiejszej niedoli, która spadła na naszą ojczyznę. Czytając tę książkę zdawać się może, że rozmawiamy z jakimś miłym staruszkiem i że ten opowiada nam dziwne historye o potężnych królach i wodzach Polakach, o zwycięztwach Polaków i wreszci o tej klęsce wielkiej, jaką na nas Bóg w ostatnich czasach zesłał. W. L. Anczyc, który tę książkę poprawił i wydał, napisał już dużo pięknych książek dla ludu a każdą z nich ludzie ze wsi bardzo skwapliwie kupowali. Podpisuje się on zawsze na książkach: Kazimierz Góralczyk. Pod tem nazwiskiem i wy go bardzo dobrze znać musicie. Raz wydał ten pisarz w Warszawie tak ładną książkę, że wieśniacy szli do księgarni warszawskich jakby na odpust i w krótkim czasie rozkupili kilka tysięcy egzemplarzy. Przeczytaliśmy już tę najnowszą książkę pana Anczyca i polecamy wam ją jak najmocniej, bo możecie się z niej bardzo łatwo wiele nauczyć i poznać dużo pięknych rzeczy.

— Wkrótce wyjdzie z druku powieść p. t. „**Narbutt**. Jest to ciekawe opowiadanie o ostatniem powstaniu na Litwie, połączone z życiorysem najsławniejszego z wodzów naszych z 1863 roku.

Ktoby chciał takową nabyć zechce listownie napisać do Redakcyi Dziennika polskiego.

— W Sokalu zgorzał d. 29 maja wieczorem klasztor Bernadynów, kościół parafialny i 46 domów wraz z budynkami. Kościół i klasztór Bernardynów szacują na 110.000 złr. zaś szkoda powstała z pożaru domostw i budynków mynosi przeszło 38.000 złr.

— Pożar. Dnia 7go maja spaliła się w Renijowie w powiecie Kolbuszowskim cała zagroda włościańska z sprzętami domowemi i zapasami zboża i dwa sąsiednie budynki. Szkoda wynosi 1659 zlr. Ogień miał być podłożony.

— Pożar. W Knichyniu pod Stanisławowem przedwczoraj zgorzało 20 domów. Na ratunek przybyła straż ogniowa z Stanisławowa wraz z ochotniczą strażą — oraz do 200 ludzi z kolei z sikawkami. Jednak między tymi ostatnimi a strażą ogniową i ochotniczą wszczęła się kłótnia, a sikawki jako działa, wymierzyli przeciw sobie — poczem rozwinęła się bójka i z obu stron wiele jest pokaleczonych.

— Nieszczęsny wypadek. Mikołaj Bodeluk, włościanin z Żabiego w powiecie Kosowskim d. 2go maja wracał wieczorem z karczmy do domu przez rzekę Czeremosz — porwany został przez prąd gwałtowny i utonął.

— Wypadki nieszczęścia. W Tarnopolu powiesił się d. 1. maja starozakonny Majer Schwarz. Przyczyna samobójstwa niewiadoma. Wasyl Gregoraszczuk włościanin z Załucza w powiecie Śniatyńskim wpadł przypadkiem do młynówki i utonął. Dnia 23 maja przy burzeniu muru przy ulicy zwierzynieckiej w Krakowie upadł kawał muru na wyrobnika Kazimierza Pachowicza i zabił go natychmiast. — W temże samem miejscu zasypało wapno M. Tuchalskę, pracującą przy budowie nowej kamienicy w Krakowie na ulicy gołębiej. Z pod gruzów wydobyto ją już nieżywą. — W Mikuliczynie, w powiecie Nadwórniańskim, dnia 23. b. m. porwało koło młyńskie mielnika Michała Żyllaka i tak go pokaleczyło że natychmiast ducha wyzionął. — W Szarej, w powiecie Gorlickim znaleziono d. 22. b. m. w szopie jednego włościana nowonarodzone dziecię nieżywe które tam przez jego matkę a służącą tego włościanina podrzucone zostało. — Dnia 17. bm. zabił piorun w Czarnej w powiecie Gorlickim włościanina i woła w polu. — W Tyczynie w powiecie Ropczyckim znaleziono w krzakach podrzucone dziecię. Dziecko to jest całkiem zdrowe i znajduje się pod opieką zwierzchności gminnej. Śledztwo sądowe w celu wyszukania

— Środek domowy na ból gardła. Zamoczyć małą chustkę w zimnej wodzie dobrze wykręcić i na noc obłożyć szyję i na to dobrze suchą chustką obwiązać by się to miejsce wypociło i nie przeziębić się. Można także, jak to wiarygodna osoba doświadczyła z dobrym skutkiem, chustę umoczoną i wykręconą pokropić trochę okowitą i tak szyję obłożyć — obwiązawszy także po tej dobrze suchem płótnem.

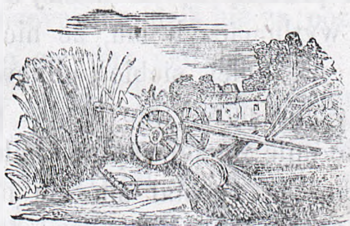
Redakcja Dzwonka przeniosła się z Wałowej ulicy.

Wszelkie listy i reklamacje upraszamy nadsyłać pod adresem Redakcja Dzwonka l. 602¼.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Kazimierz Okaz. — Z drukarni E. Winiarza

Tom I. 11. Czerwca 1870. Nr. 17.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Podróż Macieja Kołowrotka.

Czytelnikom „Dzwonka“ na pożytek i zabawę opowiedział

Bartek Szkolarz.

(Dokończenie)

Maciej spał dość długo. Wreszcie krzyk go zbudził. Przetarłszy oczy zaspane ujrzał Maciej przed sobą konduktora.

— A dokąd jedziecie panie gospodarzu? — zapytał Macieja konduktor.

— Do Kalińca, odpowiedział Maciej.

— Oho ho! zawołał konduktor. My już jesteśmy o dwie mile za Kalińcem.

— Jakto? — zawołał Maciej z całego gardła i jak oparzony wyskoczył z wagonu.

— A cóż to wy sobie myślicie? — wołał dalej Maciej — dlaczego nikt mnie nie zbudził? Teraz zapłacić mi musicie furę do Kalińca.

Konduktor zaśmiał się i rzekł:

— Za te dwie mile musicie wy nam jeszcze dopłacić.

Maciej zaczął krzyczeć, odgrażać się, a w końcu się tłumaczył i prosił, ale to nic nie pomogło. Znowu przyszedł urzędnik z policjantem i Maciej znowu zapłacić musiał za dwie mile,

jazdy. Już teraz na prawdę myślał Maciej o procesie, ale ludzie co stali na drodze, wytłumaczyli mu, że nic na to nie poradzi, bo każdy powinien na kolei siebie pilnować, a kto zaśnie w drodze, ten sam sobie potem złe skutki przypisać musi.

Gdy za te dwie mile Maciej zapłacił należytość, z pieniędzy otrzymanych od brata nie został mu się już ani jeden szeląg A pieniędzy tych było tyle, że inny, poradny człowiek, zajechałby był o nich trzy razy do Kalińca. Maciej widząc próżną kieszeń, stanął tak zdumiony, jak gdyby go kto wśród trzaskających mrozów zimną wodą oblał. Kolej odjechała dalej, a Maciej stanął wśród drogi i dumał.

— Teraz to już nie ma innej rady — pomyślał, tylko trzeba o własnych nogach biedz do Kalińca.

— A którędy to i jak daleko do Kalińca? zapytał człowieka co stał koło kolei.

— Ztąd na prawo ścieżkami zajdzie i za godzinę — odparł zapytany.

Maciej nie czekając dłużej, pobiegł w wskazanym mu kierunku wązką drożyną pomiędzy polami. Wsród tej przykrej drogi, gdyż była to pora jesienna, a błoto w tych stronach szkaradne, Maciej przypominał sobie powoli wszystkie szczegóły swej podróży, wszystkie głupstwa, które popełnił i wszystkie upokorzenia i wstyd wielki, który za to znieść musiał.

— Djabelski to wymysł, ta kolej! rzekł gniewnie i zaczął biedz prędzej wsród błota, gdyż zimno mu się robiło, a noc stawała się coraz ciemniejszą.

— Niech djabli jeżdżą koleją, ale nie ludzie! — rzekł dalej.

Ale w tej chwili odezwał się w nim rozsądek i zastanowienie.

— Ej, może to i nie godzi się tak mówić! pomyślał sobie. Jestto przecież zawsze dobrze jechać prędko jakby na skrzydłach, wygodnie jakby na łóżku, a płacić tak mało. Dla innych ludzi kolej ta musi być dobrodziejstwem. I ja na drugi raz może nie wyjdę tak źle na tem.

I w tej chwili Maciej skruszył się tak, jak dotąd jeszcze nigdy. Zaczął sobie samemu winę przypisywać. Poznawał powoli, że ludzie ani Pan Bóg nie sprowadził dzisiaj tej biedy na niego, lecz własna jego nieporadność.

— Nie chciałem się uczyć, nie słuchałem rady ludzi starszych i rozumniejszych, a dziś już za późno może, pomyślał sobie Maciej i mocno się tem zafrasował.

Na nieszczęście droga była tak przykrą, że ze smutku złości i wyrzutów Maciej omal nie oszalał. Chciał przyspieszyć kroku, ale tymczasem grzązł w błocie prawie po kolana a zimno jesienne dokuczało mu mocno. Po takiej przykrej całogodzinej przechadzce ujrzał wreszcie mimo ciemnej nocy w dali chaty wiejskie.

— A więc to Kaliniec! — zawołał radośnie — Dzięki ci Boże!

Zapomniał w tej chwili o zimnie, błocie i swych nieszczęściach i biegł prędko. Zdawało mu się jednak, że polami prędzej dostanie się do wioski, więc zboczył ze scieszki i puścił się krótszą drogą. Droga ta była rzeczywiście krótszą, bo za chwilę ujrzał już wyraźnie całą wioskę. O kilka kroków przed sobą ujrzał nizką słomianą budkę. Myśląc, że to może jaka stara chałupka, puścił się do niej czem prędzej, ale wnet poznał, że to jest jama na kartofle, przykryta dachem słomianym. Chciał tedy biedz dalej ku wiosce, gdy w tem nagle zatrzeszczała mu słoma pod nogami. Maciej postąpił o krok dalej i wpadł w głęboką jamę. W pierwszej chwili zemdlał prawie ze strachu. Gdy oczy otworzył, nie widział świata, bo leżał w głębokiej, wązkiej i błotnistej jamie.

— Gwałtu! Gwałtu! wołał Maciej i szamotał się w jamie, chcąc przynajmniej stanąć na nogi, ale nadaremnie, bo jama ta była tak wązką, że niepodobna było podźwignąć się z niej.

Krzyk tożsamo nic nie pomógł Maciejowi, bo wioska odległą była o kilkadziesiąt kroków, a do tego było to już po północy, więc wszyscy spali w najlepsze. Maciej leżał bezwładny i nie wiedział nawet, co się z nim dzieje.

— Może to jama na wilki? pomyślał. Może ja tu leżę obok wilka, który mię na śmierć zagryzie?

I na tę myśl Maciej przestraszony okropnie, zaczął wołać z całego gardła: Gwałtu, gwałtu! Ale i teraz krzyk ten nic nie pomógł. Wsród takich okropnych mąk, wsród ciągłej trwogi, w zimie, na błocie, przeleżał Maciej kilka godzin. Dopiero nad ranem usłyszał koło siebie kroki i głosy ludzkie.

— Dla Boga ratujcie poczciwi ludzie! — wołał Maciej ochrypłym głosem.

— Aha mamy cię przecież raz ty złodzieju! ozwał się jakiś głos nad jamą.

— Ależ ja nie złodziej; ratujcie, bo zginę! błagał Maciej.

— To giń sobie, złodzieju Andruchu, kiedy ci się cudzych kartofli zachciało — odpowiedział znowu ten sam głos.

— Ja nie Andruch i nie złodziej — piszczał Maciej. Ja nie chciałem kraść waszych kartofli, ja jestem Maciej z Jagódki!

— Damy my ci tu zaraz Jagódkę! zawołał drugi głos.

— Przez cały miesiąc kradłeś kartofle, a gdyśmy cię do wójta pozwali, groziłeś nam jeszcze, że cię posądzamy niesłusznie o kradzież. Otóż teraz mamy dowód. Trzeba było na ciebie aż zasadzkę robić jak na wilka. Ale teraz już nam nie wyjdziesz!

Maciej słysząc te głosy w jamie, a nie widząc nikogo, wołał tak rzewnym głosem, jakby modlitwę jaką odmawiał.

— Ludzie poczciwi zlitujcie się dla Boga! Ja Maciej, a nie złodziej Andruch! Wyciągnijcie mię z tej jamy a przekonacie się o tem!

— Wyciągniemy cię — rzekł głos z nad jamy, ale zaraz odstawimy cię do aresztu.

Ludzie ci włożyli po tych słowach do jamy tykę długą, której się Maciej jak zbawienia uchwycił. Przy pomocy tej tyki Maciej stanął na nogi i z wielką trudnością dostał się z jamy na wierzch. Gdy Maciej stanął przed napastnikami swymi wyglądał jakby upiór jaki. Cały był pokryty błotem włosy miał najeżone okropnie, a ze strachu i zimna trząsł się jak ryba. Ludzie widząc go przed sobą, a poznawszy, że to nie Andruch, cofnęli się także ze strachu w tył. Noc jeszcze zupełnie nie ustąpiła, poranek świtał zaledwie, więc ludzie ci widząc Macieja zabłoconego, sądzili, że to djabeł i poczęli co tchu ku wiosce uciekać. Maciej biegł za nimi i wołał:

— Tyle przez was ucierpiałem; teraz przynajmniej powiedzcie mi, czy ta wioska na prawdę nazywa się Kaliniec i gdzie mieszka ksiądz?

Ale obaj ludzie biegli, ile im tylko sił stało i nie słysząc słów Macieja, myśleli, że spotkali na prawdę jakiegoś szatana, który pędzi za nimi. Nie oglądali się w tył, bo było jeszcze dosyć ciemno, a zresztą bali się, by ich djabeł swym urokiem nie zabił. Maciej tymczasem biegł tożsamo prędko i chciał dopędzić swych napastników, by mu drogę do księdza wskazali. Ale ludzie ci, jakokolwiek byli więcej zastraszeni niż Maciej, biegli prędzej i wpadli do wioski z wielkim krzykiem:

— Upiór!... Djabeł!... Czart!...

Świtać już zaczęło, więc ludzie we wsi zbudzeni ze snu wybiegali na drogę, by się dowiedzieć, co te krzyki znaczyć mają.

Plebanja stała na początku wsi, więc ksiądz zbudzony krzykiem, wyleciał najpierw z domu.

— A cóż tam się stało? — zapytał ksiądz zbitych w gromadkę ludzi.

Z gromadki wyszło dwóch ludzi i rzekło do księdza:

— Ktoś nam ciągle kartofle z jamy wykradał. Chcąc złapać złodzieja, zrobiliśmy zasadzkę ale zamiast złodzieja, złapał się jakiś upiór, który pędził za nami aż pod wieś samą. A toż to w tem miejscu właśnie, jak powiadają ludzie, zamarzł przed kilkoma laty jakiś żebrak, więc to pewno jego dusza z piekła.

W tej chwili ujrzano na kilkadziesiąt kroków przed sobą jakąś postać.

— To on! gwałtu! — zawołali wszyscy i chcieli uciekać.

Ksiądz zaczął tłumaczyć, że duchy nie chodzą po świecie, że ten upiór jest pewno człowiekiem. Ale mimo to wszyscy bardzo byli strwożeni, a każdy robił znak krzyża św. i chował się za plecy księdza.

Maciej tymczasem bardzo powoli zbliżał się do wsi. Po tylu przypadkach przykrych stracił zupełnie odwagę. Stąpał ostrożnie noga za nogą, a ciągle się dokoła oglądał. Gdy już zbliżył się do pierwszej chałupy we wsi, szedł jeszcze ostrożniej.

— Zrobili ze mnie złodzieja, a potem djabła, pomyślał w duchu. Gdy mię zobaczą we wsi, gotowi mię jeszcze zamordować.

Szedł więc noga za nogą, robił ciągle znak krzyża św. i mówił głośno:

— W imię Ojca i Syna i Ducha św. Ja nie złodziej ani, djabeł — ja jestem Maciej z Jagódki!

Ludzie widząc, że upiór żegna się i wymienia Trójcę przenajświętszą, uspokoili się, a ksiądz usłyszawszy ostatnie słowa Macieja, pobiegł prędko do niego, by mu się dobrze przypatrzyć.

Gdy ksiądz Jan przybliżył się do Macieja, nie poznał z początku w tym zbiedzonym i zestraszonym człowieku swego brata. Maciej tożsamo nie poznał od razu swego brata, bo był bardzo zestraszony.

Dopiero po chwili obaj prawie równocześnie zawołali: bracie! i powitali się serdecznie.

Gdy biedny Maciej ochłonął ze strachu, opowiedział swemu bratu całą swą biedę i wszystkie przypadki, których doznał w swej podróży.

— Gdybym teraz był dzieckiem — rzekł do brata — poleciałbym na skrzydłach do szkoły i uczyłbym się pilnie, bo ta moja głupota może mi kiedyś w życiu jeszcze większe nieszczęścia zgotować. Ale podobno już wszystko za późno.

— Wszystko jeszcze da się naprawić! — rzekł ksiądz Jan pocieszając swego brata.

I rzeczywiście wszystko dało się naprawić. Maciej przy pomocy swego brata nauczył się czytać i pisać i poznał dużo pięknych rzeczy, o których przedtem i nie śniło mu się nawet nigdy.

Dzisiaj jest Maciej Kołowrotek najzamożniejszym i najrozumniejszym gospodarzem w Jagódce. Syna swego wysyła do szkoły i co niedzieli czyta z nim różne piękne książki. Ile razy spotka się z takim, co tak jak on za młodu naśmiewał się z nauki opowiada mu zaraz wszystkie te pocieszne przygody. A słowami swemi umie tak dobrze trafić do serca i rozumu, że już niejednego na dobrą drogę naprowadził.

Ksiądz Piotrowicz.

We Lwowie wydaje p. Alfred Młocki, poseł na sejm krajowy, bardzo tanie książeczki. Takich książeczek wyszło już kilkanaście, a każda kosztuje zaledwie trzy lub cztery centy. Są tam opowiadania o rozmaitych świętych patronach naszego kraju, o królach i pobożnych ludziach, którzy pomiędzy nami żyli, i zasługują na uwielbienie. Ostatnia książeczka, opowiada znów o prześladowaniach wiary katolickiej na Litwie przez shizmatyków Moskali. Z tej to książeczki podajemy wam kilka ciekawych ustępów:

„Wdzień Zwiastowania Najświętszej Panny Maryi w 1870 roku, skoro tylko zaszarzało na wschodzie, widać było mnóstwo ludzi spieszących na odpust do kościoła św. Rafała do Wilna.

Wilno miasto duże i piękne, ale nieszczęśliwe, bo je Moskal trzyma w swoich pazurach.

Jest tam brama murowana, szeroka, duża, a w bramie obraz Najświętszej Panny, co się od tego nawet nazywa Matką Boską Ostrobramską. Przed obrazem jest ołtarz i nieraz tam się odprawiają nabożeństwa.

Przed ołtarzem ksiądz Piotrowicz mszę już odprawiał.

Po mszy świętej ksiądz Piotrowicz pojechał do kościoła św. Rafała. Naród za nim popłynął jak fala. Nim ksiądz jeszcze wyjdzie z kazaniem, to wam opowiem, co się stało dzień przed świętem Zwiastowania. Swięto było w piątek, a we czwartek zawołał księdza Piotrowicza ksiądz Żyliński, jeden z owych niecnych kapłanów Judaszów, przekupionych przez Moskwę, i powiedział:

— Masz tu księże dwieście książek do nabożeństwa, pamiętaj, abyś je rozdał pomiędzy ludzi na odpuście.

Ksiądz Piotrowicz otwiera jedną książkę i patrzy się, a tam w niej nabożeństwo moskiewskie, shizmatyckie, po moskiewsku napisane, więc mówi: Ja moskiewskich książek nie rozdam.

A na to znowu ks. Żyliński: Weź te książki, w nich tylko pismo moskiewskie, ale nabożeństwo katolickie.

Ksiądz Piotrowicz zabrał książki i poszedł do domu.

Rozczytawszy się w domu w tych książkach, przekonał się, że w nich moskiewski obrządek, siadł więc przy piecu i tak długo niemi palił, dopóki wszystkie nie zgorzały. Tylko jedną zostawił niespaloną.

Na ambonę wyszedł ksiądz Piotrowicz. W jednej ręce trzyma zapaloną świecę, a w drugiej książkę moskiewską.

Naród z obawą spogląda na księdza; wiedzą, że wczoraj był u zdrajcy ks Żylińskiego, boją się, aby nie obrażał dusz ludzkich i nie zamawiał na schizmę. Ksiądz się przeżegnał i mówi:

— Bracia! szczęśliwy jestem, iż tak licznie zebraliście się Wyszedł ukaz carski, aby do kościoła katolickiego wprowadzić język moskiewski, mnie go kazali wam odczytać. Przytem dostałem od księdza Żylińskiego dwieście książek z moskiewskiem nabożeństwem. Wszystkie spaliłem, tylko tę jedną zostawiłem, abym was o prawdzie słów moich przekonał; tę więc tu w oczach waszych palę.

To mówiąc zbliżył świecę do książki; papier się zajął i buchnął płomieniem.

— Niebezpieczeństwo jest wielkie. Chcą was zmusić do przejścia na schizmę.

— Idę ze spokojem do domu, a może mię porwą na drodze, ale nie lękam się śmierci za wiarę.

Gdy ksiądz zchodził z kazalnicy, otoczył go lud cały niby murem, a zaledwie wyszedł z kościoła, rzuciła się na niego moskiewska policja — ale naród silnie stał przy swoim kapłanie i własną piersią go zasłaniał.

— Zabić siepaków! wołano w tłumie.

— Nie zabijajcie, mówił łagodnie ksiądz Piotrowicz, albowiem oni nie wiedzą co czynią, a są podobni do psów, co ich car szczuje na uczciwych ludzi.

Litwini nie wydali księdza, a siepaków obili i napędzili A ksiądz Piotrowicz na drodze stanął i mówił:

— Bracia pozwólcie mię wziąć. Moskale mają karabiny i armaty, wyszlą wojsko i zgniotą was, a mnie zabiorą. Idźcie do domu. Niech was Bóg błogosławi, jak ja was w tej chwili błogosławię po raz ostatni! A lud cały głośno zapłakał, i cisnął się do księdza. I całowali jego ręce, i rąbki szat jego. A niektórzy darli po kawałeczku jego suknię i chowali jako najświętszą relikwię

Moskale wysłali cały batalion wojska, co się z bębnami zbliżało do tłumu narodu i wrzeszczało:

— Precz — z drogi — buntowniki! i dali ognia. Kule moskiewskie uderzyły w piersi ludu, padali zabici i ranni, dzieci i kobiety. Bezbronnym wydarli księdza Piotrowwicza i powlekli do więzienia.

Gubernator moskiewski natychmiast po uwięzieniu wydał na księdza Piotrowicza wyrok śmierci przez powieszenie. Wiadomość o tem posłał do cara. Ale car rozumny jak szatan, nie chciał księdza Piotrowicza zabijać otwarcie, boby świat

powiedział, że rząd moskiewski morduje księży. Przysłał więc rozkaz do gubernatora, aby księdza wywieźli daleko, w głąb krajów moskiewskich, do Archangielska nad morze lodowate, gdzie wiecznie panuje zima. Wolę cara spełniono.“

Tak to Moskale prześladują braci naszych za wiarę.

Bartłomiej Głowacki.

Hej! tam w karczmie za stołem
Siadł przy dzbanie Jan stary,
Otoczyli go kołem,
On tak mówił do wiary:

Ja mówiłem wam nieraz,
Że dziś zuchów już mało;
Wiara bracia, źle teraz,
Dawniej lepiej bywało!



Za mych czasów to słynął
Kum Bartłomiej Głowacki:
Od Moskali on zginął,
Oj to krakus był gracki!

Bo czy w karczmie, czy w domu,
Czy to taniec, wesele,
Nie dał bruździć nikomu,
Wszędzie sam był na czele.

Nasz Bartosz nad wszystkimi
Jaśniał jak dąb wspaniały,
Bo w krakowskiej też ziemi,
Nikt nie dorósł mu chwały.

Raz pamiętam z wieczora
W Racławicach stoimy,
Wtem coś miga z za bora,
I Moskali widzimy.

Jak Kościuszko ich zoczył,
Kazał bębnić na bitwę —
Wtem Głowacki poskoczył,
A miał kosę jak brzytwę.

Jak wziął machać, wywijać,
My też obces na wrogi;
Dalej ranić, zabijać,
Aż Moskale het w nogi!

Het przez rowy, przepaście,
Uciekali jak wściekli —
Myśmy armat dwanaście
Do Kościuszki przywlekli.

Jak się zeszli wodzowie,
Bartosza przywitali,
Pili na jego zdrowie,
I serdecznie ściskali.

Ja mówiłem wam nieraz,
Że dziś zuchów już mało;
Wiara bracia, źle teraz,
Dawniej łepiej bywało!

Gdy to wyrzekł Jan stary,
Zapał w oczach mu błysnął,
Wspomniał na swój wiek jary,
Starą kosę uścisnął.

Młodzież kubaki nalała,
Wychyliła „jo duszkiem
„Oto zuchy, krzyczała,
„Nasz Głowacki z Kościuszkiem!“



Kto skończy, nie kto zacznie, zapłatę odbiera.

Powiadają, że w pewnem mieście był kościół opuszczony, do którego król co nocy jednego żołnierza na wartę posyłał. Lecz tego żołnierza wtedy tylko widziano, gdy szedł na wartę, nie wracał już bowiem z kościoła, gdyż tam była królewna zaklęta, która co nocy żołnierza jednego żywcem pożerała. Trwoga opanowała całą straż przyboczną króla, a nie było nikogo, coby się chciał poświęcić dla pana swego.

Wtem pojawił się walny młodzieniec Mikołaj, który nie miał się czego jąć na świecie i postanowił do wojska przystać. Jakoż wielka tam była radość, że takiego fryca ułowili. Zaraz włożyli na niego mundur i kazali mu iść na wartę do kościoła. Ale wpadł on jednemu żołnierzowi w oko; podobał mu się bardzo. Ten tedy żałował go mocno, znienacka przystą-

pił do niego i powiada: Nie chodź do kościoła,... ztamtąd nikt jeszcze nie wrócił,... szkoda twojej urody, zginiesz marnie.

Przerażony Mikołaj postanowił tajemnie opuścić służbę wojskową. Gdy już był za ostatnią bramą miasta, zastąpił mu drogę poważny staruszek i zapytał: Dokąd idziesz On mu wszystko powiedział, co się stało i przed jaką przygodą uchodzi. Staruszek łagodnie spojrzał na niego i zawołał: Na samym wstępie zawodu rycerskiego stchórzyłeś haniebnie! wiedziałeś wszakże, że zdrowie i życie twoje poświęcić masz temu stanowi, któremuś wierność zaprzysiągł, a ty go zdradzasz niegodziwie.

— Ojcze! zmiłuj się, nie znęcaj się nademną! ja do otwartej walki zawsze gotów jestem; ale ta zaklęta królewna tyle ofiar już pochłonęła, jakże ja jej podołam?

— Nie ma co mówić, pięknie się wymawiasz. To dla tego, że ona tysiąc żołnierzy pożarła, ma i ciebie pożreć? Ażali nie wiesz; że nie ma nic stałego pod słońcem? dziś zwycięzca, jutro może być zwyciężonym. Dlatego też wracaj do służby, nie bój się, ona ci nic nie zrobi. Ale skoro wnijdziesz do kościoła, zamknij drzwi za sobą, a potem wstąp na ambonę, gdzie spokojnie przesiedzisz całą noc w kościele.

Usłuchał staruszka, poszedł do kościoła, drzwi zamknął za sobą i usadowił się na ambonie. Lecz długo nie mógł przyjść do siebie, zwłaszcza gdy zgruchotane ołtarze, rozrzucone obrazy świętych pańskich i grobowa do koła cisza przestrach ten pomnażały. Pośrodku stał katafalk czarnym całunem pokryty, a na katafalku niezwykłej wielkości trumna leżała. Bije dwunasta godzina, wieko z trzaskiem wielkim odskoczyło,.. powstała zaklęta królewna, oczy jakby ze snu przetarła, westchnęła ciężko i poczęła chodzić po kościele. O godzinie pierwszej układła się do trumny, wieko z trzaskiem zapadło i ponura cisza zapanowała.

Potem widzeniu zasnął Mikołaj i nie obudził się, aż żołnierze zaczęli do drzwi kołatać. Jak krzyknie na nich: A kto tam taki? — tak oni ze strachu pouciekali. Poszedł do starszego i zrobił mu dokładne sprawozdanie z nocnej wycieczki i sądził, że już wolnym będzie od tej nieszczęsnej warty. Stało się atoli inaczej. Przyszła wieczorna godzina, żaden żołnierz nie chce

iść do kościoła, wszyscy wołają: Mikołaj niech idzie na wartę. On zaś nie wiele myśląc, począł inną stroną ze służby wojskowej uchodzić, aby się z dziadkiem nie spotkać. Lecz zaledwie ostatnią bramę miasta minął, znany mu głos odezwał się: A dokąd to tak spiesznie zmykasz Mikołaju?

Stanął zawstydzony i powiada: Oni się uwzięli mię zgubić, znowu mi kazali kościoła pilnować,... raz mi się udało, drugi raz pewnie nie uda,... dlatego uciekam.

Pomnij synu! że kto skończy, nie kto pocznie, zapłatę odbiera. Wracaj do służby,... nie bój się,... ona ci nic nie zrobi, ale dzisiaj przesiedzisz całą noc przy organach.

Usłuchał on dziadka, poszedł do kościoła i usiadł przy organach. O dwunastej godzinie wstała królewna, jak szalona uganiała się po kościele, a nie znalazłszy ofiary do pożarcia, znowu zajęła miejsce swoje. Zrana poszedł Mikołaj do starszego, aby złożyć sprawozdanie i pewnym był, że już więcej nie pójdzie na wartę. Lecz niestety przyszedł wieczór, nikt nie chce iść do kościoła,... wszyscy wołają: Mikołaj był już dwa razy, nic mu się nie stało, niechże i trzeci raz idzie! — a co gorsza, że i przełożeni uradzili, żeby on codziennie chodził na wartę. Wtedy Mikołaj postanowił oddalić się i nie wracać więcej do wojska. Uciekał z miasta różnemi zaułkami, aby się gdzie nie zdybać z dziadkiem, lecz zaledwie minął ostatnią bramę miasta, wnet zawołało: Co u licha, czy skoki zajęcze do nóg przyczepiłeś, że tak prędko biegniesz Mikołaju?

Głos ten dziwny jakiś urok nań wywierał, nie mógł się oprzeć onemu, stanął jak wryty i powiada: Ej dziadku, dziadku! ty drwisz ze mnie, a wszakże oni mi kazali codziennie iść na wartę, aby mię tym sposobem koniecznie zgubić.

— Synu! czy nie wiesz, że życie człowieka nieustanną jest walką? dlaczegożeś zwątpił o twej sile? Kto wytrwa, ten zbawion będzie. Przeciwności są nieuchrone, ale „Kto się w opiekę podda panu swemu,“ tego miłosierdzie boże osłoni przed każdą przygodą. Wracaj do służby, nie bój się, królewna nic ci nie zrobi; ale dzisiaj schowasz się pod katafalk, a gdy ona wyjdzie z trumny, ty natychmiast położysz się na jej

miejsce; ona cię będzie szczypać, dusić i kąsać, nie ruszaj się wytrwaj, a radość wielką oglądać będziesz.

Usłuchał on tej rady, poszedł do kościoła i schował się pod katafalk. Bije dwunasta godzina, wieko z trzaskiem odpadło,... królewna zaklęta wyszła z trumny, a on zaraz poszedł na jej miejsce. Bije pierwsza godzina, wraca królewna rozgniewana, że nie znalazła ofiary i rzuciła się jak dzika na Mikołajka, i nuż go szczypać, dusić i kąsać, by go z trumny wydobyć i pożreć. Lecz gdy się bez skutku długi czas szamotała, usiadła najspokojniej. Owa jędza, w baranka się przemieniła,... jako troskliwa gołębica poczęła rozmawiać łagodnie i dziękować, że od klątwy została uwolnioną. Rano przychodzą żołnierze do kościoła, ona im każe przywołać króla z księdzem, by ją połączył z Mikołajem. Król uradowany idzie z księdzem do kościoła,... katafalk znika, ołtarze wracają do swej okazałości,... hucznie grają organy,... królewna z Mikołajem ślub bierze. Uciecha powszechna po całym kraju, a igrzyskom i zabawom publicznym końca nie było

Razu pewnego jedzie on w karecie z królewną na spacer. Gdy wyjechali za miasto, spotkali znanego staruszka i wysiedli oboje z karety, by mu podziękować za dobrą radę. Lecz on powiada: Na tem nie koniec — i porwał królewnę i rozdarł na dwoje, a położywszy jedną połowę ciała na prawą, drugą zaś na lewą stronę, zawołał: — Teraz dobrze.

— Ej dziadku, dziadku! cóżeś najlepszego zrobił, odezwał się rozpłakany Mikołajek. Tylem się nabiedował, by dostąpić tego szczęścia, a ty pozbawiłeś mię tego skarbu,...

Ufaj synu! kto skończy, nie kto pocznie, zapłatę odbiera. I podniósł jedną połowę ciała,... i wstrząsnął silnie, a pięćset żołnierzy wypadło i stanęło po prawej stronie. Potem wziął drugą połowę ciała, wstrząsnął silnie, a pięćset żołnierzy wypadło i stanęło po lewej stronie. Królewna odżyła daleko piękniejsza i milsza,... dziadek zniknął, a rycerze z tryumfem odprowadzili Mikołaja do miasta, który odtąd bardzo wesołe i szczęśliwe życie prowadził.

Tak to ludzie bają w wolnych od pracy chwilach, lub zimowemi wieczorami przy kądzieli, i nie wiedzą nawet, że

te dziwne opowieści, choć są nieprawdziwe, choć się nigdy nie zdarzyły, są często piękną dla nas nauką. Potrzeba tylko nieco zastanowienia, a każdy pozna, że i w bajkach takich może znaleść i naukę i pociechę dla siebie.

My wszyscy jesteśmy wojownikami tu na ziemi,... owa królewna zaklęta, to ciemnota, która nas zewsząd otacza,.. ów staruszek poczciwy, to sumienie nasze, jedyny przewodnik z nieba, który nas do walki zagrzewa... Więc żwawo do boju! a gdy ciemnota pokonaną zostanie, natenczas zabłyśnie chwała na wysokościach, a na ziemi swobodnie zapanuje spokój ludziom dobrej woli.

Wicenty z Pokucia

Opowiadania mojej babki.

Było to za naszego króla Sobieskiego, kiedy na Niemców z niezliczonem wojskiem nadciągnęli Turki. Dniem i nocą idą i jadą, a wszyscy spieszą pod Wiedeń, i obsiedli to miasto, jak rój gdy z gniazda wyleci i uczepi się gałązki. Niemcy patrzą z miasta i skóra na nich pocierpa. Wysłali wojsko swoje niemieckie, ale wojsko nie dostało placu, i uciekło, aby się schować za murami, Wiedeń bowiem był wysokim murem otoczony. Schowani za mury strzelali Niemcy do Turków i nie dopuszczali do miasta. Pomyślał sobie więc Turek, poczekaj, będzie sztuka na sztukę i gdy Niemcy strzelali, Turek cofnął się tak daleko, aby go kule nie dosięgały i na rozległych polach około Wiednia rozłożył się obozem. Z początku myśleli Niemcy, że ich nieprzyjaciel zabawkę wyprawia, ale gdy im po niejakim czasie zabrakło żywności, bo wszystkie zapasy już zjedli, a Turcy do miasta nie przepuszczali ani zboża, ani mąki, wtenczas okrutny strach padł na Wiedeńczyków i rada w radę, co dalej począć.

U nas panował wtenczas król Jan Sobieski; dzielne miał ramię, a gdy dobył krzywej szabli, to aż w powietrzu zaszumiało, a kiedy po nad głowami wrogów nią zawinął, wtenczas sto głów nieprzyjacielskich potoczyło się po ziemi. Znali go po całym świecie z tej cnoty, najlepiej zaś Turcy, bo na ich

karkach nieraz błyszczała krzywa szabla królewska, i naliczyć się nie mogli, ilu ich padło od jego pałasza. Prawda Sobieski ich nie szukał, ale oni sami jak łakome psiarstwo złazili się na naszą ziemię, aby nas z dobytku obedrzeć. Gdy więc teraz Turki ścisnęli Niemców Wiedeńczyków, a ci prawie już z głodu ginęli, przysłał niemiecki cesarz do naszego króla posłów z prośbą o pomoc.

Sobieski siedział na pozłocistym tronie, a obok niego jego żona, a dalej radni i ministrowie. Gdy wszedł poseł niemiecki ukląkł przed królem i błagał ze złożonemi rękami o pomoc, król wstał i powiedział:

— Sąsiadowi dobremu pomoc się należy, i gdybyście wy Niemcy z nami żyli w zgodzie, to już bez waszej prośby byłbym wysłał wojsko na pobicie Turka. Ale wy w biedzie tylko zginacie kolana i prosicie o pomoc, i zaprzysięgacie przyjaźń a gdy bieda minie, natenczas zapominacie o wszystkiem i jesteście najzaciętszym nieprzyjacielem

— Panie miłościwy ratuj nas i całe chrześciaństwo przed Turkiem, rzekł znowu klęczący Niemiec, a my zawsze na wieki będziemy waszymi przyjaciołmi.

— Was wyratować, rzecze król, a wyście nigdy za nami nie wyciągnęli ręki, a zmawialiście się zawsze na naszą zgubę — wy Niemcy nawet sami najeżdżaliście tę nasze świętą ziemię i paliliście nasze wioski i rabowali kościoły. Wszak to wszystko jest w księgach zapisane, a teraz mówicie: ratuj nas i całe chrześciaństwo Wy przepadajcię, boście naród fałszywy — wolę dzikiego Turka, niż fałszywego Niemca.

Teraz rzucił się na kolana poseł od papieża z Rzymu i błagał króla w imieniu papieża, aby Niemców obronił przed Turkiem.

Na to król odpowiedział: Dać pomoc Niemcom, to dać krew naszą i ludzi naszych za wolność niemiecką, więc mamy nastawiać nasze karki za tych, co tylko czyhają na zgubę naszego narodu? My na Turka nie pójdziemy, bo on nie naszedł naszej ziemi on nam nie rabuje wiosek, ani z pastwisk naszych nie zabiera bydła. Gdy do nas przyjdzie, wtenczas my go pobijemy, i jego trupami zgnoimy nasze pola tak, jak tyle razy z nim uczyniliśmy.

Ale posłowie cesarza niemieckiego nie przestawali prosić i na kolanach błagać o zlitowanie i pomoc. Król odwołał się do rady swojej. I jedni mowili pójść, a drudzy radzili zostać w domu i dobrze radzili, ale przecie przy końcu stanęło na tem, aby dać pomoc uciśnionym Niemcom.

W starożytnym Krakowie zgromadza się nasze wojsko, król rusza przez góry Karpaty, pod Wiedeń Król jedzie przez rynek krakowski, a nad nim wysoko, migoce białem skrzydełkiem gołąbek i leciał tak długo, dopóki Sobieski nie minął murów Krakowa, a potem wrócił, usiadł na Sukiennicach i skamieniał na znak żałoby. Sukiennice, tak się nazywa duży gmach w Krakowie na rynku, co go jeszcze król Kazimierz wielki kazał wybudować; a biały gołąb skamieniały dotychczas siedzi na murze na znak, że król Jan Sobieski na własne nieszczęście wyratował Niemców z biedy, bo się nam tak odwzięczyli, że nam zabrali wolność, obdarli i przyprowadzili do ostatniej nędzy.

Tymczasem król pobił Turków pod Wiedniem. Jedni z nich zginęli na pobojowisku, a drudzy uciekli, zostawiwszy namioty i wielkie bogactwa Wszystkie te bogactwa naszym się dostały, a dziś ani śladu nie ma z tego, ze wszystkiego nas obdarli. Pobiwszy wroga, wjechał nasz król do Wiednia, głodni Niemcy, widząc że już są wybawieni, rzucili się na naszych i całowali nawet konie wojska naszego i nogi i płaszcze, a który się nie mógł docisnąć, był szczęśliwym, gdy mógł się dotknąć przynajmniej sukni naszego wojaka. I wołali: Niech żyje król! ale cesarz niemiecki przysłał policajów i zabronił ludowi wołać: niech żyje król! tylko kazał wołać: Niech żyje cesarz niemiecki! I wrzeszczeli Niemcy swojemu cesarzowi, niech żyje! choć on ich z biedy wyciągnąć nie umiał, ale się nadymał teraz, gdy już nieszczęście przeminęło.

Wyjechał cesarz niemiecki naprzeciw naszego Jana Sobieskiego, aby go powitać, ale był hardy i nie chciał zdjąć z głowy pierwej kapelusza, dopóki mu się Sobieski nie ukłoni Zapomniał tak prędko, że jeszcze wczoraj Niemcy z głodu umierali, a przed naszym królem, posłowie jego w prochu leżeli, prosząc o litość. Król Jan się zbliża i rękę podniósł, by wąsa podkręcić. Widząc to cesarz natychmiast chwycił za kapelusz i pierwszy się ukłonił, teraz z uśmiechem nasz król powitał Niemca.

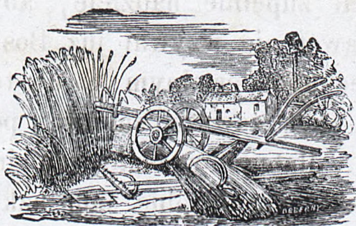
Redakcja Dzwonka przeniosla się z Wałowej ulicy.

Wszelkie listy i reklamacje upraszamy nadsyłać pod adresem Redakcja Dzwonka l. 602 1/4 - Pałac Dzieduszyckich.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Kazimierz Okaz. — Z drukarni E. Winiarza

Tom I. 21. Czerwca 1870. Nr. 18.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Krzyż wioskowy.

Pod samym Krakowem leży piękna wieś Łobzów. Włościanie tej wsi pamiętają lepsze czasy. Pamiętają owe czasy, kiedy w zamku, co się w pośrodku wsi wznosił, przemieszkiwali polscy królowie. Ale w czasie, gdy się to działo, co wam mili czytelnicy opowiedzieć zamierzam, to jest za panowania króla polskiego Zygmunta III. zamek królewski w Łobzowie stał pustką, chociaż świeżo staraniem tego króla odnowiony. Król Zygmunt III. bowiem, przeniósł stolicę polski z Krakowa do Warszawy i odtąd, dla zbyt wielkiej odległości nie zjeżdżał na lato do Łobzowa, jak to czynili jego poprzednicy.

Pańskie oko konia tuczy; gdy pan nie pilnuje, chudoba biedę uczuje, mówi przysłowie. Kraków osierocony, zapomniany, tracił powoli dawną świetność, a i Łobzów także podupadał.

Biedy jednak nie było jeszcze widać w Łobzowie, prócz u jednego Michała Cwioka. Był też to bardzo nieszczęśliwy człowiek: dzieci miał bez liku a gospodarstwo się nie wiodło, rola nie rodziła. Do tego w pięciu latach trzy razy pogorzał. Wśród tych ciągłych klęsk, które Stwórca w niedoświadczonych swoich wyrokach, jedną po drugiej zsyłał na niego, biedaczysko tak podupadł na duchu, że zupełnie zwątpił o miłosierdziu

Boskiem, i mając się za jakąś upośledzoną, odepchniętą od Boga istotę, stracił zupełnie nadzieję, aby mu kiedy lepsza zajaśniała dola i nawet nie wzywał już Boskiej pomocy i zmiłowania. Żyjąc w grzechu śmiertelnym, a do tego wśród ciągłych trosk i nieszczęść, był zawsze smutny, ponury, małomowny. Sąsiadów, kumów, dlatego właśnie, że im się lepiej działo, znienawidził i unikał, czem sobie sam szkodził, bo nie jeden z krewniaków rad mu był podać rękę w nieszczęściu. Uroiło mu się, że jak Bóg tak i świat cały odwrócił się od niego, chociaż to właściwie on tylko sam odwrócił się od Boga i od świata. Otóż do czego prowadzi brak wiary i ufności w Boga, zwątpienie i rozpacz.

Jakby na ostateczne zgnębienie biednego Michała zesłał Bóg na jego żonę ciężką chorobę. Zdawało się, że już teraz nie ma ratunku dla nieszczęśliwej rodziny. Dzieci głodne, zbiedzone, brudne, tuliły się koło biednej matki wołając chleba, ale matka była tak cierpiąca, że się ani ruszyć nie mogła. Michałowi serce pękało, targał włosy z rozpaczy, ale przecie nie ugiął kolana przed Bogiem, nie uciekł się o pomoc i radę do nikogo z sąsiadów.

— Michale ratuj, nie daj mi ginąć marnie, wołała nieszczęśliwa kobieta, cóż się stanie z temi sierotami po mojej śmierci!

Michał zgrzytnął zębami, załamał ręce:

— Cóż ci poradzę? jak cię mam ratować? Jeźli ci to pomoże jak łeb o mur rozbiję, to chętnie to uczynię, bo i tak mi życie obmierzło.

— Idź do Jana Wielgusa, jego żona niedawno tak samo chorowała, spytaj się, co robili.

Michał uśmiechnął się gorzko i westchnął, poczem wyszedł z izby, posiedział trochę na ławce przed domem, podumał i ręce wtył założywszy, powlókł się zwolna drożyną. Krzyż stał przy drodze, stary, mchem obrosły i miłośnie ku przechodniom wyciągał ramiona, jak stary ojciec do dzieci. Ileż to już łez pod tym krzyżem niedola wylała, ile pociech wyprosili sobie cierpiący. Ścieżka pod sam krzyż dobrze wydeptana, świadczy że tu często mieszkańcy wioski przychodzą, ale i ścieżka pro-

wadząca do karczmy, zaledwie o paręset kroków ztąd oddalonej, także nie zarosła chwastem! Jak wszędzie, tak i w Łobzowie krzyż dla jednych, karczma dla drugich jest źródłem pociechy. Jedni jej w modlitwie drudzy w kieliszku szukają. A Michał? Michał przyszedłszy pod krzyż, ani spojrzał na niego, czapki nawet nie uchylił. Pierwszy raz mu się to zdarzyło, bo dotąd chociaż się nie modlił, przecież nigdy do tego stopnia się nie zapomniał. Ale zaledwie uszedł kilka kroków, dobra natura przemogła: obrócił się, zdjął czapkę, a nawet się przeżegnał z uszanowaniem, jakby dla naprawienia tego co był uczynił. Chociaż był to zaledwie cień skruchy, anioł stróż dostrzegł go zaraz i z wesołem poselstwem pospieszył do nieba, a Bóg litościwy i tę odrobinę przyjął łaskawie.

Michał poszedł do karczmy, minął w milczeniu kilku sąsiadów, których tam zastał i kazał sobie podać wódki za ostatnie dwa grosze. Dziwna jakaś siła odpychała go jednak od kieliszka, że nawet ust nie umaczał. Wtem wszedł do karczmy Jan Wielgus, a spostrzegłszy Michała, zbliżył się ku niemu i pozdrowił.

— Witajcie Michale, mnie żona moja do was posyła, bo się dowiedziała, że wasza słabuje; jeźli nie pogardzicie życzliwem słowem, chcemy wam dać dobrą radę. Michał odwrócił się z niechęcią i westchnął:

— Bóg zapłać — dla takich jak ja nie ma rady.

— Ej wy zawsze swoje, rzecze Jan, ja z całego serca do was gadam, a wy się odwracacie.

W tej chwili gwar jakiś zrobił się przed karczmą: ludzie wybiegli do sieni i Jan z Michałem także wyszli za drugimi. Czterokonny pojazd stał przed karczmą. Dwa konie właśnie padły, a dwa drugie okropnie bokami robiły, zziajane i pyłem okryte. Snać pędzono nie na żarty. Woźnica skoczył z kozła i rzucił się do koni, a drugi sługa dworski, bo nikogo więcej w pojeździe nie było, wołał na przypatrujących się chłopów:

— Hej chamy! przyprowadzić tu zaraz parę koni, tu idzie o życie pana wojewody, pan wojewoda zapłaci złotem... hej żwawo! ani chwili nie ma do stracenia!

Gdy on tak wykrzykuje na chłopów, Jan gwałtem ciągnął Michała za sobą.

— Czego mię ciągniecie? powie Michał, nie słyszycie, że tu złoto obiecują? A dalejże prędzej po konie... ja nie pójdę bo ich nie mam.

— Nie chciwym na zarobek, odrzecze Jan i złoto mi nie potrzebne, ale potrzebna mi jest łaska Pana Boga, a wiem, że na nią zasłużę, jak was dobrą radą poratuję.

Michał czoło zmarszczył i ustąpił z Janem kilka kroków w bok. Jan rzekł:

— Moją żonę, która niedawno tak samo jak wasza chorowała, uleczył doktor z Krakowa, który zowie się Sebastyan Petrycy, anioł nie człowiek. Jeżli chcecie dam wam koni, i sam z wami pojadę, poprosimy, a ręczę wam głową, że kobieta wasza za tydzień wstanie.

Michał wzruszył ramionami

— Jakto wolicie dać koni mnie za darmo, niż tam za złoto?

— Widać, że wolę, odpowie poczciwy Wielgus, ale już nie pytajcie o nic, jeno chodźcie siadać na wóz, bo szkoda czasu.

Przyjechali do Krakowa, wchodzą do wiadomej Janowi kamienicy, a potem na schody, prowadzące do mieszkania doktora. Gdy weszli do pierwszej izby, ujrzeli w drugiej starca z długą brodą siedzącego nad wielką księgą. Obok niego stał kościotrup ludzki, na stole kilka czaszek i kości leżało, które starzec brał do rąk, opatrywał i znowu się w księdze zatapiał.

Był to pan Petrycy. Posłyszawszy, że ktoś wszedł, udał się do pierwszej izby. Jan i Michał skłonili się, pozdrowieni uprzejmie; Jan się przypomniał doktorowi, obaj proszą, aby jechał do chorej Michałowej.

— Dobrze moi kochani, powie Petrycy, zaraz pojadę, poczekajcież niech się zbiorę.

Radość zajaśniała na ich twarzach, a wtem drzwi się z trzaskiem otwarły, wchodzi ten sam sługa, co przed karczmą Łobzowską złotem chciał płacić za konia.

Pan Petrycy spytał czego żąda.

— Pan Wojewoda śmiertelnie chory, przysyła po pana doktora. Pędzę co koń wyskoczy — dwa konie padły w Łobzowie, alem najął od chłopów, wszystko gotowe tylko siadać.

Jan się zakłopotał:

— A to mi klina zabił... biedny Michał! tom mu się przysłużył. Cóż ja teraz poczę? Chyba innego doktora trzeba szukać...

A Michał uśmiechnął się gorzko po swojemu i pomyślał:

— Wiedziałem, że tak będzie... takim jak ja zawsze tak się dzieje... dla takich jak ja nie ma rady, nie ma ratunku...

Lecz pan Petrycy przerwał te ich smutne myśli.

— Mój przyjacielu, rzekł do sługi, teraz nie mogę jechać, bo widzisz, ci ludzie pierwej przyszli, więc...

Sługa z pogardą spojrzał na chłopów, dziwnem mu się to zdało, że im ktoś daje pierwszeństwo przed jego panem i rzekł:

— Pan wojewoda zapłaci...

— Wiem, wiem, odparł prędko pan Petrycy, ale też właśnie dla tego im się należy pierwszeństwo.

Bogaty dziesięciu Petrycych mieć może, a ubogi żadnego. Pan wojewoda jeżli umrze, zostawi majętność, a żona tego biedaka, jeżli umrze, zostawi sieroty.

Teraz już sługa wojewody zapomniał języka w gębie, a co się działo w sercach poczciwego Jana i nieszczęśliwego Michała, każdy sobie łatwo wyobrazi.

Przyjechali niebawem do Łobzowa. Pan Petrycy opatrzył chorą, dał leki i zaraz się jej lepiej zrobiło. Posiedział chwilę, pogadał, pouczył, nie żałował czasu, ani myślał o tem, że tam pan wojewoda może się niecierpliwi.

W tydzień potem dzieci Michałowe przez wdzięczność, że Bóg ich matce powrócił zdrowie, polnemi kwiaty umaiły krzyż wioskowy. Z radością w sercu widziała matka ten ich piękny uczynek. Klękła pod krzyżem i modliła się długo. A gdy odeszła, nadszedł Michał wracający właśnie od spowiedzi. Rzuciwszy się do stóp krzyża, objął go rękami i łzami polewał. Z Bogiem i z ludźmi pojednany inaczej już na świat poglądał: przekonał się, że i Bóg jest miłosierny i ludzie nie tak źli jak mu się zdawało.

Odtąd dola jego polepszała się stopniowo. Doktor Petrycy zaś w kilka lat potem umarł. Wszyscy ubodzy gorzko jego stratę opłakiwali, mówiąc: już po nas, kiedy Petrycy nie żyje! Był on rodem z Pilzna, pochowany w Krakowie. Krótko przed śmiercią sam ułożył sobie nagrobek następujący: „Stolicy, ojczyźnie i wszystkim starałem się służyć pismem, przykładem i radą. Strzegłem się prożnowania i poświęciłem się pracy. Gościu! wejrzyj w siebie i pomnij, iż tylko ten żyje, kto pracą i cnotą dla dobra powszechnego chwile swe poświęca“

Stanisław Krakowczyk.

Szczęście.

Na innych, Boże, płyną z Twojej ręki,
Zdroje bogactwa, potęgi i chwały,
A jam i biedny, i lichy, i mały,
I za toć składam najgorętsze dzięki.

I błogosławięć za ubóstwo swoje,
I błogosławię za swój stan prostaczy;
Bom w nich bogatszy od świata bogaczy,
I od mocarzy świata wyżej stoję.

Bo wiara w szczerą miłość mych współbraci,
To skarb mój wszystek, chluba to prawdziwa;
Ona to tylko, ona mię bogaci,
I najwspanialszą purpurą okrywa.

A jakże nie ma wierzyć, dobry Boże,
Tej świętej Ducha Twojego iskierce,
Taki, kto z siebie nic więcej nie może,
Dać bliźnim swoim, krom serca za serce?

A więc z ufnością skwapliwie i szczerze,
Kochanym braciom swym podaję ręce,
I całem sercem ich współczuciu wierzę,
I tobie Panie, hołd dziękczynny święcę,

Za niewielmożność i ubóstwo swoje,
Którym obłuda nie zachodzi w drogę,
Przez które zdradnych pochlebstw się nie boję,
I dobrze słowo brać za prawdę mogę.

I choć mię nieraz serce srodze boli,
Choć mi powieka łzą nabrzmiewa krwawą,
Przez miłość ludzką, w smutku i niedoli,
Szczęśliwym jeszcze nazwać się mam prawo.

Adam Pług.

Dumka.

Na dolinie, na zielonej
Widzę w dali wioskę małą,
Domek płotem ogrodzony
Na zakręcie brzozę białą.

Do gościnca droga długa,
Na niej lipy i topole;
Poza wzgórzem srebna struga,
A za strugą szczere pole.

Nawet kwiatki takież prawie,
Na pagórku, na przydrożu,
Dziki piołun w bujnej trawie,
I bławatki rosną w zbożu.

Gdyby jeszcze tam na boku
Krzyż się chylił na rozstaju,
A dąb siny u potoku,
Tobym myślał, żem już w kraju.

Jaka cicha szczęsna chatka!..
Przy niej matka, dziewcząt dwoje,
Czemuż to nie moja matka,
Czemuż to nie siostry moje?..

T. L.

Zbiór herbaty.

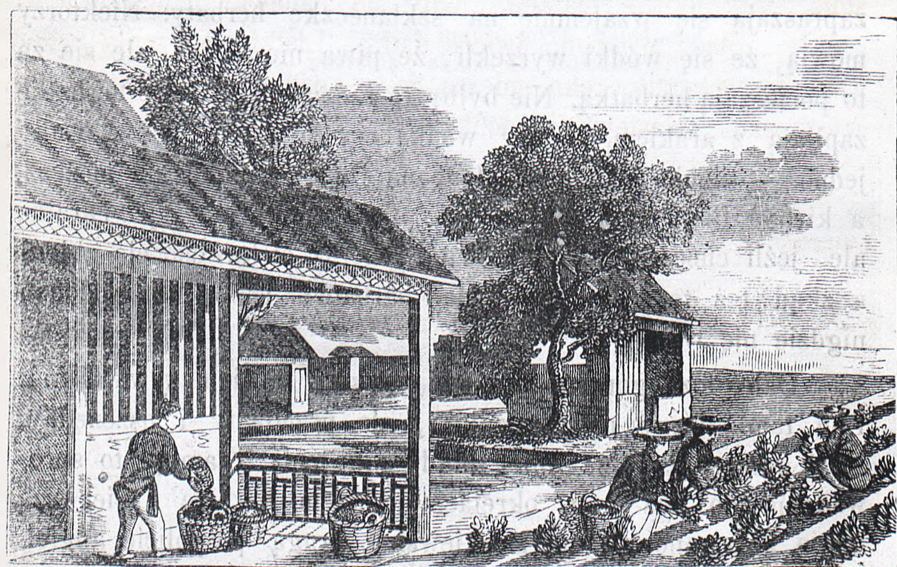
I pomiędzy ludkiem naszym zdarza się już często, że w czasie jarmarku, po dobitym targu, gospodarze i gosposie zapraszają się wzajemnie na szklaneczkę herbaty. Niektórzy mówią, że się wódki wyrzekli, że piwa nie lubią; ale się za to pocieszają herbatką. Nie byłby to żaden grzech, aleć herbatkę zapijają z arakiem, a czy wódka czy arak, toć to wszystko jedno — siebie oszukasz, ale pana Bogą oszukać nie możesz, a kiedyś Bogu przyrzekł, że nie pijesz wódki, nie pijże i araku; ale jeżli chcesz, czystą herbatę. Nieraz ciekawość cię zbiera a zkąd też to wzięła się u nas herbata? Toć u nas podobno nigdzie nie rośnie.

Daleko za górami i morzami jest kraj, co się nazywa China. Lud tam liczny nadzwyczajnie, ale pracowity i oszczędny. Kraj gorący, tak że śnieg nigdy nie pada. Ztamtąd to sprowadzają do nas i na okrętach i lądem herbatę. Pierwszą zowią karawanową, lub moskiewską, drugą pospolicie angielską, bo na okrętach przychodzi.

Herbata jest to roślina wysoka trzy do sześciu stóp. Rośnie na gruncie miernym, potrzeba jednak wiele pracy i potu,

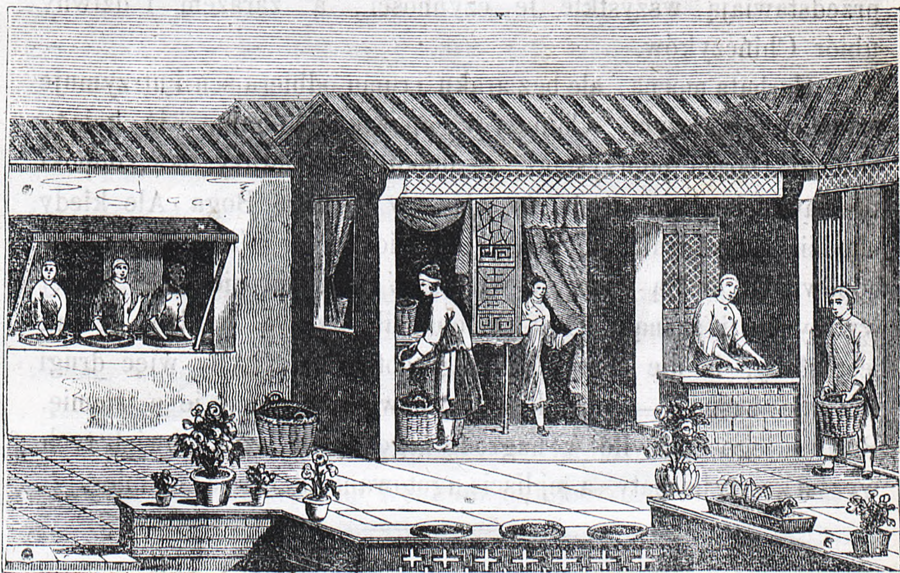


aby ją należycie zebrać. W trzecim roku, bo pierwej nie można, obrywa robotnik czyściutko ubrany i należycie wykąpany pojedyncze listeczki, a kiedy tylko nieco się zmęczył i spocił idzie natychmiast do kąpieli, i starannie się myje. Dziennie może

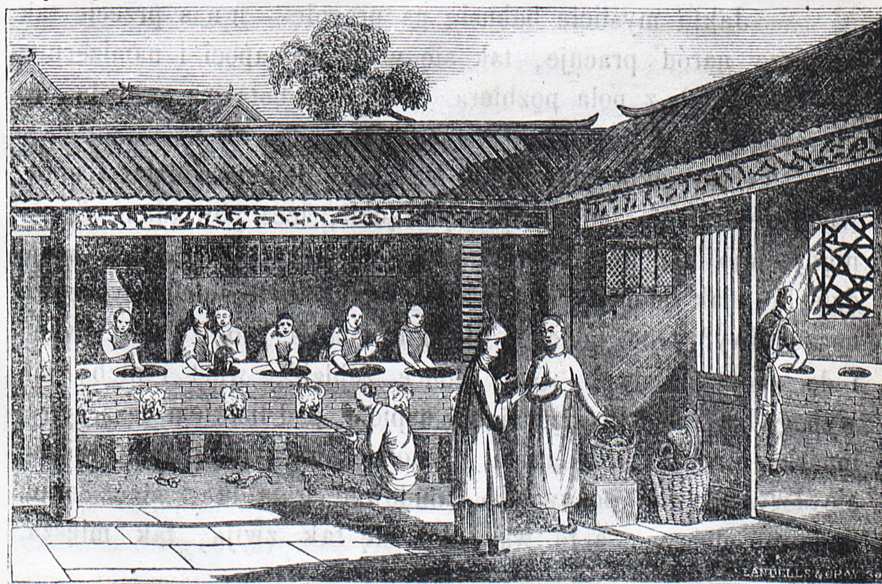


uzbierać 10 do 15 funtów. Co roku zaś odbywają się 3 lub 4 zbiory herbaty, mianowicie ku końcu lutego,w maju, w połowie czerwca i w sierpniu. Najlepsza herbata jest ze zbioru pierwszego, następne co raz gorsze gatunki. Po siedmiu latach

wycinają wszystkie rośliny herbaciane i z nowych wypustków, jak już wspomnieliśmy zbierają herbatę dopiero w trzecim roku. Kiedy listki ebrano, kładą je w małe piecyki i suszą. Na piecykach tych ustawione są małe płaskie panewki, a obok



stoją stoły okryte matami. Gdy się panewki należycie rozgrzały, układają na nie świeże listki. Listki poczynają pękać a wtedy robotnik ręką miesza je w panewce, dopóki może wytrzymać. Następnie chochlą wybierają się listki i układają



na stołach, a robotnicy biorą je w ręce w małych ilościach i zwijają. Kiedy w ten sposób wysuszono herbatę, wtedy wybierają co lepsze osobno, i albo chowają na domowy użytek albo opakowują i wysyłają na sprzedaż. Obrazki załączone przedstawiają wszystkie te czynności, a zarazem i dziwny ubiór Chińczyków.

Herbata mocna, ale bez araku i rumu odbiera sen i utrzymuje człowieka rzeźwym. Chińczycy opowiadają bajkę, iż książę chiński Darma poprzysiągł, że dopóty nie zmruży oka, dopóki nie nawróci całego narodu do wiary w jednego Boga. Ale kiedy chodził ustawicznie od wioski do wioski od miasta do miasta i opowiadał swoją wiarę, z wielkiego zmużenia nie mógł dłużej wytrzymać i zasnął Gdy się obudził, żałował bardzo, że tak jest słaby, iż nie może przysięgi dotrzymać. Aby więc drugi raz nie zasnąć — obciął sobie powieki i rzucił je o ziemię. Bóstwo jego sprawiło w nagrodę tego czynu, iż z powiek tych wyrósł krzew herbaty, a jej liście ugotowane dlatego sen odbierają.

Opowiadanie mojej babki.

— Jakieby to u nas były urodzaje, gdyby ludzie umieli na prawdę gospodarować, mówiła do mnie raz moja babka staruszka.

— Jakto myślicie babusiu na prawdę — u nas przecie tak szczerze naród pracuje, tak się w lecie napoci i namizeruje, nim ten chleb z pola pozbiera. Już to robota na prawdę, to nie zabawka.

— Na oko zdawałoby się, żeś lepiej widział i sprawiedliwej niż ja ludzką pracę osądził, lecz powiadam ci, że nigdy jajo nie było mądrzejsze od kury. Widziałeś moje dziecko, jak słońce rano wstaje i jak serdecznie przygrzewa nasze niwy? Ono podobne do gospodarza, co wstał o świcie i do nocy pracował. Gdy słońce zejdzie, wnet i niebo się wypogadza, ptaszki zrywają się uśpione pod listkiem leszczyny, muszki i robaki, zwierzęta i człowiek zaczynają żyć, ruszać się, wyszukiwać pożywienia, budować gniazdka, siać, orać, budować domy... a to wszystko się tak zwija, tak miesza,

a jedno drugiemu nie przeszkadza. Rolnik idzie za pługiem, co go ciągnie koń, lub woły, a nad nim wysoko zakręca kółka skowronek w powietrzu, a śpiewa, a z daleka po zaoranem polu, po skibach długie nogi wyciąga bocian i co chwila pochyla szyję i zbiera owady; rolnikowi nad uchem zabrzęczała pszczółka, leci po miód na kwiaty: tyle zamięszania w świecie, ale słońce gospodarz patrzy na to wszystko i pilnuje porządku. Bywa też czasami, że słońce się spóźni albo i całkiem obwinie się chmurami i drzemie na niebie, wtenczas i rolnik zaśpi i późno wyjdzie na pole, ptaszki się późno pobudzą i pszczoła późno wylatuje do pracy, a kogut śpiący, co chwila strzepie skrzydłami i pieje na całe gardło, aby się rozbudzić.

— Do czegoż to zmierza, babusiu, ja widziałem i słyszałem wszystko, co babka opowiada.

— Chcę cię tem przekonać, dlaczego powiedziałam, że u nas nie gospodarują na prawdę. Na ziemi dnie pogodne i słotne najczęściej się wyrównują, lecz gdy przypadkiem słońce za często gdzieś na niebie się zabawia, a u nas deszcze leją na ziemię i całe gospodarstwo się rozpręże, wtenczas urodzaje liche, żniwo biedne, a ludzie cierpią nędzę.

— A jakże temu ludzie zaradzą, aby słoty nie było?

— Na to nie ma rady, ale jest rada na to, aby nie było biedy... Opowiem ci przykład do tego. Zajechał raz gospodarz do karczmy w ulewę, aby się schronić przed deszczem, lecz dach był dziurawy i zewsząd ciekło i kapało na wóz i konie gospodarza, krzyknął więc na arendarza: czemu dachu nie każesz naprawić? Panie gospodarzu, powiada arendarz, jakże ja mogę dach naprawiać, kiedy deszcz pada? To każ naprawić w pogodę. W pogodę nie potrzebuję naprawiać, bo deszcz przez dach nie leje. Mój synu, gdy będziemy tak postępować jak arendarz, to nam w każdą słotę nieszczęście się za kołnierz naleje. Ale myśmy w pogodę powinni pamiętać, że przyjść mogą dni słotne. Powinniśmy w lato urodzajne pamiętać, że nastać mogą nieurodzaje.

— Teraz już rozumię.

— Ale spytałby kto, z czego tu można na złe czasy przechować, gdy człowiek co roku tyle zbierze, ile mu konie-

cznie do życia potrzeba. U nas tak jest w części, ale najczęściej dzieje się przewrotnie. Zbierze się na żniwo dużo chleba, więc mój gospodarz sprasza sąsiadów i sobie dogadza dopóki pełno w komorze, a gdy przyjdzie przednowek, to się kuli, i wyszukuje zieleninę, jak bydło i pożycza na lichwę, a wszystko dla tego, że się nie obrachował i źle zarządził.

— A cóż ma zrobić, gdy na prawdę zebrał z pola za mało?

— Powinien się był postarać o to, aby zebrał więcej. Powinien był zapatrzyć się na słońce gospodarza, co wstało raniutko, a ani chwili nie odpoczywało z założonemi rękami. Powinien czas uszanować i zużytkować

— Mnie się zdaje babusiu, że te rzeczy, które się szanuje, leżą na półce w komorze, albo w skrzyni, toż i czas szanować potrzeba, a nie zużywać.

— Nie moje dziecko, czas się właśnie przez to poniewiera, że się go nie używa. Czas to jak woda, gdy ją w beczce przez kilka dni potrzymasz, to spleśnieje, a gdy użyjesz, to i strawę na wodzie zgotujesz, wypierzesz brudną bieliznę i siebie z brudu obmyjesz. Dla tego potrzeba czas zapełnić pracą. Lecz nasi ludzie na wsi nie szanują czasu, późno wstanie, leniwo pracuje, wyciąga się na wszystkie strony, a ziewa, nawet chód naszego wieśniaka taki ociężały, powolny. Jeżelibyś chciał mieć przykład, jak człowiek pracowity dochodzi do majątku, to ci tylko wskażę na żydów. Popatrz, jaki on ruchliwy, jak szybko się zwija, jak zapobiegliwy, a z wszystkiego umie korzystać. Powiesz mi może, że żydzi szachrują? Ale ja ci na to odpowiem, że między katolikami znałem takich szachrai, że się dziwiłem, jak to być może, aby takich ludzi święta ziemia nosiła. Ale popatrz na żydowską kobietę, jak ona z czasu korzysta, siedzi za szynkwasem, odprawia i handluje z każdym, co ma do niej interes, a robi pończochę, a ile takich pończoch na rok się zbierze? Popatrz na żydowską rodzinę, jest kilkoro dzieci, a we wsi nie ma szkoły, ale arendarz trzyma nauczyciela do dzieci, co je uczy czytać na żydowskiej książce. U nas dla katolików szkoły pobudowane, a iluż to gospodarzy można naliczyć, co swoich dzieci do szkoły nie posyłają? Żyd się nauczył czytać po żydowsku

i czyta biblię, — a wiecie, że biblia żydowska taka sama jak nasza, i nasze dzieci także uczą się żydowskiej historyi przed narodzeniem Chrystusa Pana, bo Jezus Chrystus urodził się w Żydowskim narodzie.

— Toż mamy zostać żydami?

— Nie synu, mamy tylko od nich nauczyć się z czasu korzystać. Bo widzisz ja mam drogie korale, a sąsiadce Katarzynie one się podobały i w mieście takie same kupiła, toż jeszcze Katarzyna mną nie została. Starajmy się zawsze od drugich nabyć to, co w nich jest dobrego, więc gospodarności i oszczędności uczmy się od żydów. Bądźmy jak oni wyrachowani, uczmy jak oni swoje dzieci czytać i pisać, a czasu nie marnujmy, a będziemy mieć jak oni pieniądze i ratunek na złe czasy i biały chleb na przednowku. Na zakończenie powiem ci jeszcze jedną przypowiastkę, ale nie wymyśloną, tylko szczerą prawdę.

— Żyd Leizor był biednym krawcem i jakoś mu się nie szczęściło. Pracował i oszczędzał, a przecie nie mógł przyjść do pieniędzy, zwinął więc węzełek, wziął kij w rękę i tak po drodze zarabiając igiełką, zawędrował aż nad szerokie morze. Jako potrzebnego rzemieślnika przyjęli go na okręcie i tak przez morze przeprawił się do Ameryki. W Ameryce znalazł się między ludźmi obcymi, a nie rozumiał ich mowy, ani oni jego żydowskiego nie rozumieli języka. Ale Lejzor umiał po amerykańsku rachować i myślał sobie, jeżeli już umię rachować potrafię sobie znaleść robotę. Jak zaczął chodzić i z początku łatać a potem suknie nowe robić, a grosik do grosza składać i oszczędzać tak po kilku latach otworzył sklep w dużem mieście, a dziś jest jednym z najbogatszych kupców. Bo umiał czas oszczędzać, i gospodarować na prawdę, szczerze a wytrwale.

Rozmaitości.

* Pewien o zbrodnią obwiniony w Stokholmie w Szwecyi, według fałszywego świadectwa, skazany został na rusztowanie. Wyprowadzony na miejsce do wykonania kary przeznaczone, dostrzegł niespodzianie pomiędzy zgromadzonym ludem, swojego oskarżyciela, a wtedy wzniósl rękę

do góry i zawołał głośno: Świadku fałszywy! Świadku fałszywy! Dziś a jutro pozywam cię przed sąd Boga sprawiedliwego! — I w tej samej chwili, kiedy głowa niewinnego pod mieczem katowskim upadła, wtedy i krzywoprzysięzki świadek padł na ziemię i w gwałtownych konwulsyach zakończył życie.

* Zmarłemu Arcybiskupowi w Bordo we Francji, za jego życia jeszcze, dano znać pewnego razu, około Wielkiejnocy, o zgłoszeniu się do niego ubogiej niewiasty, która z prośbą udawała się do znanej jego serca dobroci i litości nad cierpieniem bliźniego.

— W jakim wieku ta kobieta? zapytał się Arcybiskup swojego szatnego.

— Ma prawdopodobnie około 70 lat.

— Czy rzeczywiście w przykrem jest położeniu?

— Sama przynajmniej tak mówi.

— Toć trzeba temu i wierzyć. Dajcie jej 25 franków.

— Jakto, 25 franków? łaskawy Panie, ta kobieta to żydówka!

— Żydówka? o to znowu co innego; dajcie jej więc 50 franków, i podziękujcie jej za położone we mnie zaufanie.

* Jaki z gwiazd użytek? W pewnem dość licznem towarzystwie, pomiędzy wielu przedmiotami zajmującej rozmowy, ktoś niespodzianie zapytał: Jaki też nam gwiazdy użytek przynoszą? — Co na to odpowiedzieć, jeden na drugiego spoglądał ciekawie; wreszcie majętny kupiec przerwał ogólne milczenie:

— Wiele w mojem życiu odbyłem podróży, rozliczne załatwiałem interesa, ale nigdy nie było zdarzenia, żeby się gwiazdy przyczyniły do pomyślnego uskutecznienia spraw moich.

— Czyliż to zawsze ma nam wszystko przynosić korzyści i zyski, rzekła jedna z pań, muzyka i kwiaty są także mniej użyteczne, ale że piękne, są one dla mnie rozkoszą prawdziwą.

— Daruj pani, że się jej sprzeciwię, odezwał się wojskowy, muzyka nie mały przynosi użytek, ona ułatwia pochód żołnierzom, i do niejednego przyczyniła się zwycięztwa.

— I kwiaty są użyteczne, bo pszczołom dostarczają pożywienia, a krowy z pożytecznych roślin raczą nas wybornem mlekiem obficie, dodał wiejski gospodarz.

Na takie zdania stary z ogorzałą twarzą żeglarz, co to prawie całe życie na morzu przepędził, poczerniał, błyskał oczami, a wargi mu zadrgały; nareszcie rzekł z przekąsem: Dla was moi państwo, co wygodnie przy piecu siedzicie, dla was zapewne mniej są gwiazdy potrzebne, w waszem mieszkaniu w każdy kąt traficie, a gdy od siebie z domu wyjdziecie, to po wszystkich ulicach i placach, liczby i szyldy na wszystkich umieszczone kamienicach, potrzebne wam miejsce wskazują, a jeżli wyjdziecie za miasto, to napisy nadrożne uwiadamiają was, którędy dalej udać się macie, bo to wszystko dla waszej wygody obmyślone. Ale kto tylko na rozległy świat głowę wychylił, i z numerowanych ulic i gościńców napisami oznaczonych, dostał się na pustynię lub na otwarte morze, ten przekona się wtedy o pożytku z gwiazd wynikającym, i Bogu za nie podziękuje. Kiedy wędrowcy

przyjdą na pustynię, a ostatnie góry i pagórki zaczną się z przed ich oczu uchylać powoli, i znikną nareszcie, a oni wówczas wkoło siebie nic nie widzą, prócz piasku i nieba, któż wtedy wskaże drogę biednym, samym sobie zostawionym wędrowcom? Tam nie ma strumyka, nie ma gościńca, ani drogi, ani ścieżki; żadnego śladu poprzednio tędy przechodzących pielgrzymów nie ujrzysz, bo wiatr suchym a lekkim piaskiem wszystko zasypał, wyrównał, a cała nieprzejrzana ze wszystkich stron okolica, rozciąga się przed naszemi oczami, jak powierzchnia równa i gładka. Żaden pomysł ludzki nie wskaże drogi, nie zawiedzie do celu podróży. Wtedy to potrzeba oczy zwrócić ku niebu, i kierować się według biegu słońca; to zaś rozpala głowy wędrowców i znagla ich do przywdziania obszernych zawojów, aby się uchronili od gwałtownej słabości, podczas gdy w straszliwym żarze słonecznym z trudnością po usuwającym się z pod nóg piasku postępować przychodzi. Dla tego dogodniej podróżuje się nocą, lub wcześniej przed wschodem słońca, i wieczorem po zachodzie. Wtedy to zjawiają się gwiazdy, które od tysiąców tysięcy lat wiecznie i niewzruszenie na jednem miejscu pozostają na niebie, jak: gwiazda polarna, plejady, syryusz, i inne znane wam przynajmniej z kalendarza; ci więc niebiescy przewodnicy, są dobrodzyńcami i opiekunami podróżnych, bo oni nie tylko prawdziwą wskazują im drogę, a znaną wszystkim podróżnym, nie tylko im niemylny wskazują kierunek, ale pewnie i bezpiecznie do zamierzonego prowadzą celu.

I tu niekiedy dają się słyszeć bez myśli prawie, przy pożegnaniu oddalającego się przyjaciela, wyrzeczone słowa: Niech cię szczęśliwie gwiazdy prowadzą; tam znowu wybierającym się na pustynię, życzą zawsze pomyślnego światła gwiazd; te zaś pożegnalne wyrazy, głębokie swoje mają znaczenie. Kiedy się niebo zasępi, a gwiazdy pobledną, wtedy wędrowiec, jak od wszystkich opuszczony, w niczem sobie zaradzić nie zdoła, i musi czekać, chociażby mu i ginąć przyszło, dopóki mu słońce, księżyc lub gwiazdy nie zabłysną; bez nich bowiem nie wie, gdzie prawo lub lewo, jak to podobnie i w naszym kraju podróżującym trafiać się zwykło, kiedy ich gęsta mgła na obszernej, śniegiem pokrytej płaszczyźnie, niespodzianie napadnie.

Przebywający pustynie a znaglony czekać na słońce, księżyc i gwiazdy, ma przynajmniej grunt stały przed sobą; ale o wieleż to jest dotkliwiej dla żeglarza na kołyszących się falach, na pełnem morzu pomiędzy niebem a wodą, na wątłym statku zostającego, kiedy mu światła niebieskie pogasną, albo mgła pomrokę przed jego oczami rozwiedzie! Oczekiwanie pomyślniejszej w tych miejscach chwili jest jeszcze niebezpieczniejsze, bo wiatru przeciwnego powściągnąć niepodobna, ale uledz mu potrzeba, a może tuż przed nim skały podwodne i zaspy rozciągają się w około, lub też może pędem wichrów na sto mil z zamierzonej drogi spędzony, w każdej chwili widzi grożące mu niebezpieczeństwo, i niemylną zgubę w głębiach morza.

Gdy więc w ostatecznej potrzebie chmury się znowu rozsunęły, a niebo wyjaśniło, i gwiazda z gromady Oryona zabłysła, wtedy żeglarz zwraca swój teleskop na niego, mierzy wysokość gwiazdy na niebie, patrzy na kompas i na zegar, i uważnie odbywa w tym celu potrzebne rachunki. Jeżeli ma dobre narzędzia i zegar dokładnie idący, to zboczenie ku wschodowi lub ku zachodowi z pewnością oznaczyć może, a jeżli jeszcze z nauką swoją dostatecznie jest obeznany, to na morskiej mapie wskaże miejsce i rzeknie: Teraz płyniemy o tyle i tyle mil od chwili zboczenia z zamierzonej drogi. Chwała Bogu! Skały na mapie oznaczone leżą jeszcze o parę mil od naszego statku. Sterniku, miej się na prawo!

Teraz więc moi państwo pojmiecie zapewne, jaki nam gwiazdy pożytek przynoszą. Wiele ludzi zaledwie kiedy-niekiedy późnym wieczorem wracając do domu, spojrzy na iskrzące się od gwiazd niebo, a mało z nich który zna ledwo mleczną drogę, jutrzenkę lub wóz; my zaś żeglarze niewymownie dziękujemy Bogu, za umieszczenie niewzruszone tych lśniących światów na niebie, które nam za nieomylnych w naszych podróżach służą przewodników.

Żeglarz umilkł, a każden z obecnych o prawdzie słów przez doświadczonego w podróżach męża przekonany, zagłębił się w myślach i długie zachował milczenie.

Wtedy nareszcie i ja ośmieliłem się powiedzieć: A jeżliby też te gwiazdy stałe były słońcami z podobnemi planetami, księżycami i ziemią, jakie do naszego słońca należą, a były jak nasza ziemia przez rozumne istoty zamieszkane, wtedy to ich użytek okazałby się prawdziwie wielki i podziwienia godny, a w takim razie i samo ich przyświecanie i przewodniczenie nam na pustyni i na morzu mniej byłoby znaczące.

Od Redakcji

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

W imię Boże kończymy pierwszy tom czyli półrocze naszego pisma, składając podziękowanie naszym zacnym kapłanom, nauczycielom, radom powiatowym i dyrekcji kolei, iż nas pomocą, radą i nauką wspierać raczyły. Upraszamy ich i nadal o poparcie, a Dzwonek, o ile mu sił starczy dzwonić będzie na pożytek ludziom dobrej woli, rozpraszając ciemności i szerząc swiatło nauki i miłości ojczyzny.

Spis rzeczy i tytuł otrzymają Szanowni Prenumeratorowie z pierwszym nrem. drugiego półrocza.

Upraszamy o wczesne odnowienie prenumeraty która na drugie półrocze wynosi jak dotąd **1 złr. w. a.**

Redakcja Dzwonka przeniosła się z Wałowej ulicy
Wszelkie listy i reklamacje upraszamy nadsyłać pod adresem Redakcja Dzwonka I. 602 ¼ - Pałac Dzieduszyckich.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Kazimierz Okaz. — Z drukarni E. Winiarza